

Jan DOBRACZYŃSKI
Marcin powraczdaleka
vn)

Część pierwsza

O tego psa o mało nie doszło do prawdziwej wojny trojańskiej.

; Rzeczywylądała następująco: pani Ziemska miała jamnicz'kę Kasię i Kasi urodziły się trzy szczenięta.

Śliczne, rasowejamniki.

Pani Ziemska bardzo lubiła psy, więc zamiast ogłosić, iż ma dosprzedania rasowe szczenięta, obiecała dać pieski tym swoim znajomym, o których wiedziała, że naprawdę będą się nimi opiekowali.

Marcin, któremu ciotka, długo i gorąco proszona, pozwoliła wziąć pieska, miał obiecane czekoladowego jamnika z małą białą łątką na piersi.

Marcinnie wątpił, że ze szczeniaka wyrosnie wspaniały pies, nieodstępny towarzysz wszystkich wycieczek i zabaw.

Kiedy się urodził, miał mordkę pomarszczoną jak jabłko, które się potoczyło pod szafę i przeleżało tam kilkamiesiący; garbaty nos i zamknięte ślepki wyglądały tak, jakby piesek zaciskał je z całej siły.

Małe uszka sterczały podobnie do różków.

Pani Ziemska wyjęła pieska z koszyka, w którym leżał przy boku matki, i dała, cienkopopiskującego, dorąk Marciniowi.

Powiedziała:

Ten, jak podrośnie, będzie twój.

Wiem, że będziesz się nim troskliwie zajmował.

U takiego przyrodnika jak ty na pewno pieskowi będzie dobrze.

Będę się bardzo starał, żeby mu było dobrze zapewnił Marcin.

Nazwę go Bobik.

Nazwij, jak chcesz mówić pani Ziemska aletymczasem oddaj go matce.

Jest bardzo o małe zardrosna.

Rzeczywiście Kaśka, zwykle łagodna i witająca

Marcina łaskawym miedaniem ogona, teraz patrzyła na niego gniewnie, a w jej brązowych oczach zapalały się opalizujące błyski.

Z wąskiego pyska dobywało się głuchocharczenie.

Nie mógł się szczeniaku przyjrzeć, tylko pogładziwszy go palcem powylizanym przez matkę karku oddał pani Ziemskiej, a ona ułożyła go w koszyku obok innych.

Natychmiast przestał piszczeć i z energią odsuwając rodzeństwo zaczął się pchać do pełnego cycka.

Tego dnia rano Edek, który mieszkał w tym samym domu co pani Ziemska, przybiegł do Marcina z hiobową wieścią, że dwa szczeniaki zdechły.

"Wyobraź sobie opowiadał Kaśka je zadusiła.

Tylko jeden został.

Ale ten, co został, tona pewno twój.

"Mimo tego zapewnienia Marcina, ryzykując spóźnienie do szkoły, pognąldo pani Ziemskiej, aby się przekonać naocznie, że to właśnie jego pies wyszedł cało z katastrofy.

Biegając jak szalony, wpadł w furtkę na Ankę Szawelską.

Nie było osoby, którą by mniej chętnie zobaczył w tym miejscu.

Między nim a Anką toczył się od długiego już czasu niewygasający spór.

Chodzili do jednej klasy na pewno byli najzdolniejszymi w niej uczniami.

Każde z nich miało liczną grupę przyjaciół, które ich otaczało niby małe armie;

zresztą przyjaciółmi Marcina byli prawie wyłącznie chłopcy, a Anki dziewczęta.

Konkurencja między Marcinem a Anką nie ograniczała się do godzin lekcyjnych;

rywalizowali ze sobą w harcerstwie

na obozach i wycieczkach, atakując w pracach kółka przyrodniczego.

Byli pierwsi w zbieraniu różnych eksponatów waz, fraszek, jaszczurek i zajmowali się gabinetem przyrodniczym, w którym trzeba było karmić rybki, białe szczury i chomiki.

Właśnie za tę opiekę nad gabinetem przyrzekła obdarzyć ich pieskami.

Pani Ziemska, która jako niedawno emerytowana sekretarka szkoły, wiedziała o wszystkim, co się tam dzieje. Anka pojawiła się jeszcze przed lekcjami u pani Ziemskiej, niewątpliwie przyniesiona tą samą nowiną. Ty tu czego? Rzucił ostro chłopiec, zastępując jej drogę. A ty? zapytała. Wyminęła go, obrzucając pogardliwym wzrokiem.

Ja do mojego psa. Nie ma już twego psa. Marcin nie bez niepokoju zobaczył w szarych oczach Anki wyrazliwy triumf. A właśnie, że jest, ty głupia idiotko. Inne Kaśka zadusiła, a mój żyje. Tak mówił Edek. Zostawił dziewczynkę, która już zresztą wychodziła, w ogródku, a sam zastukał do drzwi mieszkania pani Ziemskiej. Drzwi były otwarte, ale kiedy wszedł do pokoju, wypadła mu na przeciw z ujadaniem Kaśka. Musiała być strasznie zdenerwowana tym, co się stało, bo nie zwracając najmniejszej uwagi na długą znajomość usiłowała chwycić Marcina za nogę. Nadbiegła pani Ziemska i zapędziła ją do koszyka.

Marcin widział, jak czarne

ciało sukiniwinęło się węzowym ruchem wokół małego brązowego wałeczka.

To ty, Marcinie?

spytała pani Ziemska.

A nie spóźnisz się do szkoły?

Pewno dowiedziałeś się o wszystkim od Edka?

Tak, od Edka.

Ale mój Bobik żyje, prawda?

Myślisz o tym brązowym piesku?

Tak, on jeden przeżył.

To właśnie jego dała mi pani.

Rzeczywiście, mój kochany, obiecałam go tobie.

Ale obiecałam pieska także twojej koleżance, Ance.

Pewno ją spotkałeś, bo tu przed chwilą była.

Trzeciego miał dostać pan Tomala.

On poczeka do następnego razu.

Ale wy musicie się z Anką porozumieć, które z was weźmie szczeniaka.

Nie chciałam żadnego z was skrzywdzić.

Skoro mi go pani dała, to on jest mój wybuchnął Marcin.

Dałam taksamo Ance.
I tonie jej wina, że tamten nieżyje. -

--
Ona bardzo się cieszyła.
Ja się także cieszyłem.
I nawet wybrałem dla niegoimię.

Onjuż wie, jaksię nazywa.
Nie ma mowy, żebym go jej
, oddał.

-Pani Ziemska poprawiła okulary na nosie.
Musiałabyćzaskoczona twardym tonem,jakimmówił chłopiec.
, Mój kochany rzekła powiedziałam, że musisz w tej

sprawie porozmawiaćz Anką.
Nie będę samadecydowała.
Piesek powinien iść tam, gdzie mu będzie lepiej.
Zresztą jeśli

Iedno z was dostanie psateraz, to drugiemu dam znowego

-miotu.
A może byściewzięli tymczasem pieska na spółkę?
Nie ma mowy rzucił z gniewem.
Tomój pies.

Proszęcię bardzo, mójkochany, niekrzycz.
To nie był

jeszcze twój pies.
W głosie pani Ziemskiej brzmiała nagana.

Wciąż poprawiała okularylekkotrzesając się ręką.
Pani Ziem-
ska nie miała własnych dzieci i może dlatego uważała,
że chłopcy powinni byćzawsze grzeczni i nie wolno im pod-
nosić głosu przy starszych.
Powiedziałam ci,abyś się ułożył z Anką.
To miła, grzeczna dziewczynka i myślę,że
dojdiesz z nią do porozumienia.
Ja nie będę w tej sprawie decydowała.
A teraz idź, bo muszę sięzając swoją robotą i nie Ziemskiej.
mogęcię zostawić samego zKaską.
Jest tak rozdrażniona, że mogłaby cię ugryźć.
Zresztą jest już ósma i jeśli niechcesz
spóźnić się na pierwszą lekcję, musisz zaraz biec.
-Anki oczywiścienie było już w ogródku.
Pobiegł, ile sił

w nogach, i wpadł do klasy w chwili, gdy rozległ się dzwonek.

tłum uczniów kłębił się między ławkami jak zwykle przed.

pierwszą lekcją.

Rzucił teczkę na pulpit, roztrzącił otaczających go kolegów i stanął przed Anką, która układała książki na swojej ławce.

Ty kretynko!

wrzasnął.

Jeśli ci się wydaje, że ukradniesz psa, to się grubo mylisz.

Nie dam ci go, rozumiesz?

Anka bez słowa obróciła się plecami do Marcina.

Chcąc ją wrócić twarzą kusobie, chwycił za brzeg fartuszka na ramieniu.

Guzik przysnął między stłoczonych uczniów, a ramiączko opadło.

Anka nie myślała być dłużna: chwyciła śniadaniówkę i zakreśliła ją nad głową.

Marcin dostałby prostą twarz, gdyby się nie zastonił.

Ogarnęła go furia; skoczył wyrwał jej śniadaniówkę, rzucił ją na ziemię, wyciągnął rękę aby chwycić dziewczynkę za włosy.

Zatrzymał się jednak usłyszawszy nad sobą groźny głos pani Kamińskiej.

Od razu oprzytomniał.

Ręka mu opadła, cofnął się w stronę swojej ławki.

Co się tu dzieje?

pani Kamińska obiegła wzrokiem stojącą w ławkach klasę.

Policki, proszę do mnie.

Co im było?

Dlaczego chciałeś uderzyć Szawelską?

Pani Kamińska była młodą nauczycielką, ale posiadała dość energii, by trzymać w ryzach niesforną w powszechnej opinii klasę.

Wiedziała, że jest lubiana: potrafiła być wesoła i przyjazna.

Interesowała się życiem uczniów, łatwo nawiązywała z nimi kontakt.

Nigdy nie była stronnicza.

Marcina lubiła i była pewna, że potrafi dać sobie z nim radę, chociaż w pokoju nauczycielskim zdania na temat chłopca były podzielone.

Marcin wyszedł na środek klasy i stał przed nauczycielką czerwony, z opuszczoną głową, z oczami utkwionymi w czubki obfłukiwanych od częstego kopania piłki trampek.

Mów, o co wam poszło?

zapytała pani Kamińska.

Widziałam, jak podniosłeś rękę na Ankę.

No? Mów.

Miabyś odważnie odpowiedzieć na moje pytanie.

Ona chce buchnąć mego psa.

mruknął wreszcie.

Mów po ludzku, żeby mogła zrozumieć.

Z panią Kamińską zazwyczaj można było mówić językiem uczniowskim, ale nie wtedy, gdy rozstrzygała jakąś sprawę.

Chce mi zabrać psa poprawił się.

Jakiego psa?

Psa, którego mi dała pani Ziemska.

Szawelską chce ci zabrać twego psa?

To nie jest jego pies powiedziała z ławki Anka.

Kłamiesz!

obruszył się Marcin.

Pies jestmój!

Proszę być cicho!

.Jednoi drugie!

zawołała nauczy

cielka.

Szawelską, chodź tu do mnie.

Powiedz ty, o co chodzi.

Dziewczynka była nieco wyższa od Marcina.

Miała włosy ciemne, opadające grzywką na brwi, nosek lekko podniesiony nadawał twarzy wyraz trochę arogancki.

Spod opadłego ramiączka fartuszka wyglądał piękny sweterek.

O nim to Anka opowiadała przed paroma dniami koleżankom, że pochodzi z Paryża, i za to chwalenie się dostała burę od pani Kamińskiej.

Zanim odpowiedziała nauczycielce, obrzuciła Marcina spojrzeniem, w którym była wyższość i pogarda.

Pani Ziemska zaczęła obiecać mi szczeniaka.

Jemu także.

Były trzy szczeniaki, ale dwa zdechły.

Więc pani Ziemska powiedziała, żebyśmy zdecydowali, kto z nas tego psa weźmie.

Ale on wcale o tym nie rozmawiał, tylko rzucił się na mnie.

Bo pies jestmój!

krzyknął Marcin.

Dlaczego twój?

Bo ja właśnie jego dostałem.

I już wybrałem dla niego imię

Co ty na to, Anka?

Dziewczynka wydeła usta.

Nieważne, proszę pani, że wybrał.

To się nie liczy.

Dlaczego się nie liczy?

Bo tylko jeden pies został.

Tak powiedziała pani Ziemska.

A zresztą, proszę pani, czy on zająłby się naprawdę psem?

Jeszcze by go zamorzył głodem.

Pani Kamińska zauważyła, że Marcin zacisnął usta, jakby hamując wybuch.

W klasie rozległo się kilka gniewnych głosów.

Nauczycielka zmarszczyła brwi.

Nie masz racji, Aniu rzekła.

Jestem pewna, że jeśli Marcin będzie miał psa, potrafi się nim należycie zająć.

Skoro pani Ziemska chciała mupsa dać, to znaczy, że ma do niego zaufanie.

Teraz powiedz ty, Marcin.

Marcin był szczupły i drobny, robił wrażenie młodszego niż inni chłopcy w klasie.

Aż dziwne, że potrafił być wśród nich prawdziwym wodzem.

Oczy miał niebieskie i włosy bardzo jasne.

Ubrany był w ciasną kurtkę i wypchane na kółkach spodnie od dresu.

Spod marynarki wyglądała koszula przetartym kołnierzykiem.

Jakbym wziął psa, to bym sam nie zjadł, a jemu dał dowiedzieć.

Bobik nie będzie miał nigdzie lepiej.

Ja nie wiem, dlaczego pani Ziemska tak mówi.

Przedtem dałaaai szczeniaka, a teraz mówi, żebyśmygo mieli do spółki.
Alea niehcę mieć niczego znią razem.

Ani ja!
powiedziała Anka z taką samą stanowczością.
Pani Kamińska przygryzła usta.
Sytuacja uświadomiła sobie nie była łatwa.
Pani Ziemska, myślała, na pewno nie postąpiła słusznie.
Była dobrą kobietą, ale niej zawsze miała rację ten, kto potrafi być grzeczniejszy.
Poza tym nie wiedziała nic o konflikcie, który dzielił Ankę i Marcina.
Na panią Kamińską spadał ciężar wydania salomonowego wyroku.
Wiedziała, że cokolwiek zdecyduje, jedno z dzieci będzie się czuło pokrzywdzone.
W gruncie rzeczy miała słabość do boja.
Byli dziećmi inteligentnymi, z charakterem.
Anka pisała doskonale wypracowania i znała świetnie historię.
Dużo czytała, interesowała się wieloma sprawami.
Marcin posiadał duże zdolności do matematyki, ale i jego interesowała literatura co, rzecz jasna, zdobywało mu serce pani Kamińskiej, która była nauczycielką języka polskiego.
Poza tym był pierwszy w gimnastyce i sporcie.
Znał się doskonale na różnego rodzaju majsterkowaniu.
Oboje pasjonowali się przyrodą i na tym polu z całą zawziętością rywalizowali ze sobą.
Pani Muszyńska, przyrodniczka, była tym zachwycona, ale pani Kamińskiej ta rywalizacja podobała się o wiele mniej.
Czuła, że kryją się pod nią wzajemne urazy i pretensje.
Anka była jedynaczką, córką naczelnego inżyniera miejscowego kombinatu.
Inżynier jeździł Moskwcem i w domu panował dobrobyt.
Od stryja, który często wyjeżdżał za granicę, dziewczynka otrzymywała wiele pięknych prezentów.
Sama zresztą podczas ostatnich wakacji wyjeżdżała z ojcem do Bułgarii.
Gdy na żądanie pani Kamińskiej opowiadała w klasie o tym, co widziała w Warnie i Złotych Piaskach, Marcin siedział bokiem w ławce, z rękami w kieszeniach, skrzywiony ironicznie.
Była .
pewna, że zazdrościł Ance tej podróży.
Kiedyś, gdy klasa pi- ,sała wypracowanie na temat: "Co chciałbyś robić?", Marcin odpowiedział: "Chciałbym podróżować".
Wcale jednak nie wy- Iglądało na to, żeby Marcin mógł kiedyś podróżować.
Trzeba było sytuację rozwikłać.
Anka, Marcin i cała klasa czekała na jej decyzję.
Może jednak zaproponowała moglibyście się pieskiem zajmować wspólnie, tak jak zajmujecie się rybkami w gabinecie przyrodniczym lub naszym Kacprem?
Kacper to był wielki biały szcurek, tak oswojony, że potrafił przez całą lekcję siedzieć na ramieniu któregoś z dzieci.
Ale Anka potrząsnęła stanowczo głową, a Marcin wzruszył ramionami i rzekł:
Rybek i Kacprowi wystarczy, że się im daje.
Chomikom także.
Ale piesto pies.
10
Pani Kamińska cicho westchnęła.
Tak bardzo nie chciała utracić sympatii żadnego z dzieci.
Skoro nie możecie się na takie rozwiązanie zgodzić, jedno musi drugiemu ustąpić.
Ja nie ustąpię!
powiedziała twardo dziewczynka.

Pani Ziemskażawsze mówiła, że nigdzie psu nie będzie takdobrzejak u mnie.
I zanim się jeszcze szczeniaki urodziły, obiecywała, że pierwszy będzie mój.
Ten szczeniak musi być
dla mnie.

Marcin milczał, alez wyrazu jego zaciśniętych ust pojęła,
że on także niema zamiaru ustąpić.

Jedno powinno się okazaćmądrzejsze próbowała rozładować napiętą sytuację.
Za parę miesięcyzna pewno będąnowepieski.

Ale na próżno szukała zrozumienia dla swych słów na twarzach stojących przed nią
dzieci.

Nie ma rady trzeba zdecydować.

Pani Kamińska bliższa była wydania wyroku na korzyść Marcina: ostatecznie ojciec Anki
mógł kupić pieska w jakiejś hodowli.

A poza tym szczeniak był chłopcu obiecany.

Z drugiej jednak strony Marcin rzucił się na Ankę, rozerwałjejfartuszek, chciał ją uderzyć.
Chłopcy nieraz użalałasięna to mająmałoodruchów rycerskich.

Trzeba ich wychowywać.

No, Marcinie zdecydowała Wkońcu jesteś mężczyzną, a przed chwilą nie
zachowałeśię po męsku.

Maszokazję zmazania tego,cośmy tuwszyscywidzieli.

Patrzyła prosto w twarz chłopcu.

Widziała, jak jego oczymrużyły się i przestały byćbłękitne.

Barwą przypominałyteraz stal.

Pomyślała ze smutkiem, że dotknęła gobołesnie.

Tym więcęzrobiło jej się przykro, że była pewna, iż Marcinzupełnieinaczej zrozumie jej
decyzję.

Będzie sądził, że wzięłastronę Anki ze względu na pozycję jej ojca.

No, Marcinie powtórzyła pokaż, że potrafisz byćdzentelmenem.

Zagryzł wargi.

Nagle cofnął się, włożyłręce w kieszenie.

Szybkim ruchem obrócił się napięcie i wmieszał między stojących półkolem kolegów.

Spojrzała na Ankę i zobaczyła naJej twarzy triumfujący uśmiezek.

Poczuła żal do dziewczynki y/olała, aby Anka inaczej przyjęła zwycięstwo.

Dlaczegooni są tacy sobie nieprzy jaźni?

myślała ze smutkiem.

Niedawnopostawiła to pytanie w gabinecienauczycielskim.

"Zupełnie zrozumiałetwierdziłaafizyczka, wysoka,niemłoda nauczycielka o kanciastych,
prawie męskich rysach.

Szawelska to rozpieszczona jedynaczka z bogatego

11.

domu.

Wszystko jej wolno.

A chłopak żyje w bardzo ciężkich warunkach.

" "Mówię paniom, że tu chodzi o co innego powiedział spoza chmury papierosowego dymu młody matematyk, Floriański.

Ciotka Polickiego to zawzięta dewotka.

A Szawelski aktywista, członek partii.

Kto wie, czy baba nie buntuje w domu chłopca.

" "Niech pan tak nie dymi zgromiła matematyka Muszyńska, przyrodniczka, Byłoby do brze, gdyby nauczyciele w szkole nie palili patrzyła groźnie na młodego kolegę.

Nie wiem, czego chcecie od tych dzieci?

Są ambitne i stąd się rodzi między nimi rywalizacja.

Ale każde z osobna jest przemiłe.

" "Każde z osobna, naturalnie westchnęła Kamińska ale razem są nie do zniesienia.

"Kulawa pani Matysiakowa, nauczycielka rosyjskiego, uśmiechnęła się łagodnie.

Powiedziała: "Zobaczcie, że z tego wyrosną.

To taki wiek, że kto się lubi, ten się czubi".

Proszę cię, Anko, bez min pani Kamińska zwróciła się do dziewczynki.

Skoroci Marcin ustąpił, powinnaś mu podziękować.

A w każdym razie proszę, żeby już był z tym

koniec.

A teraz klasnęła w dłonie do lekcji.

Wszyscy namiejsca.

Florczak do tablicy.

Zadała wyrwanej dziewczynce pytanie wymagające dłuższej odpowiedzi.

Krysia Florczak przestępowała z nogi na nogę robiła miny do klasy.

Może i umiała lekcję, ale uważała, że będzie w lepszym tonie domagać się od klasy podpowiadania.

Słuchając dukań Krysi, pani Kamińska poszukała wzrokiem twarzy Anki i Marcina.

Dziewczynka siedziała w ławce wyprostowana, ze stulonymi ustami: wydawała się wcieloną wagą.

Marcin z nisko pochyloną głową coś pisał czy bazgrał w otwartym zeszytcie.

Prawdopodobnie rysował: wszystkie jego bruliony pokryte były na marginesach rysunkami.

Nauczycielka rysunków twierdziła, że chłopiec ma talent, ale nie chce nad nim pracować.

Teraz jednak była lekcja rysunków i pani Kamińska powinna była zwrócić Marciniowi uwagę, aby się zajął tym, co się dzieje w klasie.

Nie zrobiła jednak

tego.

Było jej wciąż żal tego szczupłego chłopca o jasnej czuprynie.

2

Zaraz po skończonych lekcjach Marcin w towarzystwie swego przyjaciela,

Tomka Kluka, skierował się w stronę ulicy Zielonej, na której mieszkała pani Ziemska.

Zaledwie jednak doszli do placu Grunwaldzkiego, zobaczył, że przed nim w tym

12

samym kierunku idzie Anka otoczona swymi najwierniejszymi przyjaciółkami, Litką i

Grażyną.

Szczupłe nogi Anki w niebieskich pończochach poruszały się szybko.

Gruba Litka z trudem dotrzymywała kroku towarzysze.

Natomiast Grażyna idąc podskakiwała, jakby się bawiła w klasy.

Jej cienkie warkoczyki ulatywały W górę, a potem spadały na ramiona.
Na widok dziewcząt Marcin zatrzymał się gwałtownie przy łańcuchu obiegającym zakręt chodnika.
Zawracamy w Grodzką powiedział rozkazująco do Tomka.
Przecież mieliśmy iść do Ziemskiej zdziwiłde Tomek.
Teraz nie pójdziemy.
Nie widzisz, że już tam one poleciały?
Będą się później naśmiewać.
To nie chcesz zobaczyć Bobika?
Pójdę kiedy indziej.
Wiesz powiedział Tomek, kiedy siknęli w lewo Szawelska gadała w klasie, że Bobik to głupie imię, ona nazwie psa inaczej.
Sama głupia!
warknął Marcin.
Może sobie wymyślać, co chce, Bobik zostanie Bobikiem.
Szedł zamaszystym krokiem z rękami wbitymi w kieszenie.
Nagle zapytał Masz fajki?
Tomek aż się zatrzymał w miejscu, tak był zaskoczony tym pytaniem.
Przecież mówię, że nie będziesz nigdy w życiu palił.
Mówiłem.
Ale teraz chcę fajkę.
Tomek sięgnął do kieszeni bluzy, wygrzebał z niej zgniecionego papierosa.
Zanim go przełamał, rozejrzał się na wszystkie strony.
Chcesz tak zwyczajnie, na ulicy?
zapytał.
Możemy się naciąć.
Jak masz boja, to nie pal.
Ja sam zapalę rzekł Marcin.
Połówka wymęczonego papierosa była mała i aby ją zapalić, trzeba było przytknąć zapalkę prawie do samych ust.
Dympchał się w oczy, wywołując gwałtowne łzawienie.
Marcin krzywił się, ale ruszył bohatersko naprzód z papierosem przyklepionym do warg.
Tomek naśladował go.
Nie zdążyli jeszcze przejść nad drugą stronę placu, gdy jakaś przechodząca obok nich kobieta zatrzymała się i zawołała w ich stronę:
Hej, chłopcy, poczekajcie!
Jak wy się zachowujecie?
Czyniewiecie, że takim jak wy palić nie wolno?
Chodu!
wrzasnął Tomek.
Poderwalis się do biegu.
Pochwili byli już za rogiem małej, bocznej uliczki.

Tu można powiedział Tomek.

Na placu znajdzie się zawsze jakaś idiotka.

Tomek pociągał często.

U niego w domu palili wszyscy ojciec, i matka, i starsi bracia.

Pudełkasz papierosami walały się po stołach, nie było żadnej trudności w zdobywaniu "fajek".

Rodzice nie traktowali tego zresztą jako przestępstwa.

Ale u Marcina było inaczej.

Ciotka nie paliła i uważała palenie za coś obrzydliwego.

Jeśli się zdarzyło, że ktoś u nicy

zapalił, zносиła to z wyraźną dezaprobatą.

Natychmiast przywodziła palacza, krzywiąc się, wyrzucała zostawione w popielniczce resztki i otwierała okna.

"Trzeba wywietrzyć powietrze papierosowych smrodach" mówiła.

Z jeszcze większym obrzydzeniem patrzyła na palące kobiety: "Tak to od razu widać, że nie ma nic do roboty" powtarzała.

W pewnym momencie Marcin zaczął palić, alerobił to zawsze poza domem.

Jednakże przed paroma miesiącami oświadczył kolegom "Więcej już nigdy palić nie będę.

Nie odpowiada mi to".

Nie dał innego wyjaśnienia.

Od tamtego czasu żaden z kolegów nie widział go z papierosem w ustach.

Króciutkie "pety" skończyły się po kilku sztachnięciach Chłopcy ruszyli w dalszą drogę.

Nie myślałem, że Szawelska taka świnią powiedziała Tomek.

Nigdy się jej nie przyglądałeś?

,

Ja tam z nią nigdy nie gadam.

Zanadto drzenosa w górę.

Jakby była nie wiem kim.

^^

Ja też tyle z nią gadam, co muszę, jak jesteśmy w gabinecie przyrodniczym.

Nie znoszę jej.

Aleni spodziewaliśmy się, że Karna weźmie jej stronę.

Może nie mogła inaczej?

Z Szawelskim będzie zadzierać?

Chodzi o sprawiedliwość.

A co znowu ten Szawelski?

Ważny.

Mówią, że pisali o nim w gazetach.

I był w radio i w telewizji.

Przedtem siedział.

Siedział, ale wyszedł.

Ojciec mówi, że te, co teraz wyszły, są najważniejsze.

Ważny czy nieważny, nic mnie nie obchodzi.

Nie miał nikogo prawa zabierać mipsa.

Bobik jest mój.

Też mi pomysły, abym się dzielił z Szawelską!

Nie chcę mieć nic z nią wspólnego.

Ona nawet na religię nie chodzi podjudzał Tomek.

A nie chodzi.

Przyszła na pierwszą lekcję i powiedziała

u: . ^ .

^^ . / :

księdzu, że nie będzie więcej przychodziła.

Że jej rodziceniwierzą, to i ona nie będzie chodzić.

Szli jakiś czas w milczeniu.

Marcin miał minęciągle gniewną.

Sam nie wiedział, co go więcej bolało: zmienność paniZiemskiej czy wyrok pani Kamińskiej.

Niedostanie psa mruknął przezzaciśnięte zęby.

Już ja tak zrobię, że nie dostanie.

Tomek gwizdnął na znakuznania dla słów przyjaciela.

A jak to zrobisz?

Zrobię, zobaczysz.

Tomek patrzył na niego z podziwem.

Ale po chwili zacząłsiękrobać za uchem.

Będą od razu wiedzieli, kto zabrał zaczął.

Wiem.

I dlatego muszę go schować.

Gdzie?

Pomyślę.

Może ty byś go wziął na jakiś czas?

U wasw warsztacie dużo miejsca.

Tomkowioczy błysnęły, ale zaraz się zasepił.

Miejsce jest.

Ale nicz tego.

Ojciec się nie zgodzi.

Niechciał nigdy słyszeć o psie.

A przed nim nieukryję.

Znowu szli w milczeniu.

Ona go jednak nie dostanie, żeby nie wiem co w głosieMarcina brzmiała zaciętość.

Terazgo jeszcze zabrać niemogę,bo ślepy i musissać.

Zdechłbybez matki.

Taki mały zdechłby na pewno potwierdziłTomek.

Dochodziliwłaśnie do rogu Sienkiewicza, gdzie mieszkałMarcin, i mieli się już pożegnać, kiedynagle Tomek zawołał:

Ale patrz, jaki Mercedes!

Fajna maszyna!

Ciemnoniebieski Mercedes lśnił chromem.

Chłopcy zatrzymali się przy aucie.

We wnętrzu siedział przy kierownicy tęgimeżczyzna i palił cygaro.

Nie przejmując się jego obecnością,zagłądali przez okna.

Zegar ma do dwustumówiłz podziwem Tomek.

Takimto można zapylać,

Zobacz,jakie lampy.

I zwykłe, i żółte.

Muszą świecić jak cholera.

Obeszli wóz dookoła.

Przykucnęli i usiłowali zajrzeć od dołu.

Samochód to było coś, co ich ciągnęło, zaprzętałoichmyśli.

Ojciec Tomka miał warsztat reperacyjny.

Chłopcy nieraz przyglądali się, jak pan Kluk i jego pomocnik, Edek GliwGzyński, grzebali się w oddanych do naprawy wozach.

Były to zwykle Skody, Wartburgi, Syreny, stare Dekawki, Ople, Moskwicze i Ify.

Czasami trafiła się Warszawa ale Warszawy były wozami urzędowymi i tylko przypadkiem mogły się

15.

znaleźć w warsztacie należącym do prywatnej inicjatywy.

Ale od paru lat zaczęło przyjeżdżać do Polski wielu cudzoziemców i zdarzało się, że do warsztatu trafiały także autanietypowe.

Niemiecki zauważył Marcin wskazując na tablicę rejestracyjną, białą z czarnymi numerami, i znak literą "D".

Niemcy przejeżdżali często przez ich miasto.

To byli Niemcy z NRD.

Ale ostatnio zaczęli się także pojawiać Niemcy z zachodu.

Najczęściej w Volkswagach.

Kręcili się po mieście, oglądali domy, w których, jak twierdzili, niegdyś mieszkali, fotografowali.

Odwiedzali zarosnięty trawą cmentarz, kładki między grobami.

Ludzie miejscowi przyglądali się im z nieufnością.

"Lichowie, po coś tak tutaj szwendają" mówili.

Któryś z Niemców dał starej kobiecie zajmującej mały domek dwadzieścia marek i powiedział: "Proszę dobrze pilnować domu i mieć o niego staranie, to się kiedyś policzymy".

Zadawał sobie pytania, co miały znaczyć!

te słowa.

Ale na ogół nikt dla przyjeżdżających nie był nie-grzeczny.

Gdy prosili wpuścić ich do mieszkań, pokazywano pokoje, w których, jak mówili, kiedyś mieszkali.

"A boto imże tam, w zachodnich Niemczech?"

powiadali ludzie.

Popatrzcie, jakie mają auta, jakie ubrania.

Złodziejom to dobrze.

Choćby niewiem co oddali, jeszcze będą od nas bogatsi.

"Jednak nawet ci, co tak mówili, nie okazywali przybyszom wrogości.

Oni zresztą silili się na uprzejmość.

Ciekawy jestem, skąd ten Szwab przyjechał powiedział Tomek.

Na pewno z RFN rzekł Marcin.

Na chwilę oderwał spojrzenie od auta i popatrzył na siedzącego we wnętrzu mężczyznę.

Tamten musiał na kogoś czekać.

Z obojętnością chyba ze znużeniem patrzył na idących ulicą ludzi.

Wcale nie zwracał uwagi na chłopców, jak się nie zwraca uwagi na zaglądnące do okna wróble.

Kapelusz miał wciśnięty na czoło.

Marcin widział tylko pełne, lekko obwisłe policzki.

Gdy się mówiło o Niemcach z zachodu, często rozmawiano o wspomnieniach.

Mieli je wszyscy.

Nie był nikogo, kto by czegoś nie zachował tamtych, wojennych czasów.

O Niemcach z zachodu ludzie mówili, że niczego nie żałują; że chcieliby znowu wrócić na ziemię, z której przed dwunastu laty musieli odejść.

"Są ugrzeczniejsi, ale źle im z oczu patrzy.

"Jakby chcąc się przekonać o tym, Marcin zajrzał pod rondko kapelusza człowieka przy kierownicy.

Tamten obrócił chłopca wzrok, miał nawet całkiem sympatyczny wyraz niebieskich oczu, spoglądających spod obwisłych po

wiek.

Uśmiechnął się lekko.

Sięgnął dokieszeni, wyjął z niej jakąś monetę i zachęcającym gestem chciał ją podać Marcinowi.

Ale chłopiec cofnął się.

Mężczyzna nie powtórzył swego gestu.

Zresztą przestał patrzeć na Marcina.

Wyprostował się

i szybko otworzył drzwiczki.

Zbramy domu, przed którym stało auto, wyszła kobieta.

Marcinaż otworzył usta z podziwu.

Miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknej istoty.

Była jasną blondynką i wyglądała bardzo młodo.

Miała na sobie zamszowy płaszcz.

Jej wspaniała sylwetka i eleganckie ubranie odbijały od tła szarej ulicy.

Nie tylko Marcin wszyscy przechodnie patrzyli na idącą.

Onaszyła uśmiechnięta, z wielkim baldachimem rzucając policzkami.

Bił od niej subtelny zapach perfum.

Obok kobiety niby karzełek obok królowy kuśtykała mały mężczyzna w poplamionym płaszczu i przepoconym kapeluszu.

Marcin znał go z widzenia: to był Kunke, jeden z tutejszych autochtonów.

Kunke prowadził mały warsztat, w którym reperował wszystko, poczynając od parasoli,

laleki wózków dziecięcych, dorowerów i aparatów radiowych.

Przy okazji sprzedawał także różnego rodzaju stare meble i przedmioty,

nie wiadomo skąd wydobyte.

Kunke szedł obok kobiety i coś zawzięcie tłumaczył, żywo gestykulując pośrodkami od nikotyny palcami.

Marcin usłyszał:

...na pewno, łaskawa pani, na pewno.

Gotów jestem

wszystko to zeznać.

Kobieta zatrzymała się przy otwartych drzwiach auta.

Woń perfum owiała Marcina.

Obróciła się jeszcze raz do Kunkego.

Powiedziała po polsku, ale twardym, jakby cudzoziemskim akcentem:

Ogromnie jestem panu wdzięczna, panie Kunke.

Pan nawet nie wie, ile pan dla mnie zrobił.

Och, łaskawa pani, to prawdziwa przyjemność bąkała mały mężczyzna, wyraźnie zachwycony słowami kobiety.

Dla pani zawsze gotów jestem wszystko.

A gdyby jeszcze, cośmy mówili.

Ale naturalnie, będziemy pamiętać.

Więc pan mówi, że trzeba z tym jechać do Warszawy?

Tylko do Warszawy, tylko.

Oni tutaj nic nie zadecydują sami.

A w Warszawie pani nie odmówią.

Przyjedzie pani od

razu z poleceniem.

Marcin widział, jak kobieta sięgnęła do torebki i coś szybko włożyła w dłoń Kunkego.

Potem podała mu rękę, a on schylając się nisko pocałował ją w palce.

Mężczyzna w aucie uniósł.

dłoń i powiał nią w stronę Kunkego.
Zapalony motor warkniKunke miał już zatrzasnąć drzwiczki wozu, gdy nagle jmałe oczka
dostrzegły stojących po drugiej stronie auta chłojców.
Prędko pochylił się do siedzącej kobiety i cośdo nipoowiedział.
Ruchemgłowy zdawał sięwskazywać Marciri Tomka.
Kobieta odwróciła ku nim głowę.
Marcin zobacz;
 jej oczy, błękitne, szeroko otwarte, jakby pełne krzyku.
Możcoś zawołała, ale tego nie usłyszeli.
 Wiejmy!
wrzasnął Tomek.
 Nie zastanawiając się, dlaczego to robią, rzucili się ducieczki.
Zatrzymali się dopiero w bocznej uliczcei wyrzei
 na Sienkiewicza.
Auto odjechało.
Kunke stał jeszcze przebramą i rozglądał się po ulicy.
 Po coś krzyczał, żebyśmy wiali?
zapytał Marcin.
 Tak mi się wydawało, że trzeba.
Patrzyli na nas.
Jeszczegotowi byli powiedzieć, żeśmy im coś zepsuli.
 Nic nie zrobiliśmy.
 Mogli zawołać milicjanta i musiałbyś się tłumaczyćjA glina bywa zawsze po stronie
cudzoziemców.
 Może to nie byli cudzoziemcy.
Ta kobieta mówiła ppolsku.
 Niemcy często potrafią gadać po polsku.
 Widziałeś, jaka ona była?
Jeszcze takiej nigdy nie wi)działem.
 Spodobała ci sę babka?
 To nie żadnababka.
 Wymalowana jak obraz.
Dureń jesteś!
 Ze złością, której sam nie pojmował, machnął ręką Tomkwi, przeskoczył ulicę tuż
przed nadjeżdżającą ciężarowiiwbiegł do bramy domu, w którym mieszkał.
 I wszedł do mieszkania, położył teczkęna krześle, tam gdzie
 zawsze powinna była leżeć, i zmienił buty na domowe"ciapy".
Długi czas wojował z ciotką o te "ciapy".
Uważał, że chodzenie w domu w miękkich pantoflach ubliża jego męskiej godności.
Ciotka krzyczała ale on nie chciał ustąpić.
Dopieroksiądz Wionczek skłonił go do kapitulacji.
"Czy warto się spieraćo takie głupstwo?
tłumaczyłMarcinowi.
Nigdy niepowinieneś zapominaćo tym, co ciotka zrobiła dla ciebie i corobi.
" Od czasu kiedy Marcin zaczął służyć do mszy księdzu
18
 Wionczkowi, młody wikary miał na chłopca duży wpływ.
Onjeden umiał przemówićdo jego upartej natury.
 Marcina wychowała ciotka.

Rodziców nie znał.

Podobno zginęli zaraz po jego urodzeniu.

Marcin kilka razy prosił ciotkę, aby opowiedziała mu o nich, alez jej słów nie dowiedział się wiele.

Opowieści ciotki były jakieś bezbarwne, na ich podstawie żaden obraz nie powstawał w wyobraźni chłopca.

Przytym Marcin zauważył, że w opowiadaniu nie wszystko sięgadzało.

Pewne szczegóły wyglądały raztak, drugi raz inaczej.

Ciotka, gdy się ją poprawiało, mieszała się, zaraz zaczynała się denerwować i złościć, a wtedy trzeba było od niej jaknajdalej uciekać.

Gorzej, że nie umiała powiedzieć, jak wyglądała matka.

"Jak miała wyglądać?

mówiła.

Młoda była, bardzo młoda.

Po prostu, jak dziewczyna.

" Nic więcej nieumiał z niej wydobyć.

Jeszcze mniej dowiedział się o ojcu.

Marcin zwiekiem zaczął podejrzewać, że ciotka być może jego ojca nigdy na oczynie widziała.

O ile ciotka nie umiała opowiadać o rodzicach Marcina, o tyle mówiła często i dużo o swoich własnych dzieciach.

Opowiadała z takim bogactwem szczegółów, że dla Marcina trzywyblakłe

fotografie, wiszące nad łóżkiem ciotki, wydawały się pełne życia, chociaż dzieci ciotki nie mógł poznać.

Córka Teresa i młodszy syn Józef zginęli w Powstaniu Warszawskim.

Starszy Władek jeszcze wcześniej został zakatowany w Oświęcimiu.

Marcin poznał dokładnie historię życia: ich dzieciństwo, ich zabawy, naukę, potem pracę konspiracyjną i historię ich śmierci.

Władek pracował w podziemnej drukarni.

Gdy go aresztowano i zabrano na Pawiak, Niemcy chcieli się od niego koniecznie dowiedzieć różnych szczegółów o tych, co wydawali tajne pismo.

Władek, choć torturowany, niczego nie zdradził.

Kiedy go odsyłano do Oświęcimia, napisał do matki gryps: "Niech się mama modli za mnie, boja tam chyba nie dojadę".

Dojechała po dwóch tygodniach już go nie było.

Józek, choć miał tylko piętnaście lat, podpalił na Wolskiej czołgniemiecki.

Dostał za to krzyż i stopień kaprała.

Zginął podczas obrony szpitala Bonifratrów.

Dokońca odwiedzał matkę, która siedziała w piwnicy na Zakroczymskiej, i przynosił jej połowę swej porcji żywnościowej, bo głodowała.

Teresa pracowała jako sanitariuszka.

Ocalała podczas wybuchu czołgu na Kilińskiego, ale potem została z rannymi w szpitalu na Długiej po ewakuacji Starówki.

Nikt więcej nie widział i nie wiadomo było, co się z nią stało.

"Ile matka musiała znać jakieś szczegóły jej śmierci, bo gdy

kończyła opowiadać o córce, zaczynała pociągać nosem i krzywić usta.

Marcin nie śmiał pytać jej o te szczegóły, j

Natomiast wciąż powracał do pytań o rodziców.

Układał sobie rozmaite podstępne pytania, którymi ciotkę zaskakiwał:

Im był starszy, tym częściej wprowadzał ją w zakłopotanie. Coraz łatwiej było mu spostrzec, że ciotka płacze szczegóły jakby zapominała o tym, o czym poprzednio mówiła. Pewnyć spraw w ogóle nie umiała wyjaśnić.

Gdy zapytała ją, dlaczego nosi jej nazwisko: Policki odpowiedziała mu tak mętnie

że w chłopcu zrodziło się przypuszczenie, iż być może wcale się tak naprawdę nie nazywa.

A jednak, odkąd sięgnął pamięcią, wychowywała go ciotka. Aby go wychować, pracowała ciężko, bardzo ciężko.

Chwytała każdą pracę, jaka się tylko nawinęła.

Chodziła na posługę.

Wiosną, latem i jesienią zajmowała się działką, a zaopłatą pracowała także na działkach innych.

Była energiczna i ruchliwa, ale ciężka praca sprawiała, że często bywała zmęczona.

Może jej złe humory i gwałtowne wybuchy zdenerwowania były wynikiem tego zmęczenia?

Powiedzenie księdza Wionczka: "Ciotka wychowała cię jak matka" dało Marciniowi dużo do myślenia.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie istniał właściwie żaden powód, który by na jakikolwiek niemłodej już kobiecie tak się męczył dla dziecka i nie będącego jej dzieckiem.

To właśnie odkrycie skłoniło Marcina do zmiany w wielu sprawach swego postępowania. Zaczął nosić "ciapy", których domagała się ciotka, postanowił nie palić, gdyż wiedział, jak bardzo ją to drażni.

-Próbował także pomagać jej w pracy.

Musiał to robić ukradkiem, gdyż ciotka rzadko wymagała czegoś od niego, a raczej zapędzała go do nauki.

"Masz się teraz uczyć" mówiła a nie płatać mi się tu pod ręką.

I takniczego nie potrafisz!

"Ciotka bywała szorstka i despotyczna, lubiła burczeć i krzyczeć.

Nie okazywała nigdy czułości.

Gdyby był młodszy, nieraz zdarzyło mu się dostać od niej po karku.

Buntował się i narzekał na jej despotyzm.

Była uparta, a Marcin był także uparty.

Z wolna jednak pod wpływem księdza Wionczka Marcin zaczął rozumieć, że ciotka po swoim go kocha.

Inawet musi go kochać mocno, skoro tak bardzo się męczy, aby on mógł się uczyć.

"Ucz się burczała ucz!

Rozumiesz?

Musisz się wiele .

nauczyć, wiele umieć.

Jesteś na świecie sam, więc trzeba, abyś stał mocno na nogach.

Jak wreszcie do czegoś dojdiesz, wtedy mi będziesz pomagał.

Twoi rodzice uczyli się, chodzili do szkół, doszli do czegoś (tak mówiła, ale Marcin nigdy nie mógł się dowiedzieć, do jakich szkół rodzice chodzili i do czego do-

šli).

Moim też tak mówiłam szerokim ruchem zniekształcoj od częstego prania dłoni wskazywała wiszące nad łóżkiem fotografie.

Alez nimi było inaczej.
Inne były czasy.
Jazdao książki!
A tu mi się nie kręć, bo dostaniesz ścierką!
"

kończyła, jakby zacinała batem.
F Mimo to, gdy tego nie widziała, starał się za nią coś zrobić.
Jeśli złościł się, odkrywając ją, znosił bez sprzeciwu jej wymysły.
Powtarzał w duchu zapewnienia księdza Wionczka, że ciotka na pewno bardzo go kocha.
A jednak wolałby, aby była trochę miększa, trochę serdeczniejsza.
Może dlatego często śnił o matce.
W snach jej nie widział; czuł ją tylko i słyszał.
Mówiła do niego czule, łagodnie.
Była na pół dorosłą kobietą, na pół koleżanką.
Śniło jej tak często, że w końcu zaczął sobie układać w głowie, iż matka wcale nie umarła, ale gdzieś jest i pewnego dnia może się po niego zjawić.
Ciotka mówiła, że matka nie żyje, ale nigdy nie powiedziała, gdzie i kiedy zginęła.
Na pewno, myślał Marcin, nie była przy jej śmierci.
Więc może powiedziano jej nieprawdę?
Z wolna te myśli zaczęły się przeradzać w trwałe marzenie.
Marcin ułożył sobie historię matki i snuł ją podczas harcerskich marszówczy samotnych spacerów.
Nie opowiadał tej historii nikomu, nawet księdzu Wionczkowi.
Czuł, że gdyby ją komuś powtórzył, albo by z niego kpiono, albo by mu wytłumaczono, że są to tylko nieprawdopodobne rojenia.
Oczywiście, że to były rojenia, w które naprawdę nie wierzył.
A jednak dobrze było rozmyślać o kobiecie, którą był jej matką.
Cicho wszedł do pokoju.
Stół, krzesła, wszystkie sprzęty
założone były świeżo uprasowaną bielizną.
Charakterystyczna woń przypieczonego żelazkiem płótna unosiła się w powietrzu.
Ciotka zgarbiona układała bieliznę w koszu.
Usłyszawszy jego kroki, wyprostowała się powoli.
Przebiegła się do tyłu.
Wierzchem dłoni pomasaowała plecy.
Może co pomogę?
zapytał.
Nie potrzeba, dam sobie radę rzuciła opryskliwie.
Bierz się do obiadu.
Ciocia już jadła?
Zjem później.
To i ja także zjem później.
Nie jestem głodny.
Poczuł na sobie jej przenikliwy wzrok.
Coś ci wszkoleń poszło?
Nie.
Dlaczego?
Wszystko dobrze.
Czy to bielizna doktora

Kulika?
Tak.
21.

Mogę mu odnieść.

Mam dziś mało lekcji.

Nietrzeba.

Powiedział, że sam zajędzie.

Lepiej powiedz od razu, co się stało.

Nic się nie stało.

Nie opowiadaj.

Mnienię oszukasz.

Dostałeś dwójkę?

Miałeś jakiś kłopot?

Podeszła do niego szybkim krokiem.

Chciała zarzucić mu oczy, ale poczuła jego oddech, skrzywiła się i cofnęła.

Palisz?

rzuciła z wyrzutem.

Spuścił głowę.

Słabe są twoje przyrzeczenia powiedziała.

Miałeś nie palić.

Mówiłeś, że zrobiłeś takie postanowienie, prawda?

A potem byleco i zapominasz o wszystkim.

Wrócił do układania bielizny w koszu.

Po chwili zapytał innym tonem, jakby w sprawie papierosów nie było już nic do powiedzenia.

Więc co się stało?

To nie o szkołę chodzi.

bąknął.

A o co?

Szawelska zabrała mi Bobika.

Jak to: zabrała?

No, zabrała.

Inne szczeniaki zdechły, został tylko Bobik.

Pani Ziemska powiedziała, że obiecała także psa Szawelskiej, więc trzeba, abyśmy się pogodzili, kto go weźmie.

Albo możemy go wziąć do spółki.

Ale ja spółki z Szawelską nie chcę.

Dlaczego?

Bo Szawelska taka.

Ziemska dała mi psa, a teraz odbiera.

A pani Kamińska, zamiast rozsądzić sprawiedliwie, powiedziała, że jestem chłopcem, to muszę stąpić Szawelskiej, bo ona dziewczyna.

Ciotka zdawała się namyślać nad tym, co usłyszała.

Powolnym ruchem zakładała za uszy opadające kosmyki włosów.

Może to i lepiej, że się tak stało, powiedziała.

Strasznici się chciało tego psa, więc się zgodziłam.

Ale byłby nim kłopot.

Nie byłoby żadnego zapewnienia.

Sam bym wszystko przy nim robił.

To się tak mówi.

Pies by nabrudził na schodach i mielibyśmy przykrości.

I trzeba by mu mleka.

W oczach Marcina błysnęła rozpacz.

Ciocia się już zgodziła.

-

^ Zgodziłam się.

No i ona psa mi dała.

A teraz zabiera.

Ato mój pies.

Jeszcze nie był twój.

- ;

22

Mój!

Pies wie, dokogonależy.

Nie miała prawa mi go odbierać.

A Kamińska też.

Chce się przypodobać Szawel-

skiemu.

Ciotka popatrzyła na Marcina uważnie.

Skąd ci to przyszło do głowy?

Bo tak jest!

Gniew popędzał słowa, Marcin mówił coraz szybciej.

Uważają go za ważniaka, bo gazety o nim piszą.

I w radio gadają.

Przerwała mu machnięciem ręki.

E, opowiadasz.

O Szawelskim ludzie mówią, że porządnycząłowiek i pomaga innym.

Jakby był taki, to by i Anka była inna.

Już przestań.

Gadasz i gadasz, a doktor Kulik lada chwila może przyjechać.

Weź się do obiadu.

Wszystko masz w piecyku.

Marcin tak się rozpędził, że trudno mu się było zatrzymać.

Ale znał ciotkę i wiedział, że kiedy się spieszy, o niczym niechce słuchać.

Przełknął ślinę i sięgnął dopiecyka.

Jadł już, kiedy ciotka, nie odrywając się od roboty, zaczęła mówić:

Przed wojną zawsze był nas pies w domu.

Najwięcej opiekował się nim Władek.

Karmił, wyprowadzał na spacer, uczył różnych sztuk.

Ostatni nazywał się Łatek.

Nie był rasowy, ale bardzo miły.

Odkąd Władka wzięli, był ciągle smutny.

Często wył, nie chciał jeść.

Zdechł akurat przed samym powstaniem.

Jego szczęście westchnęła.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Marcin pobiegł otworzyć.

To był doktor Kulik.

Jak się masz, Marcinie.

Bielizna gotowa?

Ciocia już kończy składać.

Poproś pana doktora do pokoju!

zawołała ciotka.

Dziękuję pani, ale nie wejdę.
Bardzo się spieszę.
A jaktam pani ręce?
Nie warto mówić.
Mówić może nie warto, ale warto zobaczyć.
Proszęprzystać do mniedo ambulatorium.
Chciałbym także posłuchać serca.
Za dużo pani pracuje, za dużo.
Zwrócił siędoMarcina: Pomożesz mi znieść kosz?
Już się robi.
Gdy wstawili kosz do Wartburga, Marcin powiedział:
Widziałem dziś fajnego Mercedesa.
Z niemieckimi numerami.
Ma zegar do dwustu.
Mercedesy dobre wozy.
A wiesz, że i ja go widziałem.
Stał przed Radą Narodową.
Jechała wnim strasznie ładna pani.
Taka jakaś.
M.

Co ty, Marcin, już się na ładne kobiety oglądasz?
Poczekaj, jeszcze masz czas śmiejąc się pogroził mu palcem.
Lepiej wiesz co?
Zabierz się ze mną w niedzielę na jezioro.
Powiosłujemy, popatrzymy, czy nie ma rybek.
Chcesz?

No!

W takim razie wpadnij do mnie w sobotę.
Umówimy się.
I koniecznie powiedz ciotce, aby przysłała do ambulatorium.
Powinna mniej pracować.
I dobrze by było, aby pojechała gdzieś na kurację.
Uważaj na nią.

Klepnął Marcina po ramieniu i odjechał.
Marcin patrzył chwilę za błękitno-kremowym wozem.
Potem wrócił na górę.

Lalki siedziały rzędem na kanapie i patrzyły na Ankę wypukłymi oczami.
Rudowłosa, piegowata Pankrac ostatni dzień stryja Stefana znajdował się na końcu szeregu.
Anka leżała na brzuchu na dywanie i miała przed sobą otwartą książkę, radio i talerzyk z kawałkami domowego tortu.

Copewien czas podnosiła głowę i spoglądała na galerię swych dzieci.

Kiedy przed paru dniami stryj Stefan przyniósł jej Pankraca, ojciec powiedział:
Co ty jej znowu przywiozłeś?

Daj spokój, ma ich tyle.

A poza tym za staraj się na lalki.

Dorasta tak szybko, że niedługo trzeba jej będzie szukać żywego chłopca.

Ale Anka przyjęła entuzjastycznie radosa.

'Rzuciła się stryjowi na szyję, a potem, trzymając przytulonego do piersi Pankraca, rzekła:

Bardzo stryjkowi dziękuję, bardzo.

Musi mi tylko stryjek powiedzieć, gdzie go stryjek kupił.

Bo ja chcę sobie zawsze móc wyobrazić, gdzie jest ten sklep i taulica.

A tatek tylko opowiada.

Nie potrzebuję żywych chłopaków.

Mamichw szkolecała kupę, jeden głupszy od drugiego.

Wcale się nie czuła duża.

Lubiła mieć lalki koło siebie, ubierać, przebierać, przemawiać do nich.

Gdziekolwiek wyjeżdżała, one musiały z nią jechać.

Lalki i otwarty aparat radiowy musiały być przy niej, gdy siadała do lekcji.

Ten aparat, którego ani na chwilę nie wyłączała, doprowadzał do rozpacz ojca.

Jak ty możesz się uczyć w tym hałasie?

mówił.

Przecież niemożna jednocześnie myśleć i słuchać.

24

Anka wzruszała ramionami.

Dlaczego, tatusiu?

Ja mogę.

Mnie to nie przeszkadza.

Daj jej spokój wtrącała się matka.

Widać jej naprawę radio nie przeszkadza, skoro ma dobre stopnie.

Ance grający przed nosem aparat rzeczywiście nie przeszkadzał.
Często nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co słyszy.
Ale czuła się źle, jeżeli w pokoju nierozlegał się głos lub muzyka.
Było jakby znak obecności kogoś, kto podobnie jak siedzące lalki był całkowicie podległy woli Anki.
Wiedziała, że jeśli zechce, odstawi lalki na szafę lub zmusi radiodomilczenia.
Teraz z aparatu sączyła się cicha muzyka.
Kiedy Anka wróciła ze szkoły, matka powiedziała:
Weź się zaraz, Aniu, do lekcji.
Wieczorem przyjdą do nasna brydża państwo Kołodziejczykowie i będę zajęta.
Nie mogłabym ci pomóc, gdybyś czegoś ode mnie chciała.
Ale Anka nie zadrżała nawet doteczki Zresztą prawie nigdy nie szukała pomocy u matki.
Jeżeli jej potrzebowała, zwracała się do ojca.
Ojciec lepiej tłumaczył, i łatwiej się z nim rozmawiało.
Ale dziś, wiedziała, nie czekały ją żadne trudności.
Zamiast więc wziąć się do lekcji, urządziła generalny przegląd lalek.
Wszystkie były prezentami siostry Stefana.
Zdejmowała je z półki i sadzała na kanapie.
Oglądała każdą krytycznym okiem.
Jasnowłosa Nicole pochodziła z Paryża.
Stryj na jej prośbę opowiadał, gdzie którą lalkę kupił, a Anka mrugając oczy wyobrażała sobie sklepy i ulice nieznanymi miastami.
Nicole kupionabyła w sklepiku na tyłach kościoła Notre-Damede Lorette.
Stryj mieszkał w pobliżu, w hoteliku na rue Maubeuge, i często siadał do metra pod kościołem.
Lalkę zobaczył na wystawie.
Nicole przyjechała wspaniale wyposażona w niezliczoną ilość sukienek, płaszczyków i pantofelków.
Miś Pietraś i czarnowłosa Sylwia pochodzili z Rzymu.
"Jest taki sklep na rogu via Nationale i jednej z jej przecznic opowiadał stryj.
Kilka wystaw i szklana szafka, oświetlona nawet w nocy.
Mieszkałem jak zawsze na via Palermo, więc nie by-;
to dnia, abym nie przechodził obok sklepu, bo zwykle wędrowałem pieszo do piazza Yenezia.
" "Niczego ci tak nie zazdroścę jak Rzymu wtrącił się Szawelski.
Za żadnym krajem tak nie tęsknię.
" "Teraz na pewno będziesz mógł pojechać" mówił stryj.
"Może się uda.
Ale ciągle coś nowego, i ten nieustanny wyścig z czasem.
" "Jak tatek pojedzie do Rzymu powiedziała Anka musi mnie ze sobą zabrać.
Wtedy pojedziemy do tego sklepu.
"

Greta była kupiona na wiedeńskim Graben, a Brenda na Gloucester Road w Londynie. Kiedy Anka wybrała Brendzie imię, stryj rzekł: "Nie powinna się nazywać Brenda, ale Marysia.

Wokół Gloucester Road mieszkają sami Polacy".

Anka jednak była zdania, że lalka powinna nosić imię stosowne do miasta, z którego została przywieziona.

Dwa śliczne zwierzątka: słonik i pudel, przyjechały z wielkiego domu towarowego na frankfurckiej Zeil.

Miały wpiętą w ucho żółtą wstążeczkę na znak, że pochodzą ze słynnej pracowni Margarety Steiff kobiety, która przykuta do łóżka nieuleczalną chorobą tworzyła z myślą o dzieciach artystyczne modeliki, będące początkiem znanej na całym świecie produkcji.

Amerykańska chuda lalka Skipper Baby kupiona została na najwyższym piętrze brukselskiego domu towarowego Au Bon Marche.

"Mieszkałem naprzeciwko, w hotelu Siri opowiadał stryj więc oczywiście najpierw zaszedłem do Bon Marche.

Dobrze, że takie lalki przywozi się z zagranicy inie można ich u nas Łupić, bo to jest jeden wielki podstęp.

Kupujesz laleczkę o kształtach dorosłej kobiety i aż się dziwisz, że jest taka tania.

Ale kiedy już ją kupiłeś, okazuje się, że dla Skipper potrzebne są sukienki.

A tych sukienek jest chyba ze sto.

Czego tam nie ma?

Suknie balowe i ubrania sportowe, futra i zamsze.

Możesz wydać całą dietę, a jeszcze wszystkiego nie kupisz.

A gdybyś okazał się bogaczem i wszystko to kupił, uśmiechnięta sprzedawczyni powie ci, że w sklepie jest również figurka chłopca.

Bo przecież Skipper nie może żyć bez boy-frienda.

A ten boy-friend ma także stoubrań, zmundurem żołnierza piechoty morskiej włącznie.

Więc możesz kupować kupować, i zawsze będzie coś nowego do nabycia, bo wytwórcy Skipperanie przestają wymyślać nowych dodatków.

I choćbyś był milionerem, i kupił całą tę wyprawę, załamiesz ręce, gdy ci sklep zaoferuje przyjaciółkę Skipper z dodatkiem stu toalet.

"Bój się Boga, po coś dał się w to wciągnąć!

" wykrzykną do ciebie.

Anka nic nie powiedziała, ale postanowiła sobie, że poprosi przy okazji stryja, aby przywiózł boy-frienda dla Skipper.

Dokonując przeglądu, Anka zdjęła z Pankraca kuszą kurteczkę, w której został przywieziony.

"Kupiłem go na Kalverstraat opowiadał stryj Stefan.

To tak mała, wąska uliczka, równoległa do Rokin, głównej ulicy Amsterdamu.

Miałem niedaleko, gdyż mieszkałem z tyłuza Giełdą.

Znalazłem się na niej kiedyś wieczorem i aż oniemiałem.

Prawdziwa ulica cudów.

Sklep przy sklepie, wystawa przy wystawie.

Przy samym wylocie na Damstraat mały

26

sklepik.

Ale jak wam mam mówić o Amsterdamie, kiedy takiego drugiego miasta nie ma na świecie?

"

Zdjąwszy Pankraca kurteczkę, Anka przekonała się, że holenderski rudas pochodzi w rzeczywistości z Hong-Kongu.

Czy nie należałoby w takim razie zmienić imienia na jakieś brzmiące po chińsku? zastanowiła się.

Ale odrzuciła zaraz tę wątpliwość.

Pankrac to nie było także imię holenderskie.

Po prostu nazwała go Pankracem, gdyż jego czerwone włosy przypominały sierść Pankracego, pięknego setera oglądanego na wystawie psów w Warszawie, należącego do jej ulubionej śpiewaczki, Aliny Bolechowskiej.

Zamiast dawnej kurteczki Anka włożyła Pankracowi jednozwdzianek Nicole.

Pasowało jak ulał.

Anka otworzyła książkę.

Ale jakoś nie chciało się jej czytać.

Raz po raz zerkała na lalki.

W końcu odłożyła książkę.

Z kąta pokoju wydobył koszyk, w którym złożone były suknie Nicole.

Bez wahania przełożyła beczennedzieła, zarówno przywiezione z Paryża, jak i uszyte przez matkę i ciotki do pudełka.

Koszyk postawiła na środku pokoju i przyglądała mu się uważnie.

"Doskonale zdecydowała.

Nada się sam raz dla Ramzesa.

"Tak miał się nazywać piesek od pani Ziemskiej.

"Dlaczego Ramzes, Aniu?

" pytała matka.

"No, przecież mamachyba wie, że jamniki pochodzą z Egiptu.

Dlatego lubią siedzieć przy piecu.

"

Po chwili namysłu zabrała także poduszkę łóżeczka, na którym sypiały zgodnie Sylwia z Gretą.

Piesek był bardzo mały, ale pani Ziemska zapewniała, że będzie rósł szybko.

Tymczasem rosły mu tylko uszy.

Niedawno jeszcze maleńkie, ledwo sterczące przy pomarszczonym pysku, rozrastały się w wielkie płachty.

"Niedługo będzie się o nie potykał" mówiła pani Ziemska.

Anka wróciła do książki, ale bardzo szybko znowu ją odłożyła.

Musiła się zastanowić, gdzie będzie stał koszyk z szczeniakiem.

Powinien stać blisko tapczanu, myślała, aby można było otulić Ramzesa, kiedy się odkryje.

To jej przypomniało, że nie ma dla pieska kołderki.

Nie zastanawiając się dłużej, zabrała brutalnie kołderkę z łóżeczka Nicole.

Ogromnie się cieszyła z Ramzesa.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła wziąć go do domu.

Zawsze chciała mieć pieska, ale matka sprzeciwiała się temu.

"Dajcie mi spokój" z psem odpowiadała na namowy Anki i życzliwe przytakiwanie męża.

Kiedy pies w domu, człowiek staje się niewolnikiem.

Ani gdzieś pojechać, ani pójść zobaczyć się z ludźmi.

I tak żyjemy jak pustelnicy.

A pozatym ciągle je 27.

szcze mam w pamięci tamten zły czas.

Dajcie spokój.

Teraz zachwyty nad psem, a potem zepchnęlibyście wszystko namnie.

" "Wiesz dobrze powiedziała urażona Anka że jak się doczegoś zobowiązę, nigdy tego potem na innych nie spycham.

Tatek także zaopiekuje się psem, prawda?

" Pani Sza, welska wzruszała z irytacją ramionami.

"Ojciec?

Żartujesz, moja droga.

Przecież jak się weźmie do tych swoich rysunków, ani go oderwać.

Potrąciliśmy najomości przez tę zwariowaną pracę.

Nawet słuchać nie chcę psa!

" Ale podczas ostatniej wakacji udało się zaskoczyć matkę, gdy była w dobrym humorze wobec projektu wyjazdu do Bułgarii.

"Koniecznie chcecie tego psa?

powiedziała.

No, dobrze, zgadzam się.

Oczywiście, jeżeli będziecie wszystko przy nim robili.

" Zgoda była, ale mogła być w każdej chwili cofnięta.

Trzeba było jak najszybciej sprowadzić pieska do domu.

Anka jeszcze raz wzięła książkę, ale teraz nie czytała długo.

Wstała, uchyliła drzwi.

Przez chwilę nasłuchiwała, a potem wysunęła się cicho z pokoju.

Skradała się na palcach.

Wiedziała, że matka nie byłaby jej pozwoliła iść do ojca, który od paru dni pracował największym natężeniem nad jakimś projektem.

Nie wychodził prawie z pokoju, nie przyjmował telefonów.

Gdy zjawiał się na obiedzie lub kolacji, miał w oczach obłąd niekończących się rachunków.

Anka jednak słyszała, jak poprzedniego dnia przy obiedzie matka powiedziała do ojca:

"Przypominam ci, Władku, że jutro przychodzą goście.

Mam nadzieję, że słyszysz, co mówię do ciebie?

". "Ależ tak" zapewnił.

"Więc pamiętaj, że musisz do nich wyjść.

A przedtem musisz zoczyścić.

" "Dobrze, dobrze zgodził się.

Już jestem blisko końca.

Abyście mi tylko jeszcze jutro rano nie przeszkadzały.

" Może dlatego matka, gdy Anka wróciła ze szkoły, przywitała ją słowami: "Idź do siebie i bierz się do lekcji.

Nie zapomnij: ojca nie ma dla nikogo.

Musi do obiadu skończyć robotę".

Mimo tych ostrzeżeń Anka podeszła do drzwi ojcowskiego gabinetu.

Ostrożnie nacisnęła klamkę.

Inżynier Szawelski w starych spodniach i równie starym swetrze stał przed rozpiętym nadesce rysunkiem w suwakiem w ręku, z papierosem w kąciku ust.

Nawet nie usłyszał otwierających się drzwi.

Anka weszła i zatrzymała się nieruchomo.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła na ojca.

Miała uczucie, że odkryła jego tajemnicę.

W pokoju było wprost ciemno oddymu.
Zpopielniczeksterczały stopy niedopałków.
Ojciec coś obliczał półgłosem.
Potem szybkim ruchem, używając suwaka jako linijki, po28
1
ciągnął jakąskreskę na rysunku.
Cofnął się i przechyliwszy głowę patrzył nato, co zrobił.
Twarz mu się zaostrzyła, wyrażała wielkie napięcie, prawie ból.
Ale trwało to tylko moment.
Nagle oczymężczyznybłysnęły.
Zdusił papierosa w popielniczce.
Bolesny grymas ustąpił miejsca wyrazowi podniecenia.
Jego twarz przypominała w tej chwili twarz chłopcaprzyglądającego się
pasjonującymzawodom.
Sięgnął pogumę, prędko startł to, co narysował.
Znowu wykreśliłinnąlinię.
Mamrotał pod nosem: "
jeżeli obróćę sto osiemdziesiąt,to karb wsunie się tutaj.
" Uderzył ołówkiemw rysunek.
Cienko zastrugany grafit pękł.
Szawelski cicho zaklął.
Sięgnąłpoinny ołówek.
Półgłosem powtarzał swoją kalkulację.
Z wolna zmarszczka międzybrwiami zaczęła się wygładzać.
Sapnął głośno, jakby z ulgą.
Odstąpił od rysownicy,patrzył z odległości kilku kroków.
Odruchowo sięgnął do bocznej kieszenipapierośnicę.
Teraz zobaczył córkę.
Anka?
Po coś przyszła?
Dawno tu jesteś?
Nie przeszkadzam ci?
Jużnie.
Nareszcie mam rozwiązanie.
Uff, mogęodetchnąć.
Ale poczekaj: czy się coś może stało?
Nicsię nie stało.
To po coś przyszła?
Miałyściami nie przeszkadzać.
Pomyślałam,że już na pewno skończyłeś.
A ja chciałamz tobą koniecznie porozmawiać.
Nie mogłaś z tym poczekać?
Niedługo obiad.
A po obiedzie mama cię Weźmie do galopu.
Każeci się kąpać, golić.
Potem przyjdą goście.
Nie będziesz miał ani chwili czasu, aby pogadać.
Cośważnego?
Z tobą rozmawiam tylko o rzeczach ważnych.
Objął ręką jej ramiona.

Jutro byłoby już za późno, co?

Może nie byłoby za późno, ale ja nie umiem czekać.

Przechyliła filuternie głowę.

Tak jak ty.

Mamamówi, że jak ci przyjdzie nowy pomysł do głowy, to nawet w nocy zrywasz się i pędzisz do biurka.

E, przesada mruknał.

Podszedł do fotela i usiadł nanim.

Przyciągnął córkę: usiadła obok niego na poręczu.

Jego dłoń znowu automatycznym ruchem klepnęła po bocznej kieszeni w poszukiwaniu papierosnicy.

Anka zapytała:

A nie za dużo, tatek, tego palenia?

Który to dzisiaj?

Zaśmiał się.

Nie liczyłem.

29.

Słyszałam, jak doktor Kulik mówił, że za dużo palisz.

A papierosy wywołują raka płuc.

Tak mówi, bo sam nie pali.

Gdyby wierzyć wszystkiemu, co plotą doktorzy.

y

Będę o tym pamiętała.

Kiedy miałam grypę i zapisali' mi to świńskie lekarstwo, a ja nie chciałam brać, mówiłeś, że skoro doktor zapisał, koniecznie trzeba wziąć.

To co innego.

Byłaś chora.

A lekarstwo nie było żadnym świństwem.

-

O papierosach sam mówiłeś kiedyś, że trzeba takie świństwo palić.

Ach, ty dialektyczko!

zaśmiał się.

Dobrze, nie będę palił.

Włożył powrotem wyjętego papierosa do papierośnicy.

I wiesz co, otwórz okno.

Tu chyba strasznie nadymione.

Kiedy usiadła z powrotem na poręczy fotela, rzekł:

A teraz mów prędko, z czym przyszłaś.

Prędko to nie można.

Dlaczego?

Muszę się oswoić.

To zaczynaj.

Dobrze, do najważniejszego, ale to jeszcze nie koniec.

Chcesz wiedzieć, o co chodzi?

Powiedz, tatek.

Więc widzisz: postanowiłem znaleźć sposób nasmarowania łożysk gazem.

Smarowanie gazem?

No, tak.

Słuchaj, nie przeszkadzaj.

To bardzo ważne.

Przy smarowaniu gazem nie tylko zmniejszymy współczynnik tarcia, ale jeszcze możemy zwiększyć ilość obrotów.

Ktowie, czyby się nie dało dociągnąć do pięćdziesięciu tysięcy.

A jakbyśmy do tego doszli, można by zastosować także doturbin trakcyjnych.

To byłaby kolosalna oszczędność.

Rozumiesz?

Ani odrobinę, tatek.

Ale mów dalej.

Machnął ręką.

Po co mam mówić, skoro nic nie rozumiesz?

Obawiam się, że inżynier z ciebie nie będzie.

Powiedz, myślałaś, kim chciałybyś być?

O tak.

Nadeła usta, a pochwili wypuściła z nich powietrze.

Ale się nie śmiejąc podniosła ostrzegawczo palec w górę.

Mówimy przecież poważnie.

Będę śpiewała piosenki.
Bardzo 'interesujące.
Sama czy z zespołem?
30
^
\
Wyśmiewasz się?
Pytam jak najpoważniej.
Owszem, z zespołem.
Czterech albo pięciu chłopców.
Almusiałabym znaleźć mądrych.
Bo ci, których znam, do niczego się nie nadają.
A nie mógłby to być zespół dziewczęcy?
Chybanie.
Z nimi się nie układa.
Zresztą i dziewczynysą także do niczego.
W strasznym świecie żyjemy.
To kogo weźmiesz do zespołu?
Pankraca?
Nie będę ci nic mówiła.
Od razu wiedziałam, że kpisz.
Broń Boże.
Opowiadaj.
Nie, nie będę mówiła.
To ty powiedz mi, co to znaczy, gdy się mówi, że ludzie wierzą.
No, są ludzie, którzy wierzą, że jest Bóg i kieruje sprawami świata.
Ty wto nie wierzysz?
Nie.
Powiedziałeś przed chwilą: broń Boże.
To takie tylko wyrażenie.
I dlatego, że ty nie wierzysz, ja nie chodzę na lekcję religii?
Uważaliśmy mamą, że skoro nie wierzymy, nie ma potrzeby, abyś chodziła.
A gdybym chciała wierzyć?
Przyjdzie czas, że dorośniesz i zadecydujesz: chcesz wierzyć, czy nie chcesz.
A ty wolisz takich, co wierzą, czy takich, co nie wierzą?
Szawelski sięgnął znowu do papierośnicy, ale spojrzał na Ankę i wsunął ją z powrotem do kieszeni.
Skoro sam nie wierzę, wolę tych, co nie wierzą.
A co jest lepiej: wierzyć czy niewierzyć?
Ja uważam, że lepiej jest nie wierzyć.
Człowiek, który nie wierzy, bierze za swoje życie odpowiedzialność.
Nie składaj na tych, którzy mu mówią, jak ma postępować.
To tym, co wierzą, ktoś mówi?
Tak.
Księża.
Kościół.
Oni z kolei mówią, że tłumaczą wolę Boga.
A Bóg każe postępować dobrze?
Zasady każdej religii są bardzo piękne.
Tylko że ci, co powołują się na wolę Boga, bardzo często wcale się tych zasad nie trzymają.

To znaczy, że oszukują Boga?

Tak.

Jeżeli naturalnie przyjmiemy, że Bóg istnieje.

31.

Oczywiście.

I tak się dzieje zawsze?

Nie, nie zawsze.

Kiedy byłem w obozie, siedział ze mną pewien człowiek, który wierzył.
Jego życie było właśnie takie, jakie powinno być.

On nie oszukiwał.

Szawelski wrócił głowę ku oknu i przez chwilę patrzył w szare niebo.

To był nadzwyczajny człowiek dorzucił.

Myślę, że jeżeli wyżyłem, to dzięki niemu.

Co się z nim stało?

Zabiligo.

Widzisz ten medalik?

lekką blaszkę leżącą na malowanym spodeczku razem ze spinaczami.

Dostałem go od niego.

Prosił, abym go zachował i zawsze miał przy sobie.

Anka wzięła do ręki medalik.

Była na nim postać Matki Bożej.

A ty się do tego nie modlisz?

zapytała.

Nie, ja się nie modlę.

Zresztą katoliczynie modlą się także do medalika.

On ma im tylko przypominać o Bogu.

A mnie przypomina o tamtym.

Pokiwała głową zezrozumieniem.

Nagle zapytała:

A ty jesteś pewny, że Boga nie ma?

Pewnym można być tylko rzeczy sprawdzonych naukowo.

A jak sprawdzić, że Bóg istnieje?

Ale że Bóg nie istnieje, także nie można sprawdzić?

No nie.

Skąd ci te sprawy przyszły do głowy, Anka?

Myślę.

Muszę je przecież przemyśleć, no nie?

Oczywiście.

Każdy je powinien przemyśleć.

Przeskoczyła na inny temat:

Widziałam dziś Ramzesa.

Pani Ziemska powiedziała, że za dwa tygodnie będzie można go zabrać.

Nie bierz z góry, bo będzie z tym kłopot.

A wiesz, jak mam się trudno było dogadynamówić.

Jeszcze gotowa się rozmyślić.

Właśnie dlatego lepiej prędko.

Jak Ramzes będzie w domu, klamka zapadła.

Ale musisz na niego uważać.

Będę uważała.

Ty także, tatek.

Obiecałeś.

Wiesz, tamte inne szczeniaki pozdychały.

Kaśka je przygniotła.

Tylkotwój ocalał?
Ten jedenwyżył.
Miał być dla Polickiego.
Policki,to ten mały blondynek, którego wychowuje ciotka?
Coś mi o nim ostatnio mówiono.
Jakiś papier wpłynąłw jego sprawie z prezydium.
Papier?
O co chodzi?
Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć.
Jakaś skomplikowana historia.
Przypomnij sobie.
Anka, nie męcz ojca.
No, dobrze, więc ten pies miał byćdla Polickiego, a ty go bierzesz?
Pani Ziemska powiedziała,że ponieważ obiecała namobojgu, a został tylko jeden,
powinniśmy się pogodzić, którez nas go weźmie, albo możemy go wziąć do spółki.
Ale Polickinie chciał w ogóle gadać.
Awanturował się, że to jego pies.
A może miałprzypadkiemrację?
Widzisz, może trochę i miał.
Ale po pierwsze wyliczała na palcach jakbyśmy teraz psa nie wzięli, mama byna pewno na
wiosnę nie dała się namówić.
Po drugie Polickijest bardzo biedny imiałby na pewno kłopot zwykarmieniem.
Notak.
Ale po pierwsze: Polickiego argument o mamienic nie obchodzi, a po drugie: skoro miałwziąć
psa,widaćmimoubóstwa dałby radę goutrzymać.
Gdyby zachowywałaś się inaczej.
Nie będę ustępowałałłopakowi, którysię awanturuje.
Jeśli chłopak ma rację.
Spojrzała na ojca kpiąco.
Ej, tatek.
Mówisz tak,bo sam jesteś chłopakiem.
Jestem, nie jestem, ludzie powinni żyć ze sobą zgodniei wzajemnie sobie ustępować.
Ramzesowi będzie lepiej u mnie.
Nie chodzi w tejchwili o Ramzesa, ale o zasadę.
Jeżeli chodzi o zasadę, to ty także nie lubisz ustępować.
Sam opowiadałeś wiele razy,jakiś wyklócasz naposiedzeniach rady ina wszystkich
konferencjach.
I jak mówięsorozmaitych łobuzach, którzy powinni odejść.
Tamtoto były ważne sprawy.
A Ramzes to nieważny?
Poczuł się urażony.
Spojrzał na zegarek.
Może ważny,ale od godziny mi o nimopowiadasz, a dotąd nie powiedziałaś, z
jakąsprawą przyszyłaś.
Przecież chybanieoderwałaś mnie od pracy, by mówić o psie?
Wolnym ruchem przełożyła nogi nadrugą stronę poręczyizsunęła się na ziemię.
E, krzyczysz.
powiedziała.
Kiedy przyszłam, niepracowałeś.
Pracuję cały czas.

To ja pójdę.
Poczekaj poczuł się zawstydzony swoim wybuchem.
3Marcin.

Nie obrażaj się.
Wiesz, jak lubię z tobą rozmawiać.
Gdyby nieci przekłęci goście.
 Nie narzekaj.
Mamusia ich lubi.
 Nie narzekam.
Ale to jest pilna robota.
Skoro jednak masz coś naprawdę ważnego.
 Kiedy ja nie wiem, czy to naprawdę coś ważnego.
 Więc mów.
 Kiedy się jeszcze nie oswoiłam.
Lepiej kończ, bo mamusia będzie niezadowolona.
 Wolno szła ku drzwiom.
Szawelski wiódł za nią wzrokiem.
Na progu odwróciła się.
 Nie martw się, tatek powiedziała.
Jeszcze ci to kiedyś powiem.
 Pani Policka otworzyła drzwi i cofnęła się gwałtownie nawidok stojącego przed nią
milicjanta.
Odruchowo usiłowała zamknąć drzwi przed nosem gościa, ale milicjant przytrzymał ją nogą.
 Pani Policka?
zapytał.
 Ja. O co chodzi?
 Zaraz się pani dowie.
 Wszedł do przedpokoju, a potem majestatycznie do pokoju.
Skierowała się ku stołowi.
Nie zdjął czapki.
Przesunął do przodu wiszącą naboku torbę, wyjął z niej jakiś papier.
Usiadł, rozłożył papier przed sobą czas dłuższy w milczeniu zagłębiał się w wypisaną na nim
treść, jakby poznawał ją po raz pierwszy.
Policka stała obok stołu, coraz więcej zdenerwowana.
Domyślała się powodu tej wizyty.
Przed paromadniami na targowisku koło starego młyna doszło do awantury.
Pani Policka zatrzymała się przysprzedawczyni, zaciągającej zwileńską chłopcę, która
przyniosła na sprzedaż bryłę pięknego, świeżego masła.
Masło pachniało apetycznie, ale bryła była dość duża i pani Policka nie miała pieniędzy, aby ją
całą kupić.
Nawinęła się znajoma, z którą postanowiły kupić masło do spółki.
Kiedy jednak przyszło do podziału okazało się, że piękne wiejskie masło stanowiło tylko
skórkę, pod którą kryły się złoże margaryny.
Rozgniewane nabywczynie rzuciły się na poszukiwanie oszustki.
Nie od razu ją znalazły, gdyż kobieta skryła się przezornie między wozami.
Zdołały ją jednak wydobyć z ukrycia.
Nastąpiła głośna wymiana zdań.
Zjawił się milicjant.
Ale pani Policka w porywie niepohamowa

negogniewu nie tylko objaśniła go, co myśli o oszustce sprzedającej margarynę
zamiast masła, ale również o tym, co myśli o samej margarynie.

Tą opinią milicjant poczuł się osobiście dotknięty i zamiast spisać protokół wyłącznie przeciwko fałszerce, objął nim także ciotkę Marcina.

Niewątpliwie przysłała chwila wytłumaczenia się z przywczego sądu.

Pani ma na wychowaniuchłopca?

zapytał milicjant podnosząc wreszcie oczy z nad papieru.

A mam odpowiedziała sucho.

Ale w tej chwili pojawiła się w głowie pani Polickiej przerażająca myśl i ogarnęła ją niepokoju o wiele większy niż ten, który czuła, przypominając sobie wymianę zdań na targu.

Jezus Maryja!

krzyknęła.

Czy mu się coś stało?

Gadaj pan!

Przejechali go?

Jezus Maryja!

No, gadaj pan, nie siedź jak drąg.

Milicjant może dotknięty porównaniem, nie spieszył się z odpowiedzią.

Patrzył na Policką, jasnymi, zmęczonymi oczami.

Mówże pan, na litość Boską!

powtarzała kobieta.

Chwyciła milicjanta za ramię.

Nie szarp się, pani.

Nic mu się nie stało odpowiedział w końcu.

Odsapnęła, jakby się pozbyła dławiącego ciężaru.

Chwała Bogu.

No, to co chodzi?

zapytała tonem spokojniejszym.

Zbroił co?

Jeśli zbroił, to na pewno nic wielkiego.

On nie żaden chuligan.

Milicjant potarł nos wierzchem dłoni.

Może i nie zbroił powiedział.

Niech pani siada wskazał jej krzesło.

Muszę pani postawić kilka pytań.

A pani masz odpowiadać szczerą prawdę.

Bo kto składa fałszywe zeznania wobec władz, podlega karze.

wymamrotał prędko i niewyraźnie odpowiednią formułę.

Pani Policka coś chciała powiedzieć, ale się wporę zatrzymała.

Przysiadła bokiem na krzesło po drugiej stronie stołu.

Milicjant nie spieszył się zestawianiem zapowiedzianych pytań.

Znowu pochylił się nad leżącym przed nim papierem.

Zdawał się wczytywać bez końca w krótki, wypisany na maszynie tekst.

Raz po raz pocierał nos wierzchem wskazującego palca.

Ten chłopiec, to kimon jest dla pani?

zapytał na koniec.

Kim ma być?

Mój siostrzeniec.

A czyje to dziecko?

Gdzie jego rodzice?

Policka czas jakiś milczała, tylko przesuwiała po stole palcem omotanym w róg fartucha.

Rodzice nie żyją mruknęła.

Pani jest Polickaz męża?

Z męża.

Aż domu Dąbrowska?

Tak.

A co pan tak patrzysz?

Spod daszka spoglądały na nią jasne oczy, wynurzone z zaczerwienionych powiek.

To ten chłopiec jest niby z rodziny panimęża, co?

Tak.

Pani mąż nie żyje?

Nie.

Umarł jeszcze przed wojną.

A pani miałaś swoje dzieci?

Co nie miałam mieć?

Wzrok milicjanta spłynął z twarzy kobiety i zaczął spacerować po pokoju.

Obiegł ściany, zatrzymał się na moment na iświętych obrazkach, na świadectwie pierwszej Komunii św.

Marcina, wreszcie na trzech wypłowiałych fotografiach nadłóżkiem.

Nagle milicjant zdjął czapkę.

Położył ją denkiem dodołu.

Był łysawy, czapkazostawiła na skroniach czerwona przęgę.

Twarz pozbawiona ocieniającego ją daszka wydała się Polickiej o wiele mniej groźna niż napoczątkurozmowy.

Rozparł się nieco wygodniej na krześle.

To te?

zapytał wskazując gestem fotografie.

Te. !

Gdzie są?

Nie żyją.

Zabili ich.

W powstaniu.

W Warszawie.

dorzuciła.

Wszystkie?

Nie odpowiedziała, ale jej twarz skurczyła się, a usta zaczęły drżeć.

Przez chwilę kobieta zmagiała się z ogarniającą ją żałością.

Wreszcie szybkim, prawie gniewnym ruchem otarła oczy rogiem fartucha i wyprostowała się na krześle.

Wszystkie powiedziała twardo.

Teraz milicjant milczał chwilę.

Na pewno pochylił się nad swym papierem.

Nie patrząc na nią zapytał:

To mówisz pani, że ten chłopak z rodziny męża?

Z rodziny męża.

Od brata?

wdalszym ciągu nie patrzył na Policką.

Nie.

kuzyna.

Nie wiem dokładnie.

Alenazywał się taksamo jakmój.
To paniś go wychowała?
Odmałego.
Jeszcze niemówił, kiedy go wzięłam.
I cały czas był zpanią?
Cały czas.
Gdzieżeś gopaniwzięła?
W Warszawie?
Skądże?
Z Warszawy to mnie zabrały.
Po powstaniu.
Na roboty.
Aż tych robót toś pani tu przyjechała?
Tu. Do Warszawy nie było co wracać.
Wszystko zburzone.
O dzieciach dowiedziałamsięod razu.
Przez chwilę ciężko przełykała ślinę.
Tu PURskierował, to tu zostałam.
Z chłopakiem?
No tak.
Policka powiedziała to i zaraz szybko położyła dłoń naustach.
Milicjant nie patrzyłnanią.
Bawił siętrzymanymw ręku ołówkiem i wierzchemdłonipocierał raz po razkoniec nosa.
Widzisz pani powiedziałmówiłem, żebyś pani mówiła prawdę.
Jak pani przyjechała tu z dzieckiem, to znaczy, żeśpani przywiozładzieciaka z Niemiec.
No nie?
Kto uwierzy, żeś pani tego kuzyna męża tam w Niemczechznalazła?
w głosie milicjanta zabrzmiał jakby wyrzut.
Zapadło milczenie.
Przerwała je Policka:
Nikt nie uwierzy i będzie miał rację.
On nie jest dzieckiem żadnego kuzyna.
Wymyśliłam całą historię.
O chłopcami chodziło, żeby miał nazwisko.
Lepiej mogłaś pani wymyślić rzekł, drapiąc się ołówkiem za uchem.
Pewno.
Mogłam powiedzieć, że to mojedzieckoi niktby się nie mógł przyczepić.
To czemuś tak pani nie powiedziała?
Czy ja wiem?
Rozmaite się rzeczy działy i matka mogła przeżyć.
Mogła poniego przyjść.
Wolałam mówić, że jestemciotka.
To ona nie umarła?
Jamyśle, że ją wykończyli.
Bo to było tak: Posłali mniedo roboty do Stargradupod Szczecin.
Doroboty szczonek.
Pracowałam do lutego.
Potem nadciągnęli czerwoni i wszyscy zaczęli uciekać.
Popędzili także nas, cośmypracowali.
Próbowałam się zataić i zostać.

Ale bałam się pozbyć polskiego winkla, pan wie?

Takiej szmatki żółtej z fioletową literą, co każdy robotnik musiał nosić na wierzchu.

Powiadali, że taki, co winkiel rzuci, zaraz idzie na rozwałkę.

Ale znowu jak miałam winkiel, to mnie każdy żandarm pędził na zachód.

Odsapnęła, jakby przebiegła duży kawał drogi.

Po małej chwili podjęła:

Zagnały nas nad zatokę.

Zebrała się chmara ludzi.

Niem.

cy z dziećmi i z dobytkiem i Polacy, i inni.

Robotnicy, jeńcy obozów.

Otoczyły nas żandarmy i kazały czekać na prom.

A tymczasem nadleciały samoloty.

Ruskie.

Ludzie podniosły krzyk, bo myślały, że zaczną bombować.

Żandarmy nie pozwoliły się kręcić, to ludzie zaczęły straszyć na Hitlera pomstować.

Nawet Niemcy na niego urągały.

Ale te samoloty nie rzucały bomb.

Pokręciły się i odleciały.

To wtedy te żandarmy zaczęły szukać tych, co najgorzej na Hitlera psioczyły.

Których znalazły, zabierały i gdzieś prowadziły.

Wyglądało, że żona rozstrzelała.

Polaków nie ruszały, bo nie rozumiały, co krzyczeli, ale Niemców zabierały.

A Niemcy ze strachu jeden nad drugim pokazywały.

Mów pani, jak był z dzieckiem milicjant przerażony Polickiej.

Właśnie mówię.

Była tam dziewczyna z dzieckiem na ręku.

Okropnie młoda, prawie jak dziewczynka.

Myślałam, że Niemcy.

Ona też musiała krzyczeć, bo na nią pokazywały.

Żandarm wrzasnął na nią: "Komm", ale ona nie chciała iść.

Pchała się między ludzi.

Tylko, że ludzie odsuwali się od niej, więc żandarmy zaraz ją dopadły.

Wtedy ona krzyknęła po polsku:

"Matko Boska, ratuj!"

"No, to co?"

Miałam jej nie pomóc?

Zwróciła się z tym pytaniem do milicjanta.

Gadaj, pani, dalej rzekł.

Przepchałam się do niej.

Mówię: "W czym ci pomóc?"

"A ona: "Bierz dziecko".

Nie wiedziałam, czy żandarmy pozwolą.

Ale oni tylko zaszargotali i machnęli ręką, żeby mbrala.

To wzięłam.

Miałam nie wziąć?

Polskie dziecko.

Miałozginać?

Dziewczyna krzyknęła: "Opiekuj się nim!"

Nazywa się Marcin".

A ja zawołałam swoje nazwisko.

Ją zabrali, a myśmy siedli na prom.

Tyle ją widziałam.

Odgarnęła włosy, które podczas opowiadania zsunęły się kosmykami na policzki.

Milicjant zapytał:

I nic więcej pani o niej nie wiesz?

Co mogę wiedzieć?

Jak ją zabrali, to pewno rozwalili.

Zapanowała cisza.

Milicjant pochylił głowę iznowu patrzyłw rozłożony papier.

Potem wolno, starannie złożył go we,czworo.

Znowusięgnąłdo torby.

Wyjął z niej blok.

 Nie rozwalili jej rzekł.

Wolno odmierzał słowa, jakbydla wzmożenia efektu.

Żyje.

 Żyje.

powtórzyła mechanicznie.

Zdawała sięnie pojmwować usłyszanych słów.

Dopieropo chwili gwałtownie poruszyła się na krześle, niby terazdopiero obudzona.

Żyje?

Ta dziewczyna?

 Matka chłopca.

 Nie zginęła?

 Przecież mówię, że żyje.

 Policka siedziała zszeroko otwartymi oczami, zastygławbezruchu.

Jej twarz, żółtoszara z natury, przybrała barwękamienia.

Usta poruszały się bezgłośnie.

 Matko święta wymamrotała w końcu.

Zechce zabrać Marcina?

:^

 No, właśnie mruknął.

 Zapanowała cisza.

Tykał budzik, na ulicy ciągnął dudniącysznur ciężarówek.

Policka siedziała skulona, zdasię zmalęła.

Jej ruchliwa twarzzastygła.

Drobne dłonie miała splecionei mocno zaciśnięte.

Milicjant kilka razy podnosił głowę,kierował spojrzenie na kobietę, a potem znowu pochylał się nadrozłożoną białą stroną bloku.

Powoli, powoli życiewracało naskamieniałą twarz.

Pierwsze zaczęły się poruszać wargi.

Oczyutraciły swąszklistość, dłonie rozplotły się i opadły.

Powiedziała cicho:

 Skoro to matka.

 Ale paninie wiesz, skąd onaprzyjechała.

przerwał

 jej.

 Skąd?

zapytała szeptem.

 Z Niemiec.

Ztamtych, zachodnich Niemiec.

Ona tammieszka.

Ma Niemca za męża.

Uważa sięza Niemkę.

Rozumiesz pani?

 Tym razem życie wróciło na twarz Polickiej gwałtownymprzyplywem.

Usta ściągnęły się w pomarszczony dziób, małeoczy błysnęły wojowniczo.

Potrząsnęła opadłymi włosami.

Przerobiła się na Niemrę?
zapytała głosem zduszonym.

Całkiem.

I chce zabrać chłopca?

Przyjechała po niego.

A wy dłoń Polickiej z wyciągniętym palcem, skierowanym wstronę milicjanta, zwinęła się w pięść chcecie, żeby mi jej chłopca oddała?

Polskie dziecko takiej Niemrze?

Wy...

Uderzył dłonią wstół, jakby chcąc w ten sposób powstrzymać potokobrażających słów.

Nic pani nie gadaj!

rzekł surowo.

Znowu potarł palcem po nosie.

Kto chce.

burknął.

Na nowo się nasrożył.

Wyprostował się, obciągnął mundur, włożył na głowę czapkę.

Wyglądał teraz urzędowo, niedostępnie.

Niemra, nie Niemra powiedział prawo musi być.

Nie ma o czym więcej gadać przerwał Polickiej, która chciała coś powie.

dzieć.

Będziemy pisali.

Zamachnął się i okrągłymi literami wypisał u góry strony słowo "Protokół".

Niech napani pokaże dowód osobisty zażądał.

Wiesz szeptał Tomek do Marcina mówiły mi dziewczyny, że Szawelska w przyszłą środę bierze psa.

Odbywała się lekcja fizyki i moment niebył na pewno najlepiej wybrany dla powtarzania również rewelacyjnych wiadomości.

Marcin wybuchnął, prawienie ścisząc głosu:

Bobik jest za mały!

Pewno, że za mały.

Ale ona nudziła Ziemska.

I Ziemska się zgodziła?

Tak gadają.

Uważaj, Tyka patrzy.

Muszę coś wykombinować.

Nie dam ukraść sobie psa.

Policki, Kluk, co za rozmowy?

doleciało od stolika nauczycielskiego.

Chcecie rozmawiać, to proszę tutaj.

O czym była mowa, Kluk?

Naturalnie wiesz.

A Policki?

Tosamo.

Fizyczka mówiła ostro, surowo.

W takim razie proszę wytłumaczyć, co to za maszyna tutaj, na tablicy.

Marcin, gdyby nie był tak wzburzony, dałby sobie może radę z odpowiedzią.

Tomek nie próbował nawet zabierać głosu nie należało do zbyt pilnych uczniów.

Obaj wrócili namiejsza zafasowawszy uwagi w dzienniczkach.

Nie mogli także powrócić do rozmowy, gdyż nauczycielka kazała im usiąść dala od siebie, na dwóch końcach klasy.

Marcin ledwo dotrwał do dzwonka.

Co wymyśliłeś?

pytał Tomek.

Zabiorę psa.

Jak to zrobisz?

Zobaczysz.

Jeszcze muszę pogadać z Edkiem.

Ale zrobię to, żeby niewiadomo co.

Uraza do Szawelskiej ciągle się w nim potęgowała.

Anka codziennie po lekcjach chodziła do pani Ziemskiej, oglądała psa, potem opowiadała o nim przyjaciółkom, te zaś roznosiły informacje po całej klasie.

W ten sposób wieści docierały do Marcina.

Słyszał, że piesek rósł, ale jego uszy rosły jeszcze szybciej i coraz bardziej przypominały uszy słonia.

Włókł je po ziemi, a gdy pił mleko lub zupę, maczały się w spodku i trzeba je było wycierać.

Lubił się bawić.

Ankę już podobno poznawał; najęj widok skoziołkowywał ze swego koszyka i toczył się na spotkanie, zawsze trochę bokiem, jakby jego

:% ?'

łebek, który wciąż wydawał się zbyt duży w stosunku do tułowia, nie nadążał zadrobiącymi nóżkami.

Aby zwrócić na siebie uwagę, szczekał; przysiadł wtedy, nadymała się i podskakując, wydawał krótki, cienki szczek: przy tym najczęściej w czasie podskoku obracał się w bok, czym wydawał się potem niezwykle zdumiony; toczył oczami, jakby starając się zrozumieć, co się z nim stało.

Bawił się z matką, gryząc ją, aż musiała się od niego opędzać lub przygniótłszy mu łapą ucho, trzymała go leżąc obok brzuszkiem do góry.

Marcin miał to sobie wszystko wyobrazić, nieraz przyglądał się zachowaniu szczeniaków.

Marzenie o własnym psietkwiłow nim od lat.

Z tym większą goryczą słuchał tych powiadań i rosła w nim zawziętość na Szawelska.

Do pani Ziemskiej samnie chodził, nie chciał sobie rozkrwawiać serca widokiem Bobika.

Już poprzednio myślał o porwaniu pieska.

Wydawało mu się to rzeczą łatwą.

Wiedział, że pani Ziemska wypuszcza Kaśkę ze szczeniakiem do ogródka, a nawet zostawia ją tam, na dłużej.

Wtedy nietrudno byłoby przeskoczyć niski parkan, złapać Bobika i uciec z nim.

Ale tymczasem zrobiło się chłodno i do ogródka wychodziła tylko Kaśka.

Bobik pozostawał w domu.

Mógł wprawdzie wpaść do mieszkania, korzystając z tego, że pani Ziemska często nie zamykała drzwi na klucz.

Ale to już byłoby przedsięwzięcie o wiele trudniejsze.

Trzeba było wiedzieć, że w danej chwili pani Ziemska jest akurat zajęta nad drugim końcu mieszkania i że Marcin, uciekając, zdąży przebiec niepostrzeżony koło okna.

Kaśka mogła narobić alarmu.

Także Bobik, który, jak opowiadano, znał już Ankę, a na pewno zapomniał Marcina, mógł się rozwrzeszczeć.

Gdy Marcin mówił, że porwie psa nie bardzo wierzył, że naprawdę to zrobi.

Raczej oczekiwał podświadomie, że coś się zmieni.

Ale teraz stało się rzeczą oczywistą, że żadna zmiana nie nastąpi.

Natomiast wypowiedziane wobec Tomka słowa zobowiązywały.

Bez "utrąty twarzy" nie mógł się z tego wycofać.

Kiedy wyszli z Tomkiem polekacjach, padał deszcz i niebo nad miastem wisiało niby nie wyjęta z wody ścierka.

Resztki zieloności zamierały na trawnikach miejskich.

Kolorowe afisze traciły w oczach swoje barwy.

Auta przemykały schludnie aż po sam dach błotem.

Tomek miał ochotę pobiec szybko do domu, ale Marcin kroczył wolno, i jakby to miało pomóc mu w myśleniu, włożył w każdą napotkaną kałużę, pryskając wokół brudną wodą.

Nie chlap, łobuzie!

krzyknął jakiś przechodzień.

Marcin wzruszył obojętnie ramionami.

Dalejkroczył wtakim sposobem.

Tomek, który również został ochlapany, zauważył:

Zamoczysz nogi.

Już mam mokre.

Wędrowali w taki sposób jakiś czas bez słowa.

Deszcz ciągle padał drobny, ale gęsty.

Mgła czepiała się domów i okrywała poobfukiwane frontony.

Wilgocią nasiąkały ubrania chłopców, a z czapek spływały im za kołnierz zimne strugi.

Szli, trzęsąc się, z rękami w kieszeniach.

Kropla wody drżała na końcunosa Tomka; powiedział, że spotkał nowu niebieskiego

Mercedesa, tego samego, którego widzieli wtedy.

Marcin nic nie odrzekł, można było sądzić, że deszcz i projekt porwania Bobika pozbawiły go całkiem zainteresowania samochodem.

Ale po chwili zapytał:

Gdzie go widziałeś?

Na Sienkiewicza, jak szedłem do szkoły.

Tomek przyszedł tego dnia na trzecią lekcję, bo rankiem był na badaniu w ośrodku zdrowia.

Jechał czy stał?

Przyjechali stanął.

Prawie koło waszego domu.

Był nim ten sam szwab z cygarem co wtedy i ta sama babka, co mówiłeś, że tak ci się podobała.

Ciekawy jestem, czego się tu u nas kręca.

Zatrzymali się na rogu; tu rozchodziły się ich drogi.

To jak będzie z porwaniem psa?

zapytał Tomek.

Powiem ci jutro.

Dobra.

No to cześć.

Cześć.

Powoli wstępował na schody.

Były duże, kamienne.

Poręcz wspierała się na kracie wykutej w kształt liści.

Na półpiętrze stała kamienna postać kobieca trzymająca lampę.

Lampa była zbita, figura miała utraconą rękę, ktoś jej namalował wąsy.

W domumieszkali niegdyś ludzie zamożni.

Ciotka przyjechała do miasta wcześniej i dlatego udało jej się otrzymać porządne mieszkanie.

Stanowiło ono część dużego lokalu, zajmowanego dawniej przez lekarza.

Na drzwiach wisiała wciąż jeszcze skrzynka z napisem "Briefe" i widać było ślad po oderwanej tabliczce z nazwiskiem dawnego właściciela.

Zastukał.

Ciotka otworzyła mu niezwykle szybko.

Zazwyczaj musiał stukać po kilka razy.

Ciotka była przygłucha, a przy tym stale zajęta.

Czasami popadała w drzemkę.

Potrafiła spać siedząc na stolku bez oparcia.

Ale nie znosiła py

tania: "Może ciocia spała?"

"Wybuchła wtedy oburzeniem:

"Co ci się troi?"

Spać w dzień!

Ot, zamknęłam oczy na chwilę wszystko".

Tymrazem musiała znajdować się pod samymi drzwiami, jakby czekała na powrót Marcina.

Wszedł człapiąc trampkami pełnymi wody.

Przemoczyłeś nogi?

zapytała.

Leje.

Zdejmuj trampki i daj je, połóż przy kuchni.

A w ogóle musisz już chodzić w butach.

Zmień skarpetki.

Oddał trampki i stanąwszy mokrymi stopami na "ciapach", sunął na nich jak na nartach do pokoju.

Ledwo przestąpił próg, doznał dziwnego uczucia, jakby w pokoju coś się zmieniło, coś wyglądało inaczej niż zwykle.

Ale co?

Patrzył uważnie po tak dobrze znanym sobie wnętrzu.

Wszystko wyglądało zwyczajnie.

Te same meble: szafa, dwa łóżka, stół, kilka krzeseł.

Nakrzesłach stopy bielizny.

Na ścianach te same święte obrazki i trzy fotografie nad łóżkiem ciotki.

W kącie odziedziczony po dawnych mieszkańcach obraz: ciemne płótno przedstawiające wzburzone morze, a nad nim przygięty wicher i okręciak.

A jednak uczucie, że coś się w pokoju zmieniło, zostało.

Może to był zapach?

Pociągnął nosem.

Rzeczywiście w powietrzu zdawała się unosić lekka woń, która na pewno nie była zapachem przypalonego żelazkiem płótna ani zalatującą zgnilizną wonią mebli, które, zanim stały się ich własnością, znajdowały się przez pewien czas w pokoju bez szyb, przysypanym wilgotnym gruzem.

Idąc za tym delikatnym powiewem, zbliżył się do łóżka ciotki.

Leżała na nim wysoka sterta, nakryta kraciastą chustką.

Wyglądała jak jeszcze jeden stosik bielizny.

Ale gdy uniósł róg chustki, zobaczył wspaniałe, nowiutkie dzinsy, niebieskie, stębnowane jasną nitką, z angielskim napisem i kolorowym rysunkiem cowboya na tylnej kieszeni.

Wyglądały jakby akurat dla niego.

Pod dzinsami leżał grubysweter z norweskim szlakiem, kilka sportowych, kraciastych koszul, zamszowa kurtka, wełniane skarpetki.

Każda z tych rzeczy była nowa i wydzielala woń nowości.

Pod ubraniami znajdowały się jakieś pudełka i puszki.

Od nich także rozchodził się mocny zapach.

Poznał, że były w nich mydła, kawa, herbata, kakao; między pudełkami grube bloki czekolady.

Był tak zajęty oglądaniem znalezionych przedmiotów, że zapomniał o zmianie mokrych skarpet.

Nie usłyszał także kroków ciotki.

Mówiłam ci, abyś się przebrał, czy nie mówiłam?

usłyszał za sobą.

Już ciociu, już.

Aleskąd sięto wzięło?

Kto ci pozwolił ruszać?

wybuchnęła z nagłą irytacją.

Ciotka popadała łatwo w gniew, ale tym razem Marcin miałwrażenie, że znajduje się w stanie, w którym wewnętrznerozdrażnienie po prostu szuka sobie ujścia.

Podbiegła do łóżka idrzącymi z irytacji rękami usiłowała nakryć chustką odsłonięteprzez Marcina rzeczy.

Była jednak tak podniecona, że jedno pudełko wysunęło sięjej spod ręki, spadło na podłogę i otworzyło.

W środku znajdował się jakiś mechaniczny potwór: pojazd kosmiczny czy coś w tym rodzaju. Mimo krzykuciotki Marcin ukląkł na ziemi, wyjął potworai postawiłnadługich "nogach" przypominających pajęcze łapy.

Cienki kabel w plastikowej osłoncełączył mechanizm z małym aparatem przekaźnikowym. Gdy chłopiecwłączył kontakt, potwórruszył przed siebie.

Warcząc i błyskającświatełkami, zdawałsięz ostrożnością stawiać "nogi".

Wreszcie zatrzymał się,"w pudlepojazdu wolno otworzyła się kłapa i ukazała się głowabłaszanego kosmonauty.

Ale fajne!

powiedział z zachwytem.

Schowaj to w tej chwili!

krzyknęłaciotka.

Słyszysz?

Z żalem włożył pojazd z powrotem do pudełka i podał je ciotce.

Fajne powtórzył.

Czyjeto?

Nie twoje parsknęłaz irytacją.

Aleczyje?

Skąd się to u nas wzięło?

-Ciotka położyła pudełko z pojazdemna wierzchu stosu i nakryła wszystko chustką.

Zmień skarpety,mówiłam cipowiedziałatonem niecospokojniejszym.

Zaziebisz się i dopiero będzie zabawa.

A terzeczy.

wygładziła fałdy na chustce przyniosła jedna.

Na pewno dostała z zagranicydomyślił się.

Unasniema takich.

Chce, aby je ciocia sprzedała?

Coś bąknęła, co mogło wyglądać na potwierdzenie.

Marcinwestchnął.

Przez pewien czas żyła w nim nieuzasadniona niczym nadzieja, że te wszystkie przedmioty których nawetnie zdołał obejrzeć będą należały doniego.

Siadłna krześle, aby sięprzebrać.

Przy okazji przekonał się, że jego spodnie przetarły się na kolanie, a przezdziurę prześwituje goła

noga.

Portki zlatują ze mnie, ciociu powiedział.

Spojrzała na niegoz wyrzutem.

Wszystkosiępali natobie.

Zdejm, połóż, zreperuję.

Co mam włożyć?

Włóż ubranie niedzielne.

Tylko uważaj, żebyś go nie rozsadził.

Ubranie niedzielne było już bardzo ciasne.

Gdy szedł dokościota, ciotka przypominała: "Tylko się nie gimnastykuj, bo jak nic, wyrwiesz rękaw".

W takich dzinsach można by chodzić nawet dwa lata i zauważyć.

Nie usłyszała jej uwagi albo może tylko udała, że nie słyszy.

Marcinowi wydawało się, że niedzielne ubranie jest ciaśniejsze za każdym razem, gdy je wkładał na siebie.

Koniec rękawa bliższy się stawał łokciu niż nadgarstka.

Gdy zwracała to uwagę ciotce, mówiła: "Głupstwo, chodzisz w tym ubraniu rzadko.

Abyś tylko uważał".

Ale tym razem, gdy się przebrał, zawołała go, kazała stanąć przed sobą i długo przyglądała mu się krytycznym wzrokiem.

Westchnęła.

Wyrosłeś stwierdziła.

Trzeba będzie pomyśleć coś nowego.

Znowu westchnęła.

Zabrała dziurawe spodnie.

Chodź jeść.

Siedź przy stole w kuchni.

Był już nakryty, chociaż zwykło robić to Marcin.

Chłopiec przyniósł z komina garnek z zupą i postawił przed ciotką.

Odsunęła go.

W jej ruchu była znowu jakby irytacja.

Nalewaj sobie!

A ciocia!

Mówię ci, nalewaj.

Był głodny, więc nalał na swój talerz i wziął się do jedzenia.

Ciotka zdawała się namyślać.

Potem nabrała odrobinę zupy.

Drugiego dania nie tknęła całkiem.

Ciocia może niezdrowa?

zapytał.

Nic ciocia niejadła.

Et, wymyślasz!

rzuciła.

Nie jem, bo mi się nie chce.

Chcesz jeszcze?

Nie odmówił.

Był bardzo głodny.

Pałaszując kartofle polane sosem, w którym pływały nitki mięsa, zapytał:

Dużo ona chce za te ciuchy?

Ciotka popatrzała na Marcina wzrokiem pełnym zdumienia.

Kto?

Za jakie ciuchy?

No, za te rzeczy, które przyniosła, aby je ciocia sprzedała.

Ciotka milczała, jakby nadal nie rozumiała pytania.

Dopiero po chwili mruknęła a w jej głosie Marcin wyczuł budzący się na nowo gniew:.

ww'

Dużo, bardzo dużo.

Za dużo.

Nie da się sprzedać?

Przestań nudzić!

krzyknęła.

Już zjadłeś, to wstań bierz się do lekcji.

Czy nie chce ciocia, abym pomógł zmywać?

zapytał.

Bardzo tego nie lubił.

Ciotka rzadko zgadzała się, aby ją w tym wyręczał; tylko wtedy, gdy była bardzo zajęta.

Ale kiedyś ksiądz Wionczek powiedział Marcinowi: "Popatrz, jakie twoja ciotka ma puchnięte dłonie.

Nie powinna ich ciągle moczyć.

Myślę, że jej pomagasz, prawda?

" Obiecywał sobie, że będzie jej zawsze ofiarowywać swoją pomoc.

Bierz się do lekcji!

powtórzyła twardym tonem, którym mówił, że odrzuca kategorycznie jego propozycję.

Za to, jak je zrobisz podjęła po chwili możesz odnieść bieliznę do państwa Mirków.

Jamuszę wyjść i nie wiem, kiedy wrócę.

Nic nie powiedział, ale był trochę zdziwiony.

Ciotka nigdy nie wychodziła wieczorem z domu, chyba na majowe nabożeństwo.

Teraz jednak była jesień.

Msza się skończyła i chłopcy, poprzedzając celebransę, maszerowali długim szeregiem do zakrystii.

Przed drzwiami zatrzymali się, skłonili, powiedzieli: "Deo gratias" i przepuścili księdza, który wszedł pierwszy.

Stary zakrystian, Perkowski, pomagał księdzu rozbierać się z szat liturgicznych.

Chłopcy szybko ściągali komeżki.

Już się rwał do wyjścia.

Marcin, który służył tego dnia "do mszału", położył na brzegu stołucieżki tom.

Ksiądz Wionczek, jeszcze w komży, skinął na niego.

Powiedział:

Poczekaj, chcę z tobą porozmawiać.

Do zakrystii wtargnęła nowa hałaśliwa grupa ministrantów.

Mieli służyć do następnej mszy.

Perkowski spojrzął na nich groźnie, coś pomruczał i pogroził im palcem.

Przycichli, ale ilerazy spojrzeli na siebie, zaczęli na nowo chichotać, zakrywając usta dłońmi.

Ksiądz ukląkł na klęczniku i modlił się przez chwilę.

Potem wstał, odszukał wzrokiem Marcina.

Nie spieszysz się, co?

zapytał.

Nie.

To dobrze.

Dawno cię niewidziałem i chciałbym się dowiedzieć, co u was słychać.

Jak tam ciotka?

Ksiądz Wionczek był szczupły, nawet chudy.

Spod zbyt

krótkiej sutanny wyglądały nogi w granatowych spodniach.
Szyję obciskał kołnierzyk od koszuli zamiast koloratki.

Marcin skrzywił się.

Z ciotką niedobrze, proszę księdza.

Ani z nią teraz porozmawiać.

Złości się bez przerwy.

Rzeczywiście ciotka zmieniała się od tamtego dnia, gdy zobaczył na jej łóżku przyniesione na sprzedaż rzeczy.

Jeżeli zwykle denerwowała się łatwo teraz była nieustannie zirytowana, przy tym bez żadnego widocznego powodu.

Małojadła, natomiast pracowała gorączkowo i chyba jeszcze więcej niż zwykle.

Musiała więc być stale przemęczona.

A jednocześnie kategorycznie odmawiała wszelkiej pomocy ze strony Marcina.

Podczas obiadu pozwoliła mu się ruszyć od stołu.

Sama przynosiła garnki, samą je potem zmywała.

Odganiała go od wszelkiej roboty domowej.

"Masz robić lekcje i koniec!

" burczała.

Gdy kilka razy próbował się jej sprzeciwić, wybuchała wielkim gniewem.

Dawniej, jeśli przynosił koszulę z urwanym guzikiem lub dziurawą skarpetkę, gderła:

"Jak ty chodzisz?

Wszystko się na tobie pali!

" Teraz bez słowa natychmiast zabierała się do naprawiania bielizny.

Marcin przekonał się także, że wieczorami, gdy już się położył, ciotka grzebała w jego rzeczach i wyszukiwała sztuki potrzebujące reperacji.

W nocy obudzony się słyszał, jak ciotka przewracała się bezsennie na łóżku.

Wczesnym rankiem jak zawsze wstawiała i szła do kościoła.

Dawniej jednak nie spieszyła się z powrotem.

To Marcin przynosił świeże pieczywo i stawiał mleko namaszynce.

Teraz wracała, dysząc z pośpiechu, przynosiła chlebułki, dygoczącymi rękami przelewała mleko z butelki do garnka.

Wydawało się, że wysilasz się, aby go ugodzić, nie dopuścić, by cokolwiek robił.

Rzeczywiście przyznał ksiądz, że także zauważyłem, że jest bardzo zdenerwowana i źle wygląda.

A nie sądzisz, że jest chora?

Wzruszył ramionami.

Czy ja wiem?

Jeśli się zapytam, będzie się jeszcze więcej złościła.

Wolę uciekać z domu.

To niedobrze, to bardzo niedobrze ksiądz trząsał głową na chudej szyi.

Nie możesz uciekać.

Powinieneś starać się z nią rozmawiać, być dobry, serdeczny.

Akurat, ona tego chce!

Jak mnie nie ma, to przynajmniej nie skacze koło mnie, a potem się nie złości.

Wiesz, jak bardzo cię kocha.

Co z takiego kochania?

,-^-

Ksiądz spojrział na niego takim wzrokiem, jakby chciał krzyknąć.
Wikary, jak o tym kiedyś chłopcom opowiadał, wcześniej stracił matkę.
Stracił resztę w tym samym czasie całą swoją rodzinę.
Rodzice i rodzeństwo zostali zastrzeleni podczas pacyfikacji wsi przez wysługujących się Niemcom Rusinów.
Ksiądz wtedy jeszcze chłopiec byłby także zginął, gdyby mu się nie udało skryć na strychu.
"Możecie sobie wyobrazić, co czułem opowiadał gdy po odejściu tamtych wyszedłem z mego ukrycia.
Ciała matki i sióstr wyglądały strasznie.
Matka była dla mnie taka dobra.
A ja tylerazy bywałem nieposłuszny!
Wysyłała mnie do kościoła, abym służył do mszy.
Zamiast tego wołałem iść na ryby lub bawić się.
Kiedyś, moi kochani, kiedy będziecie starsi, zrozumiecie, jak ciężko jest wspominać każdą spór z tym, kogo kochaliśmy, a kto już nie żyje.
Śmierć dopiero pokazuje, kim naprawdę był człowiek, który odszedł, i kimmy byliśmy.
Dlatego wam ciagle powtarzam: szanujcie wasze matki.
Kochajcie je.
Gdy matki zabraknie, takiego człowieka, jakim ona była, nie będzie już więcej w waszym życiu.
"

 Nie powinieneś tak mówić rzekł teraz.
Twoja ciotka wiele w życiu przeszła.
Wydajesz się, że ją znasz, a naprawdę nic nie wiesz.
Właśnie dlatego, że jej nie rozumiesz,
 musisz się bardzo starać.
 Przecież staram się!
cisnął niecierpliwie.
Ksiądz zbliżył się do stołu, na którym ministranci porzucali swoje komeżki.
Zaczął je zbierać i układać.
 Nie wątpię, że się starasz powiedział.
Ale widać, musisz jeszcze więcej.
Twoja ciotka wzięła na siebie trud matki, a nie ma człowieka, który by trudził się bardziej dla dziecka niż jego matka.
O tym musisz stale pamiętać.
 Nie znałem nigdy matki.
Marcin skrzywił usta.
 Ciotka była ci matką.
 To nieto samo.
 Ksiądz zmarszczył brwi.
 Jak możesz tak mówić?
Matka nie czyniłaby więcej
 niż ona.
 Tak, może.
bąknął.
Ja tylko mówię, że matki nie
 znałem wycofywał się.
 A co słyszać w szkole?

ksiądz zmienił temat.

Jakoś ląduję.

Jeśliczegoś nierozumiem z matematyki,

idę do pana Henryka.

Todobrze.

Gdybyś potrzebował, przychodź także domnie.

Tylko nie czekaj, aż złapieszdwóję.

Aha, a coto za

awantura o psa, o której mi mówili?

Podobno rzuciłeś się pięściami na koleżankę?

:'

A bo to taka, taka.

szukałwłaściwego słowa taka-',.

glista.

Glista?

O kim mówisz?

O Szawelskiej.

O Ance?

O jakiego psa wam poszło?

Pani Ziemska dała mi psa, a ona mi go ukradła.

Chyba nie ukradła.

Ale już wiem wszystko, opowiadały

mi dziewczynki.

No, nie popisałeś się.

a Jak ona taka.

I Jak ona taka, to ty taki?

Ktoś ciebie wkark, to ty mu riesz jego w głowę?

I E, bo z nią, proszę księdza, nie możnainaczej.

Uważa,

ze jej wszystko wolno.

Dlatego, że jej ojciec jest jakimś takim,

co o nim w gazecie piszą?

Co on mnie obchodzi?

Będę się go

bał?

Dlaczego masz się go bać?

Bo wszyscy się go boją.

Pani Kamińska także się boi dlatego kazała oddać psa Szawelskiej.

A Szawelska to nie chodzi na religię.

Ksiądz przestał składać komże, odwrócił się do Marcina, położył mu dłonie na ramionach i spojrzał w oczy.

Ej, Marcin, Marcin powiedział.

Copies ma do tego, że Anka nie chodzi na religię?

Wierz mi: bardzo tego żałuję, że Anka nie przychodzi na lekcje.

To mądra dziewczynka, miałbym z niej wiele pociechy.

Może więcej niż z niejednego takiego, co przychodzi, a potem.

Niedokończył, tylko lekko westchnął.

A pan Szawelski jest człowiekiem wielkich zdolności.

Kiedyś, jestem pewny, cała Polska będzie z niego dumna.

Nie chodzi do kościoła.

Ludziom pomaga.

I na pewno szczerze wierzyw to, couważa za prawdę.

Marcin stałz głową opuszczoną, jakby przyglądał się czubkom swoich butów.

Mruknał:

Nienawidzę i jego, i jej.

A na lekcje religii chodzisz ksiądzwypowiedział tesłowa wolno, mocno akcentując, jakby kończyłzaczęte przezMarcina zdanie.

Marcin dalejpatrzył w podłogę, na której białe irude płytyukładały się w zatarty już wzór.

Chodzę.

Ale jej nie daruję!

W zakrystii zrobiła się cisza.

Tykał zegar i pochrapywał.

zakrystian, który usnął na fotelu w kącie.
Spoza drzwi prowadzących do kościoła dochodził głos księdza wypowiadającego słowa "Orate fratres".
Potem rozległa się przedkaszlepanina ministrantów: "Suscipiat Dominus hoc sacrificium demanibus tuis."
"Zebrany w kościele tłum zachowywał się cicho, czasem tylko ktoś zakaszlał.
Ale czuło się skupioną masę ludzką.
Po przeciwnej stronie zakrystii mur dygotał warkotem aut, przejeżdżających ulicą.
Nie darujesz?
zapytał ksiądz.
Tego psa?
Wszystkiego.
Ksiądz Wionczek pokiwał smutnie głową.
Tak się, mój drogi, zawsze zaczyna.
Człowiek powiada:
Mam rację, nie daruję.
Mam rację, skrzywdzono mnie, więc mogę nienawidzić.
Z takiego rozumowania rodzą się potężawisci, wojny.
Urwał i westchnął.
Spojrzał na zegarek.
Marcin stał ciąglez oczami utkwionymi w ziemię.
Teraz muszę iść rzekł ksiądz.
Nałożył komżę, wziął w rękę płaski koszyczek, trącił w ramię Perkowskiego.
Stary zakrystian miał usta otwarte, a oddech podrzucał mu kępę wąsów zwisającą nad ustami.
Tracony sapnął i obudził się.
Czas już na zbiórkę?
zapytał.
Tak rzekł ksiądz Wionczek.
Jeszcze odwrócił się stroną Marcina.
Pomyślał tym, comówił rzekł.
Pomyśl i zastanów się.
A potem przyjdź.
Musimy do tego
wrócić.
Poprzedzany przez zakrystiana wkroczył do kościoła.
Przez otwarte na chwilę drzwi buchnął śpiew Prefacji.
Drzwi zamknęły się.
Marcin usłyszał jeszcze spoza nich świergot dzwonek.
Powoli skierował się ku wyjściu.
Kiedy stanął na progu, wydało mu się, że niebieski Mercedes znika za rogiem ulicy.
Pobiegł w tamtą stronę, ale auta już nie zobaczył.
Zamiast zwykłej lekcji pani Kamińska zajęła się tego dnia sprawą pomnika, który miał być w najbliższym czasie odsłonięty w ich mieście, na miejscu, gdzie przed kilkoma miesiącami zostały znalezione groby zabitych przez hitlerowców oficerów.
Podczas wojny zaraz za miastem mieścił się Oflag, czyli oficerski obóz jeniecki.
Z tego to obozu zdołała uciec gromadka oficerów.
Wciągnęli jednak paru dni oficerowie 201'ptali wyłapani.
Sprowadzono ich z powrotem do miasta, ale zamiast zamknąć ich na nowo w obozie, rozstrzelano uciekinierów w małym lasku obok torów kolejowych i na miejscu zakopano.

Egzekucja dokonana była w nocy, nikt w mieście nie wiedział.
Ale jeden z uczestników ucieczki zdołał uciec.
Przez lata szukał śladu zaginionych kolegów.
Kiedy podczas robót ziemnych natrafiono na groby on właśnie, przyjeżdżając na miejsce, zidentyfikował odnalezione ciała.
Z inicjatywą miejscowego społeczeństwa powstał projekt wzniesienia małego pomnika.
Na jego odsłonięcie miało przybyć oprócz przedstawicieli władz miejscowych kilku dygnitarzy z województwa.
Przewidziano oddanie honorów przez kompanię wojskową; wartę przy pomniku polecono trzymać harcerzom, a dzieci szkolne miały złożyć kwiaty.
Dyrekcja szkoły wyznaczyła z każdej klasy po dwóch delegatów.

Mówiąc o tych przygotowaniach, młoda nauczycielka patrzyła uważnie po klasie.
Nie bez dumienia odkryła, że dzieci są zupełnie nie zainteresowane sprawą pomnika.
Rozmawiały, śmiały się musiała co chwilę je uciszać.

To prawda, że żadne z nich nawet nie widziało obozu.
Podczas zdobywania miasta przez wojska radzieckie został on spalony.

W miejscu, .
gdzie się znajdował, stała teraz nowo wybudowana fabryka.
Także tam, gdzie znaleziono grób pomordowanych, zaczynała się świeżo wzniesiona dzielnica mieszkaniowa.

Nikt spośród miejscowej ludności nie miał swoich bliskich w tym obozie.
Dla dzieci była to sprawa daleka.

A jednak choć daleka zastanawiała się nauczycielka nie powinna być sprawą obojętną.
Nie mogła pogodzić się z myślą, aby uczniowie składali kwiaty pod pomnikiem tylko dlatego, że im tak zrobiono.

Toteż mówiła:

Ten nasz pomnik jest jednym z wielu, jakie stanęły i zapewne staną jeszcze w Polsce.
Nie zapomnijcie, że wojna, która się toczyła, to nie była wojna o kawałek ziemi, o jakieś naturalne bogactwa.

Była to wojna o prawo do życia.

Niemcy hitlerowskie chciały zniszczyć wszystko: kraj, ludzi, kulturę, chciały wymazać samo słowo "Polska" z mapy świata.

Tylko ci Polacy, uważali, mogą przeżyć, którzy nadawali się będą do ciężkiej pracy dla Niemców.

Wiedzieliśmy dobrze, co nas czeka, jeżeli Niemcy zwyciężą.

Nikt nie miał złudzeń.

Anglicy, Francuzi byli pewni, że Niemcy, nawet zwyciężąc, pójdą sobie od nich.

Dla nas zwycięstwo Niemców oznaczało śmierć.

Dlatego naród walczył.

Cały naród.

Istniała armia podziemna, do której należały setki tysięcy, a z którą współpracowali.

r

wszyscy.

Ludzie podtrzymywali siebie na duchu.

Wychodziła tajna prasa.

Organizowano ucieczki, wspomagano rodziny więzionych.

Wbrew zakazom hitlerowskich władz młodzież ucyła się na tajnych kompletach.

Ci, co musieli pracować w fabrykach produkujących broń i różne przedmioty dla potrzeb armii niemieckiej, starali się pracować jak najgorzej, a często po prostu szkodzili produkcji.

Na najbardziej okrutnych prześladowców dokonywano zamachów.

A w tym samym czasie polskie wojsko walczyło w Związku Radzieckim, w Anglii, we Włoszech, w Afryce.

Na najtrudniejszych, najkrwawszych frontach.

Inne kraje, raz pokonane, nie walczyły dalej.

Uległszy, czekały, aż zostaną wyzwolone.

Polska ani na chwilę nie przestała toczyć wojny, chociaż za to spadały na kraj okrutne represje.

Czy oni o tym wiedzą?

myślała.

Czy będą o tym pamiętali?

Nie, nie poto, aby się tym pysznić i wmawiać sobie, że należą do najbardziej bohaterskiego narodu na świecie!

'Ale po to, aby nigdy nie zapomnieli, jak wielką ofiarą okupiona była ich wolność, aby pojęli, że teraz oni muszą z wielkim wysiłkiem zbudować nową Polskę.

Byli młodzi, marzyli o zabawie, rozrywce, przyjemności, na jakie mogliby pozwolić inni, a które dla nich było jeszcze za wcześnie.

Trzeba ich uczynić twardymi nie wołając walki, ale wołając do pracy; pracy nad sobą przede wszystkim. Nigdy myślała, że nauczycielka najnowocześniejsze maszyny nie będą produkowały dość szybko, jeśli w pierwszym człowieku nie nauczy się tworzyć samego siebie.

Oficerowie, którzy znajdowali się w tym obozie podjęli byli więźni do niewoli w Polsce, we Francji, w Norwegii.

Prawo międzynarodowe zajmuje się losem jeńca.

Nie pozwala go zabijać.

Stwierdza, że jeńca ma prawo do ucieczki.

Można mu ją uniemożliwić, nie można go jednak za ucieczkę karać.

Ale wobec Polaków Niemcy liczyli się z prawem.

Po prostu zamordowali tych, co próbowali uciec.

Kowalczyk!

zawołała rozdrażniona.

Dlaczego rozmawiasz?

Czy nie interesuje cię to, o czym mówię?

Wstań, odpowiedz.

Chłopak podniósł się i stał ławca schylony.

Był to wielki, przerosnięty dryblas.

Na jego pokrytej krostami twarzy przebiegały stłumione uśmiechy.

Czemu nie odpowiadasz?

pytała.

Powiedz, o czym mówiłam.

O Niemcach.

Co mówiłam o Niemcach?

Że Niemcy zabijali Polaków, teraz trzeba ich zabijać.

Klasa wybuchnęła śmiechem.
Z trudem zapanowała nad irytacją.
Wcale tego nie mówiłam.

Siadaj!

Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że rozmawiasz, odeślę cię do dyrektora.

Nie, nikogo już naszczęścić nie trzeba zabijać.

Wojna się skończyła.

Niemcy zostały zwyciężone i poniosły zasłużoną karę: musiały oddać Polsce ziemie, które przed wiekami nam zabrały.

Te tutaj ziemie, na których żyjemy.

W ciszy, jaka się zrobiła, usłyszała, jak jeden z chłopców wypowiedział półgłosem niemiecką nazwę miasta, w którym mieszkali.

Podchwyciła to:

O, właśnie tak nazywali Niemcy naszemiasto.

Ale tak jak się nazywa dziś, nazywało się niegdyś.

Niewzieliśmy rzeczy cudzych.

A jednak są Niemcy, którzy nie pogodzili się tym, co się stało.

Rozgłaszają, że to my zabraliśmy ich ziemie.

Nasz wielki poeta Norwid, jakby przewidując ich pretensje, pisał przed stu prawie laty:

"Żaden pług polski cudzej nie pruć ziemi, więc poczytani będziemy jak złodzieje.

" Musimy wiedzieć, jak odpowiadać na takie oszczerstwa.

W czapę na cmentarz!

powiedział głos z ostatniej ławki.

Na kogo się porywasz?

Samemu ci dadzą w czapę odpowiedział inny głos.

Mocniejsi są od nas.

Głosy były denerwujące, a jednak świadczyły o obudzonej zainteresowaniu.

Trzeba ich przyjmować takimi, jakimi są mówiła sobie nieraz.

Nie można mieć pretensji o słowa czynawet poglądy.

Jednego należy się bać zubożenia.

Nie są wcale od nas mocniejsi powiedziała.

Oczywiście Niemcy zachodnie, bo o nich mówimy, są państwem, które posiada wspaniały przemysł, wiele naturalnych bogactw, przede wszystkim wielką tradycję pracowitości i umiejętności technicznych.

Ale my, Niemiecka Republika Demokratyczna, gdzie inaczej się już myśli, Związek Radziecki i inne kraje socjalistycznego obozu razem złączone stanowią o wiele większą potęgę.

Póki tajność trwa, Niemcy zachodnie nigdy się nią nie porwą.

Oczywiście, one także będą szukały sojuszników.

Ale zdobyć tych sojuszników będzie im coraz trudniej.

Im otwarciej będą grozić, tym mniej będą inni mieć do nich zaufania.

Wprawdzie świat zachodni daje się łatwo oszukać, jednak jeszcze nie zapomniał, że wszystkie wojny wywoływane przez Niemcy zaczynały się od żądań i pogroźek.

A wojny nikt dziś nie chce.

Wojna dzisiaj byłaby zagładą świata.

Znowu patrzyła na klasę.

O okropnościach wojny, myślała,.

jeszcze nie muszę im mówić.

Większość urodzona była w czterdziestym czwartym.

Widziała, że odruchowo kiwają głowami.

Poza kilkomachłopakami, jak Kowalczyk, których zbyt pochłaniało własne dojrzewanie, słuchali z uwagą jej słów;

dziewczynki poważnie dojrzewały szybciej chłopcy jeBzcie po dziecinnemu, z entuzjazmem dla wojny przeciwko wojnie.

Odszukała wzrokiem twarz Marcina.

Brwi chłopca były

ściągnięte, usta zagryzione.

Była niezmiernie ciekawa, co ten chłopak myśli.

Przed pół godziną toczyła się nim wielka dyskusja w pokojunauczycielskim.

Sprawa, o której on sam wcześniej nie wiedział, dotarła już do grona wychowawców.

"Jeżeli go zabiorą, a on zobaczy tamten świat, przepadnie nas!

twierdził Floriański.

Mogę się założyć.

Jeszcze takim religijnym wychowaniem!

Będziemy mieli kiedyś jednego wroga więcej.

" "Obawiam się, że kolega Floriański rację przytakiwał izyczka.

Bogactwo uderzy mudo głowy.

" "Nie powinni go oddawać.

Wychował się w Polsce jest Polakiem.

Dlaczego władze gadają się na to?

Osobiście uważam to za klęskę.

Nie ma drugiego chłopca, który by się tak potrafił zająć gabinetem.

" narzekała pani Muszyńska.

"Jednak matka ma prawo do swego dziecka mówiła łagodnie pani Matysiakowa.

I dziecko ma prawo do matki.

" "Alenie takiej!

Floriański potrząsnął głową, w której trzymał zapalony papierosa.

Ale nie takiej!

" "Pan nie lubi ładnych kobiet?

"zapytała złośliwie nauczycielka niemieckiego.

"Nie lubię takich, co się zrobiły Niemkami!

wybuchnął.

Mówię paniom: trzymam zakład, że teraz on chłopca przerobi na Niemca.

" "Gotowa jestem przyjąć zakład powiedziała pani Kamińska.

On zresztą nie zgodzi się pojechać.

" "Ale!

Obiecują mu złote góry i poleci!

" "Wcale nie jestem tego pewna.

Ale nawet gdyby pojechał.

" "Dobrze!

O co się zakładamy?

"

Czy pani w czasie wojny była w obozie?
zapytała

nagle jedna z dziewczynek.

Mojamamausia była powiedziałaaina.
I mój tatuś.
Imój.
zerwało się kilka głosów.
Mój zginął w powstaniu.
Mój był w partyzantce.
Moja mama była na robotach.
Mój tatek pracował przy wyrobie broni.
Aresztowali go, trzymali w więzieniu, a potem wysłali, do Oświęcimia.
pознаła głos Szawelskiej.
Uspokoila klasę ruchem ręki.
Ja nie bylam w obozie wróciła do postawionego jej pytania.
Uczyłam się na tajnych kompletach.
Niemcy pozamykali szkoły.
Chcieli pozbawić Polaków wiedzy i kultury.
Ale nasi nauczyciele postanowili uczyć potajemnie, po domach.
To było bardzo niebezpieczne.
Jeśli Niemcy dowiedzieli się o komplecie, robili zasadzkę i aresztowali wszystkich,
nauczycieli i uczniów.
Często złapanych zabijali, innych wysyłał do obozu.
Odkryli także nasz komplet.
I co?
I co?
posypały się pytania.
Ocalałam, bo byłam akurat wtedy chora.
Ale moje koleżanki zostały aresztowane.
Pojechały do Oświęcimia.
Tylko dwie z nich wróciły.
To było dziwne uczucie, jakiego wtedy doznawała: była szczęśliwa, że żyje, i
nieszczęśliwa, że ocalała.
Miała prawie wrażenie, że ciężyna niej jakaś hańba.
Najmłodsza z koleżanek, najserdeczniejsza przyjaciółka, Krysia, pisała z
Pawia kubańczyka grypsy: "Nic nie powiedziałam i nic nie powiem.
Choćby się wściekli.
Ale módlcie się za mnie.
" Nic nie powiedziała, ale z więzienia niewyszła.
Pani Kamińska nie mogła zapomnieć krótkich, jasnych włosów tamtej i jej radosnego
śmiechu, gdy śpiewała śmieszoną, ale ulubioną piosenkę z tamtych lat: "Zielony kapelusik z
czerwonym piórkiem".
Razem z Krysią chodziły także na przeszkolenie sanitarki na ćwiczenia terenowe w lasach
koło Chotomowa.
Kochały się obie w instruktorze, doktorze "Morwie".
Pani Kamińska wiedziała, co się z doktorem stało.
W powstaniu pracowała jako sanitariuszka.
Pod koniec znalazła się w szpitalu na Złotej.
Mój tatuś też ledwo wyszedł z obozu.
Moją mamę chcieli rozstrzelać.
A mego dziadka rozstrzelali.
I ciocię.
Moją ciocię okropnie męczyli.

To było ciągle żywe, ciągle niezapomniane.
Aterazcisza powiedziała.
Spojrzała nazegarek.
Za chwilębędzie dzwonek.
Proszę, abyściepodczas przerwywybrali delegatów.
Malczyk, przyjdź potemo mnie do pokoju nauczycielskiego ipowiedz, kogo wybrałście.
Wyszła z klasy.
Natychmiast zaczął się gwar.
Wybuchnąłchór głosów.
Każdy chciał opowiedzieć o tym, co przeżyłaJego rodzina.
Wszyscy krzyczeli, nikt nie słuchał.
Gospodarzklasy, Wojtek Malczyk, darł się na całe gardło:
Cisza!
Przestańcie wrzeszczeć!
Uciszcie się.
Mamy wybierać!
No dobrze, cisza, wybierajmy!
przycichli nieco.
S5.

Zgłaszajcie kandydatury.

Dziewczynki zareagowały pierwsze.

Szawelska!

Kulikówna!

Maziarz!

Szawelska!

Szawelska!

Początkowo rozbite głosy skupiły się natychmiast przy nazwisku Anki.

Teraz wszystkie wołały: "Szawelska!

Szawelska!

" Któryś z chłopców zaprotestował:

Co? Mają być tylkodziewczyny?

Niewyjaśnił Wojtek trzeba, aby była dziewczynai chłopak.

Wystawcie kandydata.

Namysł trwał krótko.

Policki!

wrzasnął Tomek.

Policki!

powtórzyło wiele głosów.

Więc Szawelska i Policki?

zapytał Wojtek głosem komornika na licytacji.

Marcin powyjsiupani Kamińskiej zklasy nie ruszyłsięz miejsca.

Siedział zgarbiony,z brodą opartą na rękę.

Nawetsięnie zainteresował wyboremkandydatów.

Dawno już niesłuchał niczego tak uważnie jak tego, co dziś mówiła nauczycielka.

Ale gdy klasa zaczęła wołać: "Mójtatus był w obozie!

Mojamamabyła aresztowana!

", doznał niemiłego uczucia, żeon nie ma siękim pochwalić.

Czy miałmówić o dzieciachciotki?

A kim byli jegorodzice?

Nie żyli.

Czyzginęliz rąkhitlerowców?

Ciotka nigdy o niczym takim nie mówiła.

Owszem opowiadała, że matkę wzięli żandarmi.

Dlaczego?

Za co?

Amoże wszystko było nieprawdą?

Może po prostubylporzuconym dzieckiem, które kobieta nazywana przez negociotką wzięła z litości na wychowanie?

Nieoczekiwanie dotarło do niego, że chłopcy wykrzykujajego nazwisko.

Podniósł głowę:

Policki,chcesz być delegatem?

usłyszał głosMalczyka.

Nie zdążył odpowiedzieć, kiedy wrzasnęła Grażyna:

Policki nie może być delegatem!

Dlaczego nie może?

Co bredzisz,smarkata?

Nos wytrzyj.

No, gadaj, głupia, dlaczego nie może?

padały głosy.

Nie może, bo on sam jest Niemcem!

Dziecinny głosik Grażyny zadzwonił w ciszy, jaka się nagle zrobiła.

Potem wybuchł ogłuszający zgiełk.

Marcin zerwał się z ławki.

Jego twarz zrobiła się biała.

Gwałtownie rozepchnął kolegów.

Dopadł do dziewczynki, chwycił ją za warkocze i zacisnął je wokół głowy.

Zapisała z bólu.

Puszczaj!

Oj, boli!

Nie puścił.

Pochylił się nad dziewczynką, która aż przykucnęła z bólu, i syknął:

Powtórz, coś powiedziała!

Powtórz!

Grażyna skamlała jak bity psiak.

Na pomoc przyjaciółce pospieszyła Anka.

Puść ją w tej chwili!

Nie puszczę, aż odszczeka!

Puść!

Bo co?

podniósł naniarozgorzały wzrok.

Bo ci mówię.

Tymówisz?

Nie wtrącaj się, bo sama oberwiesz.

Myślisz, że się ciebie boję?

Ciebie itwojego ojca?

'Jego gniew przeniósł się natychmiast z Grażyny na Szawelską.

Niemal zapomniał o tym, co tamta krzyknęła.

Odepchnął

'dziewczynkę tak mocno, że rozciągnęła się jak długa na podłodze.

Leżąc łkała:

Ty zbój, ty chuliganie.

Zobaczysz.

Nie patrzył w jej stronę.

Stał naprzeciwko Anki i mierzył się z nią wściekłym spojrzeniem.

Drżał cały, ledwo się powstrzymywał, aby się nie rzucić na dziewczynkę.

Z tłumu stojących kręgiem uczniów i uczenniczaczących padać głosy:

Dajcie spokój.

Co za: dajcie spokój?

Niech jej przyłoży!

Nie daj się, Anka!

Zostawcie.

K Pokaż jej, Marcin.

fAja wam mówię: dajcie spokój!

dyskant Wojtkaprzebił się przez zgiełk podjudzających głosów.

Muszę iść do Karny i powiedzieć, kogośmy wybrali.

A jak nie pójdę, toona przyjdzie.

Będzie draka.

Mówię wam.

Krąg chłopców i dziewcząt cofnął się nieco.
Zachęcające dobitki głosy przycichły.
Wojtek podszedł do Anki i Marcina, stojących wciąż naprzeciwko siebie jakby para zapaśników.
No to idziecie z kwiatami?
Nigdzie nie idę!
zawołała Anka nie odrywając oczu od Marcina.
Jak to, nie idziesz?
Przecież ciebie wybrali.
Nie idę i już!
Niechcisz!
Niech on idzie ruchem uniesionej brody wskazała Marcina.
Chłopiec zmarszczył brwi.
To ustępstwo wydało mu się podejrzanym.
Nie chce iść ze mną zrozumiał.
Coś przeciwko nim wymyśliły.
Anka przy każdej okazji reprezentowała klasę i nigdy się od tego nie wymawiała.
To małe ścierwo wygadało się.

Ja też nie idę!

krzyknął.

Coście powariowali?

Flegmatyczny zwykle Wojtek

stracił cierpliwość.

Musisz iść zwrócić się do Marcina.

Co znaczy: muszę?

Nie chcę inie pójde!

Wybrali de,

W nosiemam, że mnie wybrali.

Adlaczego ona nie idzie?

Powiedziała, że nie pójdzie.

To każ jej iść.

Co, masz boja przed jej ojcem?

Przystań tykać mego ojca powiedziała Anka przez
zaciśnięte zęby.

Bo co?

Nie boję się go!

Mówię ci, przestań!

Dobrze, dobrze Wojtek usiłował załagodzić na nowo
wzbierający spór.

O swoich sprawach pogadacie sobie kiedy indziej.

Teraz mówcie: idziecie?

Nie!

zawołali oboje jednocześnie.

Niech was!

Wojtek podrapał się w głowę.

Nagle powziął postanowienie.

Nie chcecie, to ja pójde.

Rozejrzał się.

Pójdiesz ze mną, Litka?

Mogę iść.

Nikt nie protestował.

Klasa przyjęła w milczeniu dyktatorską decyzję Wojtka.

Rozległ się dzwonek i za 'chwilę miała się zacząć lekcja.

Podniecenie ustąpiło, wszyscy wracali do ławek.

Marcin powoli cofał się także.

Ale odchodząc pogroziła pięścią Grażynie, która siedziała na ziemi trzymając się zaskronie.

Jeszcze się z tobą porachuję!

Ty..

Rzucił ordynarne słowo.

Nigdy tak nie mówił.

Ciotka nieznośnaby brzydkich wyrazów.

Gdy raz pracujący w domu hydraulik powiedział coś brzydkiego, ciotka wybuchnęła naganego
takim gniewem, że nie zgłosił się po resztę należności

za pracę.

Grażyna rozszlochała się na nowo:

Ty, łobuzie!

Powiem pani.

Zobaczysz, że powiem.

Zrobił znowu krok w jej stronę.

Podniósł zaciśniętą pięść.

Ale Anka stanęła szybko między nim a Grażyną.

Ona niepowie zawołała.

Niech spróbuje.

Ona nie poskarży, ale ty musisz ją zostawić.

Za to, co powiedziała, dostanie.

Zostawją, a ona nie będzie mówiła.

Karna idzie!

wrzasnął jeden z chłopców czuwający
przy drzwiach.

Wszyscy galopem popędzili na miejsca, i

Ktoś mocno zastukał do drzwi.

Marcin otworzył.

Przed nim stał listonosz w błyszczącej od deszczu pelerynie, z ogromną torbą, sterczącą mu na
brzuchu niby przenośny kramik.

Maria Policka?

zapytał, patrząc na trzymane w rękulist.

Miał oddech dyszący.

Tutaj.

Ale nie ma w domu.

To matka?

Ciocia.

Mam dla niej pismo.

Urzędowe.

Przyjmiesz?

Mogę przyjąć.

Marcin podpisał na dołączonej dolistku kartce.

Listonosz zabrał podpisany odcinek i szedł ze schodów, stąpając wolno i ciężko.

Marcin ciekawie oglądał kopertę.

Żadnych listów nie otrzymywali.

Ciotka nie miała nikogo, kto by pisał.

Jakaś jej dawna przyjaciółka znajdowała się w zakładzie dla starców koło Zielonej Góry, ale
ona pisywała tylko raz na Boże Narodzenie.

"Gdybym pojechała do Warszawy mówiła nieraz ciotka może bym znalazła takich, o których
nawet nie wiem, czy żyją.

" Ale nawiązał nie było nigdy ani czasu, ani pieniędzy.

Był to zresztą list urzędowy z nadrukiem "Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej"
na kopercie z numerem.

Marcin ustawił kopertę na kredensie w kuchni tak, aby ciotka zobaczyła ją od razu po
przyjściu.

Wróciwszy ze szkoły, nie znalazł ciotki w domu.

Gdzieś wyszła nie miał pojęcia, dokąd.

Nigdy o tej porze nie wychodziła.

Ale ostatnio zdarzało jej się wychodzić o różnych porach i nigdy Marcinowi nie mówiła, dokąd
idzie.

W zasadzie był zadowolony, że jej nie ma.

Ułatwiało to jego zamiar.

Dziś powziął decyzję porwania Bobika.

Wysyłany na zwiady Edek alarmował, że pies ma być za parę dni oddany Szawelskiej. Anki od dwóch dni nie było w szkole, podobno była zaziębiona.

Zapewnienie dane Tomkowi, że Bobik nie dostanie się w ręce Szawelskiej, było bodźcem mniej ważnym niż ostatnia awantura.

Chociaż Grażyn rzeczywiście poskarżyła się na niego, a zapytana przez panią Kamińską, dlaczego płacze, odpowiedziała, że uderzyła się w głowę. Marcin nie zapomniał tego, co powiedziała.

O obraźliwe słowa oskarżał Szawelską; Grażynę uważał za małego tumana.

Musiały coś na niego gadać, a ona to rozpłakała.

Dlatego Szawelska nie pozwoliła jej skarżyć, bo wiedziała, że wtedy wszystko by się

wydało.

Właściwie szkoda, że nie poskarżyła.

Może byłby ukarany, ale dowiedziałby się, co przeciwko niemu spiskują.

Może pani Kamińska zmieniałaby swoją decyzję w sprawie

Bobika?

Stało się inaczej.

Ale Szawelska musi dostać zaswoje!

Mniej

w tej chwili myślała o posiadaniu Bobika niż o pokrzyżowaniu projektów Szawelskiej.

Ułożony z Edekciem plan nie był zbyt skomplikowany.

Edek przyniósł do szkoły wiadomość, że pani Ziemska wyjdzie tego dnia na całe popołudnie z domu.

Dawna sekretarka mieszkała sama, więc wychodząc zamykała mieszkanie na klucz, kluczaś powierzała sąsiadce.

Ale Edek wypatrzył, że nawet wtedy zostawiała uchylone małe okienko od spiżarki wychodzące na podwórze.

Przez to okienko, zdaniem Edka, szczupły chłopiec, taki jak Marcin, mógłby się przecisnąć.

Dostawszy się tą drogą do mieszkania i uciszywszy Kaśkę kawałkiem kiełbasy, powinien załadować szczeniaka do worka i wyjść po prostudrzwiami, które otwierały się od wewnątrz.

Na odbiór psaczekał Tomek, który miał go zawieźć na rowerze do swego znajomego, synagajowego, mieszkającego w leśniczówce parę

kilometrów za miastem.

Czas wydawał się sposobny do wykonania zamachu.

Jesien.

ny, zimny deszcz przemieszał się z pierwszym śniegiem.

Lodowata chlapa wystraszyła ludzi z ulic.

W słabym blasku palących się mdło latarni tylko czasami przemykała jakaś skurczona postać.

Marcin szedł szybko, chwilami biegł, niosąc pod

połą kurtki wykradziony ciotce worek.

Usłyszał psykanie.

Edek czekał na niego w bramie domu.

Wszystko gra mówił cicho, przytykając usta do mokrego ucha Marcina.

Ziemska wyszła, okienko jest uchylone.

Musiał być niezwykle podniecony.

Zacierał dłonie, chichotał.

Czego się śmiejesz?

zapytał Marcin.

Ziemska będzie zdziwiona.

Zupełnie zgłupieje, jak nieznajdzie szczeniaka.

A Szawelska to chyba szlag trafi.

Pokaż to okienko.

Edek pociągnął Marcina na podwórze.

Kiedyś musiało to być podwórze o wyglądzie ciemnej studni.

Ale w czasie wojny jedna z oficyn została zburzona.

Zastępował ją niski mur, przy którym stał trzepak i śmietnik.

Za murem rozciągał się plac, powstały z uprzątniętego gruzowiska.

W głębi widać było ścianę małego kościółka.

Dawniej przytykały do niego mury sąsiednich domów.

Ale domy spłonęły i zostały rozebrane.

I

Pozostał po nich jedynie ślad na odkrytej ścianie kościoła, który stał teraz podobny wyspie wśród szerokiego rozlewiska.

Po wojnie objęli go ojcowie kapucyni.

W kącie podwórza, obok okna na wysokim parterze, które było oknem kuchni pani Ziemskiej, znajdowało się małe okienko.

Było rzeczywiście uchylone, ale jednocześnie tak małe, że Marcinowi wydawało się, iż cały pomysł Edka jest zupełnym idiotyzmem.

„Zdumiałeś?”

powiedział.

Jak ty sobie wyobrażasz, że ja się w nim zmieszczę?”

Ojej!

Skulisz się i przeleżysz.

Kiedyś, jeszcze tu Ziemska nie mieszkała, dawni lokatorzy zgubili klucz.

Wzięli matiego chłopaka i kazali mu tędy wleźć.

Nie bujasz?”

Co miałbym bujać!

Jatego nie pamiętam, ale ojciec Zwidziały opowiadał.

„j; Ale jak się tam dostać?”

„S'Okienko znajdowało się na wysokości górnej ramy kuchennego okna.

Nawet stanąwszy na palcach nie sięgnąłby do

niego ręką.

Edek z podniecenia szybko otwierał i zamykał dłonie.

Zapewniał:

„Wszystko się zrobi, wszystko wymyśliłem.

Obejrzyj się.

Widzisz ten wózek?”

Pod murem obok trzepaka stała dwukołowa platforma.

Jej dyszel opierał się na ziemi.

Chłopcy zbliżyli się do wózka.

Podleczenie platformy pod okienko nie powinno było nastęczać żadnych trudności.

Marcin wyraził jedynie obawę, że ciężki wózek, tocząc się po wyszczerbionym bruku, może narobić okropnego hałasu.

Zanim się wzięli do roboty, Edek zbliżył się do parterowego okna przy bramie.

Wspiąwszy się na gzyms, zajrzał do środka, do mieszkania dozorca.

Na oknie było zasłony.

Zeskoczywszy, powiedział:

Jedziemy.

Klimczak siedzi na łóżku, giczoły wyciągnął na pół pokoju.

Głowę maw mroku, ale na pewno chrapie jak zabity.

Zresztą jakby się obudził i wyjrzał, powiem, że chciałem wózek pożyczyć, aby przywieźć drzewa.

Koła platformy kwiliły w dziurze i niełatwo było ją ruszyć z miejsca.

Musieli nateżyć siły, rozruszać wózek, aż wreszcie dał się popchnąć w stronę domu.

Hałasu było mniej, niż się tego obawiali: na bruku podwórza woda deszczowa ze śniegiem stworzyła warstwę mokrego błota, które głużyło stukot kół.

Gdy ustawili wózek pod okienkiem, Edek pobiegł znów

61.

pod okno dozorczy i wspiawszy się, zajrzał jeszcze raz do
środku.

Nie ruszył się powiedział po powrocie.

No, to teraz

gazu!

Gdy dyszel opierał się na ziemi, tył wózka sterczał wysoko.

Stojąc na nim, Marcin znajdował się na wprost okienka.

Edeksiadł okrakiem na dyszlu.

Leż!

Będę trzymał.

Marcin wspiał się na podniesiony tył platformy.

Ta awantura nie budziła w nim entuzjazmu.

Musiał raz po raz odwoływać się do swego gniewu na Szawelską.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że jeżeli podczas porwania Bobika zostanie odkryty, może być
posądzony nie tylko o kradzież psa, aleo próbę okradzenia mieszkania.

A wtedy będzie usunięty z szkoły.

Ale nie było już sposobu, aby się cofnąć.

Odchylił okienko.

Otwór był tak mały, że aby móc się wcisnąć, musiał pozbyć się płaszcza.

Zdjął go, rzucił Edkowi wyciągnawszy przed siebie ramiona, jakby skakał do
wody, wśliznął się w otwór.

Jego palce natrafiły naciętką siatkę z drutu, ta jednak od razu ustąpiła.

Pewnie pani Ziemska założyła nią okienko, aby go głębie nie dostały się do środka.

Za siatką palce napotkały jakieś słoiki, które, odepchnięte, poleciały z trzaskiem w dół.

W ciemnym, ciemnym wnętrzu, w jakim się znalazł, hałas spadających słoików i
pękających szkła wydawał się przerażający.

Odruchowo się cofnął.

Ale jego stopy, które już oderwały się od brzegu wózka, nie znalazły go pod sobą.

Edek musiał platformę odciągnąć.

Droga odwrotu była spalona.

Trzeba było iść naprzód.

Znowu natrafił na jakiś słoik, którego nie zdołał przytrzymać i który poleciał w dół.

Słyszał miękkie kłapanięcie zawartości i grzechot szkła.

Marcin czuł, że siedzi skulony na chwiejącej się desce, prawdopodobnie na półce w spiżarni.

Wszędzie wokoło, gdzie tylko wyciągnął rękę, natrafiła słoiki, garneczki, butelki.

Namacał brzeg półki.

Pod nią była czarna głębia, w której niewiadomo co się mogło znajdować.

Półka chybnęła się, grożąc upadkiem Marciniowi reszcie słoików.

Równocześnie usłyszał głośne psie niuchanie.

To musiała być Kaśka, zaalarmowana hałasem.

Domyślił się, że ma przed sobą drzwi do spiżarki, a za nimi po drugiej stronie stoi Kaśka, i
przytykanos do szpary.

Gdy zsunął się z półki, pies odskoczył, aż zachrząścił na podłodze jego pazury.

Wydał lękliwe warknięcie.

Po chwili jednak Kaśka wróciła pod drzwi.

Znowu węszyła,

Kasia, Kasia.

począł szeptać uspokajająco.

Cała nadzieja, że suka pozna jego głos.

Dawniej wielokrotnie przynosił jej skórki od kiełbasy i kawałki słoniny.
Wtedy witała go zawsze machaniem ogona.
Teraz także nie zaszczeakała, ale wciąż nieufnie pociagała nosem.
Marcin stał najednej nodze wśród złożonych napodłodze spizarki naczyń.
Stopa ugrzęzła w rozlanej marmoladzie.
Ręka natrafiła na ścianieną siatkę z cebulą.
Szelest cebulowych łupin sprawił, że Kaśka znowu odskoczyła od drzwi i warknęła.
W końcu odnalazł zaczepkę.
Wypchnął ją i drzwi się otworzyły.
W ciemności zobaczył błyszczące oczy Kaśki.
Suka wydała krótki szczek.
Kaśka, Kaśka powtarzał.
Musiał jak najszybciej dojść z nią do ładu, gdyż w każdej chwili mogła się na niego rzucić
lub narobić jazgotu na całym domu.
Zatrzymał się, wyłowił z kieszeni kawałek przygotowanej kiełbasy.
Wciąż mówiąc łagodnie: "Kaśka, Kaśka" rzucił go w stronę, gdzie słyszał chrobotanie psich
pazurów.
Odskoczyła.
Ale znowu doszło do goniuchania.
Kaśka wywęszyła kiełbasę.
Usłyszał łakomełykanie.
Rzucił drugi kawałek.
Tym razem poczuł sukę bliżej siebie.
Trzeci kawałek wziętą już z ręki.
Znowu zachrzęściły psie pazurki, ale już w inny sposób.
Suka machała ogonem, co sprawiało w kolebaniu całego jej zadek.
No Kaśka, a gdzie Bobik?
zapytał.
Był zdziwiony, że nie usłyszał dotąd poszczekiwania ani pisków szczeniaka.
W kuchni panowała kompletna ciemność.
Domyślił się, że okno musiało być czymś zasłonięte.
Mimo to bał się przekreślić kontakt.
Zapalił jedynie zapałkę, osłaniając płomyk dłonią.
Zobaczył przed sobą Kaśkę z głową przechyloną na bok, podniesionym nosem i merdającym
ogonkiem.
Wydawało się, że powróciła do dawnej przyjaźni.
Podał jej jeszcze jeden kawałek kiełbasy.
Kiedy poprzednio przychodził do pani Ziemskiej, kosz z szczeniakiem znajdował się
w kuchni.
Ale teraz go nie mógł zobaczyć.
Z wyciągniętymi przed siebie rękami kierował się w stronę, gdzie, jak pamiętał, znajdowały się
drzwi do pokoju.
Odnalazł je.
W pokoju było także ciemno.
Przy blasku zapałki przekonał się, że okno jest zasłonięte okiennicą.
Ośmielony, zapalił stołową lamę elektryczną.
W jej blasku zobaczył Kaśkę, która stała tuż przy jego nogach i patrzyła na niego
łakomo spojrzeniem.
Pod piecem był koszyk, ale w koszyku nie było Bobika!
Kaśka, gdzie Bobik?

zwrócił się jeszcze raz z pytaniem.
Przyjęła to obojętnie.
Merdałaogonem i czekała nanowu.

kawałek kiełbasy.

Nie miała już żadnych zastrzeżeń wobec Marcina, dała się nawet pogłaskać.

Chłopiec ukląkł przy koszyku, przesunął dłonią po wypchanej słomą powłoczce.

Była zimna.

Czyżby Bobik wywędrawał kosza i zasnął gdzieś w kącie?

Zaczął obchodzić pokój wokoło, zaglądając we wszystkie zakamarki.

Kaśka szła za nim poruszając ogonem za każdym razem, gdy obracał się w jej stronę.

Kiedy przechodził koło stołu, spostrzegł, że pod lampą leży rozłożony list.

Nie byłby do niego zajrzał, gdyby jego uwadze zwrócił fakt, że był napisany na papierze firmowym kombinatu.

List składał się tylko z kilku słów, skreślonych mało czytelnym pismem.

Pochylił się nad kartką i przeczytał:

Szanowna Pani,

Skoro była Pani tak dobra i dała Ance pieska, proszę go laskawie wydać oddawcy tego listu.

Anca ma lekką gryzę, musi siedzieć w domu, więc żeby ją pocieszyć, postanowiliśmy wziąć psa wcześniej, niż była o tym mowa.

Mam skruchy, że bierzemy takiego pięknego pieska za darmo, więc bardzo Panią proszę o przyjęcie, jako zwrotu kosztów utrzymania Ramzesa, załączonych pieniędzy.

Zupełnie już niedający się odszyfrować podpis musiał być podpisem Szawelskiego.

Marcin w porywie bezsilnego gniewu zacisnął pięści.

Więc Szawelska i jej ojciec ubiegli go!

Poczucie krzywdy, jak w nim od pewnego czasu narastało, stało się po prostu dławiące.

Miał uczucie, że coraz więcej ludzi go zdradza.

Po Ziemskiej i Kamińskiej nawet ten głupi Edek, który nie potrafił wypatrzeć, że Bobik został zabrany, i popchnął go do bezsensownej, niepotrzebnej wyprawy!

Kaśka patrzyła na niego wciąż tym samym chciwym spojrzeniem.

Gdy się odwracał, zamierała bez ruchu jedną nogą uniesioną, z czujnie nastroszonymi uszami.

Alegdy kierowała nią wzrok, zaczynała się krygować i przymilać.

Biedaczko, zabrali ci Bobika powiedział szeptem do suki.

Kaśka jednak wcale nie robiła wrażenia zmartwionej.

Merdała ogonem i wyraźnie więcej obchodziło ją to, czy chłopiec ma jeszcze dla niej kiełbasę, niż zniknięcie jedynaka.

Zgasił światło i wyszedł na schody.

Był tak załamany, że nie zachowywał wcale ostrożności.

Na szczęście dla Marcina na schodach nie było nikogo.

Dopiero gdy miał wejść do bramy, usłyszał głosy:

64

Mówię panu, że chcę przywieźć matce drzewa.

To weź worek.

Platformę będziesz ciągał?

We łbach się wam, smarkacze, przewraca.

Odstaw ją na miejsce, bo pójdę do ojca, żeby ci sprawił lanie!

Stał na schodach czekając, aż tamci skończą spór.

Było mu zimno bez płaszcza.

Dozorca użerał się jeszcze jakiś czas Edkiem, a potem kręcił się w bramie i Marcin nie mógł przedostać się na drugą klatkę schodową, gdzie mieszkał Edek. Był już bardzo zmarznięty, kiedy wreszcie zastukał do drzwi Edka.

O, rety!

witał go Edek.

Co się z tobą stało?

Już nie wiedziałem, co mam robić.

Klimczak zobaczył, że dyguję platformę, i ledwo mu się wyłgałem.

A gdzie masz Bobika?

Nie ma Bobika.

Szawelski przysłał po psa człowieka.

Powinieneś być uważać.

Cholera!

Musiałoby być rano, kiedy bylibyśmy w budzie.

Ale kazałem patrzeć bratu.

Józiek, chodź no tu.

Uszy ci poobrywam.

Daj mu spokój Marcin miał już dosyć wszystkiego nadziś.

Gdzie mój płaszcz?

Zmarzłem jak diabli.

Na dworzeciagle padało.

Deszcz przeszedł w śnieg.

Oblepiała gałęzie drzew, kładł się na drutach, które zwisały nisko pod jego ciężarem, nakrywał latarnie białymi papachami.

W blasku lamp płatki śniegu wirowały niby rój kręcących się ciem.

Błoto stawało się coraz gęstsze.

Jego gruba warstwa tłumiła hałas miasta.

10

Ledwo stanął na progu, przywitała go ciotka:

Bierz się zaraz do jedzenia.

Pośpiesz się.

Potem się przebierz w niedzielne ubranie i pójdziesz ze mną.

Ton jej głosu był tak kategoryczny, że nawet nie zapytał, dokąd mają iść.

A przecież wspólne wyjście było czymś zupełnie niezwykłym.

Zauważył, że ciotka jest ubrana w swoją najlepszą suknię.

Obiad stał gotowy w garnczkach na kuchni.

Na stole było tylko jedno nakrycie, dla niego.

Aciocia?

zapytał.

Siadaj i zabieraj się do jedzenia!

krzyknęła.

Wydawała się zła jak osa (o ile, oczywiście, osy bywają naprawdę złe).

Czy będę jadła, to nie twoja sprawa!

Nie sprzeciwiał się.

Siadł i nalał sobie zupy.

Ciotka kręciła się po kuchni, fukając.

Zdawała się spojrzeciami przynaglać

Marcin.

65.

go do pośpiechu.

Na stole leżała jej torebka, a na niej świeżachusteczka i rozpieczętowany list, ten właśnie, który wczoraj przyniósł listonosz.

Ledwo połknął obiad, powiedziała:

Zjadłeś nareszcie?

W takim razie idź się przebrać.

Dokąd idziemy?

ośmielił się wreszcie zapytać.

Zobaczysz!

ucięła.

Przeszedł z kuchni do pokoju.

Kiedy sięgnął do szafy poubranie, wzrok jego spoczął, jak zawsze, gdy znajdował się sam w pokoju, na zagranicznych rzeczach, leżących na krześle pod oknem.

Przykrywała je chustkaciotki.

Choć minęło parę dni od czasu, gdy zobaczył je po raz pierwszy, nie opuścił dotąd mieszkania.

Widocznie ciotka miała trudności z ich sprzedaniem.

Włożył granatowe spodnie i aż musiał zrobić głęboki wdech, aby je zapiąć.

Za każdym razem wydawały się ciaśniejsze.

Kiedy wciągnął na ramiona kurtkę, niepokojący trzask podpachą ostrzegł go o niebezpieczeństwie.

Ale było już za późno.

Właśnie weszła do pokoju ciotka.

Wydała żalosny jęk.

Panno Najświętsza!

Wyrwałeś rękaw!

Mówił przecież cioci, że już z tego ubrania wyrosłem.

Gdybyś nie wymachiwał rękami.

Wcale nie wymachiwałem.

Po prostu.

Ech, gadasz tylko i gadasz.

Zrobiła desperacki ruch rękami.

Patrzyła na rozerwaną marynarkę, to na wyszarpany sweter, który Marcin nosił na co dzień do szkoły.

Widocznie uznała, że niemożliwe w nim iść.

Twarz jej drgała boleśnie.

Marcin chciał ją pocieszyć.

Rzekł:

Jak się zeszyje, to jeszcze można będzie nosić.

Zeszyje!

prychnęła gniewnie.

Jej uniesione ręce opadły.

Cieężko westchnęła.

Podeszła do stosu rzeczy ukrytych pod chustką.

Pociągając nosem wydobyla dzinsy i norweski sweter.

Ubierz sięw to!

rzuciła obie sztuki Marcinowi.

Nie śmiało wierzyć.

Będą na pewno dobre zapewnił.

Nie gadaj, tylko włóż!

Rzeczywiście, i sweter, i spodnie były dobre na Marcina.
Spodnie trochę za długie, ale można je było podwinąć od dołu i to im tylko dodawało kowbojskiego sztyku.

Mówiłem, że wsamraz.

Nabrał humoru i z zadowoleniem wyginał się przed lustrem.

Ale zaraz ogarnęły go skrupuły.

Zapytał:

Czym ciocia zapłaci?

Nie twoja rzecz.

Bo ona jednak będzie na pewno chciała wiele.

Tefar-inerki to prawdziwa Kanada.

Mówię ci: nie twoja rzecz.

Zbieraj się, idziemy.

Panie Boże, gdzież tak wyświniłeś płaszcz?

Wcale nie pomyślało o oczyszczeniu płaszcza, który wczoraj zostawił w błocie, gdy wspinał się do okienka.

Wróciwszy z nieudanej wyprawy do domu, był pełen goryczy i obaw.

Gdyby był zabrał Bobika, triumf nad Szawelską byłby w nim zagłuszył niespokojną myśl, że jego pobyt w mieszkaniu pani Ziemskiej może zostać odkryty.

Ale poniosłszy klęskę, tym bardziej się tego lękał.

Z podniecenia prawie nie spał.

W szkole Edek uspokoił go: "Ty, wiesz, Ziemska rozpowiadał w domu, że koty musiały się zakraść do mieszkania i porozbijały słoi z marmoladą.

Myślała, że złodziej, ale forsabyła na wierzchu i nikt jej nie ruszył.

Skrzyczała tylko Kaśkę, że pozwoliła kociskom buszować".

Chodź do kuchni, prędko!

ciotka popędzała Marcina.

Gdzie się tak strasznie utyłałeś?

Panno święta, tak dużego chłopaka.

Jeździła po nim szczotką z taką energią, jakby go chciała obdrzeć ze skóry.

Obracaj się!

okrzykiwała szarpając nim to w jedną, to w drugą stronę.

I w takim zasmolonym palcu byłeś w szkole?

Chryste Panie, co zachłopak!

No, tymczasem będzie.

Jak wrócimy, trzeba będzie lepiej oczyścić.

Teraz nie ma czasu.

Listopadowy dzień przechodził szybko w noc.

Jeszcze przed chwilą było jasno, a nagle przyszedł zmierzch, jakby opadła zasłona.

Wilgotny mrok oblepiał drzewa, spowijał poszczerbione mury.

Jednocześnie zapalił się rząd lamp.

Ich blask odbijał się w mokrej jezdni.

Jaskrawo czerwieniły się tylne światła aut.

Kiedy przechodzili koło kościoła, ciotka trąciła Marcina i dała mu znak ruchem głowy, by wszedł z nią do środka.

O tej porze było pusto.

W ciemnym wnętrzu paliła się jedna lampa przed konfesjonalem, a koło ołtarza tliła się czerwona kulka, niby sygnal na skrzydle samolotu.

Ławka, do której weszli, trzasnęła niby wystrzał w pustej nawie.

Marcin słyszał, jak ciotka modli się prędkim, zdyszczonym szeptem.

Słowa Zdrowasiek przeplatały westchnienia.

Marcin nie mógł się modlić, zbyt wiele rzeczy go rozpraszało.

Złość na Szawelską z powodu utraconego Bobika mieszała się z radością z nowego ubrania.

Ciekawiło go, dokąd go ciotka prowadzi.

Ksiądz Wionczek nieraz tłumaczył: "Najlepsza modlitwa, kiedy nam

fi7.

trudno, kiedy trzeba się przymusić.

" Owszem chciał iUfiprzymusić, ale nic z tego nie wychodziło.

Za dużobyło w nimmyśli.

Po pięciu minutach wyszli.

Ciotka stąpała spiesznie, krótkim,drobiącym kroczeniem.

Zaraz za kościołem kończyło siędawne poniemieckie miasto, oszczędzone przez ogień i pociski.

Zaczynała się tutaj dzielnica, którauległa całkowitemuzniszczeniu.

Jeszcze do niedawnaciągnęły się ściany wypalonych domów, zawałone gruzem witryny sklepów.

Wieczoramipanovała tu budząca niepokójcisza.

Ludzie nie lubili sięzapuszczać w te strony.

Jedni balisię bandytów, inni twierdzili, że wśród gruzów można sięspotkać upiorami.

Okopconemury wydawały dziwnąwoń, przypominającą zapach grzybów wyrosłych w piwnicy.

Ale przed dwoma laty koparkii buldożery zaczęły'robić porządek.

Na miejscu spalonej dzielnicypowstały wielkie trawniki.

Środkiem ich biegłaszerokaaleja oświetlona jarzeniówkami.

W dali widaćbyło wysokie,nowoczesne bloki.

Wieczorem oświetlone domy wyglądałyjakolbrzymie latarnie.

To była nowa dzielnica, zamieszkała przede wszystkim przez pracowników kombinatu.

Kiedy ciotka wprowadziłago w aleję między trawnikami,Marcinnagle stanął.

Nieprawdopodobna myśl powstała w jegogłowie.

Ciotka nie od razu spostrzegła, że pozostał w tyle.

Odeszła trochę i wtedy dopiero odwróciła się:

Marcin!

Czemu stanąłeś?

Chodźże prędzej!

Postąpiłkilka kroków, ale tylkotyle, aby się zrównać ciotką.

Znowu stanął.

Tonemkategorycznym rzekł:

Musi mi ciocia powiedzieć, dokąd idziemy.

Chodź, nie mamy czasu chciała ominąć jego pytanie.

Nie pójdę,póki mi ciocia nie powie.

Dobrze, powiemsapnęła boleśnie.

Ale chodź.

Powiem ci w czasie drogi.

Ustał.

Ciotka nie od razuzaczęła mówić.

Czas jakiśiężkosapała.

Marcin odezwał się znowu:

Więc dokąd idziemy?

Zatelefonowałam do inżyniera Szawelskiego.

Prosiłamgo, abyzechciał z nami porozmawiać.

Nie zatrzymał się, ale zwolnił kroku.

Włożył ręce w kieszenie.

Zapytał głosem, w którym wibrował gniew:

Po co ciocia doniego telefonowała?

Czegociocia od niegochce?

Chodź.
Mam ważną sprawę.
Jaką?
 Nie zdążęci powiedzieć.
Mówił, aby być o piątej.
 "s^
 Nie pójdę!
Niechcę iść do Szawelshiego.
Nie chcę go' o nic prosić!
wybuchnął.
 Dlaczego?
 Bo nie!
Nienawidzę facetów takich jak on!
 Przecież go nie znasz.
 ; Znam jegocórkę.
Ukradła mi psa.
 Przecież to dzieciństwo.
Myślałam, że dawno zapomniałeś.
 ' Ciocia wie, że nie zapomniałem.
Nie pójdę do niego!
' Znowu się zatrzymał.
Ciotka była osobą surową i despotyczną, ale Marcin potrafił się także zaciąć w uporze.
Gdyby naniego krzyknęła, byłby zawrócił i odszedł.
Ale ona nic niepowiedziała.
Stała i w błękitnym blasku jarzeniówki chłopiec ze zdumieniem zobaczył na pociętych zmarszczkami policzkach ciotki lśniące strużki.
Nie pamiętał, kiedy widział ciotkę płaczącą.
Przeważnie zwyciężała swój żal, zanim uroniła choć jedną łzę.
Był tak zafascynowany tym widokiem, że bez słowa, ruszył przed siebie.
Szedł powoli, z rękami wkieszeniach, z głową opuszczoną.
Ciotka drobiła u jego boku.
 Musimy do niego pójść usłyszał jej głos dziwnie miękki.
Ksiądz Wionczek powiedział, że tylko on potrafi pomóc.
 Wzdrygnął się, usłyszawszy, że ksiądz Wionczek jest w towarzystwo wplątany.
 Ale w czym?
 Nagła myśl przebiegła przez głowę Marcina.
 Czy ciocia chce go naciągnąć, aby kupić tamteciuchy?
Milczenie ciotki przyjął za potwierdzającą odpowiedź.
 Może kupi.
Ma forszę.
Ale po co mnie ciocia do niego ciągnie?
 Ciotka posapywała.
Zaczął się domyślać, co to posapywanie oznacza.
 Dostałam list.
powiedziała niespodziewanie.
 Ten, co kwitowałam?
 Ten.
Wzywaj mnie i ciebie do województwa.
 Ciocię i mnie?
wiadomość była zdumiewająca.

Poco?

Weszli już między domy nowej dzielnicy.
Przedblokiem, ku któremu zmierzali, był mały placyk.
Stało na nim kilka aut.

Zielony Moskwicz należał do inżyniera Szawelskiego.
Marcin go znał.

Szawelski czasami podrzucał nim do szkołycórkę.

Ciotka rozłożyła ręce gestem obcyjmyj zwykłej zaradności.

Naprawdę, nie zdążę ci o wszystkim, powiedzić.

To cała

69.

długa sprawa.

Wierz mi spojrzła mu w oczy wierz mi, że jeżeli idę do pana Szawelskiego, to tylko dlatego.

Ale dlaczego nie dokończyła.

Nic z tego nie potrafił zrozumieć.

Czuł jedynie, że stało się coś ważnego.

Więc choć wszystko się w nim buntowało, poszedł za ciotką po wąskich schodach na pierwsze piętro.

Drzwi otworzyła służąca w fartuszkach.

My do pana inżyniera powiedziała ciotka.

Telefonowałam i pan inżynier powiedział, że będzie miał czas o piątej.

Oszklone drzwi z boku otworzyły się i stanął nad nimi Szawelski.

To pewnie pani Policka?

Tak, to ja, proszę pana inżyniera.

. ;

A to pewno Marcin?

Jak się masz?

po męsku potrząsnął dłonią Marcina.

Proszę domnie.

-

Weszli do dużego gabinetu.

Na półkach stały książki, narozsuwanym stoliku leżał nie dokończony rysunek techniczny.

Wszędzie wokoło piętrzyły się teczki, papiery, broszury.

Rolki woskowanego papieru stały podobne do puszczaków rozmontowanych organów.

Szawelski rozejrzał się, szukając wolnych krzeseł.

Wszystkie były zajęte.

Uwolnił dwa od leżących nad nimi papierów, które złożył wprost na podłogę.

Wskazał siedzenia ciotce i Marcinowi.

Trochę już znam sprawę powiedział, gdy usiedli.

Pani mówiła, że otrzymała pismo z województwa?

Tak ciotka podała Szawelskiemu list.

Czytał go zezmarszczonymi brwiami.

A więc to ma być rodzaj konfrontacji rzekł.

Musicie oczywiście jechać.

A cóż Marcin?

On, proszę pana inżyniera, jeszcze nic nie wie głosi ciotki zdawał się dygotać.

Nie powiedziałam mu jeszcze.

Czekałam, aż się ułoży.

A poza tym nie bardzo wiedziałam, jak.

Bo to, proszę pana inżyniera, nie jest takie proste.

Pewnie podrapał się w głowę.

Ale tonie dobrze.

-Patrzył na Marcina długo i uważnie.

To przecież jego sprawa.

Jego tam będą pytali.

Jego?

Oczywiście.

Tak, to niedobrze, że pani go nie przygotowała.

Wie pani co?

Zanim my powiemy, porozmawiajmy najpierw ze sobą sami.

Dobrze?

Jeżeli pan inżynier tak uważa.

Wstał, podszedł do drzwi uchyliwszy je zawołał: Renu!

Gdy zjawiała się służąca, powiedział: Proszę, niech Renta zaprowadzi młodego człowieka do Anki.

Jesteście przecież kolegami, prawda?

zwrócił się do Marcina.

Anka trochę niezdrowa, będzie ciekawa, co się dzieje w szkole.

Porozmawiamy chwilę z ciocią, potem ciebie zawołamy.

Marcin poszedł za dziewczyną, nastroszony jak jeź.

Już nie pamiętał, dlaczego uległ ciotce; był wściekły na siebie, że pozwolił się tutaj przyprowadzić.

Mają ze sobą jakieś tajemnice, myślał, a jamam iść do Szawelskiej!

Odał usta, ręce trzymał w kieszeniach.

Służąca przeprowadziła go przez jadalnię, maty korytarz i otworzyła jakieś drzwi.

Aniu, przyszedł kolega do ciebie.

Anka leżała na dywanie z podniesionymi w górę nogami.

Przed sobą miała książkę, szklankę soku i patefon.

Płyta obracała się powoli.

Nosowy, wysoki, męski głos wykrzykiwał raczej, niż śpiewał, piosenkę obcym języku.

Na brzegu tapczanu, tuż nad Anka, niby rząd widzów na galerii teatru, siedziały lalki.

Obróciła się na bok i z niedowierzaniem patrzyła na stojącego w drzwiach chłopca.

Marcin miał głowę wciśniętą w ramiona.

Jego wzrok ślizgał się nad głową Anki.

To ty?

zapytała, jakby nie wierząc własnym oczom.

Ja nie do ciebie mruknął.

Ciotka ma interes dotwój ojca.

Przyszedłem z nią.

To twój ojciec przysłał mnie tutaj.

Aha pokwitowała jego słowa.

Patrzyła na niego, ale on na nią nie patrzył.

Wodził spojrzeniem po obrazkach na ścianie.

Wiem wszystko oświadczyła.

To jeszcze bardziej dotknęło Marcina.

Ze słów, jakie ciotka zamieniła przy nim z Szawelskim, pojął, że istnieje jakaś sprawa i to sprawa dotycząca jego osoby o której tamci wiedzieli, a o której on nic nie wiedział.

Tamta mowa dorosłych była tym przykrzejsza, że wciągnięty w to był Szawelski.

Marcin czuł urazę do ciotki, że szukała pomocy u znienawidzonego człowieka.

Ale już rzeczą całkiem nie do zniesienia był fakt, że o wszystkim wiedziała Szawelska.

Rozpaprę całą swoją bandę, jeżeli już nierozpaprę myśl z gniewem.

Jak mogła ciotka tak postąpić?

Z patefonu dochodziły dźwięki, jakby pohukiwania pasterzy w górach.

Anka siedziała na dywanie, Marcin stał ciągle w drzwiach.

Siadź powiedziała wskazując mu miejsce na dywanie.
Co będziesz tak stał?

Postoję oświadczył.

Mówię ci, siadź.

Jeśli nie chcesz na ziemi, masz tamkrzesło.

W Ance odzywała się coraz mocniej instynkt gospodyni.

Masz cholernie ładny sweter zauważyła.

Z ciuchów?

Udając obojętność, wzruszył ramionami.

To widać, że zagraniczny zapewniła.

No siadaj, siadaj.

Spostrzegł, że stara się być grzeczna.

Lubisz słuchać płyt?

Tak sobie.

Ja szalenie lubię.

Leje zrobiłeś?

Nie.

Ja też nie.

Litka nie przyniosła.

Już może pojutrze pójdę do budy.

Piosenka skończyła się.

Anka wyciągnęła się jak długa, by sięgnąć do patefonu.

Zapytała przez ramię:

Chcesz posłuchać, co jest na drugiej stronie?

Jak ty chcesz.

Ale ja się ciebie pytam.

Może być.

Patefon zadzwieczał najpierw muzyką jazzową, a potem zaczęło się znowu pokrzykiwanie.

Strasznie go lubię powiedziała.

Dobrze śpiewa przyznał.

Siadź wróć do swego zaproszenia.

Ale wiesz co, zdejm buty.

Już prawie miał ochotę ulec zaproszeniu, kiedy jej ostatnia uwaga usztywniła go na nowo.

Znowu patrzył nad jej głową na niebieskie firanki, na których tańczyły słonie i ziryfany.

Powiedział:

Ja bym tu nieprzychodził, ale twój ojciec kazał tej pani.

Reni poprawiła.

Jak przyszedłeś, to siadaj.

Chcesz, puszczę jeszcze jedną płytę.

A może wolisz, abyśmy w coś zagrali?

stawała się coraz bardziej uprzejma.

Albo pokażę ci moje znaczki pocztowe.

Ostatnia propozycja przemogła.

Marcin zbierał także znaczki, ale po klasie chodziły słuchy o niezwykłych znaczkach, jakie miała posiadać Anka.

Ostatecznie propozycja zdjęć butów nie była tak bardzo uwłaczająca, skoro tego samego domagała się ciotka.

Kobiety o niczym innym nie myślą, tylko o podłodze.

Zresztą Anka jest także bezpantofli zaopiniowana

wał w duchu.

Ukląkł, zsunął z nóg buty.

Poczuł się na chwilę stropiony, uświadomiwszy sobie, że jego skarpetki są wycerowane aż do granic niepodobieństwa.

Ale zaraz pomyślał:

Mam w nosie".

Przyszedł na dywan, siadł na brzeżku, sztywno wyprostowany.

To co chcesz?

Pokaż znaczki.

Sięgnęła po klaser leżący na półeczce.

Chodź bliżej.

Nie gryzę powiedziała.

Przysunął się do niej, ale pozostał ciągle sztywny.

Była to jednak tylko postawa zewnętrzna.

Wewnętrznie Marcin dokonał zdumiewającego odkrycia, że Anka ma w sobie przeciwieństwo pociągającego.

Nigdy mu to dotychczas nie przyszło do głowy.

Była dla niego dotąd jedynie przeciwnikiem.

Za pierwszą myślą przyszła zaraz następna: dobrze by było mieć ją po swojej stronie; nie tylko ze względu na rzeczywiście niezwykle znaczki, jakie miał przed sobą.

Gdyby ona była po jego stronie, byłaby na pewno znakomitym sojusznikiem.

„Krećlibyśmy klasę, jak byśmy chcieli" rościło się Marciniowi.

Do jego grona należała także jedna dziewczyna.

Była to Zośka Buraczyńska.

Dużo silna, lubiła się bić jak chłopak i potrafiła się odezwać tak kwiecisto, że aż uszy wiodły.

Przy różnych targach okazywała się sojusznikiem niegorszym, ale zarazem jakby lekko kompromitującym.

Higienistka znalazła kiedyś w jej włosach niezbyt reprezentacyjny przychówek.

Innym razem powiedziała coś konieczności częstszego mycia się i patrzyła przy tym znacząco na Zośkę.

Zresztą Buraczyńska trzymała z grupą Marcina, ale przy każdej okazji dawała chłopcom do zrozumienia, że uważa ich za szczeniaków.

Naprawdę interesowali ją jedynie chłopcy z wyższych klas, czarowała ich pomalowanymi na czerwono paznokciami czarnych obwódkach.

Marcin właściwie jej nie lubił.

Anka wydawała się dziwnie czysta.

A przy tym nie była żadną niuńką.

Potrafiła się odciąć bezużywania słownika, który tak biegle władała Buraczyńska.

Dobrze biegała, dobrze grała w piłkę, była pierwszą w harcerskim tropieniu, nigdy nie dołała jej prześcignąć w umiejętności łapania żab czy w łowieniu ufraszek.

Była pierwszą w nauce, ale i w podpowiadaniu.

Nikommu nigdy nie odmówiła pomocy.

Wreszcie nieznacznie popatrzył na nią z boku, była chyba dość ładna.

Oczywiście nie w typie "wdechowej facetki", jakimi zachwycali się koledzy ze starszych klas, ale tego rodzaju ideały nie interesowały Marcina.

Oglądał klaser, a Anka tymczasem nałożyła nową płytę.

73.

Znaczkę pochodziły z całego świata.

Marcina oślepiła poprostu strona barwnych znaczków japońskich: napuszonych ptaków, ryb o wachlarzowatych.

ogonach.

Chociaż postanowił wyrażać swego zachwytu, nie mógł się powstrzymać, aby

nie powiedzieć:

Jakie fajne!

I te złote, hiszpańskie.

Kiedy oglądam te - kie znaczkę, mam straszną chęć tam pojechać.

Chciałbyś jeździć po świecie?

zapytała.

No..

Niczego tak bym nie chciał jak podróżować.

A wiesz, jatakże.

Cholernie chciałabym jeździć jak mój stryjek.

On był wszędzie.

Matakie zajęcia.

Te wszystkie lalkę wskazała patrząc na nich z góry galerię przywiózł mi z zagranicy.

Każdą z innego miasta.

Zawsze go proszę, aby mi opowiedział dokładnie, gdzie którą lalkę kupił.

A potem zamykam oczy i widzę Amsterdam albo Londyn, albo Rzym.

Tatek był zaraz powojnie w Rzymie i ciągle opowiada, że chciałby tam znowu pojechać.

Mówięmu, że jakby terazjechał, musi mnie wziąć ze sobą.

Każdą kupił gdzie indziej?

Marcin nagle zainteresował się lalkami.

Każdą.

Ta nazywa się Sylwia i pochodzi właśnie z Rzymu.

Była kupiona na via Nazionale.

A tego dzielca przywiózł mi niedawno z Amsterdamu.

Mówił, że jest tam takawaśka uliczka, przy której są same sklepy.

Nazywa się.

poczekaj, chyba nie przekręcę.

Kalverstraat.

Kłęczeli obok siebie patrzyli na lalkę.

Marcin całkiem zapomniał, że dziewczynka obok niego jest jego śmiertelnym wrogiem.

Właściwie była miła i tak się dobrze zaczęli rozumieć.

W tej chwili nie czuł doniej żadnej wrogości, raczej sympatię.

Mógłby tak z nią rozmawiać bez końca.

Ale nagle doszedł go jakiś dziwny dźwięk.

Zwrócił głowę stronę, skąd ten dźwięk pochodził.

W kącie coś się ruszyło.

Stało tam lalczynie łóżeczko.

Nakrywająca je kołdra zsunęła się na ziemię i ukazał się różowy, pełny brzusek, potem cztery łapki przebierające w górę, ślepki łypiące błękitnymi białkami i otwarta mordka usiłująca schwytać zębami własne ucho rozpostarte na lalczynie poduszce.

Och, Ramz się obudził!

zawołała zrywając się i śpiesząc w stronę łóżeczka.

Bobik wypowiedział głośno.

Uczucia, jakich przedchwila doświadczył, gwałtownie odpływały, powracało to, cobyło dawniej.

Ramzes poprawiła go.

Powtórzył twardo, nieustępliwie:

Bobik!

Zmierzyli się spojrzeniami.

Szare oczy Anki i błękitne Marcina, jedno i drugie pociemniałe od gniewu, zderzyły się z sobą jak dwie szpady.

Trwali w gniewnym milczeniu, a tymczasem płyta zanosila się krzykliwym śpiewem.

Szczeniako obrócił się grzbietem do góry, z rozmachem skoczył z łóżeczka, aż stuknął brodą ziemię, ale nie tracąc wesołości, w lansadach ruszył przed siebie.

Równocześnie zawołali na niego:

Bobik!

Ramzes!

Piesek na chwilę się zatrzymał.

Przysiadł tłustym tyłeczkiem na ziemi, ale zaraz dźwignął się znowu na miękkie łapki jak kula potoczyła się do Anki.

Widzisz powiedziała.

Wie, jak się nazywa.

Wcalesię tak nie nazywa.

To tyłkoty tak go idiotycznie nazwałaś!
wybuchnął.

Wzruszyła ramionami, jakby ten wyrzut bardziej ją rozśmieszył, niż oburzył.

Pewno nawet nie wiesz, co znaczy "Ramzes".

Nie będziesz mnie uczyła.

To powiedz wzięta psa na ręce, a on usiłował ją chwycić miękkim pyszczkiem za policzek.

Tobie nie będę tłumaczył.

Nie rób z siebie takiej mądrej.

Udajesz, że wszystko wiesz.

Bo wiem!

Nic nie wiesz!

Wiem!

Wiem, po co twoja ciotka przyszła do mego ojca.

Jak wiesz, to powiedz.

Nie chciałaś powiedzieć, to i ja ci nie powiem.

Nie chcesz powiedzieć, bo nie wiesz!

Wiem.

Po to, żeby ciebie nie zabrali do Niemiec.

Zgłupiałaś?

Kto ma mnie zabrać?

Jak to kto?

Twoja matka.

Idiotka jesteś.

Moja matka nie żyje.

To ty jesteś idiota i nic nie wiesz.

Twoja matka żyje i jest Niemką!

Chłopiec pobladł tak jak wtedy, gdy rzucił się na Grażynę.

Zerwał się.

Tylko ogromnym wysiłkiem woli nakazał sobie, by się nie rzucić na Ankę.

Nic nie powiedział, podszedł tylko do drzwi.
Pośpiesznie zaczął wyciągać z powrotem buty.
Nieszło mu to łatwo.
Buty były mokre i nie zdążyły jeszcze wyschnąć, sznurowadła splątane.
Marcinowi trzęsły się ręce.
Marcin powiedział.

W jej głosie była jakby prośba.

Postawiła pieskana ziemi, a on natychmiast usiłował chwycić zębami palce jej nóg.

Stała na brzegu dywanu niby na brzegu wyspy, której niemożna opuścić.

Marcin, klęcząc przy drzwiach, cały czerwony, usiłował wbić na nogi mokre buty.

Płyta nie przestawała się obracać, śpiew nie cichł ani na chwilę.

Marcin.

powtórzyła.

Nie podniósł głowy.

Rozpierała go wściekłość.

To, że zwracała się do niego miękko, proszącym głosem, zdawało się jeszcze bardziej rozpałać jego gniew.

Piesek, warcząci trzęsąc uszami, targał duży palec Anki.

Zdawała się tego nie czuć.

Śpiewak darł się jak opętany, wreszcie patefon stuknął i płyta się zatrzymała!

W pokoju zapanowała nie znana tym ścianom cisza.

W końcu włożył buty i jakoś jezasnurował.

Nie obejrząwszy się na Ankę, która wciąż stała na brzegu dywanu z psiakiem uczeponym jej nogi, wypadł z pokoju.

Minał korytarzyk, ciemną jadalnię, znalazł się w przedpokoju.

Tu także nie paliło się światło, ale z gabinetu inżyniera przez oszklone drzwi padał blask.

Marcin oparł się owiszące płaszcze, jakby nagle utracił siły.

Spoza drzwi dochodziły dźwięki rozmowy.

Zaczęła słuchać.

Mężczyzna mówił spokojnie, głos kobiety wybuchał co chwila podnieconym jazgotem.

Marcinowi biło serce: jego uderzenia rozlegały się jak stukanie młotka.

Nie mógł .

dosłyszeć, co tamci mówią.

Cicho przysunął się do samych drzwi.

Kucnąwszy, przyłożył ucho do dziurki od klucza.

Teraz słyszał.

Doszedł go głos ciotki.

Mówiła:

To by była niesprawiedliwość!

Mówi panu inżynierowi:

niesprawiedliwość.

Jak tam pojechała i tam żyje, to znaczy, jego się wyrzekła.

A teraz ma go zabrać zrobić z niego Niemca?

Mnie Niemcy wszystkich zabili.

Doskonale panią rozumiem ; powiedział mężczyzna.

Mnie także zabili wszystkich przyjaciół.

Sam siedziałem w Oświęcimiu.

Aleniestety, istnieje prawo.

Nie może być takiego prawa!

wybuchnęła.

Wychowałam, dałam z siebie wszystko.

Niczego dla siebie nie zostawiłam.

Niczego dla siebie nie chciałam.

Za to miałaby być Niemcem?

Zrobię, co będę mógł.

zaczął Szawelski.

Ale Marcin nie chciał więcej słuchać.

Cofnął się aż pod przeciwną ścianę przedpokoju.

Głosy za drzwiami stały się żwawo niezrozumiałe.

Z głębi mieszkania dochodził śpiew jakczkawka.

Wydało mu się, że słyszy stamtąd także wesołe powarkiwania Bobika.

Miał jednocześnie ochotę krzyknąć

wu i płakać.

Czuł się zdradzony, zdradzony przez wszystkich.

Nagle chwycił swój płaszcz i nie nakładając go wybiegł z mieszkania.

Pędził przed siebie, nic nie widząc.

Śnieg i lzy zasłoniły mu wszystko.

12

Lokal Rady Wojewódzkiej był brzydkim, ciężkim budynkiem.

Poprzedniczy właściciele tej ziemi wzniesli go w stylu pretensjonalnego niby zamku, który miał niewątpliwie przypominać czasy krzyżackie.

Grube mury, masywna wieża z zegarem, uczerpione ścian wieżyczki wszystko pokryte spadzistymi dachami.

Na dole ogromna, mroczna sień stanowiła przedsionek korytarza.

Szły od niej w górę kamienne, ponure schody.

Nad tablicą zawierającą objaśnienia, gdzie jaki wydział się znajduje, paliła się lampa.

Ciotka stanęła przed tablicą, usiłowała przeczytać niezbyt wyraźne napisy.

Marcin stał z boku obojętny na wszystko.

Ale naprawdę nie było w nim obojętności.

W ciągu tych paru dni walczyły w chłopcu sprzeczne uczucia.

Zamierzając uciec, z jakim wybiegł z mieszkania Szawelskich i z jakim wbiegł przez kilka godzin po zaśnieżonym mieście, przemienił się w gorzką zaciętość, gdy po powrocie do domu spotkał się z oburzoną jego ucieczką ciotką.

Stał przed nią mokry, dygocząc z zimna, ale wrogo milczał, a ona krzyczała łamującym się głosem wymachiwała ręką, w której trzymała drewnianą łyżkę.

Czekając na powrót Marcina, przygotowała ulubione przez niego kładzione kluski.

Co ty sobie myślisz?

Coty sobie myślisz?

powtarzała.

Dla głupiego psa obrażasz człowieka, który chce ci pomóc.

który chce nam pomóc.

Ja proszę, wybłagam, a ty mnie jak głupi.

Lata po zimnie, moczy nogi.

Na pewno się zaziębiłeś!

Nie zależy mi na nim!

warknął.

Nie zależy?

A któż nam pomoże jak nie on?

Wczym ma pomóc?

cisnął.

Ciocia mi o niczym nie chciała powiedzieć.

Całe miasto wiedziało, a ja nie!

Zastygła w bezruchu, zotwartymi ustami, z łyżką podniesioną w górę.

Potem mocno przełknęła ślinę.

Nic więcej nie powiedziała, tylko pochyliła się nad garnkami długo w nich mieszała.

Widział jej plecy jakby lekko drżące.
Po raz pierwszy w życiu spuścił wzrok, nie chciał tego widzieć.
Pochwili

77.

ciotka odwróciła się.

Powiedziała jużinnym, spokojnym głosem:

Przebierz się, jesteście mokry.

I zaraz przyjdź na kolację, to ci wszystko opowiem.

Wróciwszy do kuchni znalazł na swym talerzu górę miękkich po wierzchu, lecz w głębi jędrnych klusek, polanych topionym masłem, oraz kubek mleka.

Ciotka siedziała naprzeciwko.

Sama nie jadła, obierała kartofle na następny dzień.

Jej suche, rozdęte w stawach palce obracały szybko każdy ziemniak i po obraniu wrzucały do miski.

Łupiny spadały na

rozesłaną na kolanach ścierkę.

Jedz powiedziała.

Dlaczego nie jesz?

zapytał widząc, jak się niemrawo zabiera do kolacji.

Nie mam apetytu.

Możesz chory?

Nie.

To jedz.

Wiem, że lubisz.

On jednak siedział nad talerzem z głową pochyloną, tylko od czasu do czasu nabijał kluskę na widelc i niósł do ust.

Ciotka milczała, jakby jej trudno było wziąć się do mówienia.

Parę razy chrząknęła.

Wreszcie wyrzuciła z siebie.

Zawsze ci opowiadałam, że twoi rodzice nie żyją.

Nie kłamałam.

Wydawało mi się, że tak jest naprawdę.

Ale okazało się, że twoja matka nie zginęła.

Żyje.

Urwała i przez chwilę oddychała szybko, jakby wypowiedziane słowa zmęczyły ją niby forsowny bieg.

Marcin się nie odezwał.

Nie podniósł głowy.

Ręka z widelcem opadła na

stół.

Żyje podjęła i dopomina się o ciebie.

Cieszyłabym

się z tego, gdyby.

kartofel wyprysnął z jej palców, potoczył się po stole i brzdęknął na ziemię.

Marcin nie zerwał się, aby go podnieść.

Siedział sztywno w oczekiwaniu na dalsze słowa.

Ciotka znowu chrząknęła kilka razy.

Ona nie odzywała się długo, gdyż nie mieszka w Polsce.

Straciłyśmy siebie z oczu i ona także nie wiedziała, czy żyjesz.

Nie umiała nas znaleźć.

Podobno szukała, ogłaszała, obiecywała nagrody.

Gdzie ona mieszka?

zapytał ochrypłym głosem.

W Niemczech.
W Republice Federalnej.
Wyszła tamza
mąż..
A mój ojciec?
Twój ojciec nie żyje.
Kim on był?
w głosie chłopca brzmiało zniecierpliwienie.
Niemcem?
Niemcem.
Ale twoja matka była Polką.
Była?
Teraz nie mieszka w Polsce.
Ma męża Niemca.
I chce mnie zabrać do Niemiec?
Chce.
Marcin sięgnął znowu widelcem do talerza.
Kluski już wystygły.
Przełknął jedną.
..
Jaka jest.
ta..
moja matka?
zapytał.
Gdy prosiła, abym ciebie wzięła, wyglądała na dziewczynę.
Niewiele sięzmieniła przez te lata.
Pozostała młoda.
Ubrana jest elegancko, musimieć dużo pieniędzy.
Ciocia ją widziała?
Widziałam.
Była tutaj.
Ty byłeś wtedy w szkole.
Topewnieona przyniosła te farmerki i sweter, i pojazdkosmiczny.
domyślił się.
Skinęła głową potakująco.
Wsparł głowę na rękę i siedział milcząc.
Na brzegu talerzazastygły żółte smugi skrzepłego tłuszczu.
Namleku zrobiłsię kożuch.
Czy ciocia nie chce, aby ona mnie zabrała?
zapytał.
Pewno, że nie chcę podniosła na niego wzrok.
Przestałaobierać kartofle.
Zrobiłaby z ciebie Niemca.
Jest twojąmatką, toprawda.
Ale.
Żyje wśród tamtych, pogodziłasięz nimi.
Gdy mi ciebie oddawała, zabieraliją żandarmi, Niemcy, co stali obok, nie zatroszczyli się o ciebie.
Bali sięo siebie samych.
Usłyszałam, że woła po polsku.

Gdyby wołałaponiemiecku, może bym cię także wzięła.
Ale wtedy przedewszystkim myślałam, że muszę ocalić polskie dziecko.
Potem stałeś się moim dzieckiem, takim samym jak oni.
ruchem głowy wskazała drzwi pokoju, w którym na ścianie wisiały poblekłe fotografie.
Mam cię oddać Niemce?
 A ona jest napewno moją matką?
 Jest potwierdziła.
Tego nie mogę zaprzeczyć.
Jest tą, która mi ciebie dała.
Nie zmieniła się ani trochę.
Gdybym miała choć odrobinę wątpliwości.
Ale nie, to ona.
 Jeżeli jestem jej synem Marcin powiedział wolno, jakby snuł głośno myśli a ona stała się Niemką, to kim ja jestem?
 Podniósł na ciotkę pytający wzrok.
Rzekła z całą stanowczością:
 Jesteś Polakiem.
Wychowałeś się w Polsce.
Pan SzaWelski też tak mówi.
 Po twarzy Marcina przemknął grymas.
Co on tam wie!
mruknął pogardliwie.
 79.

Dużo wie powiedziała.
To mądryczłowiek.
Obiecał pomóc.
Pojedzie do województwa.
Będzie żądał, abyś tyś powiedział, czy chcesz jechać do Niemiec i zostać Niemcem.
Twierdzi, że będzie się sprzeciwiał temu, aby cię oddano
bez twojejwoli.
Tak tylko gada.
Wcale się nie będieszprzeciwiał.
Nie będzie?
Dlaczego?
Pewnie, że nie będzie.
On nie lubi takich jak my.
Szybko zamrugła powiekami, jakby usiłujączrozumieć,
o czymMarcin mówi.
Co to znaczy "takich jak my"?
Notakich, cochodzą do kościoła.
Niepartyjnych.
Poderwała się rozdrażniona.
Gadasz głupstwa!
Szawelski jest porządnym człowiekiem.
Ksiądz Wionczek też tak mówi.
W czasie wojny pracowałw gazecie podziemnej.
Był w więzieniu, torturowali go,pośleli do Oświęcimia.
Takjak Władka.
Może nawet pracowałirazem?
On nie wie, bo oni się znalazitylko z pseudonimów.
Napewno zrobi wszystko, co może, żeby cię nie oddano Niemcom.
A ty dlaczegonie zjadłeś tych klusek?
gwałtowniezmieniła temat.
Zrobiłam je specjalnie dla ciebie.
Mówiłem cioci, że nie mam apetytu.
Na pewno się zaziębiłeś.
Nie masz dreszczy?
Nie.
Zawsze lubiłeś kluski.
I lubię.
Az Szawelskim to ciocia zobaczy.
Cozobaczę.
...czy co robi naprawdę.
To ty zobaczysz, że robi.
Nie pozwoli, aby polskie dziecko poszło do Niemców, dlatego, że matka.
Nie dopowiedziała reszty.
Pociągnęła nosem, wyprostowała
się, wzięła się na nowo do obierania.
Marcin siedział jeszcze jakiś czas milcząc.
Potem cicho wstał, wyszedł z kuchni.
Prędko się rozebrał i wsunął pod kołdrę.
Ale leżał bezsennie.

Z kuchnidochodziły różne dźwięki i chroboty: ciotka stuknęła garnkami, rozszczepiała kawałki drewnana rozpalkę, sprzątała.

Potem zrobiła się cisza.

Marcin nawetnie patrząc wiedział, że ciotka uklęknęła wyprostowana z dłońmi tylko lekkoopartymina stołkui zaczęła się modlić.

Z kuchnidolatowały ciche westchnienia, sapnięcia, szeptane głośniejsłowa.

W końcu zasnął.

Śniła mu się młoda, uśmiechnięta kobieta,
która powiedziała, że jest jego matką.
Za chwilę miał ją zobaczyć.

Ta myśl podniecała go, choć
usiłowałukryć podniecenie pod grymasem obojętności.

Czymatka będzie taka, jaką widział weśnie?

Co powie?

Jak sięzachowa?

Ciotka to przez okulary, tospnad okularów patrzyła natablicę.

Porównywała nagłówek trzymanego w ręku listu z napisami.

Wydawało się, że jezwykła energia tego dniacałkowiec ją opuściła.

Była jakzagubiona w tym pełnym gwarui ruchu przedSIONKU.

Spieszący w różnestronyinteresancipotracali ją.

Jeden i drugi zapytany o wyjaśnienie tylko wzruszył ramionami i odchodził, nie dosłuchawszy nawet tego, o copytała.

Nikt nie przychodził zpomocą.

Marcin chciał pozostać obojętny, nie zainteresowany tym,co sięmiało stać.

Ale nie potrafił w tej postawiewytrwać.

Niech ciocia pozwoli wyciągnąć rękę po list.

Weż, zobacz podała mugo szybko.

Nicnie widzę, nie mogę się zorientować.

Tu ciemno, a jeszcze ten krzyk, hałas, tyle ludzi.

Alezanim kartka przeszła z drżących rąkciotki do rękiMarcina, usłyszeli za sobągłos

Szawelskiego:

No, jestem.

Co tak pani stoi i дума?

Trzebana pierwsze

piętro.

Tam już na pewno czekają.

Wziął ciotkę pod łokieć i zawrócił w stronę schodów.

Wyciągnięta rękMarcinaopadła.

Cofnął się, stanął z boku.

Szawelski obejrzał się na niego.

Chodź, Marcin.

Nie urwij się gdzieś znowu.

I pamiętaj,comasz mówić.

Chłopiec nic nie odpowiedział.

Szedł ztyłuza ciotką i inżynierem.

Znowuusiłowałprzybrać wyraz obojętności.

13

r

Więc to była matka!

Stał zdumiony, oszołomiony, wstrząśnięty.

Tak ją dobrze pamiętał z tamtej chwili, gdy zobaczył ją idącą ku niebieskiemu Mercedesowi w towarzystwie Kunkego złotowłosa królową obok kulawego krasnoludka, z którą wszyscy się oglądali!

Została w jego pamięci jej twarz podobna do twarzy żadnej innej kobiety.

Promienny uśmiech, woń perfum.

Teraz szła ku niemu zotwartymi rami, uśmiechnięta, a jednocześnie płacząca.

- Mój synek mówiła moje dziecko, mój Martin (wymawiała "Martin", a nie "Marcin").

6Marcin.

81.

Chwyciła go w objęcia, mocno przytuliła do siebie.

Czuł jej twarz przy swojej twarzy.

Znowu ogarnął go ten zapach.

Wypielęgnowane dłonie sunęły po jego ramionach.

Powtarzała:

Mój, mój Martin.

Mój synek.

Całowała go, a potem śmiejąc się płacząc jednocześnie, ścierała z jego ust i policzków ślady rozmazanej szminki.

Szeptaliśmy wucho jakieś słowa, których nie rozumiał, ale czułem ich gorące tchnienie.

Nie bronił się przed jej pieścizotami, nie odpowiadał jednak na nie.

W głowie huczało mu jak w młynie.

Tłukła się w nim jedna tylko myśl: Więc to ona jest moją matką?

W gabinecie sekretarza prezydium znajdował się obok Marcina i jego matki ciotka, Szawelski i jeszcze trzech nieznanym Marciniowi mężczyźni.

Matka Marcina zwróciła się do niego.

Nie zdejmując lewej ręki z ramienia chłopca, nie oddalając twarzy od jego policzka, zapytała twardo, trochę jakby niezbyt pewną polszczyzną:

Państwo widzicie, że to mój syn, nie?

Prawda, jak podobny?

Prawda?

Kolejno potakiwali głowami.

Kobieta musiała znać doskonale własne rysy, skoro bez lustra dostrzegła podobieństwo.

Odezwał się mały, pękaty mężczyzna, który ich witał, przedstawiając się jako sekretarz prezydium.

Podobieństwo jest rzeczywiście niezwykle.

Gdyby było potrzeba, mogłoby służyć za dowód.

Ale ze stanowiska formalnego decydującą rzeczą jest świadectwo pani Polickiej, że panią poznała.

Zwrócił się do ciotki.

Pani nie zaprzecza temu, że obecna tutaj pani Małgorzata Bredel jest tą samą osobą, która przed laty powierzyła pani chłopca podczas przeprawy na Zalewie Szczecińskim?

Głos ciotki zabrzmiał obco, chrypliwie:

Nie będę kłamała.

Od razu poznałam.

I pani nie widziała pani Bredel od tamtego czasu?

Nie.

Nawet na filmie czy na fotografii?

Na jakim filmie?

Ależ pani Bredel jest aktorką!

wykrzyknął, jakby zdumiony, że ciotka może tego nie wiedzieć.

Słynną nabrała świat aktorką.

Jej fotografie widywaliśmy w pismach.

Choć muszę stwierdzić zauważył z pełnym galanterii ukłonem nie dorównują rzeczywistości.

Odpowiedziała mu czarującym uśmiechem.

Mam nadzieję, ciągnął z szarmanckim poszurgiwaniem nóg że niedługo będziemy mogli zobaczyć jakiś film

"fifz panią.

Niestety zrobił dłońmi gest usprawiedliwiający żaden z pani filmów nie był nas dotąd wyświetlany.

Co pan teraz będzie kręcić?

Już nakręcam.

Ledwo udało mi się wyrwać, aby przyjechać po Martina.

Zaraz musimy wracać.

Dlatego chciałabym wszystko szybko załatwić.

Załatwimy piorunem zapewnił ją.

Zwrócił się do ciotki.

Więc pani nawet nie widziała pani Bredel na fotografii?

Nie oglądam fotografii.

Niemam na to czasu.

Myślałam, że ona nie żyje.

Zabrali ją żandarmi!

, a ci, których oni zabierali, zwykle nie wracali.

Ale kiedy do nas przyszła, od razu ją poznałam.

Tak, pani Polickamnie poznała powiedziała matka Marcina.

Wciąż stała obok chłopca obejmując go ramieniem, Ale pani Policka nie pozwoliła, abym zobaczyła mego syna.

Nie chciałam się nawet zgodzić, abym zostawiła rzeczy, które dla Martina przywiozłam.

Ja jestem jej bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiła dla niego, i chętnie zapłaciłabym za kłopoty i wydatki, jakie miała.

Ciotka zrobiła się czerwona na twarzy i chrząknęła groźnie.

Co mi tu ona będzie gadać o płaceniu!

powiedziała.

Nie chciałam, aby widział chłopca, to prawda.

I byłoby najlepiej, gdyby w ogóle nie przyjeżdżała.

Jest matką, tego jej nie zaprzeczam.

Ale kiedy mi oddawała dziecko, była Polką.

Mówiła po polsku.

Teraz jest Niemką.

Wyszła za Niemca.

Ja Marcina wychowałam na Polaka.

Moje własne dzieci Niemcy zabili.

Ona jest może sławną aktorką, jak pan sekretarz mówi, ale zrobiła się Niemką.

To jej sprawa.

Dlaczego jednak ma brać chłopca i robić z niego Niemca?

Odezwał się mężczyzna, wysoki, z wielkim, krogulczym nosem.

Pan sekretarz pozwoli, że powiem kilka słów, jako adwokat pani Bredel.

Otóż chciałbym przypomnieć, że pierwszym mężem pani Bredel, Heinz Boehmke, był Niemcem.

Żoną po mężu, a syn po rodzicach posiadają prawnie obywatelstwo niemieckie.

Sekretarz zwrócił się do matki Marcina:

Kiedy pani wyszła pierwszy raz za męża?

W czterdziestym trzecim.

Miałam wtedy siedemnaście lat.

dorzuciła, jakby się usprawiedliwiając.

Gdzie się odbył ślub?

W Schrimm.

W Śremie poprawił twardo Szawelski.

Matka Marcina.

""w

szybko skinęła głową i uśmiechnęła się, jakby chciała tym uśmiechem prosić o przebaczenie za swą omyłkę.

Przed wojną mieszkała pani w Gdańsku?

wypytywał sekretarz.

Tak, w Gdańsku.

Nie była pani po wojnie w Polsce?

Nie.

Dawno pani wyszła za pana Bredla?

Niedawno.

Dopiero cztery lata.

Czy pani ma dzieci z drugiego małżeństwa?

Niemam.

Martin jest moim jedynym synem.

Ja o tym mówiłam tam, w Warszawie.

Bardzo prosiłam.

Ja nigdy nie byłam przeciwko Polsce.

I mój mąż także nie był.

Niech panowie się jego spytają wskazała na łysego mężczyznę, który stał w pokoju, nie zabierając głosu.

Niech pan zapyta pana Bredla sekretarz zwrócił się do adwokata czy był przed wojną członkiem partii hitlerowskiej?

Mężczyźni wymienili ze sobą kilka słów po niemiecku.

Adwokat wyjaśnił:

Oczywiście pan Bredel członkiem partii nie był.

Ale pan służył w wojsku?

Szawelski zwrócił się prosto po niemiecku do Niemca.

Pan chyba wie, że wszyscy musieli służyć odpowiedzią!

Bredel.

I walczył pan tu, w Polsce?

Nie, we Włoszech.

Zapanowała cisza.

Sekretarz odpowiedział ugrzecznym uśmiechem na pytający uśmiech matki Marcina, podrapał się głową trzymanym w ręku ołówkiem i skinął na Szawelskiego.

Obaj odeszli w kąt pokoju i coś ze sobą cicho rozmawiali.

Marcinowi wydało się, że się o coś spierają.

Widział także, że oczy ciotki spoczęły niespokojnie na twarzy inżyniera.

Bredel poczęstował adwokata cygarem, obaj otoczyli się kłębaminiębieskiego dymu.

Matka zdjęła rękę z ramienia Marcina.

Podeszła do męża.

Coś do niego mówiła, ale nie przestawała patrzeć na syna.

Uśmiechnęła się do niego.

Marcin jednak zachowywał powagę.

Wszystko, co się tutaj działo, było dla niego wstrząsem, prawdziwym trzęsieniem ziemi.

Nad nim raczej ścierały się racjami.

Nigdy jeszcze Marcin nie czuł się taki mały i bezradny jak w tej chwili.

Jakieś siły walczyły o niego, on zaś coraz mniej umiał dać sobie sprawę z tego, co go pociąga, a co odpycha.

Niechęć do Szawelskiego walczyła w nim zmi-
łością do ciotki, wrosływ brew sprzeciwwobec wszystkiego,co niemieckie z
uczuciami,jakie budziław nim matka.

Matka.

Tyle razy wyobrażał sobie, żejednak żyje i przychodzi po niego.

I rzeczywiście przyszła ze świata snu czyteż ze świata czarów.

Ibyła taka, jaką sobie wyobrażał.

Możenawet rzeczywistość przerosła marzenie?

Sekretarz przestał rozmawiać z Szawelskim.

Zwrócił się domatki Marcina:

Sądzę zapytał że posiada pani dostateczne środki,aby utrzymać syna.

Roześmiała się srebrzyście.

Mamy dosyć, na pewno.

Jemubędzie u mnie dobrze.

Będzie jeździł po całym świecie.

Będzie mu lepiejniż tutaj.

Będzie zawsze ładnieubrany.

Dostanie skuter, potem auto.

Co tylko będzie chciał.

Ja wiemdorzuciła pośpiesznie że Polska jestbardzo zniszczona i że dlatego nie można tu kupić
rzeczy pięknych.

Ale u nas można.

I on to wszystko dostanie.

Nie chodzi o kupowanie ładnych rzeczy odezwał sięSzawelski.

Sekretarz zrobił gest,jakby gochciał zatrzymać,ale inżynier mówiłdalej: PaniPolicka nie jest,
to prawda,osobą zamożną.

Marcinowimogło przez te lata wielu rzeczybrakować.

Ale jednego muna pewno nie brakowało: opieki serca.

Ja wiem, jawiem zapewniła matka Marcina.

Jaod razu mówiłam.

Ja chciałam dać pani Polickiej piękną pamiątkę.

Pani Policka Szawelski przerwał jej dała chłopcuserce.

Byłamu nie tylko opiekunką.

Była mu matką.

Prawdziwą matką.

Pani jestmatką z prawa.

Ma pani za sobą przepisy prawne.

Ale musi pani zdać sobiesprawę z tego, że między tym dwojgiem powstały więzy, jakie nie
istnieją między panią aMarcinem.

Odwołuję się do pani serca.

Jest takahistoria odwóch matek, które stanęłyprzed sądem królaSalomona.

Sekretarz chrząknął:

Słuchajcie, towarzyszu.

zaczął.

Szawelski nie dał sobie przerwać.

Pani na pewno wie, jakto było z tymi matkami?

zapytał.

Przecież chodzi odobro chłopca.

Ja wiem, jak było z tymi matkami głos matki Marcinazacząłdrzeć.

Ale niepojmuję, czego pan chce.

Jej piękneoczy zaszyły łzami.
Toprzecież mój syn.
Moje dziecko.
Jagotyle lat szukałam.
Pan mówio dobru.
Przecież takiego do.

bra, jakie ja mu dam, nie będzie miał nigdzie.

Proszę pana obróciła się do sekretarza, jakby szukała u niego ratunku proszę pana, pan mówił, że władze polskie będą respektowały prawo matki; że tu u was jest prawo.

Naturalnie!

Oczywiście, że jest prawo zapewnić.

Inżynier Szawelski mówi tylko od siebie.

Towarzyszu.

znowu zwrócił się do Szawelskiego.

To prawda rzekł Szawelski mówię tylko od siebie.

Od siebie proszę, aby pani pomyślała o dziecku.

Ależ ja ciągle o nim myślę.

Od lat myślę.

Jachcę, żeby on był szczęśliwy, żeby mubyło dobrze.

Jeżeli pani tak myśli podjął Szawelski niech pan się zgodzi, aby jego zdanie zadecydowało.

Zdanie Marcina.

To tylko chłopiec, ale już dość duży, aby wiedzieć, z kim chce pozostać: z panią czy z ciotką. Czy chce żyć w Polsce, czy w Niemczech.

Patrzyła na niego mrugając szybko wielkimi rzęsami, jakby z wolna uświadamiając sobie sens jego słów.

Pan chce, aby Marcin sam powiedział?

Tak.

Chcę, aby pan nie dochodziła swego prawa siłą.

Opuściła wzrok.

Trzymała dłonie uniesione i pocierała lekko siebie swe długie palce zakończone wypielęgnowanymi paznokciami, jakby chciała z nich zebrać jakiś niewidzialny pył.

Potem nagle przyklęła.

Szeroko otworzyła ramiona, jak matka, którym gestem zachęca dopiero zaczynające chodzić dziecko do zrobienia pierwszych samodzielnych kroków.

Martin!

zawołała.

Martin!

Jej głos dygotał z ucieszeniem, jej palce przywoływały, jej pierś falowała.

Czy chcesz pojechać ze mną?

Czy chcesz być moim dzieckiem?

Marcin patrzył na matkę szklanym wzrokiem.

Trzęsieniem trwał nadal.

A może to była ogarnięta szaleństwem karuzela obracająca się coraz szybciej i szybciej?

Ta kobieta przed nim była jego matką.

Mówił o tym każdy jej ruch, ton głosu, wszystko.

Matką, która go wołała, tak jak go nieraz wołała we śnie.

Właśnie tak, zupełnie tak.

Jego wzrok był jak przykuty do klęczącej kobiety.

A jednak oderwał się od niej, pobiegł kuciotce.

Stała w głębi pokoju.

Ona nie patrzyła na niego.

Niewołała go wzrokiem.

Twarz miała ukrytą w chustce, która zsunęła się jej z głowy i tworzyła wokół policzków wysoki kołnierz.

Marcin chciał na nią zawołać, poprosić, by spojrzała na niego.

Ale właśnie wtedy stanął przy ciotce Szawelski.

Na twarzy mężczyzny widać było gniewne napięcie.

Wyraz twarzy zdawał się mówić: Marcin, pamiętaj o ciotce!

W tym wezwaniu był rozkaz.

Tamten robił wrażenie kogoś,

T

kto usiłuje narzucić swoją wolę.

Poprzez pionową zmarszczkę na jego czole Marcinowi wydało się, że widzi Bobika

staczającego się z lalczego łóżeczka.

Nagle wszystko znikło pozostał ślepy gniew.

Powiedział nie tak, jakby odpowiadała wezwaniu matki, ale jakby rzucał swoją odpowiedź

prostotwarz mężczyźnie:

Pójdę z matką.

Część druga

Powiedział, że chce mu się pić.

Otton natychmiast przywołał kelnera w smokingu barwy świeżo spadłego śniegu, ze złotymi guzikami, i wydał mu polecenie.

Z nieprawdopodobną szybkością pojawiła się przed chłopcem charakterystyczna butelka, lekko jakby pod naciskiem dłoni wklęsała w środku.

Czarnozielony musujący płyn nalany do szklanki był tak zimny, że szkło pokryło się miękką mgiełką.

Patrzając coca-colę patrzył w okno.

Z Ottonem trudno było rozmawiać, znajomość niemieckiego ograniczała się wciąż jeszcze do kilkunastu słów.

Pod oknem był kanał; sunęły po nim długie motorówki o przezroczystych dachach.

W motorówkach siedzieli kolorowo ubrani ludzie i rozglądali się ciekawie na wszystkie strony.

Kobieta stojąca na przodzie obok motorniczego coś właśnie mówiła, wskazując na restaurację, w której znajdował się Marcin.

Matka obiecała, że wieczorem jadą miasto jedną z takich motorówek.

"W środę będę miała cały wieczór wolny zapewniała.

Będziemy cały czas razem.

"Dziś był właśnie środa.

Wzdłuż kanału biegły wąskie uliczki, zastawione parkującymi samochodami.

Auta stały nad samym brzegiem, a ich przednie koła prawie wisały nad wodą.

W taki sposób Otton zaparkował swój Mercedesa.

Marcin próbował wytłumaczyć ojczymowi, że wóz może się stoczyć do kanału.

Ale Otton tylko się roześmiał i lekceważąco machnął ręką.

Coś powiedział, a z jego niezrozumiałej gadaniny Marcin wyłowił tylko dwa słowa: "Pięćdziesiąt marek".

Przekonał się, że ojczym jest człowiekiem zupełnie sympatycznym.

Na początku Marcin patrzył na niego nieufnie.

Podświadomie drażniło go to, że mężczyzna jest Niemcem, że

mówi tylko po niemiecku.

Ten język brzmiał odpychająco.

Wydawał się nie obcą mową, ale wrogim krzykiem.

Powoli Marcin zaczął się przyzwyczajać do niemieckiego.

Zupełnie inaczej brzmiał on w ustach matki.

Marcin żył ciągle pod jej okiem.

Przypominała wróżkę, która przysłała kopciuszkę.

Był dumny z tego, że jest taka piękna, sławna, że zwraca na siebie uwagę, gdziekolwiek się pojawi.

Gdy matka zachęcała go do nauki niemieckiego, postanawiał, że się do niej weźmie z całym zapalem.

Tymczasem rozmawiając z nią, mówiła po polsku.

Zauważył, że popełnia błędy.

Śmiała się wesoło, gdy ją poprawiał: "Ależ dobrze, dobrze, kochany odpowiadała, gdy jej na popełniony błąd zwracał uwagę.

Trzeba, abyś mi zwracał uwagę".

Gdyby mógł być z nią dłużej!

Ale ona była ciągle zajęta.

Całymi dniami spędzała w atelier filmowym.

Otton miał więcej czasu.

Na parę godzin chodził coś załatwiać, potem wracał do hotelu.

Wtedy zabierał Marcina, aby mu pokazać miasto.

Właśnie przed chwilą przyjechali z muzeum tropików.

Liczne sale, zawierające okazy ze wszystkich egzotycznych krajów, otaczały kręgiem marmurowy hali wznoszący się piętrami kolumn.

Niestety Marcin niewiele potrafił zrozumieć tego, co oglądał.

Nie rozumiał ani holenderskich objaśnień, ani słów Ottona.

Czuł zawrót głowy od oglądania tajemniczych roślin, wykrzywionych bożków, prymitywnych narzędzi, dziwacznych zwierząt, oszalałymi ornamentów.

Przy wyjściu znajdowało się stoisko z fotografiami i Otton zrobił zapraszający gest.

Nie był skąpy taki gest powtarzał stale.

Czasami wyjmował pieniądze i wciskał je po prostu rękę chłopca.

Marcin wybrał sobie kilka fotografii.

Była wśród nich fotografia drewnianych bożków z Gwinei, stojących jedna na głowach drugich, przez co tworzył się wysoki, kilkumetrowy słup; bogowie na szczycie siedzieli okrakiem na wycinanym w piękny ornament grocie.

Tę pocztówkę Marcin przeznaczył dla Tomka.

Inna fotografia przedstawiała głowę dziewczynki ubranej w przebogaty strój tancerki z wyspy Bali.

Dziecinna buzia o wielkich, ciemnych, szeroko rozstawionych oczach przykuła jego uwagę. Delikatne brwi uniesione były w górę, a jednak nie wyrażały zdumienia, raczej spokojną mądrość.

Ta twarz przypominała mu kogoś, choć nie umiał.

sobie uświadomić, o kogo chodzi.

Chwył Ottona za rękaw i wytłumaczył mu na migi, że chce od razu napisać jedną kart.

Na fotografii, przedstawiającej gmach muzeum, napisał do ciotki: "Kochanociociu, jestem w Amsterdamie, oglądam bardzo ciekawe rzeczy.

Teraz byłem w muzeum, a wieczorem mam pływać po kanałach.

Bardzo ciocię pozdrawiam".

Takie kartki, krótkie i rzeczowe, pisał często.

O nic w nich nie pytał.

Nie wiedział, jak będzie wyglądała korespondencja między nim a ciotką.

Choć mijał już trzeci miesiąc od wyjazdu z Polski, żaden dotąd list od ciotki nie dotarł do Marcina.

"Listy.

'^,f

idą długo tłumaczyła mu matka a poza tym jesteście przecież ciągle w podróży.
Być może w Düsseldorfie czeka już na Ciebie jakaś wiadomość.

" Rzeczywiście w Düsseldorfie mieszkali zaledwie tydzień, potem zaraz rozpoczęła się wędrownia po Europie.

Z Tropenmuseum przyjechali prosto do restauracji.

O tej porze było tu pusto.

Stoliki stały majestatycznie w swej białości, połyskując metalem lampek krytych abażurami.
Służba snuła się bezszelestnie, gotowa do usług: wykonywała zlecenia szybko, a jednak bez pośpiechu.

Tu w restauracji mieli się spotkać z matką.

Ona jednak spóźniła się.

Otton, widząc głodniały, kazał sobie podać piwo i talerz zimnych mięs.

Widok półmiska z plasterkami krwistoczerwonej polędwicy płatami szynki, cieniutkimi, nastroszonymi podobnie do rozpękniętych pączków róży, obudził także apetyt w Marcinie;
również ciemny, równo pokrajany chleb.

Ale mimo zachęcających gestów ze strony ojczyzny i usłużnych ruchów kelnera potrzęsał przecząco głową.

Postanowił czekać na matkę.

Toprzeć by była środa!

Poprosił tylko o coca-cola.

Zaczęło się ściemniać.

Za kanałem stały domy, wszystkie tej samej wysokości.

Były wąskie, miały najwyżej po trzy, cztery okna na szerokość.

Na dole znajdował się zwykle mały ganek ze schodkami, u góry wieńcząca dom trójkątna piramida.

W środku piramidy był otwór, z którego sterczała gruba belka z hakami.

Otton wyjaśnił Marciniowi, że przy pomocy tych haków wciągano do domów przez okno meble i inne większe przedmioty.

Kiedy się spoglądało z dołu na te belki, wyglądało to jak zaczątek konstrukcji dachu, który miał być rozpięty nad ulicą.

W oknach domów zapalały się światła.

Nigdzie nie było zasłon.

Bez trudności można było zajrzeć do wnętrza.

Widać było pokoje pełne mebli, dywanów, obrazów.

W każdym prawie oknie na parterze dostrzec można było głowę kobiecą.

Jedne z kobiet wyszywały, inne szydełkowały, a jeszcze inne prosto wyglądały na ulicę.

We wnętrzu domu, niby jego dziwaczny kręgosłup, biegły wąskie, kręcone schody.

Zaczynała się pora posiłku.

Nakrywano do stołu.

Pojawiły się białe, a częściej kręciaste serwety; kobiety niosły tace, na których niezliczone naczynia połyskiwały metaliczną, oślepiającą czystością.

Zapalały się także witryny sklepowe.

Blask bił od budek z pamiątkami, wśród których przeważały porcelanowe wiatraczki i mosiężne naczynka.

Pozostawili auto nad kanałem i szli w stronę restauracji.

Marcin, idąc obok Ottona przez zatłoczony plac, na którym stała malutka, ale starodawna w kształcie budowla, powoli wypowiedział pytanie, starannie przedtem ułożone w głowie:

Wissen Sie nicht wo Kalverstrasse ist?

Otto spojrzawszy zaskoczony na chłopca, potem roześmiał się i kiwnął głową.

Poprowadził go na wąską, gęsto nabitą sklepami uliczkę.

Można było wędrować tędy godzinami od wystawy do wystawy i wciąż mieć coś do oglądania.

Marcin zatrzymał się dłużej przed sklepem z zabawkami i Otton zaraz pociągnął go do środka.

Głównymi pokazywał mu żołnierzy historycznych w mundurach i niezliczone auta, od

starodawnych, o śmiesznych, antycznych już kształtach do modeli

najnowocześniejszych wozów.

Ale wybuchnął śmiechem, gdy zobaczył, że oczy Marcina uciekły od aut i wędrują wzdłuż półek, na których siedziały rozmaitego kształtu i wymiaru lalki.

Puppen?

śmiał się.

Co też ty wymyślasz?

Lalki są tylko dla dziewczyn.

A ty jesteś chłopcem.

Jego wesołość udzieliła się sprzedającym, dwóm ładnym paniom o starannie wymanikiowanych paznokciach.

Ale jedna z nich, odpowiadając na gest Marcina, zdjęła z półki rudowłosą lalkę.

Nein, nein, mówił Otton.

Zostaw lalki.

Patrz na ten pojazd.

Kosmiczna rakietka, rozumiesz?

Ostatecznie skończyło się na kupieniu rakietki kosmicznej, opatrzonej skomplikowanym mechanizmem.

Marcin zgodził się na to, aby uniknąć dyskusji z Ottonem.

W rzeczywistości wcale nie miał chęci na tę zabawkę.

Entuzjazm, z jakim przed kilkoma miesiącami witał pojazd księżycowy, przywieziony przez matkę do Polski, obecnie całkowicie zgasł.

Widział tutaj zbyt wiele zabawek.

I wszystkie były dla niego dostępne.

Wystarczyło wyciągnąć rękę, a kupiono by mu każdą.

Przeszli jeszcze kawałek dalej tą ciekawą ulicą.

Naprzeciwko małego kina, obok którego umieszczono fotosy przedstawiające obłożonych żołnierzy sceny zacieklej walki, kopano fundamenty pod nowy dom.

Marcin patrzył ciekawie na robotników, wlewających cement w formy.

Wykop był głęboki na kilka pięt pod poziomem ulicy.

Mały buldożer na samym dole wyrwał z ziemi pale, na których niewątpliwie wspierała się poprzednia budowla.

Matka późniejszą Marcina widział, jak Otton kilka razy spoglądał na zegarek, po czym melancholijnie potrząsał głową.

Po każdym takim spojrzeniu zsuwał na swój talerz nową porcję.

cję wędlin.

Marom czuł coraz większy głód.

Choć sam odznaczał się wcale niezłym apetytem, musiał podziwiać, jak wielepotrafi zjeść jego ojczym.

Matka śmiała się zniego i usiłowała go powstrzymać przed nadmierną żarłocznością.

Ustępował jej, jak zresztą we wszystkim, ale żałośnie wzdychał.

Przedspaniem sięgał zawsze po medykamenty.

Nie było wieczoru, aby Marcin nie widział, jak rozpuszcza w szklance wody musującą tabletkę Alka-Seltzer.

Matka niekładała się także bez lekarstwa.

Wracła z atelier wieczorami, śmiertelnie zmęczona.

Już na progu pozbywała się pantofli, zdejmowała suknię, rzucała się na kanapę.

Leżała czas jakiś z zamkniętymi oczami, znieruchomiła.

Ale po kwadransie żądała wody.

Wyławiała ze swej torby małą fiolkę, łykała pastylkę.

W dziesięć minut potem była znowu pełną życia.

Wołała na Ottona, aby się przebierał, gdyż muszą wyjść.

Podczas gdy brała kąpiel, ojczym stękając nakładał smoking.

"Kładź się, synku, spać" mówiła do Marcina.

Wróćmy późno.

Ach mój Boże, kiedy ja wreszcie będę miała czas dla siebie!

W każdym razie w środę wieczorem będziemy razem.

Pa, pa, kochanie!

"

Marcin jadł sam kolację, oglądał telewizję, a potem szedł spać.

Wracali rzeczywiście późno.

Matka pochylała się nad nim, klękała przy łóżku.

Całowała go, aż musiał się obudzić.

Gdy tylko zobaczyła, że otwiera oczy, siadała przy nim, trzymała go za rękę, gładziła po twarzy.

Otaczała ją woń perfum, pudru, kosmetyków, alkoholu.

"Ach, mój kochany, żebyś ty wiedział, jak twoja matka jest zmęczona" skarżyła się.

Strasznie mnie boli głowa.

I oczy mnie pieką.

Eryk znowu był dziś bardzo wymagający.

A jaki dokuczliwy!

Tyle razy kazał powtarzać każdą scenę.

Dłonią Marcina gładziła się po policzku.

Pożalujtwoją biedną mamusię.

"

Eryk Wendell to był reżyser.

Marcin widział go już dwarazy i od pierwszej chwili czuł do niego niechęć.

Był to drobny, chudy mężczyzna, łysawy.

Nosił ciemne okulary, których prawie nigdy nie zdejmował, ustami wyczytniał nieustannie grymasy; nawet gdy się śmiał, wyglądało, że płacze.

Duże, flaczaste wargi odkrywały żółte zęby, w których trzymał stale fajkę.

Matka narzekała na niego, kiedy jednak była w jego towarzystwie, nie przestawała się do niego uśmiechać, on zaś klepał ją po ramieniu lub kładł jej na plecach pociętą drobnymi zmarszczkami dłoń.

Potem matka wstawiała, szłapowłócząc nogami do swegopokoju.
Słyszał, jak woła do Ottona:
Przynieśmi wody.
Prędko.
Muszę coś wziąć na spanie.
Mój kochany synek.
Spóźniłam się, prawda?
Ciepłe, znane już dłonie objęły go od tyłu.
Poczułmiły oddechna włosach.
Matka zjawiała się, gdy stał w oknie, zapatrzone w zapalające się światła i wzbierający ruch uliczny.
Siedliobok siebie i zaraz wszystko nabrało blasku i radości.
Matka wyszukiwała potrawy, egzotyczne i dziwaczne.
Jakieś krabiki, ślimaki, żabie udka.
Namawiała na to samo Marcina, a on, chociaż bez zapału, słuchał jej rad.
Kelnerzy uwijał się wokół ich stolika.
W srebrnym kufelku pełnym lodu stały butelki wina.
Otton zamawiał dla siebie wielkie kawały mięsa w ciężkim sosie.
Restauracja wypełniła się ludźmi.
Ale dawało się to tylko wyczuć, gdyż sala pogrążona była w mrok, a na każdym stoliku paliła się lampa.
Więc będziemy dziś pływali po kanałach?
pytał Marcin.
Prawda, mieliśmy pływać!
przypomniała sobie.
Rzeczywiście.
Oparła głowę na rękę i kłopotliwie przesuwała palcami po brodzie.
W takim razie zrobimy to zaraz po obiedzie zdecydowała.
Wieczorem, muszę wyjść.
Żebyś wiedział, kochanie, jak męczą twoją matkę!
westchnęła.
Pieszczotliwie dotknęła końcówki nosa Marcina.
Przez chwilę coś mówił z Ottonem.
Mężczyzna westchnął.
Znowu wróciła do rozmowy z synem:
Podobno Otton pokazywał ci szlifiernię diamentów.
Owszem, byli tam tego ranka, ale to wcale nie zainteresowało Marcina.
Mała grupa widzających, otoczona przez uśmiechnięte i eleganckie, ale czujnie patrzące urzędniczki, szła wzdłuż stołów, przy których pracowali specjaliści.
Każdy z nich miał przed sobą jakby dużą misę, nad którą zwisała drucina bór szlifierski, przypominający dentystyczną maszynę do wiercenia.
W palcach szlifierza znajdowała się maleńka, prawie niewidoczna grudka.
Człowiek na krótką, trwającą ułamek sekundy chwilę przykładał doniej maszynę zaraz, włożywszy w oko lupę, starannie przyglądał się diamentowi.
Marcin widział, jak jednemu ze szlifierzy grudka wymknęła się z palców.
Ale odnalazł ją zaraz na dnie misy.
Z grupy turyistów szła dama udzielająca objaśnień.
Mówiła bardzo prędko, raczej wykrzykiwała, niż mówiła.
Każde jej zdanie musiało być rewelacją wywoływało szmer wśród słuchających.
Ale Marcin niczego z tego, co objaśniała, nie rozumiał.

Na zakończenie zaprowadzono ich do oszklonych gablot, w których leżały diamenty wielkie jak ptasiejaja.
Jedną konwojującą gości urzędniczek przyniosła w wyścielą.

nym pudełku kilka oprawnych diamentów.

Prawdopodobnie proponowała kupno.

Otton o coś ją długo wypytywał.

Marcinnie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyjdą.

To nieciekawe.

Zato potem byliśmy w muzeum tropików i to było w dechę.

W dechę?

Czy tak powiedziałaś?

Co to znaczy?

Znaczy, że fajne.

Kelnerzy zrywali się, zmieniali talerze, nakładali potrawy ręcznymi, okrągłymi ruchami.

Matka rozmawiała z ojczymem.

Niektóre słowa potrafił już zrozumieć.

W rozmowie często powtarzało się imię "Eryk".

Mówili niewątpliwie o reżyserze.

W sobotę wyjeżdżam powiedziała matka do Marcina.

Dokąd?

Wrócimy najpierw do domu.

Będę miała kilkadziesiąt dni odpoczynku.

A potem jedziemy do Włoch.

Cieszysz się?

Cieszę.

Strasznie lubię podróżować.

Bałam się, że trzeba będzie zostawić cię w Diisseldorfie, abyś chodził do szkoły.

Ale ten nauczyciel, który cię egzaminował zaraz po przyjeździe, powiedział, że jesteś dobrze przygotowany i trzeba tylko, abyś wprawił się w niemieckim.

Więc zdecydowaliśmy, że tego roku chodzić do szkoły nie będziesz.

Stracisz rok ale to nic.

Za to zobaczysz trochę świata.

Jesteś zadowolony?

No, pewnie.

Zamrugała powiekami.

Zauważył, że matka nie rozumie niektórych jego wyrażeń.

Ale patrząc na niego poznawała sens wypowiedzianych słów.

Zaśmiała się, jakby teraz dopiero pojęła jego odpowiedź.

Kiedy się śmiała, była najpiękniejsza.

Choć siedząc w zamkniętym kręgu blasku rzucanego przez stojącą na stole lampę, byli jakby odcięci od reszty sali, Marcin już przedtem dojrzał, że głowy ludzi siedzących obok są skierowane w ich stronę.

Musieli patrzeć na nią, podziwiać.

Wreszcie wstali.

Oczom Marcina nie uszedł szybki i dyskretny gest, jakim Otton zapiął guziki na brzuchu.

Zawsze je rozpiął podczas obiadu.

Służba kłamała się i odprowadzała ich, odzwierny wczorwonej liberii otworzył przed nimi szeroko drzwi.

Owiało ich rześkie powietrze, miękkie od przesycającej je wilgoci.

U nas, myślał Marcin (nie mógł się jeszcze oduczyć nazywania inaczej kraju, który opuścił), na pewno leży śnieg i jest zimno.

Tutaj czuło się wiosnę.

Pąki drzew, pochylonych nad kanałami, były już ogromne.

Nie musieli iść daleko, przystań motorówek znajdowała się poblizu hotelu.

Wsiedli doczekającej łodzi.

Wnętrze urządzone było jak w autobusie: rzędy miękkich, wyściełanych skórą foteli.

Ale trzeba było poczekać, aż się motorówka zapełni.

Nadnimi kołysały się brzegi kanału.

Wędrujące błyskiskały po chromowanych zderzakach zaparkowanych aut.

W górze dzięki blaskowi rzucanemu przez lampy krzyżowały się gałęzie drzew, uwypuklały się i odcinały od tła nieba niby żurowe sklepienie.

Wreszcie ruszyli.

Jednocześnie zachrypiał głośnik.

Kobiety głos był początkowo całkiem niezrozumiały, potem słowa stały się wyraźniejsze.

Kobieta udzielała objaśnień, przerzucając się z jednego języka na drugi.

Matka tłumaczyła.

Czasami płynęli kanałem wśród zupełnych ciemności, mając tylko wysoko nad sobą latarnie

uliczne, czasami wjeżdżali jakby w bramy ubrane girlandami żarówek.

Były kanały wąskie i kręte, były długie, niby niekończące się korytarze.

Nad czarnymi ścianami ukazywały się oświetlone reflektorami budynki.

W jednym miejscu Otton trącił Marcina i pokazał mu dźwig pracujący nad wydobyciem z wody zatopionego auta.

Kiedy płynęli szerokim kanałem wzdłuż wielkich budynków niepodobnych do większości domów amsterdamskich, przewodniczka powiedziała: "To jest dom, gdzie mieszkała Anna Frank".

"To była dziewczyna żydowska.

" dorzuciła od siebie matka, tłumacząc.

"Wiem przerwał jej.

Zamordowali ją Niemcy!

""Hitlerowcy poprawiła go.

Opowiadano niej?

""Tak.

" O Annie Frank mówiła na początku tego roku pani Kamińska.

Nauczycielka poświęciła jedną lekcję opowiadaniu o zagładzie Żydów.

Mówiła o Majdanku i Treblince, o zabijaniu Żydów w gettach i o ratowaniu dzieci i dorosłych przez Polaków.

Potem mówiła, że Żydzi byli mordowani także w innych krajach, i wtedy wspomniała o Annie Frank.

Czytała wyjątki z jej pamiętnika, a Anka Szawelska pokazywała fotografie z przywiezionej jej przez stryja francuskiej książki.

Towzystwo wróciło nagle, gwałtowną falą wspomnień.

Na chwilę zniknął Amsterdam.

Marcin znalazł się znowu w ciasnej, przeładowanej dziećmi klasie.

Mógłby się teraz pochwalić:

Widziałem dom tej Frank.

Ale nie byłoby komu o tym powiedzieć.

Matce nie trzeba mówić o tych wspomnieniach.

Przycałując serdeczności, jaką czuł dla niej, miał przeświadczenie, że byłby rzeczą niewłaściwą opowiadać jej o swoim życiu w Polsce.

To było coś, co należało tylko do niego.

Kręcili się po kanałach chyba więcej niż godzinę.

Potem motorówka wjechała do portu.
W ciemnościach wielkie cielska.

okrętów majaczyły niewyraźnie, wylawiane na chwilę z mroku blaskiem umieszczonego na przedzie łodzi reflektora.

Ciemność i morze tworzyły jedną całość nigdy nie było wiadomo, czy połyskujące światło jest prawdziwe, czy też stanowi unoszące się na drżącej powierzchni wody odbicie.

Niewidoczna fala podrzuciła nagle motorówkę.

Wypłynęli nawielką, otwartą przestrzeń.

Wszystkie światła uciekły gdzieś daleko.

Dziób łodzi wrzynał się głęboko w morze, a za nią tworzyły się dwie białe, niezmiernie długie, rozbiegające się smugi.

Potem na nowo wpłynęli między światła.

Byli znowu na nieruchomej, jakby ołowianej wodzie kanału.

Nad nimi czarna ścianą wznosił się wysoki brzeg, a jeszcze wyżej zawieszona nad wodą koła aut niby stopy lekkomyślnie pochylonych chłopców oraz trójkątne szczyty domów na tle podeszłego blaskiem nieba.

Przed opuszczeniem motorówki dziewczyna, która udzielała im objaśnień, obchodziła uczestników wycieczki i sprzedawała fotografie miasta.

Każdy z wychodzących wciskał jej w rękę pieniądze, a ona dziękowała, usiłując odezwać się do każdego w jego języku.

Mercedesa znaleźli na brzegu nad kanałem, tam gdzie Otton zaparkował przed obiadem.

Uliczka była ciemna i wąska, Otton kłął, usiłując wydostać się spośród upchniętych ciasno aut.

W końcu jednak wydobyli się na szeroką ulicę Rokin.

Naprawo minęli plac, na którym stał biały pomnik.

"To na pamiątkę ukończenia wojny" powiedziała matka.

W głębi placu za pomnikiem neonowy napis na frontonie kamienicy głosił: "Hotel Krasnapolski".

"To musi być polski hotel" powiedział Marcin.

Szkoda, że w nim nie mieszkamy, potrafiłbym się sam rozmówić.

"

Ale nie mieszkali w Krasnapolskiego.

Ich hotel był jednym z najelegantszych w Amsterdamie.

Po powrocie matka i postępujący niechętnie Otton przebrali się i zaraz wyszli.

Marcin został sam.

Próbował się rozerwać oglądaniem telewizji, ale szybko się tym znudził.

Leżąc na wielkim, nieprawdopodobnie miękkim łóżku marzył długo, póki nie zasnął.

Przyśniła mu się szkoła.

Anka Szawelska była we śnie Anną Frank.

Potem budziły go pocałunki matki.

96

r

Po powrocie do Dusseldorfu, gdzie pod miastem posiadał piękny dom, Marcin musiał się wziąć solidnie do nauki niemieckiego.

Szło mu to szybciej, niż mógł przypuszczać, może dlatego, że wokół siebie słyszał wyłącznie ludzi mówiących tym językiem, i tylko z matką rozmawiał po polsku.

Matka w domu odpoczywała.

Przez pierwsze dni dużo spała i całe ranki spędzała w łóżku.

A potem zaczęła dużo chodzić.

Jeździła także na gimnastykę i na jazdę konną.

Gdy pogoda zrobiła się ładna, zaczęła popołudniami zabierać Marcina na wycieczki.
Sama prowadziła auto.

Lubiła wyjechać na autostradę i pędzić z wielką szybkością, przeganiając inne wozy.
Zwykle dojeżdżali do miejscowości, gdzie było coś ciekawego do zobaczenia jakiegoś
pamiątki historycznej czy nowoczesności i potem jedli obiad w restauracji i wracali z
pierwszym mrokiem, znów pędząc ile siły w motorze.

Każdego dnia na drzewach było więcej liści, potem zjawyły się kwiaty.

Trawniki w Dusseldorfie zakwitły barwami.

Chłopcy wywracali kołki i chodzili na rękach, za co rzucano im pieniądze.

W Dusseldorfie Marcin znalazł list od ciotki.

Ale ten list sprawił mu zawód.

Był jakiś błąd, nijak.

Poprzez sztywno zdania Marcin nie mógł odnaleźć ciotki.

To prawda, nigdy nie pisywał do niego.

Odkąd sięgnął pamięcią, zawsze był irazem.

W liście ciotka powracała wciąż do pytań o jego zdrowie.

Kilka tylko zdań napisała o tym, co się zmieniło u najbliższych sąsiadów.

Nie wspominała ani słowem, co samarobi.

A przecież Marcin, chociaż każdego dnia doznawał nowych wrażeń, odczuwał wielką potrzebę
dowiedzenia się o wszystkim, co się "tam" dzieje.

W jego pamięci pozostał wyraz twarzy ciotki tam, w urzędzie, gdy powiedział, że chce
jechać z matką.

Nagle zwrócił do niego głowę i spojrzała, a w jej szeroko otwartych oczach wydawało się
Marcinowi zobaczył strach.

Ale nic nie powiedziała.

Nie przyłączyła się do gwałtownych protestów Szawelskiego.

Spuściła oczy i stała bez słowa, bez gestu.

I jeśli teraz śniła się kiedykolwiek Marcinowi, to właśnie taka z opuszczoną głową, z
przymkniętymi oczami.

Marcinowi nieraz przychodziło do głowy, że wolałby, aby wtedy krzyknęła na niego.

Ale tylko Szawelski mówił podnieconym głosem, że to wstyd.

Onanie powiedział tego także i potem.

Marcin zauważył, że kiedy opuszczali biuro, zbliżyła się do jego matki i zapytała
tonem całkowicie spokojnym: "Proszę

1 Marcin.

97.

mi powiedzieć, kiedy pani odjeżdża.

Muszę wyprać jego rzeczy".

"Och, niech się pani nie trudzi powiedziała matka.

Kupimy mu wszystko nowe.

Nie będzie potrzebował starych ubrań.

" A jednak, gdy wrócili do domu, Marcin widział, jak ciotka wzięła się do prania i reperowania jego bielizny.

Siedziała nad tym wieczorami, gdy już leżał w łóżku.

Przez te dwa dni prawie wcale ze sobą nie mówili.

Ciotka milczała, a on nie umiał podjąć rozmowy.

Wymieniali ze sobą tylko konieczne uwagi.

Ciotka była spokojna i łagodna, ani raz się nie uniosła.

Na trzeci dzień po spotkaniu w urzędzie wojewódzkim matka przyjechała po Marcina.

Ciotka spakowała wszystkie jego rzeczy i wręczyła mu je przy pożegnaniu.

"Jeśli ci nie będą potrzebne rzekła oddaj jakiemuś chłopcu, któremu się przydadzą.

Bądź zdrow i staraj się być zawsze dobry.

" Objęła go, pocałowała w oba policzki, zrobiła palcem krzyż na czole.

Siadając do auta, słyszał, jak matka usiłowała wręczyć ciotce jakąś paczkę i potem wyrzucała jej, że nie chce przyjąć "takiej małej pamiątki".

"Niech pani to zrobi dla Martina powtarzała naprawdę, dla Martina.

Żeby pani zawsze o nim pamiętała.

" Ale ciotka zasłoniła się podniesionymi dłońmi.

Stanowczo potrząsała głową.

"Nie zapomnę o nim" powiedziała.

W Dusseldorfie rozpakowując walizkę Marcin znalazł między bielizną pudełko "krówek" śmietankowych cukierków, które bardzo lubił i które ciotka zawsze na jego imieniny robiła dla niego.

Nie miał pojęcia, kiedy zdążyła je zrobić wcale tego nie zauważył.

Równocześnie z listem od ciotki przyszedł do Marcina list od klasy.

Napisał go niewątpliwie Tomek (żaden inny chłopak w klasie nie potrafiłby zrobić tylu błędów ortograficznych).

List kończył się słowami: "Trzymaj się mocno i nie zapominaj o nas.

Jak będziesz oglądał co ciekawego, napisz namo tym".

Pod listem było kilka podpisów.

Ale nie wszystkich.

Nie było nazwiska ani jednej dziewczynki.

Dopisała się natomiast pani Kamińska: "Kochany Marcinku, pamiętaj zawsze o ziemi, na której wyrosłeś.

Nigdy jej nie przestań kochać, nigdy nie połącz się z tymi, którzy chcą jej szkodzić".

Pewnego wieczoru matka rozmawiała z kimś długo przez telefon.

Marcinnie rozumiał, o czym mówiła, ale zauważył, że po tej rozmowie dokonana się w niej wielka zmiana.

Podczas spacerów w ciągu ostatnich dni Marcin rozmawiał wiele z matką.

Opowiadał jej o swoim dotychczasowym życiu, a ona interesowała się tym żywo i ciągle pytała o jakieś nowe szczegóły.

Układali także plany na przyszłość.

Marcin od jesieni miał iść do szkoły.

Ale matka wypytywała o jego zainteresowania, o to, kim chciałby być.

resowania, o to, kim chciałby być.

Stwarzała sugestię.

Marcin czuł, że nawiązuje się między nimi nie serdecznego porozumienia.

Miał przy tym wrażenie, że matka rozumiego lepiej niż ciotka.

Ciotkę często drażniły poglądy wypowiedziane przez Marcina.

Nie lubiła pewnych jego wyrażen, nie znosiła wielu rzeczy, które on lubił: hałaśliwej muzyki, zainteresowania motorami, potrzeby ciągłego kontaktowania się z kolegami.

Matka śmiała się z wyrażen pojawiających się w ustach Marcina, podzielała jego gust dokrzykliwej muzyki, uważała, że auto jest konieczną częścią ludzkiego życia.

Nic jej nie drażniło, nie słyszał z jej strony gniewnego słowa.

Stale była w wyśmienitym humorze.

Przyjmowała wszystkim tak pogodnym uśmiechem, że zapomniał, iż widywał ją inną w Amsterdamie.

Ale od tamtej rozmowy zmieniła się całkowicie.

Zniknął poprzedni humor.

Wydawała się zniecierpliwiona, gniewna, znudzona wszystkim, co ją otaczało.

Odzywała się porywczo do Ottona, a on przyjmował jej zły humor westchnieniami.

Czym prędzej zniknął z domu.

Do Marcina natomiast mówiła znów: "Pożałuj swoją biedną mamę".

Już nie wspominała o sprawach, o których rozmawiali podczas ostatnich spacerów.

Marcin doznał dziwnego uczucia, że projekty, które poprzednio snuli, przestały ją zupełnie interesować.

Dlatego cieszył się, gdy w kilka dni później zapowiedziała, że następnego dnia pojedą na dłuższą, całonocną wycieczkę.

Czas się zrobił ciepły i słoneczny.

Wyjechali wczesnym rankiem.

Ale gdy mknęli po autostradzie prowadzącej do Kolonii, matka powiedziała Marcinowi, że ich dzisiejszym towarzyszem będzie Wendell, którego mają zabrać po drodze.

Ta wiadomość od razu popsuła humor chłopcu.

Chciał mieć matkę dla siebie.

A przy tym poznany w Holandii reżyser drażnił go swym arbitralnym zachowaniem.

Gdy mówił, wszyscy wokół musieli słuchać.

W Kolonii, zaparkowali wóz na skraju rozkopanego placu w pobliżu dworca.

Przed katedrą, pod kolorowymi parasolami i pod płaczącymi wierzbami, których długie gałęzie opadały aż do ziemi, płonąć gorącą zielenią młodych liści, stały kawiarniane stoliki.

Przy jednym z nich czekał Wendell.

Taksamo jak w Amsterdamie miał na oczach ogromne ciemne okulary, za którymi kryła się twarz.

Ubrany był w kraciastą koszulę zamszową kurtkę.

W zębach trzymał fajkę.

Ssał ją prawie bez przerwy i co pewien czas zapalał: przeważnie zaraz gasła, ale on zdawał się tego nie postrzegać.

Wendellowi towarzyszył młody mężczyzna, przystojny, z lśniącymi włosami.

y

sami, z czerwoną chustką pod kołnierzykiem rozpiętej koszuli.
Wendell przywitał się zmatką, obejmując ją ramieniami całując w policzek.

"Wziąłem z sobą Willego, musicie się zaprzyjaźnić powiedział.

Jak ci mówiłem, chcę was mieć oboje.

"Matka obdarzyła przystojnego mężczyznę czarującym uśmiechem.

"Jak się masz, Will!

" Marcinowi wydało się, że twarz młodego mężczyzny nie jest mu obca.

To musiał być aktor, którego fotografie zdobyły niejedną stronę ilustrowanych pism, jakich całe stopy leżały w ich mieszkaniu.

Mężczyźni w niedbały sposób podali ręce Marcinowi.

Ale potem, gdy wszyscy pili kawę, Marcin miał wrażenie, że Wendell przypatruje mu się uważnie spoza okularów.

Rozmowa toczyła się prędko i Marcin niewiele z niej rozumiał.

W pewnej chwili matka zaczęła go namawiać, aby poszedł obejrzeć katedrę.

To bardzo ciekawy kościół.

I bardzo stary.

Zwrócił się do reżysera: Powiedz coś, Eryku, chłopcu o katedrze.

Wendell wzruszył ramionami.

Największa katedra gotycka w tej części Europy rzucił, jakby dyktował depezę.

Urządził ją Anglicy.

Jeśli chcesz więcej wiedzieć, niech sobie poczyta.

Tam coś musi być napisane.

Marcin ruszył ku otwartym drzwiom.

Wnętrze, zwłaszcza gdy się do niego wchodziło prosto ze słonecznego placu, wydawało się ciemne jak piwnica.

Tu i tam były jakieś witraże, ale ściekające z nich barwy zdawały się zamierać, nie docierając do posadzki.

Marcin rozglądał się na wszystkie strony poszukując kogoś, kto by mógł mu udzielić jakichś informacji o katedrze, ale nikogo nie znalazł.

Obchodząc czarne wnętrza znalazł kaplicę, w której płonęła czerwona lampka.

Przypomniała mu się ciotka, więc ukląkł i odmówił pacierz.

Modlił się jak dawniej, po polsku.

Wrócił do kawiarni.

Obaj mężczyźni zdawali się do czegoś gorąco namawiać matkę.

Młodszy trzymał ją cały czas za rękę.

Raz po raz pochylał się całował dłoń leżącą na brzegu stołu.

Matka śmiała się.

Niby się opierała, ale widać było, że już się na żądania tamtych zgodziła.

Mówiła:

To będzie znowu piekielne umęczenie.

A ja i tak pracuję za dużo.

Tylko z takiej pracy powstają wielkie gwiazdy rzekł reżyser.

Czas najwyższy, abyśmy nakręcili coś naprawdę wielkiego.

Ty i Will stanowicie znakomitą parę.

Wierzcie mi, za rok będziemy mieli engagement z Hollywood.

Trzymam zakład.

"wy^.

^i

Wstała, jak gdyby chciała w ten sposób przerwać dyskusję.
Już późno, jedźmy.

" Nie wrócili na autostradę, ale pojechali malowniczą, gęstowysadzaną drzewami drogą wzdłuż Renu.

Rzeka płynęła niezbyt szerokim korytem.

Po drugiej stronie widać było zielone wzgórza, a na ich zboczach niezliczone skupiska białych domków o czerwonych dachach.

Przypominały budowle z klocków na jakimś wymuskanym modelu.

W dali wzgórza rosły coraz wyżej, stawały się górami.

Porastał je gęsty ciemnogrnatowy las.

Renem płynęły czarne krypy, często połączone ze sobą podwie lub trzypię; na każdej furkotała trójkolorowa flaga.

Równoległe doszosa biegi ukryty dyskretnie wśród zieleni torkolejowy.

Tor, stacyjki, znaki drogowe wszystko to wyglądało jak zabawki.

Po chwili mieli przed sobą miasteczko:

wąskie, kręte uliczki, obstawione błyszczącymi od czystości domkami.

Wszystko barwne, wszędzie rosły kwiaty to było Bonn.

Dopiero za śródmieściem nad rzeką mignęły wielkie, nowoczesne bloki.

Słońce płonęło w oknach, które tworzyły całe ściany.

"To parlament" powiedziała matka do Marcina wskazując ręką na budynek.

Teraz Wendell usadowił się naprzeciw siedzeniu, obok matki.

Marcin razem z młodym.

aktorem zajmowali miejsca z tyłu.

Willy nie interesował się chłopcem.

Wsparty łokciami na oparciu przedniego siedzenia wciąż wtrącał się do rozmowy, jaką prowadziła matka z reżyserem.

Od jego eleganckiego ubrania załatywało wonią perfum.

Wzgórza po obu stronach Renu zbliżyły się teraz do samej rzeki.

Szosa biegła jakby dnem cienistego parowu.

Na oświetlonych słońcem szczytach widać było jakieś budowle przypominające zamki.

Marcin miał ochotę zapytać o niematkę, ale ona nie przerywała ani na chwilę rozmowy prowadzonej z mężczyznami.

Miał uczucie, że zapomniawszy całkiem o jego obecności.

Minęli jakąś wyspę, na której wznosił się mały budynek z wieżą przypominającą kościelną.

Potem wzgórza cofnęły się znowu.

W dolinie, która zrobiła się na nowo szeroka, spadło na nich słońce.

Przed nimi było czerwone miasteczko.

Zauważył napis: Remagen.

Droga rozdzielała się;

w lewo biegła w dół, na most z żelaznych krat.

O tym moście powiedział Wendell można by zrobić taki film potrzęsnał ręką.

Amerykanom bardzo by się podobał.

Amerykanom może rzekł aktor ale u nas narobiłbyś sobie wrogów.

Durniów nie brak zaśmiał się Wendell.

Ale nie matakich, co by rozumieli, że film, który się sprzedaje, jest ważniejszy niż nie wykonany rozkaz.

Zwłaszcza kiedy rozkaz był głupi.

 Nie zjechali na most, pędzili dalej tysamym wybrzeżem.

Przeskoczyli tylko nadujściem rzeczki, która zaraz za miastem spływała do Renu.

Wzgórza raz się zbliżały, raz znowu oddalały.

Mijali porośnięte zielenią wyspy.

Na jednej z nich wspierał się most prowadzący na drugą stronę rzeki.

Marcinowi bardzo się to podobało, ale nie zwrócił na niego uwagitarzystwa, gdyż matka wciąż była zajęta rozmową.

 W Koblencji zatrzymali się na butelkęwina.

Mozela spływała wartkim nurtem w koryto Renu.

Jego ciemne wody, jakby otchłaniegłębokie, toczyły się majestatycznie u stópgóry wznoszącej się poprzeciwnej stronie.

Szczyt góry opasywały jakieś mury; robiły wrażenie szeroko rozsiadłego zamku.

Marcin tak był tym zainteresowany, że tym razem zapytał matkę.

Podniosła na niego oczy jakby nieprzytomne.

Wydawała siędaleka od tego wszystkiego, co ich otaczało.

Zamiast niej odezwał się Wendell:

 To Ehrenbreitstein.

Stara forteca władców Trewiru.

W niekiedy przechowywana była święta tunika Chrystusa.

Słyszałeś coś o tym?

 Marcin kiwnął głową.

Ksiądz Wionczek opowiadał ministrantom o całunie, w który zawinięte było w grobie ciało Chrystusa i na którym pozostało Jego odbicie.

Pokazywał nawet fotografię tajemniczej twarzy z zamkniętymi oczami.

Gruba, jasna struga spływała na jeden z łuków brwiowych.

Marcin nie wiedział, czy ów całun i tunika, o której mówił Wendell, są tym samym, nie miał jednak ochoty słuchać dalszych jego wyjaśnień.

Wendell zresztą powrócił do rozmowy z matką.

W miarę wypowiedzianych słów poruszał trzymaną w rękufajkę.

Wspomnienie księdza Wionczka, z którym odjeżdżając nawet nie zdążył się pożegnać, dotknęło Marcina niby bolesne ukłucie.

Wstał od stolika, wyszedł na taras.

Stąd rozpościerał się widok na rzekę, po której skakały złote płytki słonecznego blasku.

Renem ciągnęły wciąż długie, czarne krypy, ginące chwilami z oczu wśród tego iskrzenia.

 Z tyłu dochodziły go głosy rozmawiających.

Nie zauważył, kiedy zdania wypowiedziane w języku niemieckim stały się dla niego zrozumiałe.

 Dokąd poszedł twój syn?

pytał Wendell.

 Siedzina tarasie.

 Czy on rozumie, co mówimy?

 Myślę, że nie.

 Szkoda.

Gdyby znał lepiej język, może by się i jego wciągnęło.

Widzę dla niego rolę.

 Nie, niesprzeciwiała się matka.

Niechcę, aby grał w filmie.

Dlaczego?

Nie.

Wystarczy, że mnie to wykańcza.

A poza tym: przecieżyto ma być znowu o tamtym.

Właśnie dlatego.

Skoro żył w Polsce.

Żył w Polsce, ale niczego nie pamięta.

Nie może pamiętać.

Nie musi pamiętać.

Oni tam dbają, aby o niczym niezapomnieć.

Polacy zawsze żyją albo przeszłością, albo przyszłością, nigdy dniem dzisiejszym.

Skąd o tym wiesz?

Przecież tam byłem.

Kiedy?

No, podczas wojny.

Znajdź takiego, kto taro wtedy nie był.

Ja nie byłem wtrącił Willy.

Bobyłeś smarkaczem.

Pewnie należałeś do Hrtler-Jugend?

Owszem.

Takich już tam wtedy nie posyłali.

Chowali was, byście bronili Fihrera.

Jakbyś zgadł.

Proszę cię, Ery ku podjęłam matka nie mieszaj w tę sprawę Martina.

Proszę cię.

Dlaczego?

Chcę, aby się uczył.

I żeby munc o tamtym nie przypominało.

Zawsze obawiam się.

A ja go chcę mieć dla siebie.

Przesada.

Zawsze ci mówię, że artystce to niepotrzebne.

Mnie widać potrzebne.

Bardzo cię proszę.

Dzień był wciąż piękny, tylko słońce przesunęło się z wolnaza stromezbocze, które mieli przed sobą.

Cień góry, na której wznosił się znowu jakiś zamek, leżał na płowozłotej powierzchni rzeki.

Niedługo potem zjechali nadsamawodę, na pomost, przy którym stał przycumowany prom.

Matka zręcznie wprowadziła samochód na pokład.

Marcin pozostał w aucie, ale Wendell i aktor woleli je opuścić.

Prom ruszył, wysunął się cie.

nią leżącego tuż przy brzegu i płynął w poprzek skąpanej w słońcu rzeki.

Przed sobą mieli małe miasteczko u stóp pionowej prawie skały.

Na niej stał jeszcze jeden zamek z dwiema wieżami i wysoką basztą.

Dalej ta sama pionowa skała dochodziła aż do wody.

Prawie zawieszona w powietrzu obiegała ją wąska droga.

Widzisz, Martin, tę skałę?

zapytała matka, wskazując dłonią w ażurowej rękawiczce.

To Lorelei.

Jest wiele legend związanych z tym miejscem.

Ale opowiem ci o nich w domu.

dorzuciła szybko, gdyż obaj mężczyźni szli w ich stronę.

Marcin zaczął już być trochę zmęczony wycieczką i wciąż nowymi wrażeniami.

Za chwilę przybili do brzegu i matka wprowadziła auto na drogę.

Objechała skałę Lorelei, minęła siedem małych wysepek, a potem jedną większą, na

której znajdowała się, jakaś dziwna budowla, niby starożytny barbakan otoczony wieńcem małych baszt.

Potem zbliżyli się do miasteczka Rudesheim.

Matka zaparkowała Mercedesa na wybrzeżu.

Tu mieli zjeść obiad.

Restauracja mieściła się w ogrodzie.

W pobliżu wznosiła się wieża z licznymi okienkami.

W każdym z nich wisiał innej wielkości dzwon.

Niżej znajdował się jakby mały balkonik.

Gdy nadchodziła godzina, dzwony zaczynały wydzwaniać melodię, a przez balkonik przesuwały się kolorowe figurki ludzkie.

Wendell długo decydował, co będą jedli, i wybierał wino.

Ludzie siedzący w ogródku musieli ich poznać i Marcin widział, jak wiele oczu obserwuje ich ze wszystkich stron.

Wydało mu się, że pod wpływem tych spojrzeń zachowanie matki i jej towarzyszy stało się inne niż poprzednio.

Uśmiechy nieschodziły im z twarzy, ruchy i pozy robiły wrażenie świadomie przybranych.

On sam czuł się coraz bardziej zmęczony.

Z głową opartą na ręku przysłuchiwał się szmerowi fontanny bijącej pośrodku ogródka.

Zmęczenie nie pozwalało mu dosłyszeć tego, co obok niego mówiono.

A jednak w pewnej chwili doleciały go słowa reżysera:

Skoro mu było dobrze, to po coś go zabierała?

Przecież to moje dziecko.

Mówię ci: artysta nie powinien mieć dzieci, rodziny, ojczyzny.

Nie, nie usiłowała mu zaprzeczyć.

Bierz przykład ze mnie.

Czy ja szukałem swoich?

Nawet nie chciałem wiedzieć, co się nimi stało.

Jakbym się dowiedział szczegółów, może nie potrafiłbym potem pracować?

Ja bym.

tak nie umiała.

Słońce wyjrzało zza wieży i uderzyło w ogródek płaskim, oślepiającym szyćchem.

Pojedźmy do Niederwald zaproponował Willy.

; Trzeba pokazać małemu.

:: Chodź powiedziała matka do Marcina.

Pojedziemy teraz kolejką linową.
Zobaczysz zgóry piękny widok.
J Małe, dwuosobowe wagoniki sunęły po linach zwisających nisko nad zboczem porośniętym
świeżymi krzewami winorośli.
Marcin jechał razem z matką.
Zapytał:
 Co tam jest na górze?
 Pomnik postawiony na pamiątkę odbudowy cesarstwa niemieckiego.
] Kiedy to było?
 gDzieś w zeszłym wieku.
Przedtem Niemcy były podzielone.
Ale potem stały się potężne i mogły być jednym cesarstwem.
 Marcin chwilę milczał.
Cień ich wagoniku biegł po zboczu i zdawał się skakać przez krzewy jak rozhasany pies.
W dalsunął za nimi następny wagonik.
Jechali w nim reżyser i aktor.
 Słyszałem kiedyś odezwał się Marcin jak pan Wendell powiedział, że artysta nie ma
ojczyzny.
Czy ty myślisz, że on miał rację?
 Zobaczył w oczach matki nagły błysk.
 Kiedy to słyszałeś?
zapytała.
 Kiedyś skłamał.
Chyba jeszcze w Amsterdamie.
 Artysta powiedziała musi dążyć do tego, aby być rozumiany przez wszystkich.
Ale każdy człowiek ma swoją ojczyznę.
 A co jest, mamo, twoją ojczyzną?
postawił jej nieoczekiwane pytanie.
 Wagonik wjechał między drzewa.
Ogarnął ich cień sosen.
Matka nie odpowiedziała.
Znaleźli się w małym budyneczku.
Słupy, na których zawieszona była lina, tworzyły krąg.
Dowagoniku podbiegł jakiś człowiek, przytrzymał go, aby matka i Marcin mogli wysiąść.
Zaledwie wyszli na drogę przed budynkiem, nadjechał wagonik z Wendlem i Willym.
Widok dole był rzeczywiście wspaniały.
Łagodne zbocze zbiegało ku miasteczku.
Ponad dachami z brązowego łupku widać było granatowy Ren poprzedzielany smugami
długich, porośniętych gęstą zieloną roślinnością wysp.
Na przeciwległym brzegu leżała delikatna mgła.
Spoza niej, jakby spozaprzezroczystej zasłony,

widać było rozsypane na wybrzeżu osady i jasne kontury wznoszących się w dali skał.

Szli w górę, ale zafascynowani widokiem oglądali się raz poraz.

Mały zagajnik, w którym ukryta była stacja kolejki linowej, skończył się i wtedy zobaczyli sterczący nad nimi pomnik.

Olbrzymia postać Germanii wspartej na mieczu połyskiwała w słońcu niby płonący obelisk.

Muskularna kobieta w pancerzu zdawała się grozić uniesioną ręką.

Nieprawdopodobne brzydactwo powiedział Wendell.

Ale wypowiedział to półgłosem, jakby nie chciał, aby jego słowa usłyszała grupka mężczyzn, którzy stali pod pomnikiem.

Zdjęli marynarki, byli tylko w koszulach z szelkami na wierzchu.

Jedlibułki i popijał piwo z papierowych kubków.

Marcin zadarłszy głowę patrzył na rzeźbę.

Chociaż wszystko, co mówił Wendell, budziło w nim sprzeciw, w tym wypadku musiał mu przyznać rację.

Uzbrojona kobieta wydawała się ucieleśnieniem zawziętości.

Nigdy dotychczas nie widział takiego sposobu przedstawionej ojczyzny.

Polskę najczęściej symbolizowała postać matki pochylonej nad zabitym synem lub osłaniającej dzieci swoim płaszczem.

Postać matki.

Może właśnie patrząc na takie postacie, nauczył się tęsknić?

Powróciło do niego pytanie, to samo, które przed chwilą zadał matce.

Nie wypowiedział go głośno, szepnął cicho, jakby sam do siebie:

Co jest, mamo, moja ojczyzna?

Dudnieniem motorów ucichło i prawie natychmiast mężczyźni w błękitnych kombinezonach przystawili dodrzwiczek samolotu schodki z napisem "Alitalia".

Do wnętrza samolotu buchnęła fala gorącego powietrza.

Zgrabna stewardesa w czapeczce na kokieteryjnie falujących włosach uśmiechem gestem zatrzymała kierujących się dowyjścia podróżnych.

Dała znak matce Marcina, aby weszła pierwsza w otwartą drzwi.

Pręgo signora, molto pręgo.

Odpowiadając uśmiechem i ukłonami na uśmiechy i ukłony mijanych współtowarzyszy podróży, matka wyszła na schodki.

Zaraz za nią szedł Wendell, pewny siebie, uśmiechnięty, szczerząc krótkie, czarniawe zęby.

Za nimi postępował Otton.

Jeszcze nie wysiadł, a już nałożył ciemne okulary.

W dole biegł na spotkanie wysiadających cały tłum ludzi.

Mężczyźni mieli śniące czarne włosy i śnieżnobiałe koszule.

Trzymali w rękach aparaty fotograficzne, filmowe i mikrofony.

Spieszyły także kobiety z buketami w rękach.

Kilku policjantów w białych rękawczkach usiłowało zatrzymać nadbiegających, ale fala ludzka ogarnęła ich i natychmiast zatopiła.

Otoczeni przez ciżbę matka i Wendell zniknęli Marcinowi z oczu.

Chłopiec nie pchał się dowyjścia.

Z tłumy dochodziły krzyki i widać było błyski fleszów.

Wysoko w górę podnosiły się ręce aparatami fotograficznymi.

Z dachu auta, które wdarło się na płytę lotniska, kręcono zdjęcia.

Marcin trochę już przywykł do tych objawów zainteresowania, ale zawsze czuł do nich niewytłumaczalną odrazę.

Otoczona tłumem wielbicieli i reporterów matka stawała się dziwnie obcą osobą.

Podświadomie wzrastała także w chłopcu niechęć do reżysera. Drażniło go, że Wendell przy każdej okazji występował razem z matką, jakby chciał okazać, iż stanowią nierozłączną parę.

Powitanie na lotnisku Ciampino było gorętsze niż wszystkie, które dotychczas widział.

Nie próbował się wdzierać w rozkrzyczany tłum dziennikarzy.

Był pewny, że ktoś się nim w końcu zajmie.

Jeśli nawet matka nie mogła o nim pamiętać, Otton nigdy nie zapomniał.

Rzeczywiście, po chwili zbliżyła się do niego stewardesa w towarzystwie niewysokiego mężczyzny.

Tamten miał czarne, ulizane włosy, smagłą cerę i sterczącą nieco grdykę.

Gdy mówił, dłonie odługich palców poruszały się szybko.

Stewardesa wskazała na Marcina, a mężczyzna podbiegł do chłopca, dotknął jego piersi wyciągniętym palcem i natychmiast zaczął mówić, ale tak szybko, że Marcin nie był w stanie ani słowa zrozumieć.

Nadmiar złego mężczyzna przerzucał się co chwila z jednego języka na drugi:

Bredel?

Tu es Bredel?

Tu sei figlio della signora Bredel?

Nicht wahr?

Are you son of Mrs Bredel?

Bist du Sohn der Frau Bredel?

W końcu Marcin zrozumiał, o co tamtemu chodzi.

Potakująco skinął głową.

Benissimo!

wykrzyknął Włoch.

Zatarł dłonie, potem chwycił Marcina za rękę i biegiem pociągnął za sobą.

Prowadząc go, trzepał coś bez ustanku.

Marcin nie mógł nawet pochwycić poszczególnych słów.

Zaprowadził go do auta.

Ale kiedy dał znak kierowcy, aby ruszył, Marcin sprzeciwił się.

Dokąd mnie pan zabiera?

Kim pan jest?

P jadę, ale matką.

Mit Mutter, nur mit meine Mutter powtarzała kilkakrotnie.

Mutter?

Maroma?

Ach, Mutter già 6 partita.

Mutterweg wyraziście machnął ręką.

Capisoi?

Wir auch.

NachHotel.

Albergo.

Marcin domyślił się, że mężczyzna ma go zawieźć do hotelu, do którego matka już prawdopodobnie pojechała.

Nie sprzeciwiał się więc.

Auto ruszyło z nieprawdopodobną szybkością.

Zresztą innesamochody pędziły równie szybko poszose oddzielonej niskim płotkiem od innej, biegnącej równolegle.

Poobu stronach stały kolorowetablicez ogromnymi napisami.

Wyraz Cinzano powtarzał się bez końca.

Marcin miał uczucie, że na szosie odbywają się jakieś oszałamiające wyścigi pojazdów.

Autobusy nie chciały być gorsze od samochodów pasażerskich.

Wszyscy gnali na łeb, na szyję.

Co chwila słychaćbyłorozdzierające dźwięki klaksonów.

Z okienek wynurzały się głowy kierowców krzyczących na tych, których mijali.

Byli i tacy, co wygrażali sobie pięściami.

Z szosy wpadli do miasta.

Ale auto nie zwolniło swego pędu.

Czasami w poprzek ulicy przelewał się tłum ludzi.

Szoferz walniał, ale nie stawał: usiłował przemknąć się między idącymi.

Inni kierowcy robili to samo.

Ludzie płatali się wśród aut, auta przeciskały się między ludźmi.

Na większych skrzyżowaniach stałi policjanci w czarnych hełmach i w białych rękawiczkach z niezmiernie długimi palcami.

Ich ręce byływ nieustannym ruchu.

Gwałtownymi gestami popędzali jadących.

Można było sądzić, że jedynym ich zadaniem było ciągle przyspieszanie tempa.

Zajętyśledzeniem tego potężnego ruchu, Marcin nie miał czasu, aby patrzeć na miasto.

Na chwilę tylko mignęła przednim zdumiewająca budowla: podziurkowany otworami krągciężkich murów.

Collosseo!

wrzasnął mu w ucho jego towarzysz.

Zresztą Włoch mówiłały czas, ale Marcin już od dawna zrezygnował ze słuchania.

W końcu wjechali w ulicębiegnącą ostrym łukiem w górę.

Wzdłuż chodnikówciągnął się nie kończący rząd stolikówkawiarnianych.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do hotelu.

Do drzwiczek rzucili się chłopcy w szarych, kusych ubraniach ze złotymi guzikami.

Nagłowie mieli śmieszne małe czapeczki, trzymające się na gumce.

Porwali walizkę Marcina i pobiegli z nią do środka.

Włoch, który przywiózł Marcina, prowadził go, nie przestając ani na chwilę mówić swą strasznie mieszaniną językową.

W hotelowym hallu otoczyły Marcina światła, palmy, rzeźby, kryształowe świeczniki.

Wpośrodku była fontanna.

Jacyś ludzie cisnęli się do chłopca.

Wszyscy

mówili jednocześnie itak namiętnie, jakby za chwilę mieli się rzucić dobitki.

Wśród zamętu prowadzono go do stołurecepcyjnego.

Słyszał wokoło siebie: "Bredel!

Bredel!

Margherita Bredel!

" Ktoś podał M.

arcinowi klucz przyczepiony do ogromnej metalowej płytki z wybitym na nim numerem i prawie jednocześnie ktoś inny ten klucz wydarł mu z ręki.

"Andiamo!

Andiamo!

" wszyscy wokoło zdawali się wzajemnie przekrzykiwać.

Znowu popchnięto Marcina.

Przodem kroczył bruchaty mężczyzna w liberii, niosąc zabrany Marcinowi klucz.

Za nim, podskakując, jakby był marionetką na sznurku, szedł chłopiec w czapeczce na gumce z walizką Marcina.

Włoch, który chłopca przywiózł, nie odstępował go ani na krok.

Pochód zatrzymał się przed drzwiami windy.

Ledwo wladowali się do szklanej klatki, winda uleciała w górę.

Wszystko było przezroczyste: Marcin widział zawieszoną w powietrzu schody, wykładane dywanami korytarze, połyskujące żyrandole, złote guziki kręcących się boyów.

Nawet nie zauważył, na którym pięttrze winda stanęła.

Szli znowu korytarzem, po chodniku okrywającym kamienną posadzkę.

Zatrzymali się przed drzwiami pokoju.

Człowiek w liberii włożył klucz w zamek, otworzył drzwi, ale zatrzymał się na progu.

To samo zrobił niosący walizkę boy.

Pokój był duży, widny.

Na ścianie wisiało kilka obrazków przedstawiających Rzym.

Służący otworzył drzwi do łazienki i powiedział "Ecco".

Chociaż Marcin przywykł już do luksu?

su, w jakim żył obecnie, patrzył ze zdumieniem na niezliczone lustra i nawiądane barwnymi płytkami ściany.

Wrócił do pokoju.

Obchodził go w podziwiedookoła.

Jego spojrzenie czepiało się gipsowych stiuków na suficie, lśniącego żyrandola, ciężkich kotar, puszystego dywanu rozciągniętego na wykładanej marmurowymi płytami posadzce.

Włoch, który go przywiózł z lotniska, posuwał się krok w krok za Marcinem.

Po chwili obaj służący wyszli, kłaniając się kilkakrotnie.

Został tylko Włoch.

Mamma powiedział swą językową składanką firstfloor.

Zimmer zwei und zwanzig.

Jakby nie pewny, czy Marcin zrozumiał jego słowa, wyjął z kieszeni kartkę i napisał na niej numer pokoju.

Erste Stock.

Ty rozumiesz?

Rozumiem.

Ja się nazywam Mario Barbetti wyciągnął rękę i potrzęsnał mocno dłonią chłopca.

Ty mnie nazywaj "Mario", gut?

Dobrze.

Marcinarzśmieszyło, że ten dorosły mężczyzna chce, aby on mówił do niego "ty".
Ale do Włocha, mi.

w'''

mo jego gadatliwości, czuł sympatię.

A ty mów do mnie "Marcin".

Marcin?

Bene.

Jakie to imię?

wydawał się zaskoczony jego polskim brzmieniem.

Martino?

Tak, Martino.

Molto bene.

Marcin usiłował wymawiać w taki sposób jak chłopiec.

MarcinBredel.

Marcin potrząsnął głową.

Odkąd przyjechał do RFN, nosił nazwisko ojca.

Poprawił:

Marcin Boehmke.

Ach tak, rozumiem. Mario pokiwał głową z takim wyrazem twarzy, jakby odkrył jakąś wielką tajemnicę.

Sięgnął do kieszeni.

Z mocno sfatygowanego portfela wyjął plik banknotów.

Banknoty włoskie były ogromnych rozmiarów, jak płachty.

Popluwając w palce, Mario starannie je przeliczył.

Podczas tego liczenia jego wystająca grdyka poruszała się.

Przeliczywszy, rozwinął banknoty w wachlarz.

Mamma powiedział kazała tobiedać.

Dla ciebie.

Rozumiesz?

Za to można wiele, wiele kupić.

Zato można żyć.

w ostatnich słowach zabrzmiało coś, jakby melancholia.

Mamma zajęta.

Bardzo.

Much to work.

Rozumiesz?

Dzisiaj i jutro.

Ty i ja możemy chodzić.

Oglądać, kupować.

Co ty zechcesz.

Masz wyciągnąć rękę z pieniędzy mido Marcina.

Zanim chłopiec sięgnął po banknoty, zapytał:

To dużo?

Mamma mia!

Strasznie dużo.

Plenty of money.

Marcin wyciągnął jeden banknot.

Reszta niech będzie u ciebie.

Ja mogę zgubić.

Mario zamrugnął oczyma, a jego grdyka znowu poruszyła się kilkarazy.

Ale szybko schował pieniądze.

Jak chcesz.
Ja mogę nosić, mogę płacić.
Twoja mamma bardzo bogata?
Chyba tak Marcin obojętnie skinął głową.
Niełatwo przychodziło mu uświadomić sobie, że jeszcze przed kilkumiesiącami chodził w za ciasnym ubraniu, które pękało w szwach, a dziś może wydawać według swojej woli wielkie pieniądze.
Właściwie już nie wiedział, na co ma wydawać.
Początkowo, kiedy wyjechał z Polski, było tyle rzeczy, które chciał kupować.
Obecnie wystarczała mu świadomość, że może posiadać wszystko, co mu się spodoba.
Ty szczęśliwy chłopiec powiedział Mario.
Molto fortunato.
Ja także mam synów.
Dwóch.
Nazywają się Gianino i Marco.
Tacy sami jak ja?
O nie.
Oni młodsi.
I nie mają tyle pieniędzy.
Westchnął i zaraz zmienił temat.
Ja ci mówiłem, że twoja mamma bardzo zajęta.
Ty, jak chcesz, my możemy spacerować po Rzymie, oglądać, kupować.
Czy chcesz?
Tak, chcę.
Bardzo chcę.
To kiedy my pójdziemy?
Chodźmy zaraz.
Ty nie zmęczony?
Nie głodny?
,
Nie jestem zmęczony.
A jak będziemy głodni, to coś sobie kupimy.
Można kupić?
Santa Maria!
W Rzymie można wszędzie.
Molte trattorie.
No to chodźmy.
Słuchaj, Mario zapytał nagle czy ty wiesz, gdzie jest ulica Nazionale?
Czy ja wiem?
Włoch zaczął się śmiać.
To piękna ulica.
Najważniejsza ulica Rzymu.
Tam molti botteghe, dużo sklepów.
Właśnie.
Tam podobno duży sklep zabawek.
Taki na rogu ulicy.
Wiem.
Giacatoli.
Gianino i Marco chodzą tam patrzeć.
Ale oni nic nie kupują.

Tychcesz tam pójść?

Chcę.

Zaraz pójdziemy.

To blisko, przez via Quattro Fontane.

A na Forum chcesz iść?

A do fontanny Trevi?

Ana piazza San Pietro?

Wszędzie.

Ale najpierw na Nazionale, dobrze?

Rozłożywszy szeroko kamienne ramiona portyków, kościół w głębi placu zdawał się przywoływać do siebie wszystkich, którzy wynurzali się z szerokiej via Conciliazione lub spływali z bocznych uliczek i mijali poczwórny las kolumn.

Marcin poczuł się zmęczony i usiadł na stopniach portyku.

Miał przed sobą olbrzymi plac, jakby lekko pośrodku zapadnięty.

Wiatr, którego nazwę, jak mu to pokazał Mario, można było wyczytać wypisaną nabruku, uderzał w kaskadę wody, spływającej z niedalekostojącej fontanny i niósł lodowate bryzgi aż do stóp Marcina.

Majestatycznym krokiem przeszło obok niego dwóch policjantów w czarnych mundurach, w dziwacznych kapeluszach i z szablami zawieszonymi na białym pendencie.

Mario stał obok Marcina.

Wydawał się niezmięty.

ny i tylko mankiety koszuli zanadto wysunięte z rękawów świadczyły o wielogodzinnej namiętej gestykulacji.

Byli w sklepie z zabawkami na via Nazionale i Marcin kupił tam czarnowłosą lalkę, adla chłopców Maria dwa wspaniałe auta.

Mario musiał powiedzieć, kim jest Marcin, gdyż sam właściciel sklepu w towarzystwie trzech sprzedawczyń przez dobre pół godziny prezentowali chłopcu najrozmaitsze zabawki. Potem Mario zaprowadził Marcina pod Kwirynał i do fontanny Trevi.

Kazał mu rzucać monety przez lewe ramię do szmaragdowej wody.

Wąskimi uliczkami, po których hulały hałaśliwe motocykle, zawędrowali do Panteonu; na jego murach wygrzewały się dziesiątki łaciatych kotów.

Oglądali fontanny na piazza Navona.

Później Mario zaprowadził chłopca do dobrze widać sobie znanej trattorii, w której jugoszczone ich znakomicie.

Przez obstawiony kamiennymi postaciami most na Tybrze podszli do Zamku Świętego Anioła i wkroczyli w jego mroczne mury.

Z dachu zamku w rozleniwiającym cieple wczesnego popołudnia przez dobrą godzinę patrzyli na miasto.

Teraz wreszcie dotarli do placu przed bazyliką.

Jeszcze trochę odpocznij mówił Mario do Marcina.

Może masz ochotę na pomarańczę?

Zaraz przyniosę.

Potem pójdziemy do bazyliki.

Niedługo zacznie się ściemniać, wtedy trzeba być na Pincio.

Marcin potakiwał ruchem głowy.

Był oszołomiony.

Wrażenia dnia okazały się zbyt silne.

Pod czaszką miał chaos.

Pamiętał jak ksiądz Wionczek mówił: "Może któryś z was będzie kiedyś taki szczęśliwy i zobaczy Rzym.

Ja strasznie bym chciał tam pojechać.

Rzym to cała historia chrześcijaństwa:

areny, na których chrześcijanie wylewali krew, pierwsze kościoły, katakumby, groby męczenników a potem wspaniałości Watykanu, relikwie, pamiątki, pomniki.

Myślę, że gdybym się tam znalazł, całowałbym mury.

" Marcin pamiętał także, co mówiła Szawelska, że jej ojciec nie może zapomnieć Rzymu i wciąż marzy, aby go znowu zobaczyć.

Teraz, gdy patrzył na skąpany w słońcu plac srebrnobiałe stożki fontann, myślał, że zaczyna rozumieć tę sprzeczność.

Rzym był miastem, które miało każdemu coś do ofiarowania.

Dźwignął się na obolałe stopy.

Idziemy.

Szkoda tracić czasu.

Ruszyli przez plac ku schodom tworzącym prawdziwą piramidę.

Czy ty pojedziesz z twoją mamą?

spytał Mario.

Dokąd?

112

ffir

Przecież twoja mama jedzie za parę dni na shooting.

No, nie rozumiesz?

Będzie filmować.

Wiem, że ma występować w filmie.

Tak.

Zdjęcia będą nad morzem, koło Terraciny.

Ty pojedziesz z nią razem?

Nie wiem.

Nicmi nie mówiła.

Jeszcze nigdy nie widziałem, jak się robi film.

To może ona zostawi cię w Rzymie?

Wiesz, Martino, ty jej powiedz, że ty chcesz, abym ja był z tobą.

Ty jesteś miły chłopiec, a ja myślę, że jak ty jesteś ze mną, to się chybanie nudzisz.

Nie.

Naturalnie, że nie.

Więc widzisz.

Mogę wszędzie chodzić z tobą, pokazywać.

Ja cię zawsze zaprowadzę, gdzie trzeba.

Nawet jakbyś jechała te zdjęcia, to i tam mogę z tobą pojechać.

To by było świetnie.

Mama teraz nie ma zupełnie czasu dla mnie.

A z Ottonem nie mam o czym mówić.

Otton to jej mąż?

Tak.

Nawet go lubię.

Ale jego interesują tylko jakieś sprawy w bankach.

I w restauracjach lubi siedzieć za długo.

Rozumiem.

To ty powiedz twojej mamie, że ja mogę być ciągle z tobą.

Coto dla niej wziąć mnie na ten czas, prawda?

A ja mówię po niemiecku.

Może nie tak dobrze, ale ja ma teraz mam okazję.

A kiedy nauczyłeś się po niemiecku?

Ja? Dawno.

Podczas wojny.

Urwał dość nagle.

Ale już byli w progu wysokich drzwi prowadzących do wnętrza bazyliki.

Ze środka wiało rozkosznym chłodem.

Pod ścianami uciekającymi wysoko w górę stały potężne, marmurowe postacie.

Tenkościół oszalał swoim ogromem.

Cisza pochłaniała stapania ludzi, którzy go zwiedzali.

Po barwnym stropie wędrowały plamy słońca i wyłatały figury świętych, ustawione na szczycie kolumn.

Z góry na nawę zdawał się sypać delikatny pył.

Zatrzymywał się w powietrzu i omraczał kościół.

I tu także było tak wiele do oglądania.

Ale Mario prowadził Marcina pośpiesznie, gdyż chciał, aby jeszcze za dnia dorzli do Pincio.

Kiedy znaleźli się znowu na placu, słońce skryło się za bazyliką i jej potężny cień leżał na fontannach i na obelisku.

Za słupami stanowiącymi granice państwa watykańskiego znaleźli taksówkę.

Piazza di Spagna!

rzucił kierowcy Mario.

Placyk był mały, ciasny.

Biała figura Matki Bożej, wznosząca się nad fontanną, która chlustała wodą dokamiennej
8 Marcia.

113.

konchy, zdawała się ulatywać ponad otaczające plac domy.
Za figurą wznosiły się schody, których najwyższa kondygnacja, razem z frontonem stojącego nad nimi kościoła, płonęła czerwienią zachodzącego słońca.
Gdy weszli na schody, w pewnej chwili uderzył ich ostry blask dobywający się przez szczelinę via Condotti.
Potem sziwcięż kluci tym słońcem drogą nad dachami via Margutta.
Taras Pincio wisi nad miastem jak balkon.
Słońce zapadło za mury, ale jeszcze leżała na niebie smugami, niby blask na kurtynie na chwilę przed jej podniesieniem.
Na tlenieba widać byłoby zębaty mur zamku Hadriana i banię bazyliki.
Stali i patrzyli.
Przestrzeń nasiąkała nocą, a w suchym powietrzu pojawił się wilgotny tchnienie.
Potem na niebie zaczęły z rzadka i nieśmiało rozbłyskiwać gwiazdy.
W wąwozach ulic na dole i wokół piazza del Popolo zapalały się latarnie.
Miasto zmieniało się w feerię świateł.
Marcin zapomniał o zmęczeniu, nie mógł oderwać oczu od tego widoku.
Za jego plecami w alejkach Villa Borghese budziło się nocne życie.
Pędziło coraz więcej aut, pod drzewami kłębił się coraz większy tłum ludzi.
To miasto, tak ruchliwe i rozkrzywane w ciągu dnia, nie usypiało w mroku przeciwnie, zdawało się dalejżyć bujnym, gorączkowym życiem.
Dygotało jak serce w otwartej piersi.
Morze lekko wzdęte przypominało ekran wielkiego, obróconego do góry telewizora.
Tuż przy brzegu było granatowe, dalsze, a jeszcze dalej połyskujące złote.
Wzdłuż kamienistej plaży na wydmach pokrytych ostrą, suchą trawą wyrosło prawdziwe wędrownie miasteczko.
Stały tu ciężarówki, autobusy, caravany-przyczepy mieszkalne, namioty; stały auta zawierające urządzenia techniczne.
Między nimi leżały całe wiązki kabli, zakończone stojakami, na których zawieszono były jupitery.
Ekipa robotników ciągle montowała i rozmontowywała wąskie szyny, po których toczyły się wagoniki.
Wznosiły się dźwigi i obracały się dziwaczne maszyny z długimi, poziomymi drabinkami, niby wyrzutnie rakiet bojowych.
Między tym wszystkim pod promieniami palącego słońca kręcił się tłum ludzi, wciąż gorączkowo gdzieś spieszących.
Nad tłumem unosił się zamęt krzyków i nawoływań.
Co pewien czas rozlegał się nosowy ryk megafonu
"Calma!
Silenzio!
" Wtedy wszystkie dźwięki zamierały, szumiało tylko morze i słychać było głosy aktorów.
Marcin oglądał poraz pierwszy powstawanie filmu.
Pozwolono mu zająć miejsce na małym przenośnym foteliku obok Ottona.
Kilka takich foteli stało półkolem, tuż obok wagoniku, na którym w otoczeniu pomocników pracował kamerzysta.
Na fotelach siadał co chwila Wendell, przychodziła usiąść matka i kilku innych aktorów.
Za fotelami stał cały sztab ludzi, z których każdy miał jakieś określone zadanie.
Młoda dziewczyna w szortach, ale w wysokich gumowych butach biegła za reżyserem, gdy tylko Wendell zerwał się ze swego miejsca.
Trzymała plik papierów; kilka ołówków miała zaczepionych o wykrój bluzki.

Podobnie zachowywał się niemłody, łysawy mężczyzna w blue džinsach.
Miał w ręku dalmierzi kilka rozmaitej długości linijek.
Nieustannie wyznaczał odległości, wskazywał aktorom miejsca.
Inny dyrygował reflektorami, jeszcze inny mikrofonem zawieszonym na długiej żerdzi.
Wszyscy oni nie spuszczali oka z Wendlla, zdawali się odgadywać jego decyzje, zanim je
zdażył wypowiedzieć.
Jeszcze nie otworzył ust, awszystko już było przygotowane.
Mimo to reżyser co chwila wybuchał gniewem.
Gdy tylko coś niewychodziło według jego życzenia, złościł się, krzyczał, tupał, ciskał o ziemię
trzcinką, którą trzymał stale w ręku i po której natychmiast schylała się dziewczyna w szortach.
To był zupełnie inny człowiek niż ten, którego Marcin widywał w Amsterdamie i który brał
udział w wycieczce do doliny Renu.
Wprawdzie i wtedy drażniła Marcina jego poufałość wobec matki przy ludziach jednak był
grzeczny i uprzejmy.
Teraz się nie krępował.
Krzyczał, wymyślał, używał brutalnych słów.
Wydawał się nieustannie rozdrażniony.
W chwilach największego podniecenia zrywał z oczu swe ciemne okulary i wtedy można było
zobaczyć, że ma twarz pomarszczoną i wykrzywioną niby pysk rezusa.
Niechęć Marcina do reżysera wznosiła się z każdą chwilą.
Gdy Wendell krzyknął coś wściekła matkę, Marcin spojrział pytająco na siedzącego przy
nim Ottona.
Ale o czym zdawał się przejmować zachowaniem reżysera.
Palił cygaro i raz po raz sięgał do butelki z piwem, która stała pod jego fotelem.
Od chwili rozpoczęcia zdjęć ani na moment nie zdjął z
oczu wielkich, ciemnych okularów.
Nie ruszył się także z fotela.
Zwykle wygodnie rozparty tu siedział skulony jakby zmalaty.
Poczuwszy na sobie spojrzenie Marcina, zapytał:
Czy chcesz czegoś?
Nie.
Ale dlaczego pan Wendell tak krzyczy na mamę?
115.

Takie są obyczaje filmowców.

Podoficerowie w wojsku też krzyczą na rekrutów, bo im się wydaje, że w taki sposób szybciej ich nauczą musztry.

Mama nie jest rekrutem.

Nie mogę tego słuchać.

Ja też tego nie znoszę.

Dlatego nigdy nie przyjeżdżam patrzeć na zdjęcia.

I dzisiaj byłbym nie przyjechał.

Rzeczywiście poprzedniego dnia rano Marcin był świadkiem rozmowy między matką i Ottonem.

Matka mówiła: "Bądź przynajmniej pierwszego dnia.

Bardzo cię o to proszę Ottonie".

"To nie ma sensu odpowiedział.

Jeszcze z tego wyniknie jakaś głupia historia.

"Jesteś przeczulony.

Kto by coś takiego pamiętał?

Jeśli koniecznie chcesz, możesz mnie potem zostawić.

Ale pierwszego dnia bądź koniecznie.

"

Jutro rano stanowczo wracam dorzucił.

Jeśli cięnie bawi patrzeć, wracaj ze mną.

Marcin nic nie odpowiedział.

Nakręcał scenę.

Jakiś mężczyzna w ubraniu podartym i poplamionym czerwienią ułożył się na piasku.

Miał oczy nieruchome i otwarte i niewątpliwie udawał zabitego.

Rozległo się suche kłapanie drewnianych nożyc i kamera, podjechawszy blisko do leżącego, zaczęła go filmować.

Potem odstrony ładu ukazał się tłum kobiet.

Szły wolno i jakby lekko.

To były statystki, chłopki z sąsiednich wiosek.

Odwczesnego rana czekały na początek zdjęć.

Poprzedniego dnia uczono je przez kilka godzin, jak mają się zachować podczas krótkiej sceny.

Były ubrane w swe własne stroje, czarne suknie i czarne chustki na głowach.

W tłumie przeważały starsze kobiety.

Między nimi szła matka Marcina.

Była ubrana tak jak one.

Tłum kobiet zbliżył się do leżącego, otoczył go półkolem.

Ze środka wystąpiła matka, podeszła do leżącego.

Przez chwilę stała nad nim, potem z okrzykiem padła na kolana.

Łkając przyłożyła głowę do piersi mężczyzny.

Siedzący okrakiem na wysuniętym ramieniu dźwigu kamerzysta opuścił się nisko i nie przestawał filmować.

Wendell stał także tuż obok.

Nagle matka podniosła głowę i zwróciła ją bok.

Na jej pięknej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

Oczy były szeroko otwarte, usta skrzywione boleśnie.

Marcin odruchowo spojrział również i chociaż wiedział, że jest to tylko przedstawienie, odczuł niezrozumiały skurcz serca.

Brzegiem morza w stronę otaczających zmarłego kobiet szło dwóch żołnierzy.
Byli to żołnierze niemieccy, ale nietacy, jakich widywałem w Diisseldorfie.
Takich jak ci niewidział nigdy.
A przecież poznał ich od razu.
Tyle razy mógł być ich zobaczył na fotografiach, na filmach czy na obrazkach.
Mieli baniaste, wciśnięte na oczy hełmy, trzymali dłonie oparte na zawieszonych naszych pistoletach.
Zbliżali się powoli, ale groźnie.
Tłum kobiet zaczął się lekko cofać.
Na ich twarzach malował się lęk musiał się dobrze wczuć w swoją rolę.
Przy leżącym została tylko matka.
Żołnierze podeszli i stanęli nad nią.
Kamera zniżyła się znów; sfilmowała początkowo ich nogi, jakby oglądane przez klęczącą kobietę, potem podniosła się, aż wreszcie zatrzymała się na twarzach.
Potoczył się dialog:
 Co tu robisz?
 Muszę go pogrzebać.
Zostawcie mnie!
 Wynoś się stąd!
I to prędko!
 Nie odejdę.
Niemogę go tak zostawić.
 Uciekaj!
Jeśli zaraz nie odejdziesz, zabierzemy cię ze sobą.
: Rozległ się zachrypnięty głos Wendlla:
 Przerwać!
Do niczego!
Dlaczego wy wszyscy tak krzyczycie, co?
To maniera!
Głupia maniera!
Ja tego nie chcę!
Musicie się tego wyzbyć, do diabła!
Jeszcze raz!
Na nowo!
Wszystko od początku!
 Megafony zakrzeczały: "Silenzio!"
" Potem Marcin znów.
usłyszał:
 Muszę go pogrzebać.
 Nie, nie, nie!
wybuchnął reżyser.
Przerwać!
Słuchaj, Marga, głos masz jak krowa!
To musi być inaczej.
Bez tej histerii.
 Nie ma żadnej histerii usłyszał, jak matka się broni.
 Jej oczy były pełne łez wywołanych nie wiadomo czy grą, czy też krzykami reżysera.
 Jest!
Słyszę ją!
Nie chcę tego!

Masz girać tak, jak ja tegożadam!

i^ To nie histeria.

l.Aja ci mówię, że histeria.

Zgrywasz się jak kabotyń;tk!

To ma być tragedia grecka, a nie jakiś słowiański melodramat!

Machnął w powietrzu trzcinka, aż zagwizdało.

Musi być inaczej!

Rozumiesz?

Ja..

zaczęła matka, ale zagłuszył jejsłowa wlrza^skiem.

Niczego nie chcę słuchać!

Niczego nie słucham!

Maszgrać, jak ja ci mówię.

Zrobiłem cię aktorką i musisz mnie słuchać!

Głos może być zbolały,ale żadnego krzyku.

Jeszcze raz!

Od początku!

Alesłońce zaćmiły chmury itrzeba było z powtórzeniem sceny zaczekać.

Marcin rozdrażniony zsunął się z fotela.

Miał dosyć tego obrażania matki.

Tym bardziej, że jego zdaniem.

reżyser nie miał racji głos matki tchnął przejmującą szczerością.

Usłyszał, jak Otton pyta:

Dokąd idziesz?

Do bufetu.

Pić mi się chce.

Na krańcu cygańskiego obozowiska filmowców znajdowała się ciężarówka z kantyną. Marcin zażądał butelki coca-coli.

Usłużny kelner nalał ciemny napój do papierowego kubka.

Marcin pił wolno.

Płyn był lodowato zimny, palił gardłowi palce.

Stojąc oparty o ścianę kantyny widział kobiety-statystki, które siedziały na polu czekając, aż zostaną wezwane do odegrania następnej sceny.

Większość z nich wzięła się do jedzenia przyniesionych z sobą zapasów lub popijała z oplecionych słomą butelek.

Ale nawet jedząc, nie przestawały rozmawiać.

Można było sądzić, że są czymś poruszone.

Mówiąc, wyciągały ręce i coś sobie pokazywały.

Zdawały się o coś spierać.

Między kobietami było także kilku starszych mężczyzn.

Może byli również zaangażowani jako statyści, a może po prostu przybyli tutaj ze swoimi żonami i córkami.

Oni również brali udział w dyskusji.

W pewnej chwili Marcin spostrzegł, że uwaga dyskutujących zwróciła się w inną stronę.

Zobaczył nagle wiele oczu zwróconych na siebie.

Jeden z mężczyzn wstał i ruszył w kierunku kantyny.

Mężczyzna ubrany był w ciemny sweter i niebieską koszulkę z okrągłym wycięciem pod szyją.

Na porośłym czarnym włosie przedramieniu miał wytatuowaną kotwicę.

Mężczyzna przeszedł obok Marcina, obrzucił go uważnym spojrzeniem.

Zażądał od sprzedawcy papierosów.

Zapalił przez chwilę zaciągał się mocno raz po raz.

Nieoczekiwanie wyciągnął rękę z pudełkiem do Marcina.

Rauchen.

Bitte rauchen.

Dziękuję, nie palę.

Ale mężczyzna nie cofnął ręki.

Mrugał porozumiewawczo.

Rauchen powtórzył swe zaproszenie.

Oni niewiedzieć, nikt nie powiedzieć.

Jego mężczyzna była kiepska, ale Marcin przywykł już do tego, że tu wszyscy w rozmowach z cudzoziemcami używali mieszanki językowej, zrozumiałej, gdyż połączonej z wyrazistymi gestami.

Uśmiechnął się potrząsnął głową.

Ale mężczyzna napierał: Rauchen powiedział raz jeszcze.

Nikt nie zobaczy.

Ty rozumiesz?

Rozumiem zapewnił.

Ale nie palę.

Naprawdę.

Vielleicht trinken?
Lubisz pić?
Pytał mężczyzna.
Uniósł brodę do góry i przytknął palcami w szyję.
Nie, dziękuję.
Pijęcoca-cole.
Uniósł w górę butelkę pokazał ją mężczyźnie.
A może pan się napije?
Mężczyzna skinął głową potakująco, więc Marcin wziął od sprzedawcy nową butelkę i nowy kubek.
Podał jej wemu rozmówcy.
Płacąc za butelkę, musiał zmienić banknot tysiąclirowy, co, jak zauważył, nieuszło uwagi mężczyzny.
Ty masz wiele denari.
powiedział.
Chciał może zapytać, czy Marcin ma wiele pieniędzy, ale zabrakło mu niemieckiego słowa.
Przez chwilę szukał go, pocierając małym palcem jednej ręki o wskazujący drugiej, rozumiesz, money, pieniądze.
Ostatnie słowo wypowiedział po polsku.
Marcin zaśmiał się.
To polskie słowo sprawiło, że poczuł niezrozumiałą sympatię dla Włocha.
Mam dość pieniędzy rzekł po polsku.
Efekt tych słów był dumiewający.
Mężczyzna uniósł ręce: w górę, a potem opuścił je kładąc na kolana.
Twarz mu się rozjaśniła, spod czarnych, przystrzyżonych wąsów błysnęły zęby.
Ty mówisz po polsku?
zawołał.
Ty Polak?
Nie Tedesco, nie Niemiec?
Mówię po polsku chłopiec powiedział wymijająco.
Ja także mówię po polsku.
Włoch położył dłoń na ręce Marcina i mówił prędko koślawą, ale dość zrozumiałą polszczyzną.
Jak była wojna, to ja byłem z polscy soldati.
Polscy soldati molto valorosi.
Ja bardzo lubię Polafci.
Były dobre dla naszych.
Pomagali.
A najwięcej były dobre dla ragazzi.
To znaczy, dla dzieci.
Dawali chleb, czekolada, dżem.
Bardzo, bardzo lubię Polaki.
Chwył dłoń Marcina i potrząsnął nią z całych sił.
Potem mimo sprzeciwów chłopca wziął od sprzedawcy fiaskę Valpolicelli.
Ty musisz napić się ze mną.
Bardzo lubię Polafci.
Coca-cola niedobra.
Wino dobre.
Musisz się napić.
Dobrze, ale ja zapłacę.

Widok kilku banknotów w rękach chłopca sprawił, że Włoch przyjął tę propozycję bez oporu.

Ty mieć dużo pieniędzy powiedział tonem, który brzmiał jak uznanie.

To dobrze.

Polaki dobre ludzie, ale mało mają moneta.

Tylko u Niemców molto moneta.

Urwał i podniósł Marcina pytający wzrok.

Ty co robisz z tymi Niemcami?

Ty także artysta?

Potrząsnął głową.

Nie.

Tam moja matka.

Ona jest artystką.

Itozumiem.

Ona gra.

To ona nie Niemka?

He.

Jakieś niejasne wyczucie kazało Marcinowi odpowiedzieć w taki właśnie sposób.

To dobrze.

Bardzo lubić Polaki.

Ale nie lubić Niemcy.

Niemcy zły człowiek.

Ty znać tego, co tam siedzi?

Ręka mężczyznyuniosła się, ciemny palec wskazał na Ottona.

Znam.

To nie Polak?

Nie.

Niemiec?

Tak.

R?ka opadła, na twarzy Włocha pojawił się wyraz zaciętości.

My jego także znać.

F'an gozna?

My znać go wszyscy.

Ontu był wczasie wojny.

5ył?

I co?

Choć starał siępytać spokojnie, głos chłopca zadrżał.

Ty nie wiedzieć, co było tam, gdzie oni byli?

No, prawda,ty chłopiec.

Alety widział, jak wszystkie kobiety patrzyły,jak tamte artyści przyszli ubrane za Niemców?

Przed rokiem Marcinmiał ciężką gripę z dużą gorączką.

Pamiętał, jak chwyciły go dreszcze.

Usta mu wtedy dygotałytak, że ledwopotrafił coś powiedzieć do ciotki.

Miałuczucie,jakby podobne drżenie naszło naniego teraz.

Panując z wysiłkiem nad latającymi wargami, spytał:

Zabijał?

Włoch wzruszył ramionami.

Możesam nie zabijał.

Ale byłz tymi, co zabijali.

Wszystkie kobietypoznały, że się tutaj kręcił.

Wtedy nasi partyzanci wysadzili pociąg.

To oni przyszli nocą do wsi.

Wszycymężczyźni, którzy nie zdążyli uciec, zostali zastrzeleni.

I onbył z tymi, co przyszli.

Potem, jak Polacy przyszli, zastrzelilitutaj wielu Niemców.

Oni myślą,że jak minęło czternaściolet, to ludzie zapomnieli.

Nagle megafonzaczął nawoływać.

Uwaga: Statyści naplan!

Uwaga:Statyści na plan!

Wołają nas powiedział Włoch.

Kobiety zerwały się szły- yy stronę, gdzie robiono zdjęcia.

Kilka z nich wzywałomężczyznę:

Antonio!
Antonio!
Muszę iść rzekł.
Maszchiał oddać Maircinowibutelkę, ale chłopiec odmówił gestem.
Wolisz, żebym wziął?
"IW"-
Grazie, molto grazie.
Cieszę się, że spotkać Polaka.
Oni przedtem zabijać, a teraz filmować.
Wcale nie pamiętać, żeto właśnie oni.
Ten, co udaje trupa, byłwtedy postrzelony w nogę.
Mężczyzna odbiegł, Marcin pozostał na miejscu.
Nie miałowoty patrzeć na zdjęcia, na miotającego się Wendlla, nagracjąswą tragiczną rolę
matkę, na skulonego można bysądzić czującego skierowane na siebie spojrzenia ojczyma.
Kolację jedli we trójkęw małym nadmorskim hotelikuw Terracinie.
Tu przyjechali na noc po skończeniu zdjęć.
Wieczór był jużpóźny iprawie gorący.
Siedzieli na tarasie,którego dach wspierał się na słupach oplecionych pnącárośliną o
połyskujących liściach.
Od morza płynął powiew, jakbyciepły, spokojny oddech.
Gdzieś daleko świecił księżyc, a kuniemu przez morze biegła droga, niby ścieżka, którą
ktośprzeszedł zostawiając za sobą znaczony złotymi skórkami pomarańczyślad.
W końcu tarasu popisywał się miejscowy śpiewaknieśmiertelnym "Wróćdo Sorrento".
Głos miał mocny, śpiewał tak głośno, żechwilami aż dzwoniło wuszach.
Odstrony miasteczka ryczałymotocykle bez tłumików.
Matka wydawała się zmęczona.
Marcin z niepokojem zauważył, że na jej twarzy, którą uważał za najpiękniejszą
zewszystkich, jakie kiedykolwiek widział, zmęczeni charakteryzacja wyżłobiły ślady
odbierające jej znamię zachwycającej młodości.
Tu i tamwidać było zmarszczkinieroztarteprzez krem.
Skóra na twarzy straciła elastyczność.
Oczy ściemniały.
Siedziała przy stole milcząca.
Zagryzłausta i mrużyła boleśnie oczy, gdy śpiewak wysiłał się, aby ukazać całąskalęswego
kunsztu.
Powiedziała nagle do Ottona:
Idź, daj muco.
Niech przestanie!
Jak mu dam, to nie przestanie.
Oszaleję, jeżeli natychmiast nie skończy!
Zaraz skończy.
Po cozwracać na siebie uwagę?
Na szczęście śpiewak zamilkł, a właściwie został szybko wypchnięty przez służbę, która
zauważyła, żeprzeciągającysię śpiew wpływa ujemnie na konsumpcję.
Matka zażądałasafatki z krewetek.
Jej zmęczenie zaczętoprzeradzać się w rozdrażnienie.
Przedtem milczała, teraz mówiładużoi prędko.
Więc chcesz koniecznie jutro jechać?
zapytała Ottona.

Przecież wiesz, Gretchen.

zaczął, spoglądając na nią wyrzutem.

Wiem, wiem, wszystko wiem, o wszystkim muszę wiedzieć!
wybuchnęła.

Pamiętam, że nie chciałeś przyjechać, że się bałeś.

Proszę cię powiedział z godnością i spojrzał na nią wyrzutem, jakby tym spojrzeniem chcąc jej zwrócić uwagę na niewłaściwość takiego zachowania.

Odsunął odsiebie talerz, wyprostował się na fotelu.

Nie mam powodu się bać.

Owszem, nie chciałem tu przyjeżdżać.

Nie znoszę, kiedy Wendell zachowujesz się wobec ciebie wtaki sposób.

Nawet Martinato dotknęło.

A poza tym ten film jest po prostu nieprzyzwoity!

Dawałam ciscenariusz do przejrzenia.

Czy niemówiłem wtedy tego samego?

Wendell jest pajacem, którego bawi gra na ludzkich uczuciach.

Ostatecznie, gdyby kręcił film gdzieś w atelier.

Ale przyjeżdżać tutaj, brać na statystów ludzi, którzy pamiętają wojnę.

Po prostu obrzydliwego!

Może dlatego, że pamiętają, grają tak dobrze?

Widziałeś chyba.

Zawsze znaleźć można takich, którzy potrafią grać, jeśli się im dobrze zapłaci.

Uważasz, że tylko dlatego jestem artystką, że mi się dobrze płaci?

Nie myślałem o tobie.

Po co w ogóle o takiej sprawie mówimy?

Jesteś zmęczona, masz nerwy zszarpane.

Ty także nie potrzebnie grasz w filmie o takiej treści.

Ludzie, którzy przeżyli rzeczy ciężkie, powinni starać się zapomnieć.

I dla nich byłoby zdrowiej, i dla świata lepiej, aby myśleli o czym innym.

Dlaczego nie kręci się jakichś dobrych komedii, śmiesznych fars?

Takich, w których kłownom opadają portki?

Uważasz, że tylko takich Niemcy potrafią się śmiać?

Nie wiem.

Wiem tylko, że filmy, które kręci Wendell, idą.

Różne obrzydliwości też będą szły.

Wendell lubuje się w perwersji.

Gdyby mógł to sprzedać, pokazałby w filmie, jak gazowano jego rodziców!

Pieniądze można robić także w inny sposób.

- Ja ich inaczejnie zarobię.

Muszę grać.

I muszę się trzymać Eryka.

Na Wendellu świat się nie kończy.

Dla mnie się kończy.

Zapominasz, że lata płyną.

Muszę już rezygnować ról młodych.

Potrzebuję ról charakterystycznych

nych.

Eryk to rozumie.

Jemu resztą także na mnie zależy.

On również najlepsze swe filmy zrobił ze mną, musimy sięglebie trzymać.
Dziwię się, że tegonie rozumiesz.
Gdyby nieto, nie wytrzymałabym z nim, jest najbardziej męczący ze
znanych mi reżyserów.
Jednym haustem wypła całą szklanę.
Pochyliła sięnad talerzem.
Ten wybuch musiał ją wyczerpać.
Marcin z niepokojem widział na
twarzy matki coraz bardziej pogłębiające sięmarszczki i grymasskrzywionych jak do płaczu
ust.
Przystolikupanowała cisza.
Z miasta wciąż dochodził ryk motorów.
Wygnany z restauracji śpiewak popisywałsię gdzie indziej i jego grzmiący baryton dolatywał
z daleka.
Kelner podszedł do ich stolika i jakby chcąc przypomniećo dalszych zamówieniach, nalał
winadoszklanek.
Otton spojrzął z żalemna talerz, który w czasie dyskusji odsunął.
Westchnąwszy, dał
kelnerowi półgłosem nowe zamówienie.
Oczywiście, Gretchen, masz swoje racje zaczął pojednawczo.
Wiesz, że się niczemu niesprzeciwiam.
Nie mampowodu się lękać, ale miałem wrażenie, że baby miały ślepiawlepione we mnie.
Na pewno ci się wydawało!
Może.
Nie mam jednak ochoty próbować jeszcze raz.
Wiesz, jacy są Włosi, ich takzewychowano w nienawiści.
TenWendellmiał do dyspozycji całą Europę i koniecznie musiałprzyjechać tutaj.
Wiesz przecież, że scenariusz opiera sięnapowieści tegoAustralijczyka, a jej akcja
dzieje się właśnie tutaj.
To sąwymyśli Wendlla!
Kto by wiedział, że parę włoskich domków postawionych w atelier nie jest tutejszawsia?
Nawet ten Australijczyk, który tu nigdy może nie był, nie
poznałby się na tym.
Z irytacją warknął na kelnera, abypospieszył się z przyniesieniemzamówionej potrawy.
Żebym długo nie czekał!
rzucił po niemiecku za odchodzącym.
Zapaliłcygaro, ale Marcinowi wydało się, że palenie nie wywołuje na jego twarzy wyrazu
błogiego zadowolenia.
Matka sięgnęła po papierosa.
Daj ognia.
Podał jej zapałkiprzez stół.
Was ist los?
zapytał gniewnie kelnera, który zbliżył
się do stolika.
Entschuldigen bitte.
bardzo, bardzo przepraszamy kelner jąkał się złą niemczyzną jeszcze pięć minut.
123.

"??" ""?

5"

Otton zaklął.

Palił spiesznie, otaczając się dymem.

Matkanatomiast zdusiła na popielniczce ledwo zapalonego papierosa.

Więc kiedy chcesz jechać?

Zaa-az rano.

Muszę się pokręcić na piazza Coloima.

Jatakże mam swoje interesy.

A ty, Martin, pójdziesz jutro na zdjęcia?

przeszła najęzyk polski.

Nie patrząc na matkę, potrząsnął głową.

Usłyszał jej głosbrzmiący zaskoczeniem:

Nie chcesz?

Nieciekawi cię?

To co będziesz robił?

Wciąż patrząc wtalerz, na którym leżały skórki oskubanejpomarańczy, powiedział:

Chciałbym wrócić z Ottonem do Rzymu.

Do Rzymu?

nagle wróciła na niemiecki.

On chce wracać z tobą do Rzymu.

Może wracać.

Ale dlaczego?

Dlaczego chcesz tam jechać?

W Rzymie jest jeszcze wiele do zobaczenia.

Nie interesuje cię, jak powstaje film?

Już widziałem.

Słyszał, jak zapala nowego papierosa.

Delikatne podzwanianie bransolet zdradzało, że jej ręce drżą.

Myślałam, że chcesz być ze mną.

Owszem.

Ale mama nie ma czasu.

Sam nie umiałby powiedzieć, co spowodowało jego decyzję; rozmowa z tym Włochem czy zachowanie Wendlla.

W każdym razie czuł, że niewytrzymałby jeszcze jednego dnia podskwarnym słońcem, na płóciennym krzeselku, słuchając wrzasków reżysera.

Przy stoliku zapanował cisza; przerwał ją kelner, przynosząc Ottonowi zamówioną potrawę.

Morze zdawało się dyszeć, fale ocierały się o kamienną podmurówkę tarasu jak ochrający się o drzewo odyniec.

Marcin wolno podniósł wzrok na matkę.

Nie patrzył na niego, tylko gdzieś w przestrzeń.

Twarz jej była skurczona.

Przypomniała mu się scenatam, w biurze województwa.

Wtedy czuł wstyd, jakby zdradzał ciotkę.

Dziś odczuwał coś podobnego w stosunku do matki.

Rób, jak chcesz powiedziała sucho.

Zwróciła się do Ottona.

Jedź prędzej rzuciła niecierpliwie chcę iść spać, czuję się zmęczona.

Spotkali się rano na śniadaniu.
Matka była znowu innym człowiekiem.
Wyglądała młodo, a jej starannie wymasowane twarz pokrywał makijaż.
Była wesoła, śmiała się, żartowała.

Mówiła dużo.
Nieustannie powracała w rozmowie do scen, jakie miały być tego dnia nagrywane.
Potem zjawił się Wendell i także usiadł przy ich stoliku.
Kazała sobie podać szklaneczkę whisky.
Siedział milczący, skupiony.
Gdy zwracano się do niego, skóra na jego czole nad rombami okularów pokrywała się gęstymi zmarszczkami, biegnącymi w górę i gubiącymi się między resztkami włosów.
Niewypuszczał z ust fajki.

Po śniadaniu matka najpierw pocałowała w policzek męża, a potem objęła Marcina i przycisnęła go do siebie.
Jej uścisk był równie mocny jak tamten w biurze województwa, gdy powiedział, że chce z nią jechać.

Wtedy czuł, objęty jej ramionami, że ustępują w nim ostatnie wahania.
To było jakby odnalezienie czegoś od dawna poszukiwanego, kres tęsknot, spełnienie pragnień.
Teraz czuł jednak coś zgoła innego.
Chociaż tego uścisku nie zamieniłby na żaden inny świat poszukiwań i tęsknot istniał dalej, pozaramionami matki.

To dotknięcie niczego nie kończyło, nie było chroniącym portem.

Potem matka odjechała z Wendllem, a Otton z Marcinem wsiedli do fiata, wypożyczonego przez wytwórnię.
Chłopcu wydało się, że ojczym, zanim ruszyli, rozejrzył się uważnie na wszystkie strony.
Dopiero kiedy znaleźli się na szosie, zdjął ciemne okulary.

Jechali drogą, której skrajem ciągnęły barwnie malowane dwukołowe wózki chłopskie, zaprzężone najczęściej wośły.

Kobiety jadące na wózkach szczyrzyły zęby i machały rękami do mijających ich aut.
Słońce było zamglone; jego blask, jakby przesiany przez gęstą tkaninę, wydawał się przecieć jeszcze bardziej dokuczliwy.

Panowała duchota.

Otton zrzucił marynarkę i siedział przy kierownicy w rozpiętej głęboko koszuli.
Czasami krzywił się, jak gdyby dokuczała mu wątroba.

Co chcesz robić w Rzymie?
zapytał Marcina.
Wziąłem cię, ale nie będę miał czasu, aby się tobą zajmować.
Chciałbym zwiedzić miasto.
Może ten Włoch, który chodził ze mną wtedy, mógłby znowu przyjść?

Można spróbować.
Ale ci Włosi to lenie.
Zarobił, to pewno leży brzuchem do góry i nie chce mu się ruszać.

Nie lubisz ich?
Nielubię.
Właśnie dlatego, że są tacy leniwi.

^A pozatym to naród zdrajców.
Kogo zdradzili?
Nas, Niemców, w czasie ostatniej wojny.
Byli naszymi sojusznikami.

Ale kiedy zrobiło się ciężko, usiłowałam uderzyć na nasz tył.
Czy ty, Ottonie, byłeś w czasie wojny?
125.

Ojczym na chwilę oderwał oczy od czarnej szosy, aby spojrzeć na chłopca.

Mówiła ci matka?

zapytał.

Nie, mama nic mi nie mówiła.

Ale tak mówisz o Włochach, jakbyś ich znał.

A kiedyś sam opowiadałeś że byłeś w wojsku.

W wojsku musieli być wszyscy.

Była wojna, a wtedy każdy mężczyzna obowiązany jest służyć w wojsku.

Wojsko niemieckie było także we Włoszech, prawda?

Ten film.

Ten film to idiotyzm!

zachnął się.

Wojsko nasze musiało rzeczywiście walczyć we Włoszech.

Toczyły się ciężkie walki w górach, o tam wskazał ręką.

Góry ciągnęły się równolegle do drogi.

W mglistym powietrzu były prawie niewidoczne, linia ich grzbietów wyglądała jak smuga rozcieńzonego błękitu na chińskim rysunku.

Ale czasami błysnęła żółta plama jakiegoś urwisko; można by sądzić, że zawieszony w powietrzu woal jest w tym miejscuprzetarty.

Brałeś w nich udział?

Ja? Nie.

Czytu gdzieś jest Monte Cassino?

Owszem, właśnie tam.

Słyszałeś coś o tym?

W Polsce mówiło się o walkach pod Monte Cassino.

Była nawet piosenka o czerwonych makach.

W Polsce ze wszystkiego zrobią piosenkę albo taniec mruknął.

Owszem, byli tu Polacy, których Anglicy użyli do walki z nami.

Nagadali im niestworzonych rzeczy.

Nagadali?

O czym?

O różnych sprawach.

Chcieli ich podjudzić.

Anglicy są pierwsi do tego.

Dlatego ci Polacy bili się jak szaleńcy.

Ponieśli ogromne straty.

Musieli je ponieść, rzucali się jak nieprzytomni.

Polacy są dobrymi żołnierzami.

Ale biją się zawsze bez sensu.

Niemcy zajęli Polskę.

Wtedy sprawa była już poplątana.

Ale gdyby byli mądrzy, nie rozpoczynaliby z nami wojny.

U nas mówiło się, że Niemcy napadli na Polskę.

Och, tam w Polsce opowiadali ci na pewno rozmaite przerażające historie.

Założyłbym się, że mówili, iż wszystkimu, co się wtedy stało, winni byli wyłącznie Niemcy.

Jednak to Niemcy napadli, prawda?

Sprawy polityki są sprawami bardzo skomplikowanymi.

Polska mogła uniknąć wojny, ale nie chciała.

Przeciwnie: sama się do niej gotowała.

Niemcy musieli Polaków uprzedzić.

Mówiłeś dużo o mordowaniu Polaków.

U nas w klaszynie było dziecko, które by nie straciło kogoś w obozie, w więzieniu albo w powstaniu.

Chyba przesadzasz.

Trochę Polaków zostało zabitych, to prawda.

Ale to robili esesowcy, gestapo, policja.

Krótko mówiąc: hitlerowcy.

Hitlerowcy to ci, co służyli Hitlerowi?

Oczywiście.

Dlaczego pozwolono im tak 'robić'?

Śmieszny jesteś.

Nikt im nie mógł niczego zabronić.

Mieli władzę siłą.

To ich musieli wszyscy słuchać.

Było ich bardzo dużo?

Naturalnie.

A poza tym byli doskonale zorganizowani.

Tkwili tak w partii, że nikt nigdy nie wiedział, czy nie jest obserwowany przez któregoś z nich.

W partii było dużo Niemców?

W partii byli wszyscy.

To znaczy.

prawie wszyscy.

Ci, którzy nie należeli do partii, mieli masę kłopotów.

Czy ci, co należeli do partii, służyli Hitlerowi?

Jasne.

Czyli że prawie wszyscy byli zwolennikami Hitlera?

Do pewnej chwili byli nimi na pewno.

To, co obiecywał, wydawało się rozsądne.

Nie od razu ludzie zrozumieli, że to szaleniec.

A potem nie można się już było cofnąć.

Trzeba było postępować, jak kazano.

A jeżeli ktoś się sprzeciwił?

Wykańczano go.

Marcin przestał pytać.

Otton wydawał się zmęczony.

Najego czołowi wystąpiły drobne perełki potu, pot świecił także w grubych fałdach skóry na podbródku.

Mgła stawała się coraz rzadsza.

Szosa oddaliła się od morza, przecięła na skos rozległą nadmorską równinę, a teraz wiało wzdłuż zboczy górskich.

Pięła się coraz wyżej.

Mijały miasteczka, których domy, niby jaskółcze gniazda, wznosiły się jedno nad drugim.

W pewnej chwili spoza domków, niskich murków, cyprysówi kęp zieloności mignęła szmaragdowa tarcza jeziora, leżącego w kolistym zagłębieniu między wzgórzami.

Zaraz będziemy w Rzymie powiedział Otton.

Nie odpowiedziałeś mi jednak w głosie Marcina był półpórczy byłeś w wojsku tu, we Włoszech.

Dlaczego cię ta sprawa tak ciekawi?

Owszem, byłem.
Biłeś się?
127.

- "ssy" W8"

jlip

Z Polakami nie walczyłem.

Oddział, do którego należałem, nie brał udziału w walkach.

Mieliśmy za zadanie strzec wybrzeża.

Jak ci mówiłem, Włosi zdradzali.

Ale to już Rzym!

Wykrzyknęło radośnie, jakby z ulgą.

Na grubą twarz Ottona wrócił zwykły wyraz zadowolenia.

Był znowu taki, jakim go Marcin poznał.

Bez potrzeby na zakręcie przycisnął klakson.

Przed nim leżało miasto z pomarańczową masą domów.

Świeżo zbudowane bloki i fragmenty całe wieki liczących murów spojone były ze sobą nieporównaną harmonią.

Tworzyły nierozdzielność, jak nigdzie indziej.

Potem zaczęły się ulice, to wznoszące się, to spływające w dół, place, a na nich fontanny, niezliczone kościoły, schody, obrosłe zielenią ruiny.

Nie bez trudu przebijali się przez zatłoczone miasto.

W końcu znaleźli się znowu przed hotelem.

Na ich powitanie wybiegła służba.

Ugalonowani szwajcarzy prowadzili ich do recepcji.

Otton wydawał polecenia.

Był pewny siebie, jego głos brzmiał jowialnie, ale rozkazująco.

Gdy sięgnął po cygaro, chłopcy hotelowi na wyścigi pośpieszyli z ogniem.

Tam, w Terracynie, mówił głosem przyciszonym.

Jeśli odezwał się twardo, jak poprzedniego wieczoru w restauracji, to w tej twardości nie było akcentów jowialnych.

Przypominał ukazującego zęby wilka.

Tutaj był znowu poczciwym turystą, który zna wartość posiadanego pieniądza, ale nie żałuje go drugim.

Mario nie zjawił się następnego dnia.

Kierownik hotelu zawiadomił Ottona, że Barbetti pojechał z jakąś wycieczką i przez najbliższe dwa dni będzie nieobecny w Rzymie, proponował jednak innego przewodnika znającego "perfettissimo" język niemiecki.

Ale Marcin nie miał ochoty na robienie nowej znajomości.

Postanowił wyruszyć na zwiedzanie miasta samotnie, zaopatrzone jedynie w ilustrowany przewodnik w języku niemieckim.

To nie było jednak to, co chodzenie z Marłem.

Rzym posiadał wiele ciekawostek, często umieszczonych tuż obok siebie;

lecz przewodnik mówił o nich na kilku stronach.

Zanim się doszło do właściwego opisu, człowiek był już daleko odmiejsca, gdzie znajdowała się owapamiątka.

Poza tym, chociaż Marcin coraz lepiej wprawił się w niemiecki, czytanie całych stron sprawiałemu trudność.

Z niechęcią włożył przewodnik do kieszeni i szedł po prostu przed siebie.

128

Wysokie schody wyprowadziły go na piazza del Campidoglio na szczycie Kapitolu.

Pośrodku placu stała rzeźba brodatego jeźdźcy na koniu.

Koń kroczył wolno, z pięknie zganaszowaną szyją.

Marcin nie zajął przewodnika, aby się dowiedzieć, kogo przedstawia pomnik. Ten spokojnie kroczący i jeździec w krótkiej tunice przypomniał mu nagle inny pomnik, oglądany zaledwie przed rokiem.

Wiosną, przed końcem roku szkolnego jego klasa pojechała na wycieczkę do Warszawy.

Przez trzy dni oprowadzano uczniów po muzea i odbudowane ulice.

Pojechali szybko mknącą windą na szczyt Pałacu Kultury i patrzyli na miasto, które z góry odsłoniło ogromne pole ruin, na dole niewidocznych.

Byli bardzo zmęczeni, kiedy po południu ostatniego dnia zaprowadzono ich do cienistych Łazienek.

Ścieżka, którą szli, zbiegała w dół.

Nagle spoza drzew, zwisających gałęzi niskiego muru, na którym stały kamienne amfory, dostrzegli postać na koniu.

Pani Kamińska wprowadziła ich na skwer, odgródzony od reszty parku, kazała usiąść na ławkach i długo opowiadała księciu Józefie Poniatowskiemu.

To opowiadanie utkwiło mocno w pamięci Marcina, zwłaszcza śmierć bohatera osłaniającego ucieczkę napoleońskiej armii.

Nadworek w kiosku "Ruchu" Marcin odnalazł kartę z fotografią pomnika i ta karta, przypięta pluskawką do ściany, została nad jego dawnym łóżkiem.

Barwnie ubrani turyści kierowali się w uliczkę po prawej stronie stojącego w głębi placu pałacu.

Marcin ruszył ich śladem.

Uliczka kończyła się małą balustradą.

Pod nią znajdowało się urwisko, a poza biegnącą dołem ulicą olbrzymi plac ruin.

Marcin domyślił się od razu, że jest to sławne Forum.

Oglądane z góry ruiny zdradzały zarysy dawnych budowli.

Kamienne płyty, które niegdyś tworzyły bruk uliczny, rozsadała trawa.

Z resztą zieleni wdzierała się wszędzie między kamienie.

Gdzieś ruiny pokryte były całkowicie splecioną masą liści i tylko kształt zielonej narośli zdradzał, że pod nią znajduje się fragment muru.

Z błyszczącego nieba ściekała rumowisko w dole żar słońca.

Sterczące kolumny wydawały się świecami rozplywającymi od gorąca.

Inne, obalone, przypominały drzewa złamane przez wiatr.

Wzdłuż rzędu pokruszonych pomników, przedstawiających postaci ludzkie, ciągnęły się dwa długie zbiorniki wody.

Na krańcach rumowiska wznosiły się kamienne łuki, dalej widać było krąg Colosseum, (które Mario pokazał Marcinowi, kiedy wjeżdżał do Rzymu).

9 Marcin.

129.

Oparty o barierę Marcin patrzył.

I nagle usłyszał obok siebie wypowiedziane po polsku słowa:

To stąd, tatusiu, strącanow dół?

Spojrzał w tamtą stronę.

W pobliżu stały dwie dziewczynki.

Wyższa musiała być niewiele od niego młodsza: wysoka, szczupła, z zadartym nosem, ubrana była w czerwony golf i obcisłe spodnie.

Już zaczynałabyć dziewczyną, ale jeszcze niezrzuciłaż siebie skóry gotowego na wszystkocłópaka.

Młodsza miała twarz podobną do pyszczka myszki, z ostro sterczącym noskiem i nisko opadającymi na czoło włosami.

W szarych jej oczach kpina mieszała się przedwczesną powagą.

Mężczyzna, do którego zwróciła się starsza, zbliżył do oczu aparat fotograficzny.

Osypane siwizną włosy kontrastowały z młodą twarzą.

Dziurkowane półbuciki mężczyzny w niemożliwie żółtym kolorze pochodziły niewątpliwie z Polski.

Tak, to stąd odpowiedział na pytanie, zrobiwszy
wpierw zdjęcie.

Nie jest wcale tak bardzo wysoko powiedziała dziewczynka.

Mogli spaść inie zabić się.

Wspięła się na palcei wychyliła do połowy za balustradę.

Ewo, proszę cię powiedział ojciec chwytając ją za ramię i zmuszając, by znowu stanęła obiema nogami na ziemi.

Żebyś mi się niepopisywała żadnymi akrobacjami.

Proszę cię.

Inaczej będziemy chodzili tylko z ogólnymi wycieczkami.

Albo jęzostawimy w hotelu, prawda tatusiu?
powiedziała młodsza.

Zamknij się rzuciła starsza do siostry.

Teraz mówił do ojca.

Mnie się nie kręci w głowie.

Mogłabym chodzić po balustradzie.

A ja cię proszę, żebyś się nie popisywała.

Nie ma dla kogo wzruszyła ramionami, okazując tym gestem pogardę nie wiadomo komu: siostrze czy innym turystom znajdującym się na tarasie.

Dokąd teraz pójdziemy?

pytała młodsza.

W dół, nad Tyber.

Tam tym rogiem, widzicie, stary Rzym, Roma Quadrata, łączył się z prawym brzegiem rzeki.

Obejrzymy najstarszy most rzymski, świątynię Westy i kościół Santa Maria in Cosmedin.

A tam jest coś ciekawego?

Zobaczycie.

Dziewczynki z ojcem odeszły od balustrady i wróciły na plac del Campidoglio.

Marcin ruszył za nimi.

Ten mężczyzna przypominał trochę księdza Wionczka.

Poza tym mówił rzeczy

ciekawe i widać było, że zna miasto.

Idąc parę kroków za nimi, mógł słyszeć ich rozmowę.

Ale starsza dziewczynka musiała go zauważyć, gdyż dwukrotnie obejrzała się na Marcina i obrzuciła go uważnym spojrzeniem od góry do dołu.

W połowie schodów, którymi zstępowali z Kapitelu, ojciec zatrzymał dziewczynki. Pokazał im klatkę ukrytą w cieniu krzewów na trawniku podchodzącym pod narożnik kościoła Santa Maria in Aracoeli.

Po klatce niespokojnym krokiem biegła wielka szara wilczyca.

Poco ją tutaj trzymają?

Wilczyca to herb Rzymu, a Kapitel jest reprezentacyjnym wzgórzem miasta.

Biedaczka powiedziała młodsza z dziewczynek.

Musi jej być okropnie nieprzyjemnie.

Siedzi tu całkiem sama i wszyscy na nią patrzą.

Krysia ma rację przyznała siostra.

Co też ci Włosinie wymyśla!

To tak, jakbyśmy złapali syrenę i trzymali ją w klatce na Starym Mieście.

Na Jagiellońskiej niedźwiadki trzymane są w wybiegu na ulicy zauważył ojciec.

Ale jest ich kilka.

A ta biedna wilczyca jest sama.

Marcin zatrzymał się obok i także przyglądał się klatce.

Starsza dziewczynka znowu popatrzyła na niego, a potem coś cicho powiedziała do ojca.

Spojrzał na Marcina, ale tylko wzruszył ramionami.

Zeszli ze schodów i ruszyli w lewo, w dół ulicy.

Starsza dziewczynka jeszcze raz się obejrzała.

To samo za chwilę zrobiła młodsza.

Mimo to Marcin szedł ciągle za nimi.

Po prostu miał nadzieję, że nie potrafi się od nich oderwać.

Widział ich po raz pierwszy, a przecież od razu wydali mu się bliscy i znajomi.

Czy widzicie ten kościółek tam, na wyspie?

zapytał ojciec zatrzymując się i wyciągając przed siebie rękę.

Dziewczynki wspinały się na palce, aby zobaczyć na bujnej rzece wyspę, przygniecioną piramidą słoczonych murów koloru ochry; wyglądała jak wyładowana do granic możliwości krypa.

Ciężki, kamienny most łączył wyspę z brzegiem.

Na wydłużonym końcu wyspy, ponad pomarańczowymi murami wznosiła się niewysoka, prostokątna campanilla.

"Widzimy.

Co to takiego?

To kościółek Świętego Bartłomieja.

Ale początkowo nazywał się inaczej.

Został ufundowany przez cesarza Ottona III jako pierwszy kościół kucyki naszego świętego Wojciecha.

Zresztą święty Wojciech podczas swego pobytu w Rzymie.

mieszkał w tutejszym klasztorze.

Święty Wojciech został kanonizowany w roku tysięcznym i z tego czasu pochodzi ów kościółek.

A dlaczego nazywa się teraz inaczej?

Otton III to ten, który, jak pamiętacie, pielgrzymował do Gniezna, do grobu świętego Wojciecha.

Ale Rzymianie nie lubili go.

Niecierpeli resztą wszystkich cesarzy niemieckich.

Przez wieki Niemcy byli dla Rzymian barbarzyńskimi najeźdźcami.

Otton III został wypędzony z miasta, a Rzymianie, aby zatrzeć jego pamięć, przemianowali kościół świętego Wojciecha na kościół Świętego Bartłomieja.

To bardzo nieładnie z ich strony powiedziała starsza.

Aby zemścić się na Niemcach, postąpili przeciwko nam.

A Otton III był chyba porządnym Niemcem.

Nam rzeczywiście okazał wiele życzliwości.

Historycy niemieccy do dziś nie mogą mu tego darować.

Ale w Rzymie

potrafił być okrutny.

Zanim ruszyli, obie dziewczynki spojrzały na Marcina, który oparł kroków dalej przysłuchiwał się słowom mężczyzny.

Słyszał, jak starsza powiedziała do ojca:

Widzi tatuś, ten szpicel znów podsłuchuje.

To niech słucho, jeśli chce rzekł ojciec.

Poco ma słucho!

Niech go tatuś odpędzi.

Nie wiadomo,

czego się do nas przyczepił.

Ojciec znowu wzruszył ramionami, ale przynaglony przez córki zbliżył się do Marcina.

Marcin w pierwszej chwili miał ochotę uciec.

Ale coś go powstrzymało może świadomość, że jeśli ucieknie, nie będzie już mógł zbliżyć się do nich.

Ojciec stanął przed Marcinem, poprawił okulary i coś powiedział po włosku.

Nie rozumiem rzekł Marcin.

Ale może pan mówić po polsku.

Chodzę z panem, bo usłyszałem język polski i pan mówi tyle ciekawych rzeczy.

Mężczyzna rozpromienił się.

Zwrócił się do córek:

Widzicie, ten chłopiec jest także Polakiem.

Chodzi z nami, bo usłyszał język polski.

A one już wymyśliły Bóg wie

corzekł do Marcina.

Skoro zna polski, to znaczy, że podsłuchiwał starsza dziewczynka patrzyła na Marcina bez życzliwości.

Dlaczego od razu nie podszedłeś i nie powiedziałeś, że jesteś Polakiem?

Zwróciła się wprost do chłopca.

Daj spokój, Ewo rzekł mężczyzna.

Chłopiec jest

może nieśmiały.

Wcale nie wygląda na nieśmiałego.
No, no, Ewo, nie bądź taka wojownicza.
Dawno przyjechałeś do Rzymu?
Przedparoma dniami.
Z wycieczką?
Nie, z matką.
Matka nie chodzi z tobą?
Nie.
Matkazajęta.
Chodzę po mieście sam.
Ale totalnie trudno coś zobaczyć.
Bardzo trudno.
Rzym to worek ze skarbami, w którym niełatwo grzebać.
Jak się nazywasz?
Marcin.
Marcin Policki.
Więc słuchaj, Marcinie, jeżeli masz czas, chcesz, chodź z nami.
Znam Rzym i mogę ci coś niecoś pokazać.
Tatuzi powiedziała młodszą z dziewczynek bił się w czasie wojny we Włoszech.
A potem mieszkał w Rzymie dlatego wszystko zna.
Ja się nazywam Krysia.
A ona wskazała siostrę Ewa.
Jeszcze powiedz mi, gdzie mieszkamy, na którym piętrze i daj mi klucz od windy.
i Obejdę się bez klucza rzekł Marcin.
W której jesteś klasie?
zapytał.
Rzuciła przez ramię:
W szóstej.
A ja w czwartej oświadczyła Krysia.
Chodźcie zawołał mężczyzna jeżeli chcecie coś zobaczyć, nie możemy tracić czasu.
Patrzcie ten oryginalny budynek.
Najpierw w starożytności był to teatr Marcella.
Potem w średniowieczu objął go ród Pierleoni uczynił z budynku twierdzę.
To był znany ród i nawet jeden z antypapieżów wywodził się z Pierleoni.
Ponieważ budynek przeszedł w ręce Orsinich.
Ruszyli dalej wzdłuż brzegu Tybru.
Wiał ostry, porywisty, suchy wiatr; niosł gorące powietrze jak z otwartych drzwi wielkiego pieca.
Chodząc sędziwem po Rzymie zapytał mężczyzna: Marcinie, nie bałeś się zgubić?
Marcin potrząsnął głową.
Dałbym sobie radę.
Jakbyś się zgubił, wziąłbym taksówkę i kazałbym się odwieźć do hotelu.
A w jakim hotelu mieszkasz?
Wymienił nazwę.
Dorzucił:
Na via Yittorio Veneto.
Zobaczył błysk zaciekawienia w oczach mężczyzny.
Ho, ho, to musi być jakiś bardzo elegancki hotel po.

wiedział.

Vittorio Veneto jest ulicą najkosztowniejszych lokali.

Marcin poczuł na sobie uważne spojrzenie obu dziewczynek.

Byliście tam?

spytała starsza.

Jeszcze nie.

Ale pójdziemy.

Może nawet dziś po południu.

Jest tam bardzo ciekawy kościółek kapucynów.

W jego podziemiach znajduje się kaplica, a w niej wszystkie ozdoby zrobione są z kości ludzkich: z czaszek, z piszczeli.

Ja tam nie pójdę!

oświadczyła młodsza z wielką stanowczością.

A ja pójdę!

Nie jestem taką zmokłą kurą jak ty powiedziała Ewa.

k

To nie jest nic strasznego, Kysiu zapewniał młodsza ojciec.

A w kościele kapucynów znajdujesz grób Aleksandra, jednego z synów Sobieskiego.

Króla Sobieskiego?

Tak.

W Rzymie jest cała masa pamiątek po Sobieskim i jego rodzinie.

Kiedy król umarł, Marysienka z synami mieszkała przez całe lata w Rzymie, jako honorowy gość papieża.

Zachował się pałac na Trinita dei Monti, który był jej własnością.

Kościół Nomi Maria obok ruin Trajana został wzniesiony na pamiątkę ocalenia Wiednia przez Sobieskiego.

Ale istnieje jeszcze pewien ciekawy szczegół, o którym mało kto wie w Rzymie, mało kto wie w Polsce i o którym wzmianki nie znajdziecie w żadnym przewodniku.

Mężczyzna zatrzymał się, podniósł rękę i tajemniczo ściszył głos.

Otóż obok dworca głównego w ruinach term Dioklecjan mieści się kościół Santa Maria degli Angeli.

Przez ten to mały kościółek przechodzi pierwszy południk ziemski.

Pierwszy przechodzi przez Greenwich powiedziała

Ewa.

Tak się liczy obecnie.

Ale w osiemnastym wieku świat

katolicki liczył południki od Rzymu.

Bieg tego południka oznacza metalowa sztaba wprawiona w płyty posadzki kościoła.

A przy tej sztabie są herby i łaciński napis, który mówi, że sztabę tę kazali wprawić Jan i Maria Sobiescy.

Musimy to zobaczyć!

zawołały obie dziewczynki.

Naturalnie, że musicie to zobaczyć zapewnił ojciec.

No cóż, Marcinie zwrócił się do chłopca.

Jeśli nie masz ciekawszych planów, chodź teraz z nami do kościoła Santa Maria in Cosmedin.

A może już widziałeś?

Nie, niewidziałem.

Pójdę chętnie, jeśli pan pozwoli.

Czy

tam są także jakieś polskie pamiątki?

Nie, polskich pamiątek nie ma.

To tu, widząc zatoczył ręką krąg w tym miejscu starożytny Rzym dotykał rzeki.

Znajdowało się tutaj wielkie targowisko i tu był port Rzymu, gdzie wyładowywano barki

przywożące z Ostii towary, zwiezione przedtem z rozmaitych portów imperium.

Tu było także, i do dziś się znajduje, ujście kanalizacji miejskich.

A naprzeciwko, po tamtej stronie rzeki, mieszkała biedota miejska.

Wśród tych ludzi działali święty Piotr i święty Paweł.

Mężczyzna opowiadał z ogromnym zapałem.

Słuchała go przede wszystkim Kryśka.

Ewa zbliżyła się do Marcina i powiedziała:

My jesteśmy z Warszawy.

A ty?

Wymienił nazwę miasta, w którym mieszkał tak niedawno.

Do której chodzisz klasy?

Dziewczynka pytała dalej.

Miała brwi zmarszczone, dłoń wojowniczo oparta na biodrze.

Chodziłem do siódmej.

Ale wyjechałem i musiałem przerwać naukę.

To cię dogonię rzuciła.

Adawno wyjechałeś?

Przed Bożym Narodzeniem.

I cały czas jesteś w Rzymie?

Nie.

Byłem w Niemczech, w Holandii.

Zwiedzasz Europę?

A kiedy wracasz?

Nie wiem.

Tymczasem zatrzymali się między świątyniami Fortuny i Westy.

A teraz popatrzcie na drugi brzeg powiedział ojciec.

Te zielone wzgórza, które się ciągną takim długim łańcuchem, to Gianicolo.

Spójrzcie, tam gdzie wzgórze jest najwyższe.

Widzicie tę białą platformę?

Stoi tam pomnik Garibaldiego na koniu.

Na ten taras jeżdżą ludzie, aby popatrzeć góry na Rzym.

Wspaniały widok.

Trochę niżej, widzicie, jak ta biała droga, znajduje się pomnik żony Garibaldiego, Anity.

Bardzo efektowny.

Kobieta z pistoletem w ręku jedzona galopującym koniu.

Muszę tę Anitę zobaczyć powiedziała Ewa.

To musiała być jakaś cholernie udana dziewczyna.

A ty zwróciłeś się nagle do Marcina umiesz jeździć na koniu?

Nie próbowałem.

Ja umiem.

Nauczyłam się w stadninie, w Ochabach.

Ona to by tylko jeździła na koniu i strzelała z pistoletu powiedziała Kryśka ze złośliwym pobłażliwym uśmiechem na swym mysim pyszczku.

Taki z niej Zorro.

A ty jesteś głupia!

zgasiła siostrę Ewa.

Tatusiu, ona się przeżywa!

Dajcie spokój próbował uciszyć kłótnię ojciec.

Lepiej spójrzcie tam, gdzie pokazuję.

Czy widzicie tę campanillę?

No, tę wieżę kościelną.

Nie tę blisko, ale tamtą dalej, z zegarem, który tak błyszczy w słońcu?

To wieża kościelna Santa Maria in Trastevere.

Każdy kardynał ma swój kościół w Rzymie, a kardynał Wyszyński jest nominalnym proboszczem tego kościoła.

W kościele jest grób wielkiego polskiego uczonego z doby renesansu, kardynała Hozjusza.

To Hozjusz przyczynił się do założenia w Rzymie hospicjum dla przyjeżdżających z Polski pielgrzymów, a od papieża otrzymał dla Polaków kościół na via delie Botteghe Oscure.

Ten, gdzieśmy byli rano?

Właśnie ten.

W jego pobliżu była ulica Polaków.

Ostatnio jej nie znajduję.

Za to schody prowadzące od via Cavour do kościoła San Pietro in Vincoli nazywają się via Monte Polacchi.

Powinni byli nazwać ulicę Polską jakąś większą ulicę.

Ci Włosi zaczynają mi się nie podobać Ewa wydeła groźnie usta.

Nie masz racji, Ewo, całkiem nie masz racji.

Jest zupełnie inaczej.

Małomamy w świecie równie szczerych i oddanych przyjaciół.

Widziałem to, gdy tu byłem podczas wojny.

Nigdzie nie czuliśmy się otoczeni większą sympatią niż tutaj.

Polacy wyobrażają sobie często, że ich największymi przyjaciółmi są Francuzi.

Byli Francuzi, którzy mówili nam miłe słowa, opowiadali, że jesteśmy "paryżanami północy", co uważali naturalnie za największy komplement, a równocześnie używali powiedzonka "pijany jak Polak" i patrzyli bez szacunku na polską kulturę, której nawet nie próbowali poznać, nie znając, uważali jedynie za naśladownictwo kultury francuskiej. Tu witano nas całym sercem, nawet wtedy, gdy walcząc z Niemcami, musieliśmy niszczyć bogactwa kultury

italskiej.

Stali przed fontanną.

Dwa trytony unosiły na barkach kamienną konchę.

Srebrny wiał mieniąc się słońcu.

Pan bił się z Niemcami tutaj, we Włoszech?

zapytał

Marcin.

Walczyłem z nimi.

Pod Monte Cassino?

Mój batalion nie brał udziału w tej sławnej bitwie.

Jacy.

jacy oni byli, proszę pana?

Kto?

l

No, oni, Niemcy.

Tacy sami, jakimi byli w Polsce.

Twardzi i nie mogącego przyznać dzielni w bezpośredniej walce, ale okrutni i bezlitośni wobec bezbronnych.

Ludność włoska bała się i nienawidziła.

Gdy opuszczali jakąś osadę, wszystko zaminowywali.

Umieszczali miny w paleniskach kuchni, w stołach, w łóżkach.

Wielu ludzi wracających do swych opuszczonych domów padało potem ofiarą ich podstępów.

Zginęło wiele dzieci.

Dla Włocha nie ma rzeczy budzącej większe oburzenie niż zamach na dziecko.

Taksamo jak dla nas.

A ty nie wiedziałaś, jacy byli Niemcy?

zapytała Ewa.

Spojrzał na nią i spostrzegł, że dziewczynka ma głowę przechyloną i wzrok utkwiony w sterczącej jej okieszeni książki.

To był przewodnik, który mu kupił Otton dziś rano.

Pewnie, że wiedziałem burknął.

Mówiono mi nieraz.

Ale tu mówią o nich inaczej.

Kto mówi?

Niektórzy.

I co mówią?

Że Włosi zdradzili.

Żenapadli z tyłu.

I tak mówią Włosi?

Czem się tak wypytujesz?

Ona lubi się bawić w szeryfa powiedziała Krysia.

Stara się tak zadawać pytania, aby ten, którego pyta, się zmieszał.

Cichosiedź!

zawołała Ewa.

Przed wszystkim nie baw się.

Bawiłaś się, kiedy były moje urodziny.

Bawiłam cię.

Zwróciła się do Marcina.

Pytam się, bo mi się tak podoba.

Czy nie wolno?

Dlaczego nie?

Pytaj.

Więc mi odpowiedz: czy ty wrócisz do Polski?

Ale już byli na progu kościoła.

Kościół był niski, jakby przysiadły.

Nad nim wznosiła się strzelista, czworościanowa wieża.

Od ulicy oddzielał kościół podłużny przedsionek o arkadowych wejściach zamkniętych kratą.

Nakońcu przedsionka murywana była wściana płaskorzeźba przedstawiająca brodatą głowę jakiegoś rzymskiego boga.

Jego rozchylone usta tworzyły głęboki otwór.

To jest bóg rzeki objaśnił ojciec.

Jego usta nazywają Rzymianie Bocca della Verità ustami prawdy.

Według legendy, jeśli ktoś włoży dłoń do tych ust, a jest kłamcą, usta dłoń pochwycają i nie puszczają.

Kryśia odruchowo schowała ręce za siebie.

Włożysz, Ewa?

zapytała siostrę, uśmiechając się prowokacyjnie.

Pewnie, że włożę Ewa zuchowato położyła dłoń nawargach boga.

Widzisz, że mniemnie chwycił powiedziałatriumfująco dosiostry.

A ty zwróciła się do Marcinanie będziesz się bał?

Pewnie, że nie.

Wyciągnął rękę, aledziewczynka chwyciła goza rękaw.

Nie odpowiedziałeś mi, czy wrócisz do Polski?

Dlaczego nie mam wrócić?

Nosisz niemieckie książki gestem wskazała sterczącyzkieszeni przewodnik.

Znaszdobrze niemiecki?

Wbrew woli poczuł, że się czerwieni.

Trochę znam.

Nie było innego przewodnika.

No to włoż rękę.

Patrzyła naniego.

Miała oczy zmrużone, zmarszczony nos.

Jej szerokie, nieco wywinięte wargi skrzywiły się w kpiącymuśmiechu.

Była całkieminna niż tamta a przecież w tejchwiliprzypomniała mu Szawelską.

Biłomu serce, ale gestempewnym siebie wsunął głęboko dłoń w kamienną paszczę.

Zachichotała.

Dlaczego się śmiejesz?

Nie podoba ci się?

odpowiedziała przekornie.

Po południu Marcin znowu spotkał się znimi.

Umówili sięna przystankutrolejbusowym obok Colosseumistamtądpojechałina Drogę

Appijską do Katakumb ŚwiętegoKaliksta.

Podczas jazdy ojciec pokazywał córkom i Marcinowiruiny term Caracalli i bramę Świętego Sebastiana.

W ogródkumiędzy cyprysami czekali, ażsię zbierze grupa, którą miałoprowadzać po katakumbach polski ksiądz.

Dobroduszny księżulek wypytywał dziewczynki o Polskę.

"Boże, nie widziałemkraju od dwudziestu lat!

Opowiadajcie, jak tam teraz wszystko wygląda.

Obecnie przyjeżdża więcej Polaków, więc mniemywają, abym ichoprowadzał.

Ale przedtem nie było dokogo ust otworzyć.

"

Strome schodyprowadziły w dół.

Wysokie ściany korytarzapełne były wnęk.

To byłymiejsca, gdzie składano ciała.

Z głównego korytarza wchodziło się do małych pomieszczeń,których ściany pokrywały wyblakłe malowidła.

Ksiądz tłumaczył ich znaczenie.

W jednym z pomieszczeń znajdował się

biały marmurowy sarkofag świętej Cecylii.

Męczennica leżaław takiej postawie, jak ją odnaleziono w grobie: na prawymboku, odcięta jej głowa zwrócona była twarzą do ziemi.

Wyciągnięte ręce zdawały się coś ukazywać:jedna dłoń jednym.

palcem, druga dwoma.

"Mówią objaśniał ksiądz że święta pokazuje swój wiek.
Miała dwadzieścia jeden lat.

"

Dalej korytarze biegły w dół.
Zdawały się ciągnąć kilometrami.
Czasami powietrze w nich" było duszne, a czasami ciągnął przez nie rzeźwy powiew.
Gdzieś gdzie korytarz stawał się tak wąski, że ledwo mogły się minąć dwie osoby, w ścianach wszędzie, od dołu aż po sklepienie, wyłobione były wnęki.

Po dobrej godzinie opuścili katakumby.
Słońce już się zniżało, świeciło spomiędzy cyprysowych stożków.
W ogródkuleżały długie cienie.
Pożegnano się z księdzem, który rozczulił się i wzruszony pociągał nosem.
Wyszli nawysadzaną drzewami aleję, biegnącą między zielonymi wzgórzami.
Niedługo doszli do stojącego zbiegu dróg kościółka.

Przypatrzcie się tej kapliczce powiedział mężczyzna wskazując na mury,
na których leżał różowy blask słońca.
Na pewno pamiętacie z "Quo vadis?"
" tę scenę, gdy święty Piotr uciekał z Rzymu, ale na drodze spotkał Pana Jezusa, który mu powiedział, że idzie poraz drugi ponieść śmierć, gdyż Jego namiestnik opuścił powierzoną mu placówkę.

Siadłem owej pięknej legendy jest właśnie ta kapliczka.
To tu Piotr miał spotkać Jezusa.
Są tu nawet zachowane na kamieniu ślady stóp Chrystusowych.
Ale o tej historii niewiele osób wiedziało i dopiero powieść Sienkiewicza uczyniła ją znaną na całym świecie.
Bo miliony ludzi czytały i wciąż czytają "Quo vadis?"
", chociaż trzeba powiedzieć, że
poza Polską tylko niewielu wie, że jej autor był Polakiem.

Niewiedzą?

Dlaczego?

zapytał Marcin.

Nie jesteśmy narodem, który umiał narzucić innym szacunek dla dzieł swojej kultury.
A przecież potrafiliśmy tworzyć rzeczy naprawdę wielkie.

Mimo to nikt ich nie zna.

Często dzieła mniejszej miary, ale pochodzące od twórców należących do narodów bardziej zapobiegliwych, weszły do panteonu światowych arcydzieł.

To prawda, że sami przede wszystkim jesteśmy temu winni.

Ewangeliczne przysłowie, że nikt nie jest prorokiem wśród swoich, odnosi się do nas jak do żadnego innego narodu.

Jesteśmy ostatnimi z tych, którzy bymianem "arcydzieło" określili coś, co pochodzi od jednego z nas.

Książka, obraz, utwór muzyczny pochodzenia własnego najczęściej są po prostu nie dostrzeżone, zlekceważone.

Kiedy.

ws""w"

-wwgy

Francuz mówi o dziele innego Francuza, choćby ten artystabył jego śmiertelnym wrogiem, będzie je przedstawiał jakorzecz genialną.

Anglicy mają nawet przysłowie: "Zła czy dobra jest moją ojczyzną".

Polak jeśli przyjdzie mu mówić o twórcy innego Polaka, zaczyna od utyskiwania nad jego brakami i słabościami.

Zajrzeli jeszcze do środka kaplicy, a potem ruszyli dalej Drogą Appijską w stronę miasta.

Po obu stronach ciągnęły się mury, nadając drodze wygląd wąskiego korytarza, wypełnionego złotym, dławiącym pyłem.

Dziewczęta szły przodem, ojciec i Marcin znaleźli się oparę kroków za nimi.

Zauważyłem powiedział mężczyzna, jakby korzystając z tego, że córki nie mogą go słyszeć że Ewa nie była rano dla ciebie grzeczna.

Aż mnie to zdziwiło.

Pytałem ją, a ona mi powiedziała, że jej się nie podobałeś, gdyż podejrzewa, iż ty i twoi rodzice uciekliście z Polski.

Bardzo ją za tożgańłem.

Nie wolno nam sądzić postępowania drugich na podstawie podejrzeń, a poza tym nawet gdyby tak było, nie nasza jest sprawa oceniać postępkę, gdy się nie zna powodów.

Zapowiedziałem dziewczętom, aby na ten temat z tobą nie rozmawiały.

!

Ja nie uciekłem!

powiedział Marcin prędko.

Zaczerwienił się.

Ja.

zająknął się umilkł.

Ależ ja cię onie nie pytam.

Pan nie pyta, ale ja powiem.

Ja nawet chciałem komuś powiedzieć.

Jeżeli odczuwasz potrzebę mówienia, to naturalnie powiedz.

Być może, będę ci coś mógł poradzić.

A nawet jeśli nie potrafisz, dobrze jest czasami wypowiedzieć głośno coś, co człowieka męczy.

Właśnie potwierdził.

Ten mężczyzna znowu mu przypomniał księdza Wionczka.

Janie uciekłem powtórzył.

Wyjechałem.

Bo znalazła się moja matka i zabrała mnie.

Ale moja matka żyje w Niemczech.

I ma męża Niemca.

Wyrzucał każde z tych zdań jak twarde skrzepy flegmy, które narosły w gardle.

Rozumiem powiedział mężczyzna.

Ale ty, Marcinie, czujesz się Polakiem?

Nie odpowiedział, zrobił tylko gest wyrażający zniechęcenie.

Czuł dziwny opór przed odpowiedzią na to pytanie.

Ale mężczyzna, można by sądzić, zrozumiał ten gest.

Rozumiem powtórzył.

No cóż, niełatwo jest mi dać jakąś radę.

Nie jesteś jeszcze w wieku, w którym człowiek może decydować sam o sobie.

Pozwól jednak, zdecydowanie

powiem: widzisz, ja wprawdzie nigdy nie uciekałem z Polski, ale muszę przyznać, że wtedy, kiedy mieszkałem tu, we Włoszech, zastanawiałem się długo, czy do Polski wrócić. Długo nad tym myślałem.

Ci z Polaków, którzy po wojnie trafili do Francji, Anglii czy Ameryki, mogli łatwiej podjąć decyzję.

Tamte kraje są tak inne niż Polska, że ci, którzy zdecydowali się w nich pozostać, musieli sobie powiedzieć, iż już nigdy dokraju nie wrócą, a ich dzieci Polakami nie będą.

Być może, niektórzy łudzili się, ale w pewnym momencie nie mogli tego nie pojąć.

W Rzymie jest inaczej.

Rzym jest jakby ojczyzną wszystkich.

Tu można żyć i pozostać Polakiem.

Tyle jest tutaj polskich pamiątek.

A jednak nawet przebywając wśród nich, nie jest się u siebie.

Mówi się: Polak nie może żyć bez Polski.

Ale także Polak może żyć bez Polaków.

Więc widzisz.

Teraz on zrobił gest, jakby chciał nim zastąpić brakujące słowa.

Szli obok siebie w milczeniu, obaj lekko pochyleni, jakby przygnieci ciężarem rzeczy nie wypowiedzianych.

Przed nimi rozciągało się miasto złocistą ścianą murów.

Gdzieś biły dzwony, a ten dźwięk leciał na zielone wzgórza, na wysadzone cyprysami drogi, na pochylone lekko od strony morza pinie, na zagubione w wysokiej trawie stare rzymskie groby.

Do widzenia, Marcin powiedział mężczyźnie, gdy się żegnali na przystanku trolejbusowym.

Już się nie zobaczymy, gdyż nasza wycieczka opuszcza jutro Rzym.

Jeszcze podroże mamy zwiedzić Florencję i Wenecję, a za tydzień będziemy z powrotem w Warszawie.

Ale może kiedyś się spotkamy.

W każdym razie Kryśka zapisała 'ci nasz adres.

Dziewczynka krzywiąc w uśmiechu swój mysi pyszczek podała mu kartkę.

Przeczytał: "Prof.

dr Karol Wolski, Warszawa, ul.

Karłowicza".

Niżej widniał dopisek: "Kryśka i Ewa".

Bardzo cię prosimy, abyś napisał powiedziała Kryśka.

Ciao!

rzuciła Ewa.

Chłopięcym, mocnym gestem wyciągnęła do niego rękę.

Wcale nie chciałam cię dotknąć.

Wiem pomógł jej.

Szkoda, że nie będę mógł z wami chodzić po Rzymie.

Tu na pewno jest jeszcze wiele do zobaczenia.

Wiele?

Wszystko zapewniał gorąco pan Wolski.

I po roku nie mógłbyś się pochwalić, że naprawdę znasz Rzym.

Napisz powiedziała Kryśka, gdy już podjeżdżał trolejbus.

Konieczność napisz.

A do Polski wróć!

rzuciła Ewa.

Choćby cię trzymali!

Wracaj!

Trolejbus odjechał.

Marcin patrzył za nim długo.

To dziwne:.

mniej odczuł chwilę, gdy opuszczając Rzepin, przejeżdżaliśmy nad Odrą, niż obecny moment pożegnania na ogarniętym pierwszym zmierzchem via di Porta S. Sebastiano.

Nie spieszył się z powrotem.

Wolno wędrował pomieście, mijał sklepy, w których zapalały się witryny, kinabuchające światłami rozpoczętych spektakli, niezliczone rzymskie kawiarnie, gdzie przy błyszczących ladach czarnowłosi, rozgadani panowie pili kawę z mikroskopijnych filiżaneczek.

W recepcji hotelu wręczono mu klucz odpokoju, a jednocześnie portier niezdarzą niemczyzną powiedział:

Signor Bredel wyszedł.

Powiedział, aby młody signornie czekał na niego.

On poszedł z innymi panami Niemcami.

Mówił, niech młody signor zje sam kolację.

A o dziewiętej będzie telefon od signory z Terraciny.

Marcin poszedł do sali restauracyjnej i samotnie zjadł kolację.

Kelnerzy już go tu znali.

Zjadł zamówioną porcję spaghetti, a potem udał się do pokoju.

Rzucił się na fotel, oparł głowę na rękach, palce zanurzył we włosy.

Kilkakrotnie zaciskał je, jakby chciał szarpać czuprynę.

Nie umiał analizować swoich uczuć, ale dawał sobie sprawę, że wzbiera w nim jakaś burza i niesie go na ślepo.

Piekące uczucie obcości zaczęło się w nim przemieniać w gniew.

Nie wiedział o co, nie wiedział na kogo.

Zadzwoił telefon.

Marcin usłyszał głos matki.

To ty, Martin?

Jak się mój synek czuje?

Co robisz?

Zwiedzam Rzym.

To bardzo brzydko z twojej strony, że wyjechałeś.

Czujesz się fatalnie.

Okropnie jestem zmęczona i samotna.

Nie ma nikogo, kto by.

się nadał mną uzalił.

Musieliśmy dziś dziewięć razy nagrywać jedną i tę samą scenę.

Jutro będzie znowu ciężki dzień.

Czy jest Otton?

Nie, niema.

Dokąd poszedł?

Nie wiem.

Mówili w hotelu, że z jakimiś Szwabami.

Jak ty powiedziałeś?

Zwyczajnie: że poszedł z jakimiś Szwabami.

To wcale nie jest zwyczajnie.

Powiedziałeś niegrzecznie.

Przecież tak się mówi o Niemcach.

Tak mówią na Niemców w Polsce ci, którzy ich nie lubią.

Ale ty sam jesteś Niemcem.

Wcalenim nie jestem!
wybuchnął z nagłym rozdrażnieniem.
Martin!
głos kobiety w słuchawce zabrzmiał przejmującą nutą.
Co ty wyplatasz?
Nic nie rozumiem.
Mieszkasz w Niemczech, masz obywatelstwo.
Nie jestem Niemcem!
krzyknął, jakby chciał zagłuszyć jej słowa.
Twój ojciec.
Nie jestem!
Martin!
Proszę cię, przestań krzyczeć.
Czuję się okropnie.
Jestem sama.
Boli mnie głowa, potrzebuję pociechy.
Nie masz dla mnie odrobiny litości.
Bardzo ci współczuję, mamó.
Naprawdę.
Ale to ci musiałem powiedzieć, że nie jestem Niemcem.
I ty także nie jesteś Niemką.
Przestań!
Nie chcę tego słuchać.
Wiesz, że artysta.
To ci powiedział Wendell, prawda?
Mniejsza z tym, kto powiedział.
Dlaczego ty mnie tak męczysz?
Nie rozumiem zupełnie, o co ci chodzi.
Przecież jesteś moim synem, mieszkamy w Niemczech.
Tam w Polsce żyłeś w nędzy.
W Niemczech niczego ci nie brakuje, masz wszystko.
Co nazywasz wszystkim?
No, wszystko, na co masz ochotę.
Niczego ci nie brak.
Nierozumiesz?
Co się z tobą dzieje, Martin?
Byłeś takim słodkim chłopcem.
Tyle miałam cię pociechy.
A teraz mówisz takie brzydkie rzeczy.
Wszystko dlatego, że odjechałeś, powinieneś być zostać ze mną.
Jestem taka biedna.
Żebyś mnie zobaczył, pożałowałbyś mnie!
Dziewięć razy ta sama scena!
Ci statyści włoscy są niemożliwi!
Zupełnie nie chcę zrozumieć, czego Eryk od nich żąda.
Kiedy Otton wróci?
Nie wiem.
Niech do mnie dzisiaj nie dzwoni.
Muszę się położyć.
Wezmę coś na sen i niechcę, aby mnie budzono.

Ja sama jutro do was zatelefonuję.
A ty żebyś mówił ze mną inaczej.
Musisz mówić inaczej, Martin, proszę cię.
Nie chcę słuchać przykrych rzeczy.
 Nie odpowiedział, tylko przestał słuchać.
Głos matki chrobotał, niezrozumiały i żalony.
Potem ucichł, a Marcin położył słuchawkę na widełkach.
Zapanowała cisza.
Po chwili telefon zadzwonił, ale była to tylko telefonistka.
 Finito?
Finito?
dopytywała się.
 Si powiedział.
 Wstał i zaczął chodzić po pokoju.
Napięcie stało się prosto.
nie do zniesienia.
Miał uczucie, jakby ostatnie miesiące przeżył w jakimś oszołomieniu.
Przyjmował potulniejszy.

stko, co przynosi dzień, godził się z każdą sprawą.

Ale tymczasem niedostrzegalnieróśłw nim opór.

Cośwzbierało.

Nagle wydało się Marcinowi, że oprzytomniał.

Stał się znowu.

'tym, kim był dawniej: chłopcem nieustrasłym, wojowniczym, samowolnym.

Spacerując po miękkiemywanie, rozmyślał tylkoo jednym:

o zrobieniu czegoś takiego, "żeby im wszystkimposzło w pięty".

Nie zdawałsobie sprawy z tego, kogow swych myślachnazywa "tymi wszystkimi".

To nie wydawałosię ważne.

Ważne było przejście do działania, do jakiegokolwiek działania.

Kolejno pojawiały sięprojekty podpalenia hotelu, zejścia naulicę i zawładnięcia pierwszym
znalezionym autem (Marcinwiedział, że większość aut stoi nie zamkniętych),

napadnięciewłoskiego policjanta.

Każdy z tych pomysłów wydawał sięprzez chwilę znakomity, ale zaraz potem wyglądał na
idiotyzm.

W końcu, nie podjąwszy żadnej decyzji, Marcin położył siędo łóżka.

Mimo podniecenia próbował zasnąć.

Ale sen nienadchodził.

Gdytak leżał, słyszał z niezwykłą wyrazistościąwszystkie dźwięki dochodzące do niegoz
różnych stron.

Murybudynku zdawały siędrzeć, gdywinda wznosiła się w górę.

Trzaskały drzwi, czasami rozlegały się głosy ludzi idących korytarzem.

Za oknemstychaćbyło klaksony aut na zapchanejludźmi ulicy.

O tej porze via Yittorio Veneto nabierała życia.

Tłumy kłębiły się na chodnikach, przeciskały między wystawionymi na trotuarach stolikami
kawiarnianymi, spływałyna jezdnię.

Wśród świateł neonów, otoczony dźwiękami muzyki, zgiełkiem miasta, wznosił się czarną
bryłą mały kościółkapucynów, w którego podziemiachznajdowała się przerażającakaplica
przybrana kośćmi zmarłych zakonników.

Marcinbył tam długo jeszcze po wyjściu nie mógłsię pozbyćuczucia grozy.

Największe wrażenie zrobiły na nim szkielety zakonników ubrane w kapucyńskie habitury
iustawione wkątach.

W końcu znużenie przemogło ichłopiec zasnął.

Obudziły go hałasy na korytarzu, tużobok jegodrzwi.

Kilkumężczyzn rozmawiało ze sobą grubymi głosami, wybuchającocochwila śmiechem.

Zupełnie nie liczyli sięz późną porą.

Właściwiemożenie samegłosygo obudziły.

Miał sen.

Tobył dręczący sen, który powracał już kilkakrotnie.

Widziałw nim siebieleżącego, jakbychorego czy bezwładnego, a nadsobapochylnych ludzi.

Ci ludzie nie mieli twarzy.

Byli właśnie tacy jak szkielety w brązowych, kapucyńskich habitach.

Nie były to jednakhabitury, ale tak dobrze znane z tylu foto144

grafii, filmów i przedstawieństwundury.

Mundury bez twarzy.

Ci ludzie coś mówili.

Krzyczeli, aon bał się ich krzyku.

Być może, to ten sen obudził przede wszystkim Marcina.

-Ale głosy ze snu pozostały.
Tamci za drzwiami rozmawiali tak właśnie jak ludzie bez twarzy.
Marcin gwałtownie siadł na łóżku.
Po chwili zerwał się i napalcach podbiegł do drzwi.
Przyłożył do nich ucho.
Rozmawiający mówili po niemiecku.
Od razu domyślił się, że to muszą być owi "panowie Niemcy", Y których mówił portier w recepcji.
Pewnie byli gdzieś z Ottonem, a teraz go prowadzili do hotelu.
Marcin już się otrząsnął z wrażenia wywołanego nagłym przebudzeniem i przysłuchiwał się temu, co tamci mówili:
...a Heinricha Grubera pamiętasz?
Pewnie, że pamiętam.
To był chłop.
Pod żadnym innym kompania nie miała lepszego życia.
I właśnie jego musieli sprzątnąć!
Łobuzy makaroniarze uderzyli z tyłu.
Trzasnęli go zza muru.
Cała pociecha, żeśmy im dobrze za to zapłacili.
Zrobiliśmy drani na szaro!
Na chwilę zrobiła się cisza, potem rozległy się basowe śmiechy.
Kiedy ucichły, któryś powiedział:
Jakby się nie bali, codziennie by któregoś wykańczali.
Znowu zapanowała cisza.
No, dobranoc, Ottonie podjął jakiś głos.
Cieszę się, żeśmy się nareszcie spotkali.
Tyle lat.
Ja także.
I ja.
Miło, kiedy się zbiera stara ferajna.
Można pogadać, powspominać.
Jest o czym.
O, jest!
Tyle było krzyku zaraz po wojnie, że człowiek podświadomie unikał starych kolegów.
I krzyku, i plucia.
Dlatego właśnie trzeba sobie znowu podać rękę.
Tamtym na złość.
Spotykać się, mówić, wspominać.
Nie wstydzić się.
Pewnie, że nie.
Czego mam się wstydzić?
Człowiek powinien być dumny.
Trzeba nawiązać dawne kontakty między towarzyszami.
Nie uciekniesz nam teraz.
Nie myślę uciekać.
Jak wrócisz do siebie, daj zaraz znać.
10- Marcin.
145.

Zrobimy spotkanko.

Najpierw tych z naszego plutonu.

Potem zrobi się coś szerszego.

Już o tym myślimy.

Tylko odezwij się.

Odezwę się na pewno.

Brakowało mi tego.

Do zobaczenia.

Dobranoc.

Heil Sieg!

Czy naprawdę któryś z nich tak powiedział na zakończenie, czy może tylko wydało się Marcinowi, że te słowa do niego dotarły?

Tyle razy je przy nim wspomniano, że mogły same zabrzmieć w uchu, jak chrupnięcie niezgrabnie włączonych obrotów.

Stał nad poddrzwiami, dalej nasłuchiwał.

Tamci już odchodzili.

Ich stapania i głosy oddalały się.

Teraz słyszał, jak Otton przekręca klucz w zamku i wchodzi do swego pokoju, sąsiadującego z pokojem Marcina.

Jego stapania były ciężkie, jakby jęczymiał na nogach grube, podkute buty.

Ale może to także było złudzeniem?

Może nic się nie zmieniło tam za ścianą był ten sam człowiek, który Marcinowi wydawał się całkiem sympatyczny, którego nawet polubił?

Wrócił do łóżka.

Ale nie położył się, wiedział, że spać nie potrafi.

Siadł tylko i położył brodę nazwiniętych w pięści dłoniach.

Drżały lekko a może to drżał cały hotel?

Z zawziętością prawie rozpaczą myślał, że musi koniecznie coś postanowić i czegoś dokonać i to jeszcze tej nocy.

Był wczesny rano, więc opuścił hotel.

Portier drzemiący przy recepcyjnym kontuarze sennie spojrzawszy na niego i wziął jego rękę klucza. Nie powiedział nic Marcin nie miał z sobą walizki.

Wziął tylko miękki torbę z napisem "Alitalia" mógł więc sądzić, że chłopiec wyrusza jakąś wczesną wycieczką.

Kilka czarnowłosych kobiet myło szklane drzwi hotelu.

Przeciągając się sennie schodzili się chłopcy, prawdopodobnie do dobrej kawy hotelowi.

O tej porze miasto było ciche i pełne świeżości.

Uliczni sprzedawcy toczyli wózek z owocami.

Sprzedawali czerwone, podobne do pomidorów kaktusy, figi o wyglądzie małych gruszek, owoce kaktusa, które trzeba było obrać z niebezpiecznej kolczastej skórki, pomarańcze, mandarynki, banany, kawony, melony.

Wokół wózków biegały się natychmiast całe maszyńskie, łupin i ogryzki.

Jechały auta wiozące ogromne kosze kwiatów.

Terkotały jakieś dziwaczne maszyny; motocykle po 146

przerabiane na trójkołowe pojazdy, służące do przewożenia towarów.

Ruch wzrastał.

Szły gromadki uczniów niosących książki zeszyty, spięte elastycznym paskiem wysocy, czarnowłosie chłopcy i prześliczne dziewczęta, błyskające w uśmiechu białymi zębami.

Grupkami wędrowały zakonnice i zakonnicy:

dominowanie w podciągniętych wysoko habitach, odkrywających nogi w białych pończochach, sznur seminarzystów.

Marcin minął się z zastępem skautów w sztywnych badenpowellovskich kapeluszach.

Między ciężarówkami przemknął chłopak na rowerze; z tyłu na bagażniku miał sięgającą ramionstertę gazet.

Zatrzymywał się przy kioskach, nie schodząc z roweru odliczał paczki gazet, rzucał je w ręce sprzedawcy z pośpiechem pedałowal dalej.

W załomie murów, gdzie był mały trawnik, kilka ciatych kotów skradało się ku okropnie wytłuszczonym papierom, na których ktoś wyłożył dla nich nieapetyczne resztki jedzenia.

Marcin początkowo szedł szybko; pragnął jak najprędzej znaleźć się daleko od hotelu. Kiedy wreszcie powziął decyzję, zaczął drzeć niepokoj, że coś stanie na drodze jego projektowi.

Plan nie był zbyt precyzyjny.

Wiedział tylko, że chce odnaleźć polską wycieczkę, w której składzie znajdował się profesor Wolski i jego córki.

Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, czego od nich oczekuje.

Wydawało mu się, że samo odnalezienie wycieczki przyniesie rozwiązanie sytuacji, która stała się nagłe nie do zniesienia.

Coś miałego niejasną świadomość powstało między nim a ojczymem i tocoś kładł swój cień również na jego stosunek do matki, a także na życie, jakie obecnie pędził. Oszołomienie i zachwyty, których doznawał w pierwszych tygodniach powyjedzie z Polski, przestały działać.

Świat wokoło niego był może nadal piękny i ciekawy, ale jeśli pociągał, to równocześnie zdawał się odpychać.

Szybko znalazł się na piazzadell'Esed'ra.

Dworzec był jak paszcza potwora.

Wchodziły tu tłumy i znikaly, jakby się gdzieś rozplynęły.

Przez niepilnowane perony przepływały sznury ludzi z walizkami.

Właśnie tu, w Rzymie, gdzie był toyle hałasu, dworzec wydawał się niezrozumiale cichy.

Pociągi odjeżdżały po prostunie wiadomo kiedy.

Ubrani w białe fartuchy sprzedawcy kręcili się nienatętnie między odjeżdżającymi.

Stojąc przed kasą, Maro zastanawiał się przez chwile, żenie wie, jak brzmi włoska nazwa Florencji.

Ale wystarczyło powiedzieć "Florenz", aby kasjer błyskawicznym ruchem wy

rzucił chłopcu bilet i resztę z podanego banknotu.

Ogromna płachta papieru zamieniła się w zwitek mniejszych banknotów i garść połyskujących stulirówek.

Swobodnym gestem Marcin wsunął otrzymaną resztę do kieszeni.

I matka, i ojciec dawali mu ciągle dużo pieniędzy, a on nie miał już ochoty na wydawanie.

Kupowanie sprawiało mu przyjemność.

Minał czas, gdy myślał: trzeba kupić, bo "potem nie będzie okazji".

Zresztą wiedział, że gdyby tylko czegoś zapragnął, kupiono by mu to na pewno.

Dlatego nauczył się traktować pieniądze obojętnością.

Nie zastanawiał się, że mogłoby mu ich zabraknąć.

Na dworcu musiał długo czekać pociąg do Florencji odchodził dopiero za dwie godziny.

Ale wagony podstawione zostały wcześniej i mógł zająć miejsce w pustym jeszcze przedziale.

Z wolna nadciągali inni podróżni.

Na pół godziny przed odjazdem przedział był pełen.

Naprzeciwko Marcina siedziało dwóch mężczyzn o wyglądzie robotników.

Weszli do przedziału i ani na chwilę nie przestali toczyć ze sobą hałaśliwej, pełnej gestykulacji rozmowy.

Przycichli tylko, gdy obok zajęła miejsce młoda kobieta o dużym, ale kształtnym nosie.

Wprowadziła ze sobą doprzedziału dwóch chłopców: zapewne sześciolletniego.

Dzieci natychmiast zaczęły się kręcić, przepychać do okna, szarpać.

Matka krzyczała nad chłopcami, ale mężczyźni patrzyli na kobietę, a dzieci z wyrazem życzliwego pobłażania.

"Scusi" powiedziała kobieta, gdy starszy z chłopców wszedł na nogę jednego z mężczyzn.

"Niente, niente.

Eh, bambini.

" uśmiechnął się mężczyzna i machnął do brody niedłonią.

Coś jeszcze dodał, co sprawiło, że kobieta się roześmiała.

Ale po chwili mężczyźni nie przejmując się kaczącymi chłopcami, wrócili do swej rozmowy.

Do przedziału wszedł tymczasem młody żołnierz i usiadł obok Marcina.

Potem zjawił się mężczyzna o zabójczo przystryżonym wąsiku, wyglądającym jak malutka szcztoteczka przyklepiona nad górną wargą.

Mężczyzna założył wysoko nogę na nogę, ukazując długi, pokrytą długimi, czarnymi włosami, i przechyliwszy głowę wlepił w matkę chłopców, siedzącą naprzeciwko, marzący wzrok.

Ostatni przyszedł ksiądz w wypłowiałej sutannie.

Jego duże, jakby zmęczone oczy zdawały się ledwo wychylać z ciężko obwisłych powiek.

Mężczyzna z wąsikiem przesunął się i zostawił księdzu miejsce w kącie.

Ksiądz podziękował skinieniem głowy.

Usiadł, westchnął, przez chwilę przyglądał się towarzyszom podróży, a później wyjął z wyłożonej teczeki brewiarz.

Przeżegnał się szeroko i zaczął odmawiać modlitwy.

Za oknem słychać było nawoływania sprzedających.

Do zapchanego korytarza wcisnął się sprzedawca z wielkim koszem, w którym niósł owoce, czekoladę, kruche paluszki, ciasta, papierowe torby z przygotowanym na cały dzień jedzeniem.

Marcin, chociaż nic nie jadł od rana, tak był podniecony swą cieczką, że nie pomyślał o kupieniu czegoś na drogę.

Punktualnie o właściwej godzinie pociąg przesunął się wzdłuż peronu i ruszył w drogę.

W ostatniej chwili wkroczyło do niego kilku mężczyzn obciążonych ogromnymi walizkami.

Korytarz był teraznabity.

Marcin patrzył w okno.

Rzym miasto, które tak bardzo pragnął zobaczyć i któretak nieoczekiwanie zdecydowało o jego losie, pozostawało zanim.

Aleciągle jeszcze widział masę płowopomarańczowychdomów iwystrelające ponad dachy wieże kościelne.

Potemzjawił się biegnący wzdłuż toru kolejowego mur, a za nim widocznypoprzez ścianę czarnych cyprysów, rozległy jak drugie miasto, cmentarz las krzyżów, obelisków ifigur aniołów dmących w trąby.

Mur i cyprysy skończyły się i znowu ipędzili nad ulicami pełnymi mknących szybko autmaleńkichfiacików icieżarówek rozmaitego kształtu.

Ledwiepociąg opuścił Rzym, pasażerowie przedziałupoczulisię głodni.

Pierwszy sygnał dali dwajrobotnicy.

Ściągnęliż półki olbrzymią, obwiązanąsznurkami walizę; długo, nieprzerywając dyskusji, je rozplątywali.

Okazało się, że w środku jest tylko bochenek chleba, duży półkrąg sera i oplecionasłomą butelka wina.

Mężczyźni, trzymając walizę na kolanach,wyjęli z kieszenigroźnie wyglądające składane noże i wzięli się do jedzenia.

Ale jedząc, nie przestawalimówić.

Do ich rozmowy wmieszał się żołnierz, a potem mężczyzna z wąsikami.

Tamci także, wyjąwszy noże, zaczęli sięgać do walizy robotników po chleb i ser.

Ostry zapach nappełnił przedział.

Odkroiwszy kawał i zatknąwszy go na koniec noża, jeden z mężczyzn poczęstował kobietę.

Certowała się dłuższy czas, zanim wreszciewzięłaser w dwa palce o krwistoczerwonych paznokciach.

Butelka wina przechodziła z rąk dorąk.

Tymczasem kobieta,rozłożywszy na grubych udach serwetkę, zaczęła rozbieraćkure.

Potem zawołała na chłopców, ale oni ani myśleli dać sięnakarmić.

Chichotali, robili miny, wciskali się wnajdalszykąprzedziału.

Nie mogąc się ruszyć, kobita, najpierw wzywała ich słodko i przymilnie, aż w końcu zniecierpliwionazaczęła na nich krzyczeć.

-Młodszy dał się złapać.

Kobieta wie-,mu najpierw tęgiego klapsa, a potem, nie dającmu ochłó-

nać, załadowała buzię do granic pojemności.
Przez jakąś chwilę panowała cisza i wyglądało na to, że eksperyment okazał się udany.
Ale zaraz zbuzi wyleciały najpierw kawałki kury, a potem dobył się z niej nieludzki wrzask.
Dzieciak darł się, jakby go ktoś obdzierał ze skóry.
Równie głośno krzyczała jej matka.
Dwugłós uciszył się, kiedy żołnierz wzięła męgoną kolana i zaczął po raz drugi nabijać mięsem jego buzię.
Przez ten czas mężczyźni schwyтали starszego chłopca i oddaligo matce.
Teraz wszyscy dorosli razem wydawali okrzyki przypominające nawoływania ludzi podrywających wspólnie wielki ciężar: Ooop!
Ooop!
Zespołowy wysiłek został uwieńczony powodzeniem: chłopców nakarmiono kurą, po czym pozwolono im dalej szaleć.
Triumf nad nieletnimi przyczynił się do powstania wśród dorosłych serdecznej atmosfery.
Rozmowa stała się ogólna.
Mężczyźni z wąsikami do spótki z żołnierzem długo starannie pomagali matce otrzepać sukienkę okrucichów.
Ksiądz kilka razy żałośnie spoglądał na tozbratanie, w końcu z westchnieniem zamknął brewiarz schowałgo do teczki.
Kobieta na nowo rozwinęła serwetkę i wzięła się do obierania pomarańczy.
Tym razem pracowano zbiorowo:
 chłopcy byli natychmiast chwytoni, po czym pakowano im bezlitośnie do ust przygotowane przez matkę kawałki.
 Nawet ksiądz został wciągnięty w krąg przyjaznej atmosfery.
Poczęstowano go nieśmiertelnym serem.
Wymówił się, wskazując na swą teczkę, w której widocznie miał własne śniadanie.
Z kolei mężczyźni zwrócili się do Marcina.
Gdy wybąkał kilka znanych sobie słów włoskich, tamci zrozumieli natychmiast, że mają do czynienia z cudzoziemcem.
To uczyniło ich jeszcze bardziej gościnnymi.
Podano Marcinowi nóż, kobieta wydobyła z torby kubek, aby mu nalać wina.
Wszyscy mówili do niego, ale chłopiec rozkładał tylko bezradnie ręce.
Wtedy ksiądz zaczął stawiać pytania najpierw po angielsku, potem po francusku, wreszcie po niemiecku.
Nie posiadał zbyt wielkiej znajomości niemieckiego, ale jaka taka łączność została nawiązana.
Czy jesteś Niemcem, moje dziecko?
Marcin zaprzeczył gwałtownie.
Kiedy powiedział, że jest Polakiem, a ksiądz przetłumaczył jego słowa współtowarzyszom podróży, w przedziale podniósł się życzliwy szmer.
"Polacco, Polacco" powtarzali i zachęcali gestami, aby wziąć więcej chleba i sera.
Kobieta wyjęła ze swej torby pomarańczę i poczęstowała nią Marcina.
Ksiądz także sięgnął do swej teczki i podał Marcinowi dwie maleńkie kanapki, starannie owinięte w białą bibułę.
 Pociąg mknął szybko.
Jechali wciąż terenem górzystym.
Poprawej stronie toruciągnął się nieprzerwanie łańcuch szarozielonych wzgórz.
Widać było drogi wysadzone cyprysami lub małymi zagajnikami parasolowatych pinii.
Pociąg stawał rzadko, wzdłuż peronów wciągnęły się pienne żywopłoty akacjowe.

Słońce piekło przez zamknięte okno przedziału (nikomu nieprzychodziło do głowy, aby je otworzyć), woń sera wisiała niby duszący opar.

Pasażerowie zaczęli kolejno drzemać.

Dzieci zasnęły pierwsze; spały w śmiesznych pozycjach, z nogami ułożonymi na kolanach również śpiących mężczyzn.

Kobieta zwinęła się w kącie, ksiądz kiwał się jak modlący się rabin.

Nie spał tylko Marcin.

Wprawdzie i jego chwyciła senność, bał się jednak przespać Florencję.

Zatrzymał się w Orte i w Kortonie.

Konduktor wsadził głowę do przedziału, sprawdził bilety i zapowiedział Arezzo.

Ksiądz potrząsnął głową, jakby chcąc odpędzić sen, i zaczął zbierać swe bagaże.

Chociaż porozumienie nie było łatwe, Marcin, lękając się, że straci jedynego człowieka, z którym się mógł dogadać, powiedział księdzu, że jedzie do Florencji szukać zgubionej przez siebie wycieczki, i spytał, w jaki sposób, zdaniem księdza, należy się do tego wziąć.

Musiał swoją historię opowiadać cztery razy, zanim ksiądz kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że ją w końcu pojął.

Choć był już gotowy do wyjścia, usiadł na nowo i kilkakrotnie przesunął grubymi palcami po swych siwych włosach, kontrastujących z ciemną, spaloną od słońca skórą twarzy.

Namyślał się długo.

Nie wiem, nie wiem powtórzył kilka razy.

Może CIT będzie ciumiało coś powiedzieć, moje dziecko.

CIT?

Co to jest CIT?

Biuroturyistyczne.

Jest na każdym dworcu.

Oni wszystko wiedzą i znają języki.

Będą mogli ci powiedzieć.

Chciał jeszcze coś dodać, ale pociąg zaczął zwalniać.

Ksiądz wstał, oparł dłoń na ramieniu Marcina.

Addio powiedział.

Pomodlę się, żeby ci Pan Bóg pomógł znaleźć twoich.

Idź do CIT, będę się modlił.

W czasie wojny byłem w obozie jeńców razem z Polakami.

W Sandbostel.

Bardzo lubię Polaków.

No, bądź zdrow, caro mio.

Niedługo potem Marcin, zostawiwszy w przedziale śpiących towarzyszy, wysiadł nad dworcem we Florencji.

10 -

Wyszedszy z dworca, znalazł się na placu.
Panował tu niezmiernie szybki ruch samochodów.
Po drugiej stronie widać było ciemny kościół.
Wrócił z powrotem na dworzec.
Wśród napisów przy wejściu Marcin odnalazł tabliczkę z literami CIT.
Gdy przemówił po niemiecku, sympatyczna urzędniczka odpowiedziała mu płynnie w tym samym, języku.

Ale w sprawie wycieczki nie umiała mu nic powiedzieć.
Florencję, mówiła, odwiedzają każdego dnia dziesiątki, jeśli nie setki, wycieczek.
CIT nie może wiedzieć o wszystkich.
Mimoto sięgnęła po telefon.
Marcin słyszał, jak zapytała kogoś o „una escursione polacca”.
Odpowiedź musiała być negatywna, bo kobieta nakreślała kolejno drugi, trzeci i dziesiąty numer.
W końcu odwiesiwszy słuchawkę siedziała czas jakiś zamyślona, jakby się zastanawiała, co ma powiedzieć Marcinowi.

Nic ci, chłopcze, nie mogę w tej chwili pomóc rzekła w końcu.
Nie odnalazłam żadnego śladu tej twojej wycieczki.
Może jeszcze nie przyjechali?
A może nie nocują w mieście.
Bywa tak, że wycieczka przyjeżdża do Florencji rano, a odjeżdża wieczorem.

Ale ja muszę znaleźć bąknął Marcin.
Kobieta spojrzała na niego pytająco.
Muszę.
powtórzył Marcin.
Chciałabym ci pomóc powiedziała kobieta.
I oczywiście będzie dalej szukała.
Ale nie ma sensu, abyś tutaj czekał.
W pobliżu na via Panzani jest mały hotelik "Albergo di Cracovia".
W nim zatrzymuje się wielu Polaków.
Radzę ci, idź tam.
W hotelu także możesz się dowiedzieć o polskiej wycieczce.
Czy masz pieniądze?

Mam Marcin wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, który mu pozostał.
Oceeniła doświadczonym okiem jego wartość.
Wystarczy.

Masz, to jest nasze skierowanie.
Nie mogawiać cię więcej niż tę sumę podkreśliła cyfrą ołówkiem.
Idź, odpocznij.
Gdybym się czegoś dowiedziała, zaraz telefonuję do hotelu.
A jutro przyjdź tutaj rano.
Pomyślimy, co trzeba będzie zrobić.

1 W kiosku z gazetami kupił plan Florencji.
Przynależność do harcerstwa i częste wycieczki nauczyły go obchodzenia się planami i mapami.
Ulica Panzani znajdowała się na prostej drodze.
Z rozległego placu wchodziło się w uliczkę wąską jak wązgi górski.
Na chodniku mogły iść obok siebie nie wię

cejniż dwie osoby, toteż przechodnie maszerowali po prostu dziednią, spędzani z niej nieustannym dudnieniem klaksonów samochodowych.

Słońce, choć było jeszcze wysoko, nie potrafiło sięgnąć w głąb ulicy, przypalało tylko różowym blaskiem górne piętra domów, zwłaszcza znajdujące się na najwyższych piętrach podszienia.

Zapalały się już światła na wystawach sklepowych i wąskie sznurki neonowych reklam.

Nie bez trudu znalazł hotel.

Był tostary, odrapany dom.

Małszyld hotelowy nie rzucał się w oczy.

Wchodziło się w ciemną sień, potem w równie ciemny i niemile woniejący korytarz.

Na jego końcu znajdowała się mroczna salka.

Nie byłow niej nic poza stołami kilkoma krzesłami.

Na ścianach wisiły bardzo już stare, pożółkłe afisze jakichś florenckich i nieflorenckich spektakli.

Był nawet barwny afisz zapowiadający walkę byków i afisz reklamowy Air France.

Kiedy Marcin wszedł do salki, nie było w niej nikogo.

Paręrazy chrząknął.

Wreszcie otworzyły się drzwi w głębi.

Wtargnęła przez nie woń smażonej oliwy.

Kłapiąc przydeptanymi pantoflami, wtoczyła się przysadzista kobieta z ogromną chyrą skudlonych włosów.

Podparłszy się pod boki, zaczęła coś mówić prędko i burkliwie.

Marcin nicz tego nie zrozumiał.

' Czy pani nie mówi po polsku?

Albo po niemiecku?

zapytał.

Wyraz twarzy kobiet stał się mniej odpychający.

Zawołała: ,

Felice!

Yieni!

i Drzwi otworzyły się znowu i w nowej fali zapachów wkroczył do salki mały mężczyzna tylko w koszuli i w spodniach.

Kobiet coś do niego powiedziała, wskazując Marcina.

Natwarzy mężczyzny pojawił się natychmiast ugrzeczniony uśmiech.

Molto pręgo, bitte.

zaczął bogatą mieszaniną słów.

Je vous excuse, monsieur.

Bardzo proszę.

Ja mówię polski, deutsch, français.

Czego sobie życzy młody signor?

Powoli powtarzając po kilka razy to samo, Marcin wyłożył Włochowi swoją sprawę.

Ach!

Ohime!

Hotelarz z patosem uniósł ręce w górę.

Nic powiedzieć o tej escursione nie mogę.

Ten hotel należał kiedyś do Polaków, ale teraz Polaków nie ma.

I Polacy rzadko się tu zatrzymują.

Ale jeśli młody signor tu zamieszka, dowiem się o escursione, na pewno się dowiem.

Marcin skinął głową i położył przed hotelarzem skierowanie CIT.

Pokójw hotelu nie był drogi to prawda, a nawetśmiesznie tani w porównaniu z cenami, jakie płacił Otton.

w rzymskim hotelu.

Niemniej jednak posiadane pieniądze szybko się rozchodziły i Marcin, który stracił już umiejętność uczenia się z posiadaniem grosza, zrozumiał, że jeśli następnego dnia nie pojawi się jakieś rozwiązanie, nie będzie miał nawet na najtańszy posiłek.

A już teraz był głodny.

Nic nie jadł od rana poza tym, czymgo poczęstowano w wagonie.

Tymczasem Włoch sięgnął do wieszaka ukrytego za drzwiami i włożył czerwony kurtkę ze złotymi guzikami.

Widać ten strój był mu potrzebny, aby wprowadzić Marcina do przeznaczonego dla niego pokoju.

Pokój był mały i mroczny, łóżko stało w nim główne i nieomal jedyny mebel.

Naprzeciwko łóżka wisiała na ścianie lustro wspaniałe, złoczone ramie, która tworzyła zdumiewający kontrast z starą, wyskubaną kołdrą i przetartym dywanikiem.

Okno o zasnutych brudem szybkach wychodziło na podobne do studni podwórko.

Jedynie okna ustępu otwierał się wspaniały widok: nad nierówną powierzchnią dachów, krytych wypłowiałą dachówką, która zdawała się falować jak morze, wznosiła się olbrzymia, wyłożona blaskiem zachodu kopuła kościoła, podobna do tarczy zapadającego w morze słońca.

Opuuszczając pokój, hotelarz powiedział:

Młody signor iść na miasto.

Firenze molto, molto bella.

A ta escursione może być na piazza Duomo albo na piazza Signoria.

Iść zobaczyć.

Marcin skorzystał z rady.

Z planem w ręku wyszedł na ulicę.

Upał dnia zamienił się w ciężką, dławiącą parnoć.

Bardzo szybko znalazł się przed białym, jakby zbudowanym z kafli kościołem.

Potężna budowla zdawała się dusić, wtłaczając ciasną przestrzeń niewielkiego placu.

To jej kopuła wznosiła się ponad dachami.

Przed kościołem znajdował się mały ośmioboczny budynek, z tą samą białą-czarną okładziną kościoła.

Gromady kolorowo ubranych turystów obchodziły kościół ze wszystkich stron.

Marcin wmieszał się w ten tłum, przyglądał się zwiędzającym, przysłuchiwał się głosom.

Nie usłyszał jednak nikogo mówiącego po polsku.

Z pomocą planu odnalazł drogę na plac Signorii i zatrzymał się oszołomiony.

Choć miał umysł zajęty poszukiwaniami, chwilę musiał o nich zapomnieć, patrząc na rząd kamiennych posągów ustawionych pod surową, wysoką ścianą średniowieczną zamczyska.

Na placu Signorii było także pełno turystów.

W ich tłumie Marcin zbliżył się do małej loggi na rogach przeciwko zamku.

Ona także pełna była posągów.

Opuściwszy loggię, skierował się w wąską ulicę między dwoma po-
tężnymi budynkami.

Był torcają pasaż.

Wzdłuż murów stały kioski i stragany, każdy przemyślnie oświetlony.

W blasku żarówek i reflektorów błyskały rozmaitego rodzaju pamiątki.

W gorącym mroku odstoiska do stoiska przesuwali się w tłumie turystów.

Marcin płynął w tej fali, wciąż nasłuchując.

Ale doszedł do końca pasażu i nie usłyszał polskiego słowa.

Ulica skończyła się i Marcin znalazł się na brzegu rzeki.

W głębokim, ujętym w kamienne brzegi korycie płynęła rwąca Amò.
Marcin miał przed sobą most nie-most, dziwaczną budowlę: niby most spinający oba brzegi,
ale na zewnątrz oblepiony przybudówkami, pełnym małych drzwi, schodków,
asymetrycznych okienek; wszystko to przypominało tylną ścianę wielowiekowej kamienicy.
Kamienne łuki zdawały się ugiąć pod tym brzemieniem.
Na tle oświetlonej zachodem rzeki most podobny był do sylwetki obładowanego wielbłąda.
Marcin nie mógł się powstrzymać, aby na niego nie wejść.
Tworzył on ulicę pełną małych sklepików.
Na oświetlonych witrynach widać było artystyczne metalowe drobiazgi.

Marcin włóczył się po mieście dopóźna.

Przeliczywszy pieniądze zdecydował, że może sobie pozwolić na zjedzenie porcji spaghetti
w małej trattorii na skraju placu Signorii.

Chociaż głód skręcał mukiszki, ograniczył się tylko do jednej porcji.

Wrócił do hotelu.

Panował nad nim cisza, nie wyglądało na to, aby poza nim mieszkali tu inni jeszcze goście.
Przy stoliku w salce na dole drzemał hotelarz.

Był znowu bez czerwonej kurtki może jej oszczędzał?

Uśmiechnął się przyjaźnie do Marcina.

Był dobry spacer, signor?

zapytał.

Och, Florencja jest bardzo piękna Marcin czuł przebijające przez drzwi kuchni
ciepłe wonie; przed paroma godzinami wydawały mu się nieprzyjemne, teraz nabrały
smakowitości.

Czy pan się niczego nie dowiedział o wycieczce?

Włoch potrząsnął głową.

Niente.

Ale jutro dowiem się na pewno.

Czymłody signor nie zechciałby dziś zapłacić za nocleg?

Marcin pomyślał, że hotelarz mu nie ufa.

Gość, który miał zabrać bagaż pustą torbę, nie mógł budzić zaufania.

Ale przyczyna mogła być także inna: Włoch, wypowiadając swoją prośbę, ściszył głos i
spojrzał odruchowo na drzwi prowadzące do kuchni.

Marcin sięgnął po pieniądze.

Odliczył należność.

Ostatnie banknoty poszły między ludzi.

W rękę pozostał tylko bilon.

Grazie.

Molto grazie powiedział hotelarz.

Buonanotte, pan.

IRS.

Marcin poszedł na górę.

Pokoik wydawał mu się jeszcześcisniejszy niż przedtem.

Lampkaprzy łóżku byłazepsuta,kołdra, gdyją rozłożył, ukazała dziurę, z której sterczała wata. Prześcieradła i poszewki miały kolor żółty.

Gdy położył się zamknąłoczy, poczuł, że opuszcza go odwaga.

Miał wrażenie, jakby odpłynął zbyt daleko od brzegu nie wiedział, czystarczymu sił, bypowrócić.

Czułsię sam,rozpaczliwie sam.

Gdzieś była matka i gdzieś była ciotka.

Na pewno obie myślałyo nim.

Ale obie były daleko.

Zwłaszczaciotka.

Po raz pierwszy od wyjazdu uświadomił sobie,żetęskniza nią boleśnie i że nie zapomniał o niej ani na chwilę.

11

Obudziło go słońce leżące plamami na ścianie pokoiku.

Z ulicy dochodził ogłuszający hałas Vesp.

Energia, którejmu zabrakło wieczorem, odżyła w nim na nowo.

Powróciławola znalezienia autobusu z profesorem Wolskim i jego córkami.

Chociaż w dalszym ciągu nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, czego oczekuje od spotkaniaz tamtymi, wiedział jednak, że nie spocznie, póki ich nie znajdzie.

Ulice w rannym cieniu wydawały się świeże i prawie chłodne.

Ale blask słoneczny już prażył kopułę i białe mury kościoła Santa Maria delFiore.

Na placyku nie byłojeszcze turystów.

Marcin wszedł do wnętrza i stanął bliskołtarza, przedktórymodbywała sięmsza.

Włoski ksiądz odmawiał prędkomodlitwy, a jego łacina brzmiała całkiem odmiennie niż ta, doktórej Marcin przywykł.

Znane słowa liturgiczne miały zupełnieinne brzmienie.

Mimo to była to ta samamsza.

Ta myśluderzyłaMarcina.

Myśl a może wspomnienie słówksiędzaWionczka.

Kiedys, podczas lekcji religii, ksiądz mówił: "Choćbyście pojechali nakoniec świata,jeśli tam tylko znajdzieciekościół,zawsze w nim będziesię odprawiała taka sama msza.

Taka sama i ta sama.

Bo każdamsza jest tą samą ofiarą PanaJezusa za nas.

Pan Jezus złożył ją raz jeden nakrzyżu, naGolgocie, przed dwoma prawie tysiącami lat.

Alepo to,bykażdyczłowiek mógłz niej czerpać łaski, powtarza sięonanieustannie.

Nie ma momentu, aby gdzieś na świecie nie odprawiała się msza, by kapłan na nowonie ofiarowywał Chrystusa.

Zawszemamy możliwość przyłączenia swojej ofiary dotamtej Ofiary.

Kiedy Pan Jezus chciał nakarmićgłodnych,starczyło chleba dla każdego.

I kiedy Pan Jezus dajesiebie,

156

starczy tego, co daje, dla każdego.

" Marcin wtedy prawie /niesłuchał słów księdza.

Tego dnia, pamiętał,Piotruś Życkiprzyniósł otrzymane od kogoś pocztowe znaczki republik afrykańskich i Marcin, ukrywszy się zaplecami siedzącego przednim Marka, oglądał kolorowe obrazki egzotycznych zwierząt.

Ledwie coś niecoś dochodziłodo niego z naukksiędza.

A jednak okazało się, że pozostało w głowie dość dużo, skoro teraz tamte słowa stały przed nim.

Wyszedł z ciemnego kościoła, na blask słońca, który go tak raził, aż kilkakrotnie kichnął.

Poprzez zmrużone powieki widział przed sobą miasto, niby kalejdoskop oślepiających plam blasku i czarnych plam cienia.

Mury kościoła zdawały się płońć.

Z rozpalonego placu dał nurka w omroczonej uliczce.

Wyprowadziła go ona na rozległy plac z trawnikami i obeliskiem pośrodku.

Kawiarnia, której stoliki wystawione były na chodnik i ocienione kolorowymi parasolami, zajmowała całą jedną stronę placu.

Widok ten przypominał Marcinowi, że nic jeszcze nie jadł.

W kieszeni dzwoniło kilkanaście monet.

Aby jednak coś zjeść, trzeba było znaleźć jakiś stały lokal.

Rozglądając się na wszystkie strony, Marcin potknął się rozłożoną na ziemi stertę gazet.

Sprzedawca poukładał je wprost na chodniku, a sam siedział pod ścianą na składanym stołeczku.

Był to stary człowiek w przepeczonym kapeluszu na głowie, spod którego wymykały się długie, siwe kosmyki włosów.

Oczy miał zakryte ciemnymi okularami.

U jego nóg leżała blaszana pudełko, do którego kupujący wrzucali monety.

Mężczyzna, usłyszawszy dźwięk, mówił: "Grazie, grazie".

Marcin domyślił się, że stary musiał być niewidomy.

Powiedział:

"Scusi", wyrównał potrącony przez siebie stosik gazet i już chciał odejść, kiedy nagle jego wzrok przykuły fotografie znajdujące się na pierwszej stronie pisma.

Udając, iż poprawia gazety, przykucnął, by się upewnić, że się nie myli.

Ale chociaż pismo było załamane właśnie w miejscu, gdzie znajdowały się fotografie, inie mógł ich całych widzieć, nie byłowatpliwością, że nie uległ złudzeniu.

To były fotografie jego matki.

Niezastanawiając się, wyłowił z kieszeni drobną monetę, włożył ją do blaszanki i wziął numer.

Staruszek zwrócił głowę w jego stronę, bąknął: "Grazie" i uśmiechnął się.

Marcin niezajrzał do gazety, póki nie znalazł się na cienistej uliczce.

W murze była wnęka i chłopiec wcisnąwszy się w nią rozpostarł pismo, zasłaniając się nim od przechodniów.

Na pierwszej stronie był artykuł z tytułem złożonym

wielkimi czcionkami.

Nie mógł zrozumieć jego treści, odszyfrował jedynie dzięki znajomości kilku pojedynczych słów:

"Margherita Bredel, niemiecka artystka filmowa".

Obok była fotografia matki zrobiona niedawno przez jednego z fotografów ekipy.

Przynajmniej inne zdjęcie, na którym matka stała z krzywą twarzą i coś mówiła do otaczających ją ludzi.

Marcin uderzyło, że tej fotografii nigdy nie widział, a nawet, że nigdy nie oglądał zdjęcia, na którym by matka miała taką właśnie twarz, z jaką przychodziła do jego łóżka i budziła go, aby się użalić nad swym zmęczeniem.

Wreszcie była fotografia jego samego, zrobiona również podczas pobytu w Terracinie.

Jaki mógłby być powód umieszczenia tych zdjęć w gazecie?

Marcin przysiadł na podmurówce parkanu i złożywszy piśmow taki sposób, aby ukryć fotografie, wpatrywał się w słownie niezrozumiałego tekstu.

Nic jednak nie potrafił pojąć.

Odkrył jedynie, że w artykule pojawiało się kilka razy jego imię i nazwisko: Martin Boehmke, a także nazwa rzymskiego hotelu, w którym mieszkali.

Na końcu artykułu rzuciło mu się w oczy kilka razy powtórzono słowo: "polizia".

Nagle rozświetliło mu się w głowie.

Ależ tak Otton na pewno, nie znalazłszy go w hotelu wczorajszego ranka, dał znać policji.

Ten artykuł musiał znaczyć, że go szukają.

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem tekst.

Pod jego zdjęciem był podpis: "Perduto figlio della signora Bredel".

Co mogło oznaczać słowo "perduto"?

Gdzieś ze wspomnień liturgicznej łaciny powróciły słowa "vir perditione".

To było o Judaszu mężu zatracenia.

A więc: zatracony syn pani Bredel.

Oczywiście!

Wszystko było jasne.

Odłożył gazetę i niespokojnie rozejrzał się wokoło.

Ludzie przecież widział to kupowali gazetę.

Mogli go poznać.

W artykule było na pewno napisane, że policja go szuka.

Może nawet ogłoszona była nagroda?

Przypomniał sobie widzenie nieraz komunikaty milicji o zagubionych osobach.

Pojął, że jeśli nie chce być złapany, nie może wracać do hotelu i nie powinien zgłaszać się do biura CIT.

Wprawdzie tu, i tam mówił, że jest Polakiem, ale mogli zażądać od niego pokazania dokumentów, a on posiadał jedynie dowód osobisty na nazwisko Boehmke.

Zresztą nawet gdyby go nie pokazał mieli w gazecie jego fotografię.

Poza tym mogło być napisane w artykule, że będzie udawał Polaka.

Jeszcze raz przebiegł spojrzeniem tekstu szukając słowa "Polacco".

Słowa tego nie znalazł, ale to go wcale nie uspokoiło.

Był tak tym wszystkim przejęty, że zapomniał nawet o godzinie 15:00.

Gdy opuszczał hotel na via Veneto, nie zastanawiał się nad tym, czy na długo odchodzi.

Jedynym jego pragnieniem było zobaczenie profesora Wolskiego.

Był zbuntowany wobec Ottona, nie przestał jednak kochać matki.

Teraz poczuł się ścigany i to obudziło w nim wolę ucieczki.

Jeśli Otton chce go schwytąć (ścigającym był dla Marcina ojczym, a niematka) on zrobi wszystko, by nie zostać schwytany.
O matce starał się nie myśleć.
Wyraz jej twarzy na fotografii wzruszył go.
Czuł, że gdyby ją taką zobaczył zrezygnowałby z dalszej ucieczki.
Ale tego zrobić nie chciał.
Zanim złożył gazetę, którą wciąż trzymał rozpostartą przed sobą, wzburzył włosy przykrył nimi czoło.
Na zdjęciu były ułożone do tyłu.
Usiłował nadać twarzy obcy wyraz.
Nie miał przed sobą lustro, nie miał pojęcia, jak to daje rezultat.
Starał się tak zstąpić inaczej niż zwykle: szedł sztywno wyprostowany z rozłożonym planem Florencji w rękę, jak zwiedzający miastoturysta.
Wrócił na plac przed Santa Maria del Fiore.
Teraz przed białym portykiem kłębił się cały tłum zwiedzających.
Trzaskały aparaty, ludzie fotografowali się na tle spizowanych drzwi baptysterium.
Wmieszany w tłum Marcin znowu przysłuchiwał się rozmowom.
Ale słyszał tylko język angielski lub niemiecki.
Od tych co mówili po.
niemiecku, oddalał się jak najszybciej.
Ze dwie godziny kręcił się tak po placu.
Obserwował także nadjeżdżające autobusy.
Nie było jednak ani jednego z polskimi znakami.
W pewnej chwili zabiło mu serce i już, już był pewny, że ma przed sobą polski autobus.
Białe numery rejestracyjne namalowane były na czarnym tle.
Ale to był autokar holenderski.
Głód dokuczał mu coraz silniej, nie śmiał jednak wejść do żadnej kawiarni.
Powędrował na dworzec.
W bufecie wskazał bez słowa nabułek z serem, zapłacił za nią i szybko umknął.
Bułkę zjadł na ulicy, nie zaspokoił tego głodu.
Bał się jednak wydania reszty pieniędzy, które mu jeszcze zostały.
Poszedł na plac Signorii.
Znowu kręcił się wśród turystów nagle usłyszał słowa wypowiedziane po polsku.
Była to jakaś młoda para.
Siwymężczyzna o nieporządnie sterzących włosach mówił do swej towarzyszki:
No, popatrz, Zosiu, na tę Judytę.
Choć to robota Donatella, na pewno nie jest największym dziełem wśród tych, które się tu znajdują.
Ale właśnie ją pamiętałem najlepiej przez wszystkie te lata.
Stała mi przed oczyma.
Czasami śniło mi się, że ją oglądam.

Kobieta zaśmiała się dobrotliwie.

Ależ ty jesteś dziecinny, Kaziu.

Przyznaj, że jest nadzwyczajna.

Mężczyzna robił wrażenie -trochę postrzelonego, ale kobieta miała łagodne, dobre spojrzenie.

Marcin wziął na odwagę

i zbliżył się do stojącej wciąż pod figurą pary.

Przepraszam państwa starał się nadać głosowi ton swobodny usłyszałem, że państwo mówią po polsku.

Czy nie należą państwo do wycieczki, która przyjechała wczoraj autobusem z Rzymu?

Mężczyzna odwrócił się i zamrugnął oczami, jakby nie mogąc zrozumieć, o co Marcin pyta.

Dopiero po chwili rzekł:

Nie, mój chłopcze, nie.

Nie przyjechaliśmy tu z żadną wycieczką.

Przyjechaliśmy sami.

A ty pewnie kogoś szukasz?

Tak.

Szukam profesora Wolskiego z Warszawy.

Profesora Wolskiego?

Czy może tego mediewistę?

Niewiem.

może.

Profesor Wolski zna doskonale Włochy.

Był tu podczas wojny, a potem mieszkał w Rzymie.

A teraz przyjechał z Warszawy, z córkami.

Wycieczka, do której należały, miała wyjechać wczoraj z Rzymu do Florencji.

Alenie wiem, gdzie się zatrzymali.

Nie wiesz, gdzie się zatrzymali?

Hm..

Dłoń mężczyzny sięgnęła do włosów i jeszcze bardziej je wzburzyła.

Hm..

A ty chciałbyś spotkać profesora Wolskiego?

Tak, proszę pana.

Mam do niego ważny interes.

To prawdziwy kłopot, Zosiu, powiedz, w czym możemy pomóc?

Taki miły chłopiec.

A ty, mój drogi, jesteś tutaj zupełnie sam?
zapytała kobieta.

Jej oczy spoczęły na twarzy Marcina.

Była w nich dobroć, ale i trochę smutku.

Marcin miał ogromną ochotę powiedzieć kobiecie wszystko.

Czuł, że byłaby go rozumiała.

Ale zabrakło mu odwagi.

Zaczerwienił się, był przekonany, że ta pani domyśla się, iż mówi nieprawdę.

Wybąkał:

Nie, proszę pani, nie.

Jestem z rodzicami.

I twoi rodzice także nie wiedzą, gdzie się mogła zatrzymać wycieczka, do której należy profesor Wolski?

Nie.

Oni także niewiedzą.

Są tu rozmaite biura, które na pewno mogłyby ci udzielić informacji.

W tym biurze także nic nie umieli powiedzieć.

Awiec już tam byłeś?

Byłem.

A ty, mój kochany podjął mężczyzna przyjechałeś z Polski?

160

To nas, Kaziu, nic nie obchodzi przerwała mężczyźni kobieta.

Niestety mówiła teraz do Marcina nic o profesorze Wolskim nie słyszeliśmy.

Ale chcielibyśmy ci pomóc.

Nazywamy się Bielscy mieszkamy w hotelu "Excelsior".

Będziemy tu jeszcze dwa dni.

Gdybyś się czegoś dowiedział, chętnie ci powiemy.

Musisz tylko nas odszukać.

Oczywiście, oczywiście podjął żywo mężczyzna.

Pomożemy cicho.

Gdybyś czego potrzebował.

Ja wyznał zrozczulającą skromnością nie wiem, czy potrafię ci pomóc, ale moja żona to złota kobieta.

Ona dla każdego gotowa wszystko zrobić.

Raz zupełnie nieznana kobieta prosiła ją.

Proszę cię, Kaziu, przestań!

ucięła kobieta łagodnie, ale stanowczo.

Naprawdę, bardzo nam przykro, że nic ci nie możemy powiedzieć o tym profesorze.

Znowu patrzyła prosto w oczy Marcinowi.

A czy ty, mój kochany, nie jesteś przypadkiem głodny?

Znowu się zaczerwienił.

Pójdę niedługo na obiad.

zaczął i zająknął się,

Zanim pójdziesz, zjedz, proszę, te kanapki.

Sięgnęła do plastikowej torby i wyjęła paczkę.

W twoim wieku masz zawsze apetyt, prawda?

Bardzo pani dziękuję.

Nie ma za co, nie ma za co.

Więc pamiętaj: Bielscy w.

"Excelsior".

Dowiedz się koniecznie jutro albo pojutrze.

Pocałował kobietę w rękę.

Wciąż walczył z pokusą powiedzenia jej o wszystkich swoich kłopotach.

A gdybyśmy, mój kochany, spotkali profesora Wolskiego, to co mamy mu powiedzieć?

zapytał mężczyźni, żegnając się z Marcinem.

Nagle cofnął się, uderzył dłonią w czoło.

Ależ głowa!

zawołał.

Przecież mówiono mi dzisiaj o polskiej wycieczce?

Kto ci mówił?

zapytała kobieta.

Nasz portier.

Jak schodziłem rano na śniadanie, a ty jeszcze byłeś w pokoju, rozmawiałem z nim i on mimowicie powiedział, że wieczorem przyjechała do hotelu jakaś polska wycieczka, ale nie było dla niej miejsca.

A on ci nie powiedział, gdzie tamci pojechali?

Czekajcie, czekajcie.

Dajcie mi pomyśleć.

Mężczyzna' tarł czoło.

Owszem.

Powiedział, że namówił ich, aby pojechali do Fiesole.

Tam podobno łatwiej o hotel.

A to Fiesole jest daleko stąd?

Nie.

I to małe miasteczko.

Tam wszyscy na pewno wiedzą o każdej wycieczce, jak się u nich zatrzymuje.

Wiesz,

11 Marcin.

161.

mój kochany, szczerze ci radzę, jedź zaraz do Fieście.
Tonaprawdę niedaleko.
W tamtej stronie, na wzgórzach.
Zresztą Fiesole wartozobaczyć.
Co za cudna miejscowość!
Wiele, wielepięknych rzeczy.
My tamtakże któregośdnia pojedziemy.
Chcę pokazaćci nie wszystko, co oglądałem kiedyś.
Wiesz, chłopcze, chyba mój mążdobrze ci radzi powiedziała kobieta.
Do Fiesole niedaleko.
Za dwie, trzy godziny możesz być z powrotem.
Naplaniamasz na pewnozaznaczone, skąd można odjechać.
Wzięła plan zręki Marcina.
O tu, widzisz?
Tam chyba kursują trolejbusy.
Zresztądowiesz się na miejscu.
Myślę, że przejazdniebędzie kosztowny.
W każdym razie weź, proszę.
Szybkim gestem wcisnęła mu w rękę zwinięty banknot.
Proszępani, nie.
próbował się opierać.
Weź, weź.
Zrobiliśmy dziś dobry interes nachyliła się ku Marcinowi i powiedziała konfidencjonalnie:
Kupilinasz szynkę.
A jeszcze mamy aparat tranzystorowy.
Znowu pocałowała ją w rękę.
Ciągłe walczył z pokusą powiedzenia jej o wszystkim.
Ale już mąż wołał ją w stronę loggii i coś z daleka pokazywał.
Marcin szurnął nogami i odszedł.
Zaledwie Bielscy zniknęli mu z oczu, rozwinął paczkę i zaczął chciwie jeść otrzymane kanapki.
Zjadł od razu wszystkie.
Po "czuł nowy przyływ energii.
Ta wycieczka myślał to napewno tamci.
A więc zaraz ich odnajdzie.
A potem.
O tym "potem" nie myślał.
Czuł tylko zadowolenie, że nadal wy-myka się z rąk ścigającego go Ottona.
Przechodząc koło kiosku z gazetami, spojrzął na nowe, południowe wydanie dzienników.
I w nich także na pierwszej stronie była jego fotografia.
Przyśpieszył kroki i wydał policzki, gdyż wydało mu się, że w ten sposób zmienia wygląd swej twarzy.

12

Było już dobrze po południu, gdy wyszedł na drogę prowadzącą prosto ku ścianie białozłotych gór.
Od tych gór zawiewało świeżością.
Fiesole pozostało zanim na zboczu: skupisko białych murów w kępie zieloności.
Jeszcze niżej, w szarozielonej dolinie, przeciętej połyskującą wstęgą rzeki, leżała Florencia.

Mógł dostrzec górujący nad domami miasta masyw katedry z jej potężną kopułą, jakby ujętą w białe żebrowanie, Sterczały także inne kopuły i smukła, podobna do latarni morskiej wieża Signorii.

162

r

Zatrzymał się na zakręcie i przysiadł nabiąłym słupku drogowym.

Spomiędzy cyprysów wyglądał zębaty mur wieży.

Zapamiętał jej kształt górujący nad półkolem dawnego rzymskiego teatru.

To na jego kamiennych ławach odnalazł owych Polaków, na których ślad naprowadził go pan Bielski.

Nie była to jednak wycieczka, której szukał, ale grupa studentek szkoł sztuk pięknych.

Nieprzyjechały do Florencji z Rzymu, ale dopiero rozpoczynały podróż po Włoszech.

Odnalazł je bezkłopotu.

Wszyscy w Fiesole wiedzieli, że do miasteczka przyjechały młode Polki i że poszły do rzymskiego teatru, aby tam rysować.

Marcin zobaczył na ławach teatru gromadę dziewcząt ze szkicownikami w rękach.

Niektóre rysowały, ale większość odłożyła rysunki i rozkoszowała się słońcem.

Rozciągnięte na ławach, wydawały się podobne do jaszczynek.

Podciągnęły spódniczki, po zdejmowały pantofle i pończochy i podsuwały słońcu swe białe jeszcze nogi.

Za Alpami wiosna dopiero zaczynała się uśmiechać.

Tu było gorąco jak w lecie, a zieleń rozpiekała kamienie.

Chrześcicy suchymi gałęziami palmy, wyciągały swe kolce mięsiste kaktusy, błyskały jakby wyciętymi z blachy liśćmi rododendrony, zieloną koronkę rozpinają żywo płoty z tui.

Dziewczęta przymknęły oczy.

Niektóre zakryły je liśćmi.

Na Marcina żadna nie zwróciła uwagi.

Chłopiec, rozejrzawszy się, wybrał sobie jedną z studentek i zbliżył się do niej.

Rysowała, oparłszy szkicownik na kolanach.

Spod okularów sterczał mały, perkaty nosek.

Jasne włosy miała splecioną w warkocze i zwinięte ciasno wokół głowy.

Kiedy się odezwał, tylko na moment spojrzała w jego stronę.

Nie przestawała rysować, jakby każda chwila zbyt była cenna, by ją wolno było zmarnować.

Nic nie wiem o wycieczce, o którą pytasz.

Co to za profesor Wolski?

Mediewista powtórzył nie bez pewnego wysiłku słowo, które usłyszał od Bielskiego, choć nie wiedział, co ono znaczy.

Z Warszawy.

Nic o takim nie wiem.

My nie jesteśmy z Warszawy, tylko z Wybrzeża.

Miękkim ołówkiem, kreśliła zwartą masę kresek, tworząc w ten sposób narysunku plamę cienia.

Mówili nam, że w tej chwili nie ma w Fiesole żadnych Polaków poza nami.

Ale jacyś byli.

Pojechali wczoraj.

163.

Z kim ty gadasz, Grażyna?

zapytała, nie otwierającoczu jedna z dziewczyn rozciągnięta na ławie w pobliżu.

Jakiś chłopak.

Urniero/polsku?

To nasz.

Uniosło się kilka głów.

Kto tyjesteś?

Skąd się wzięłeś?

Co tu robisz?

'posypały się pytania.

Nie miał chęci odpowiadać.

Jego rówieśnice nie były istotami zbyt ciekawymi, ale takie jakte z ich pretensjami i pogardą dla młodszych tylko go irytowały.

Paniich widziała?

pytał ciągle tę samą.

Nie.

Nie przestawała szkicować.

Była tak przejęta swoją pracą, że aż wysuwała z ust koniuszek języka.

A dokąd pojechali?

Do Wenecji.

A potem z powrotem do kraju.

Skąd paniwie?

Mówili w hotelu.

Myśmy przyjechali w południe, a oniwyjechalio świcie.

Minęliśmy ich autobus.

I nie widziała pani w ich autobusie wysokiegomężczyzny z taką trochę siwą głową, w okularach, a przy nim dwóchdziewczynek?

Nie przerywającpracy, wzruszyła ramionami.

Nie przyglądałam się.

Szofer zaczął wołać, że przed namipolski autobus, więcpomachałyśmy im.

A autobus miał znakiwarszawskie?

Nie patrzyłam.

Oczywiście na co taka patrzy!

Nie wartonawet pytać.

Poczuł się zniechęcony.

Dzieńminął, przynosząc same klęski.

Marcin był głodny, dawno jużzapomniał o zjedzonychkanapkach.

Trzeba było pomyśleć, co zrobić z nocą.

Do hoteluiść nie mógł, zresztą nie miał nawet za co.

Słuchaj, mały odezwała się dziewczyna leżącaw pobliżu na kamiennej ławie.

Słucham dużejodrzucił gniewnie,

Nie bądź taki poufały.

Chcę cięzapytać.

Kto chce pytać we Włoszech, musi na todostać pozwolenie.

Głupi jesteś.

Podejdź tu bliżej, nie chcękrzyczeć.

Jakmi odpowiesz namojepytanie, to i ja ci odpowiem na to, o copytałeś.

Zbliżył się do leżącej dziewczyny.

No?

Powiedziała ściszym głosem.
Przywiozłam dwa litry wyborowej.
Ile za to możnado- /stać?
Niewiem.
To niewiele wiesz.
A ci, co z tobą jechali, co wieźli nahandel?
Nic nie wieźli.
To za co dostaliliry?
Zwyczajnie.
Wymienili forszę.
Dolary?
Fiuu!
Z ładnym bractwem jechałeś.
Ja tamt.
grand nie lubię.
Ale wiesz, mam także szynkę.
Niedużą, taką:dwukilową.
Kupią?
; We Florencji kupią.
Wczoraj sprzedała jedna moja znajoma.
Naprawdę?
Dobrze dali?
Dobrze.
A album Wita Stwosza kupią?
Nie słyzałem.
. .Mówili w kraju, że Polacykupują w Rzymie.
No, dobra, już siętrochę orientuję.
A co pani miała mi powiedzieć?
Tobie?
Aha!
Więc ten autobus, co nas mijał, był warszawski.
Widziałam.
Na pewno?
Jak ci mówię, to na pewno.
Palcami jednej stopydrapała się połydce drugiej nogi.
Lekko uniółszygłową, j z przyjemnością przyglądała się swej nodze.
A tuskąd je stcś?
zapytała.
Wymienił nazwę miasta, w którym mieszkał z ciotką.
Chodzisz do szkoły?
Teraz przerwałem, alebęde znowu chodził.
Rysować umiesz?
Chodziliśmy z naszą nauczycielką rysować nad rzekę.
Może chceszconarysować.
Tam leży mój szkicownik.
Nie, dziękuję.
Muszę iść.
Dokądpójdiesz?
Jeszcze nie wiem.
Muszę szukać profesora Wolskiego.

Czegood niego chcesz?

Mam interes.

Pochwili dorzucił: Może z nim wróę.

Do Polski?

Aha.

To ty należałeś do tamtejwycieczki?

Nie.

Ale może mnie zabiorą.

Masz bilety?

Nie.

To jak de mogą zabrać?

Chwilę milczał.

Profesor Wolski załatwi rzekł wreszcie.

A jak gonie znajdziesz?

Co wtedy zrobisz?

Milczał itylko końcem buta kreślił znaki na kamiennejławie.

Paszport masz?

zapytała znowu.

Nie.

Ale jak złapię profesora Wolskiego, on potrafi wszystko załatwić.

To rzeczywiście musisz go gonić.

Jedź do Wenecji.

Mas?

forse?

Trochę mam.

Ale nabilet nie starczy.

Zapadło milczenie.

Słońceskłaniało się corazniżej.

Dziewczyna dźwignęła się i oparła na łokciu.

Obsunęła dekolt bluzki, aby poddać ramiona ostatnim promieniom słońca.

Niepatrzyła na Marcina,ale w górę,na trzepoczące się nad jejgłową liście palmy.

Jakbym byłachłopakiem powiedziała dałabym sobie radę.

W jakisposób?

Pojechałabym autostopem.

Spojrzał na nią zaskoczony.

To byłamyśl.

Ile stąd może być do Wenecji?

Hanka!

zawołała dziewczynado koleżanki, która leżała o kilka ław wyżej.

Hanka!

Czego chcesz?

Masz mapę?

Bo co?

Ile stąd do Wenecji?

Po co cito?

Nie chce mi się ruszać.

Rusz się, trzeba pomóc jednemu malcowi.

Jak malecplacze,daj mumleczka.

Niewygłupiaj się.

Zobacz, ile jest doWenecji.

O rany,ale nudzisz!

Mimo to sięgnęła do swej torby.

Mapka była mała.

Dziewczynawymierzyła ołówkiem odległość.

Ponad trzysta kilometrów zawołała.

Widzisz powiedziała do Marcina ta, która z nim rozmawiała.

Wcale niedaleko.

Jakbyśpruł z GdańskadoWarszawy.

Rzeczywiście.

Na twoim miejscu wcale bym się nie zastanawiała.

Nie

raz jechałam autostopem.

Wcale nie najgorsza podróż.

Poznajesz ludzi, kraj.

Skoczysz do Wenecji, zobaczysz, żetam nie matego Wolskiego, to zaraz możesz wrócić.

Tutaj tylkodasz znaki każdy kierowca zabiera na autostop.

Możesz zapylać pięknym wozem, a nie zakurzoną ciężarówką.

Skąd pani wie?

Oglądałamtaki film.

Chłopiec jak ty powinien miećkrzepę.

Nie czekać, aż mu coś samo spadnie z nieba.

Przeciągnęłasię.

Słońce leżało jużna krawędzi amfiteatru,jego promienie traciłyswój żar.

Leżącena ławkach dziewczęta dźwigały się.

Nawoływały się:

Danka!

Beata!

Roma!

Wstawajcie, idziemy na kolację.

Marcin 'zastanawiał się.

Dziewczyna, myślał, ma rację.

Trzeba miećkrzepę.

Dawniej, był tego pewny, sam by od razuwpadłna taki pomysł.

To te miesiące dobrobytupozbawiłygo ducha ryzyka.

Ale już czuł się dawnym Marcinem.

Wstał.

Dobrze pani radzi rzekł.

Spróbuję autostopu.

Czypani koleżanka nie dałaby mi tejmapki?

Popatrzyła na niego trochę kpiąco, a trochę jakby z uznaniem.

Widzę, żeumiesz sobie radzić.

Ja przynajmniejtak bymzrobiła na twoim miejscu.

Hanka!

krzyknęła na tamtą.

Ten mały jedzie autostopem doWenecji.

Dajmu swoją mapę.

A ja co będę miała?

Nie bądź sobkiem.

Do czego ci ona potrzebna?

Muszę wiedzieć, gdzie jestem, jak mniejaki poderwie.

Już go widzę, jak leci.

Mapa mu sterczy zkieszeni.

Swoją wolę.

Idiotka jesteś.

Zaprowadzi cię wszędzie, nie zabłądzisz.

A ten mały idzie sam.

No to mu daj, żeby nie płakał.

Cisnęła z góry zwiniętą mapkę.
Były na niej zaznaczone jedynie drogi, rzeki i większe miasta.
Dziękuję pani powiedział.
Dobra, dobra krzyknęła z góry.
Możesz mi mówić ciociu.
Trzymaj się zerkła ta, z którą rozmawiał.
Tylko rysująca dziewczyna nie odezwała się.
Ciągle pracowała, choć już wszystkie inne złożyły swoje szkicowniki.
Nie
chciała widać tracić czasu.

Wcale nie działo się tak jak w filmie oglądanym przez młodą studentkę: choć wiele razy podnosił rękę, żadne z szybko komnących aut nawet nie zwolniło biegu.

Już prawie godzinę szedł zosą.

Góry, ku którym się zbliżał, stawały się coraz wyższe.

Coraz wyżej rósł skalny grzebień po lewej stronie drogi.

Słońce dopalało się nisko nad rozległą, biegnącą aż do morza nizina Arno.

Rzucało blaski z dołu, jak reflektor naproscenium.

Marcin był zmęczony i głodny.

Kanapki, które dostał we Florencji, i porcja spaghetti, kupiona u ulicznego sprzedawcy w Fieście, nie mogły mu wystarczyć.

Siedząc na słupku jeszcze raz przeliczył posiadane liry.

Nawet tym, co zostało z banknotu otrzymanego od pani Bielskiej, miał ich zaledwie dwieście.

Akurat tyle, by zjeść jeszcze raz porcję spaghetti.

Na drodze poniżej usłyszał brzęk i klekotanie.

Z wysiłkiem wlokła się w górę stara ciężarówka.

Wychylony z okien kierowca w pasiastej koszulce gwizdał jakąś melodię.

Marcin podniósł się ze słupka i uczynił gest odchylonym wielkim palcem prawej ręki.

Ciężarówka zadzwoniła jak otrząsający się wody wierzchovec w pełnej, wojskowej kulbace.

Kierowca chrupotem zaciągnął hamulec.

Przestał gwizdać, wychylił się i powiedział coś do Marcina, czego chłopiec nie zrozumiał.

Marcin powtórzył swój gest i rzekł:

Yenezia.

Mężczyzna potrząsnął kędzierzawą głową.

Rzucił coś, co brzmiało jak "Vernio".

Marcin powtórzył kilka razy:

Venezia, Yenezia.

Kierowca coś jeszcze mówił, ale potem spojrzał na zbiedzona postać chłopca i uprzejmie wskazał mu otwarte drzwiiczki auta.

Zwolnił hamulec, a jednocześnie dodał mocno gazu.

Ciężarówka poderwała się.

Wszystkie nity rozpaczliwie zadzwoniły.

Przez chwilę wydawało się, że silnik wyrwie się spod maski i sam popędzi naprzód, zostawiając za sobą rozsypującą się karoserię.

Brzęcząc i klekocząc potoczyli się wirażem w górę.

Kierowca, oparłszy na kierownicy ręce tak włośione, że mógłby dzięki temu dochodzić praw biblijnego Ezawy, nie przestawał o coś wypytywać Marcina.

Chłopiec rozkładał ręce, trząsł głową i powtarzał:

No capisco, no capisco.

Tamtem uśmiechał się i mimo tonie przestawał mówić.

Dopiero po pewnym czasie położył palec na piersi Marcina.

Zapytał:

Inglese?

English?

Tym razem chłopiec pojął, o co tamten pyta.

Zaprzeczył ruchem głowy.

Francese?

Polacco.

Włoch uśmiechnął się.
Położył dłoń naramieniu Marcina i znowu coś zaczął długo mówić czy też pytać.
Marcin trząsnął głową, ale Włoch wcale się tym nie przejmował.
Gadał i gadał jak włączony patefon.
Po pewnym czasie Marcin przestał nawet okazywać, że nie rozumie jego słów.
Słońce utonęło w morzu gdzieś, gdzie jak wskazywała mapa znajdował się port Piza.
Dolinę z tyłuzaniami nakrył mrok.
Zapalały się pierwsze światełka.
Skalny mur jeszcze odbijał resztę blasku, jaki słońce pozostawiło na niebie, ale ten blask szybko matowieł i szarzał.
Ciężarówka, sapiąc, dysząc i pobrzękując kłapiącymi błotnikami, wciąż pchała się z wysiłkiem w górę.
Omiatając szosę strumieniami reflektorów, mijały ich auta.
Przelatywały autobusy z oświetlonymi oknami.
Za każdym razem Marcin usiłował zobaczyć w czerwonym pyłe oddalającego się wozu numer autobusu.
Ale autobusy przeważnie oddalały się zbyt szybko.
Było już zupełnie ciemno i zgasł nawet czerwony pas odcinający zarys dalekiego wybrzeża od zachodzącego czernią nieba, góry zaś przed nimi topiły się w mrok, gdy ciężarówka wtoczyła się między domy jakiegoś miasteczka.
Świateł tu było mało, domy sterczały niby skalne bloki.
Dojechawszy do małego placu, szofer skręcił w boczną uliczkę wznoszącą się stromo w górę.
Auto zachrypiało przeraźliwie, ale pokonało tę wysokość.
W niezrozumiały sposób zdołał się wcisnąć w ciasną bramę i znaleźli się na niewielkim podwórzu.
Dom, przed który zajechali, stał na wysokich podsieniach.
Wśród strasznego tupotu, jak gdyby po drewnianych schodach toczyła się kamienna lawina, zbiegła z góry i wypadła na podwórze cała gromada dzieci.
Ledwo kierowca zatrzymał auto, już dwaj chłopcy o wyglądzie bliźniaków podłożyli kamień pod tylne koła.
Z przerażającym łoskotem budzącym nie kończące się echa spadła tylna deska i chłopcy wskoczyli do ciężarówki.
Stękając głośno wywlekali z niej jakieś ciężary.
Kierowca zgasił motor i robiąc szeroki gest powiedział do Marcina:
Ecco Vernio.
Marcin domyślił się, że tak się widocznie nazywa górskie miasteczko i że ciężarówka dalej nie pojedzie.
I on, i kierowca.

ca wysiedli.

Włoch witał się czule z dziećmi, które wspinały się na ramiona.

Był na pewno ich ojcem.

Marcin trącił go w ramię.

Zapytał:

Venezia?

Venezia la Włoch machnął ręką w jakimś kierunku.

Marcin skinął głową.

Nie miał pojęcia, co ma ze sobą zrobić.

Odruchowo zrobił krok w stronę bramy, którą wjechali napodwórze.

Ale Włoch zatrzymał go.

Venezia powiedział domani.

Adesso mangiare do Tmire.

Dotknął palcem ust, a potem złożony ręce jak do modlitwy położył na nich policzki.

Mangiare powtórzył.

Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby się nim delectował.

Marcin, aby się upewnić, powtórzył:

Venezia domani?

Si, s'i zapewnił kierowca.

Domani.

Coś jeszcze mówił szeroko gestykulując.

Zakończył słowami: Adesso mangiare.

Andiamo.

Popchnął go lekko w stronę domu.

Dzieci, wszystkie czarnowłose, o wielkich, ciemnych oczach, szły obok przyglądając się Marcinowi.

Były ubrane bardzo biednie.

Całą kawałdą weszli do wielkiej izby na dole.

Była ona równocześnie kuchnią, a w pewnej mierze i składem, spiżarnią oraz kurnikiem.

Na ścianach wisiały święte obrazki i upstrzone przez muchy fotografie.

Zsufitu zwieszały się festony nawleczonych nasznurki kolb kukurydzy, języczków papryki, główek cebulii czosnku.

W kącie znajdowała się kilkanaście oplecionych słomą butelek po winie.

Na kamiennej posadzce pod ścianami stały potężne słoje, beczki, gąsior.

W głębi izby ustawiona była drewniana krata, a za nią od czasu do czasu rozlegało się trzepotanie skrzydeł i kurze gdakanie.

i

Przy rozpalonej kuchni stała kobieta, drobna i szczupła, w postrzępionym swetrze.

Włosy miała przewiązane chustką;

zupełnie tak jak ciotka, gdy ją bolała głowa.

Ledwo weszli,!

kobieta odwróciła się od ognia i zaczęła coś wykrzykiwać.

! Miała jeszcze młodą twarz, ale zapadnięte policzki nadawały?

Jej wyraz smutny.

Słyszając jej głos, zlekka zachrypli, Marcin był pewny, że kobieta gniewa się o coś na męczyźnie, który zaczął jej podobnie odpowiadać.

Ale po chwili obojwzięli się w ramiona i serdecznie ucałowali: byli na pewno małżeństwem, a ich rozmowa nie oznaczała gniewu, ale radość.

Teraz jedno przez drugie coś do siebie mówili z wielką szybkością.

Może sobie opowiadali o czymś, co zdarzyło się w czasie nieobecności mężczyzny?
Dzieci słuchały stojąc półkolem, czasami któreś z nich wpadało swoim głosem w dwu
głos rodziców.

Z kąta wyszedł chudy pies i ocierał grzbietem kolana mężczyzny.

Dopiero po dobrej chwili kierowca wskazał na Marcina i coś powiedział kobiecie.
Na wynędniała jej twarz wypełzł smutek, chociaż nie zatarł wyrazu troski i zmęczenia.
Coś potakiwała, mówiła "si, si", i "bene", lecz równocześnie jej piękne brwi zsunęły się, tworząc
zmarszczkę.

Obróciła się do dwóch dziewczynek, może siedmio- i ośmioletniej, i krzyknęła, a one chwyciły
za uszy garnka stojącego na kominie.

Razem z matką przenieśli go na stół.

Tymczasem reszta rodziny z pośpiechem zajęła miejsca.

Ojciec wskazał gestem Marciniowi, aby usiadł obok niego.

Zanim ktokolwiek sięgnął po łyżkę wszyscy wstali i zwrócili się ku małej figurce Matki

Bożej, ubranej w haftowaną sukienkę, stojącej we wnęce ściennej.

Ojciec przeżegnał się i wszyscy zrobili to samo.

Uwadze mężczyzny nie uszło, że Marcin także się przeżegnał, gdy już się od chłopca
jakby z uznaniem.

Odmówioną modlitwę.

Po słowie "amen" mężczyzna przesłał palcami czuły pocałunek w kierunku postaci Maryi.

Marcin zauważył, że podczas modlitwy oczy dzieci biegały nieustannie między figurą a
garnkiem, z nad którego unosiła się para, jakby się obawiała, że zniknie, gdy przestaną na
niego patrzeć.

Po modlitwie matka zaczęła nalewać zupę do misek.

Pierwszą miskę postawiła przed Marcinem.

Ojciec wyjął z szafki chleb.

Odkrawał po kawałku i z nabożeństwem podawał każdemu z dzieci.

Oczy malców śledziły wędrujące kromki, małe dłonie chwyciły kawałek szybko, jakby dzieci
się bały, że ktoś je ubiegnie.

Jeden z chłopców coś zawołał, potrząsając otrzymaną kromką.

W jego krzyku zdawała się brzmieć rozpacz.

Ale w tej chwili zaczęły krzyczeć także inne.

Powstał zgiewek.

Ojciec uciszył dzieci gromkim: "Basta!

Silenzio!

" Głosy ucichły.

Mężczyzna kazał chłopcu podać sobie chleb i przez jakiś czas zdawał się porównywać go
wzrokiem z innymi kawałkami.

Potem skinął głową, odkroił z bochenka jeszcze mały plasterek i razem z kromką oddał go
chłopcu.

Zupa pachniała smakowicie czosnkiem.

Marcin wziął się do jedzenia z zapałem.

Dopiero kiedy skończył, spojrzał wokół siebie.

Podczas jedzenia nikt przy stole nie rozmawiał, słychać było tylko głośnie siorbanie.

Dzieci jadły powoli, spoglądając raz po raz na rodziców, zdawały się sprawdzać, czy któreś
nie dostał więcej.

Najmłodsze dzieci przytrzymywały miski otaczając je ramieniem.

Marcin pomyślał, że dom, w którym się znalazł, musi być bardzo ubogi, a dzieci pewnie często nie
dojadają.

Z kolei popatrzył na matkę.

Jadła także.

powoli, a w jej misce było tylko trochę zupy.
Marcinodrazprzypomniał sobie ciotkę.
U nich także bywały ciężkie czasy.
Temiesiące, wczasie których żył w dobrobycie, zatarły jużw pamięci Marcina tamte lata.
Ale wspomnienia ożyły w jednejchwili.
Przypomniał sobie zwłaszcza okres kilku tygodni,gdy ciotka miała zastrzałw ręcei nie mogła
pracć.
To byłydni,kiedy na ich stole pojawiałasię jedynie wodnista zupa.
Ciotka nalewała mu pełnytalerz.
Sobiebrała tylko odrobinę.
Gdy zwracała to uwagę, odpowiadała opryskliwie: "Nienudź!
Jak będziesznudził, wstanę od stołu i będę jadła oddzielnie".
Aleon rzadko to spostrzegał.
Był głodny ijadł zanadto chciwie.
Gdywymiałał błyskawicznie talerz, onajadłpowoli, tak właśnie jak ta kobieta.
Czasami, gdy już zjadł,mówiła: „Wiesz, może byś skończył za mnie?”
Nalizała sięgotując i zupełnie nie mamapetytu".
Tyle razyw to uwierzył.
Dopiero tutaj,patrząc na tę kobietę,uświadomił sobie, żewie, dlaczezonigdy w życiu nie był
naprawdę głodny.
Po zjedzeniu zupy gospodarzposzedł do beczki stojącejw kąciei natoczył z niej do
butelki trochę czerwonego wina.
Nalał sobie i Marcinowi.
Niktwięcejwina nie dostał.
Byłokwaśne, ażdrętwiało od niego gardło.
Mężczyzna trącił swoim.
kubkiem kubek Marcina i cośpowiedział; wyglądało to jak:
"Na zdrowie".
Dzieci zaczęły rozmawiać i przy stole powstał gwar.
Gospodarz mówił także zwracając się do Marcina, ale Marcin jegosłów wdalszymciągu nie
rozumiał.
Bogaty wewrażeniadzień, podróż,a terazto wino sprawiły, że poczuł się ogromnie senny.
Powieki same zsuwały się na oczy.
Kobietaona jedna nicnie mówiła musiała to spostrzec.
Wstała, podoszła do męża, coś doniego powiedziała.
Potem skinęła naMarcina.
Poszedł za nią bez słowa.
Zaprowadziła go dokomórki, wktórej stały jakieś beczki,a wzdłuż ściany, niby gałęzie
płaczących wierzb, zwisały sznury z nanizaną włoszczyzną.
Na ziemi rozścielona była słoma.
Kobieta rozpostarła nasłomie przyniesioną derkęi gestem zachęciła chłopca, aby sięnanej
położył.
Potem okryła go drugą derką.
Coś powiedziałaacicho,łagodnie.
Niezrozumiał, co mówiła, ale ton jej głosuprzypomniał mu raz jeszcze ciotkę tak mówiła do
niego,gdy chorował; jej głos pozbywał się wtedy zwykłej szorstkości.
Jakby ulegając temu wspomnieniu,zamknął oczy i natychmiast zapadł w sen.

Obudziło go słońce, które wdzierało się do podsieni i zda- ,wało sięgrozadsadzaćswymi promieniami szparydrzwi.

Marcin '-.

poczuł się wyspany,wypoczęty, pełennowej energii.

Słoma' -,:;

pod ścianą zaszeleściła.

Chłopiec nastawił ucha.

Znowu po- .

słyszał szelest.

Na kolanach posunął się 'w tamtą stronę.

^/W samym rogu komórki leżała kotka, a przy niej cztery małekocięta.

Kotka spojrzała na Marcina trochę niespokojnie, ale nieuciekła.

Gdy chłopiec ją pogładził, zaczęła mrużyć i trącaćgo łebkiem, jakby domagała siępieszczoty.

Kocięta już widaćnajedzoneodpadły od piersi matki i leżały brzuskami do góry, nakryte łapkami o różowych poduszeczkach.

Miały śmieszne, trójkątne ogonki.

Marcinwziął jedno z kociąt na rękę.

Leżało mu na dłoniciepłe, miękkie, rozkoszne.

Skrzypnęły drzwi i wsunęła sięprzez nie głowa najstarszegoz chłopców.

Miał może dziesięćlat.

Chłopiec, widząc, że Marcinnie śpi, wszedł do komórki.

Błysnął w uśmiechu zębami, gdydostrzegł kodaka w rękachMarcina.

Micino/powiedział.

Położył dłoń na piersi, rBellomicino, eh?

Marcin domyślił się, że chłopiec mówi, iż kotekjest ładny.

Bellopotwierdził.

Chłopiec położył sobie na dłoni drugiegokodaka i gładziłgo delikatnie palcem.

Kotka wstała, podeszła do niego, ocierała się jego nogi.

Mały próbował coś mówić, ale Marcin ciąglenie rozumiałśłów.

Potrząsał głową i uśmiechał się.

Tamten także się uśmiechał.

Chłopiec położyłkotka z powrotem igestami zachęciłMarcina, aby zrobił to samo.

Kiedy Marcin go posłuchał, chłopiec uniósł w górę palec, jakbychcąc nakazać Marciniuwagę.

Mammapowiedziałacqua.

Gestami pokazywałmynie.

E mangiare już samo to słowo zdawało się wywoływać zachwytna jegotwarzy.

Poi.

przez zaciśniętezębynaśladował warkotsamochodu.

Tym razem Marcin wszystko pojął.

Zerwał się, alezanimopuścili komórkę, położył palecna swojej piersi i powiedział:

Martino.

Io Martino.

Z kolei położył palec na piersi chłopca.

Ten odrazu zrozumiałtengest.

Anselmo rzekł.

173.

Trącając się wzajemnie łokciami jak para przyjaciół, chłopcy pobiegli do studni.
Marcin umył się nad kamienną misą.
Potem Anselmo zaprowadził go do tej samej izby na dole, w której wczoraj jedli kolację.
Cała rodzina była już zebrana przy stole.

Dzieci witały Marcina jedno przez drugie: Buongiorno, buon giorno.

Zanim wzięto się do jedzenia, wszyscy podobnie jak wczoraj odmówili ranną modlitwę.

Potem matka nalewała do misek kromkę gotowaną kaszę.

Gdy śniadanie się skończyło, ojciec położył rękę na ramieniu Marcina; coś do niego mówił wolno i wyraźnie.

Powtarzały się słowa "Venezia" i "lift", potem rzekł "Andiamo".

Marcin domyślił się, że Włoch chce mu pokazać, gdzie można złapać samochody jadące do Wenecji.

Nim wyszli, podszedł do gospodyni.

Chciał jej podziękować za gościnę, ale brakło mu słów, więc tylko powtórzył kilkakrotnie „molto grazie”, a potem nagle chwycił ją za rękę i pocałował.

Na zniszczonej i smutnej twarzy kobiety pojawił się łagodny uśmiech.

Coś powiedziała, a potem wyciągnęła rękę.

Jej szorstkie, spracowane palce tak podobne do palców ciotki gładziły policzki Marcina.

Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni.

Wydobył wszystkie monety, jakie jeszcze miał, i chciał je podać kobiecie.

Ale ona stanowczo potrząsnęła głową.

Sprzeciwił się także gospodarz.

Mówił gwałtownie, jakby z oburzeniem.

Zmusili Marcina, aby schował pieniądze powrotem.

Gospodarz wyprowadził Marcina na drogę.

Na ulicy przyłączył się do nich Anselmo.

Przez mały placyk przejeżdżały samochody pasażerskie, a nauczony

doświadczeniem poprzedniego dnia Marcin nie próbował żadnego zatrzymać.

Gospodarz dawał mu także znaki, aby spokojnie czekał.

Dopiero kiedy nadjechała duża ciężarówka, naładowana skrzynkami i workami, podniósł rękę.

Auto stanęło.

Z ciężarówki wychylił się kierowca.

Był to mężczyzna niemłody, w zielonym tyrolskim kapeluszu z piórkiem.

Podnosem miał kępkę siwych wąsów.

Długie kosmyki włosów kładły się na kołnierzu skórzanej kurtki.

Gospodarz wdał się z kierowcą w rozmowę.

Wskazywał na Marcina, powtarzał: "Povero Polacco" "Bravo Polacco", "Venezia", kładł rękę na piersi, a drugą podnosił w górę, jakby się zaklinał, powtarzając przy tym "Santa Madonna".

Kierowca słuchał, sam nic nie mówiąc.

Spod wciśniętego na czoło kapelusza przyglądał się Marcinowi.

Ben powiedział krótko w odpowiedziina długą, tyradę gospodarza.

Gestem wskazał Marcinowi miejsce obok siebie.

Gdy ruszyli, Marcin powiał ręką na pożegnanie Anselmowi i jego ojcu.

Droga jeszcze przez parę kilometrów szła w górę, a potem, otworzyła się przed jadącymi ogromna, sinoszara dolina.

Szosa ostrymi wirażami schodziła w dół.

Kierowca, niewypuszczając z zębów fajeczki, prowadził ciężarówkę śmiało i pewnie.

Nic nie mówił.

Dopiero gdy w dole ukazało się jakieś miasto z mnóstwem wież kościelnych i sterczących starych murów, powiedział:

Bolonia.

Marcin skinął głową i sięgnął po swoją mapę.

Drogą do Wenecji prowadził rzeczywiście przez Bolonię.

Jakby chcąc gópować, że jada dobrze, stary wysunął nad kierownicę suchy palec z wielkim niby łopata paznokciem i pokazał coś daleko, tam gdzie blade zielenie przestrzeni nabiera ciemnoszmaragdowej barwy.

Venezia rzekł.

Marcin uśmiechnął się z zadowoleniem.

Minęli Bolonię.

Jechali teraz równiną bez wzniesień.

Po obu stronach drogi ciągnęły się szare wsie i uprawne pola.

Czasami pokazywały się płaty łąk, po których chodziły stadka kóz i owiec.

Potem Marcin znowu zobaczył przed sobą większe miasto.

I tu także ponad dachami domów wznosiły się wieże kościelne i zębate mury dawnych zamków.

Ferrara rzekł kierowca.

Stary nie był rozmowny.

Dziwiło to Marcina, który już nawykł dogadatliwości Włochów.

Bez przerwy trzymał w zębach swoją wygiętą fajkę, a jego małe oczka pod siwymi, krzaczastymi brwiami zdawały się pilnie patrzeć na wszystkie strony.

Jechał szybko, ale bardzo uważnie.

Za Ferrarą przejechali most na większej rzece i wiele mostków na innych wąskich rzeczках, płynących równoległo do siebie.

Równinny, jak okiem sięgnąć, teren połyskiwał słońcu.

Nad polami unosił się delikatny opar.

Soczysta zielenie uprawnych pól aż kłuła wzrok.

Pracujący na polach ludzie tkwili do pół łydek w grząskim błocie.

W rozgrzanym powietrzu unosiły się roje owadów; ich ciała rozgniecione na szybie auta tworzyły czerwone i żółte plamy, tak liczne, że trzeba było się zatrzymywać i przemywać szybę.

Podczas jednego z takich przymusowych postojów stary sięgnął do blaszanej manierki w szarym, wojskowym pokrowcu, nalał do kubka wody zmieszanej z winem i podał Marcinowi.

"; nowi.

Chłopiec uśmiechnął się wdzięcznie tu, na równinie.,

M.;upał był bardzo dokuczliwy, a widok lśniącej w słońcu wody^{ff} jeszcze bardziej pobudzał pragnienie.

Polacco?

si To może znasz niemiecki?

Stary postawił to pytanie

po niemiecku.

Niektórzy Polacy umieją.

Trochę znam Marcin przyznał się do tej umiętności z pewnym niepokojem.

Ciągle miał w pamięci zdjęcie w pismach.

Ale z drugiej strony rad był, że będzie mógł się porozumieć z kierowcą.

Jedziesz do Wenecji?

Tak.

Po co?

Zgubiłem wycieczkę i muszę ją dogonić.

To polska wycieczka?

Tak.

Stary pykał z fajki i przyglądał się Marciniowi.

Chłopiec poczuł się trochę nieswojo pod spojrzeniem jego szarych oczu, tkwiących głęboko w pociętej zmarszczkami twarzy.

Dlaczego na ciebie nie poczekali?

Myśleli, że pojechałem z inną wycieczką.

A gdzie są twoje rzeczy?

Torba została w autobusie.

W Wenecji poczekają na ciebie?

Odruchowo rozłożył ręce gestem niewiedzy.

Zaraz tego pożałował; wydałomu się, że kierowca powinien mieć pewność, że na niego czekają.

Muszę ich złapać rzekł.

A oni już są w Wenecji?

Pojechałam wczoraj.

Zapadło milczenie.

Marcin stawiał sobie w duchu niespokojne pytanie: dlaczego on mnie tak wypytuje?

Stary mówił płynną niemiecką, choć nie był to język niemiecki, do którego Marcin był przyzwyczajony.

Tak nie mówili ani matka,

ani Otton.

Jesteś głodny?

zapytał stary.

W Verni poczęstowali mnie.

Pieniądzy nie masz?

Zamiast odpowiedzi Marcin sięgnął do kieszeni, wyjął garść pozostałych mu drobniaków i pokazał kierowcy.

Ten skrzywił się lekceważąco.

No, jedźmy powiedział.

Znowu jechali spaloną słońcem równiną między rozlewiskami i licznymi rzeczkami, strumykami kanałami.

W małym miasteczku Santa Elena stary zatrzymał ciężarówkę przed trattorią.

Było południe i Marcin czuł się bardzo głodny, ale widząc, że stary kieruje się do środka trattori, powiedział, wskazując łączkę zacienioną drzewami:

To ja zaczekam tu na pana.

' Nie, chodź.

Ale ja naprawdę.

i Chodź popchnął Marcina stanowczym gestem.

Trattoria była mała i ciemna, stoliki nakryte kraciastymi obrusami.

W kącie siedziało kilku mężczyzn, niektórzy w kapeluszach na głowie, a wszyscy w gumowych, wysokich butach, potężnie obłożonych.

Mężczyźni, pewno chłopci, pili wino, nalewając je z buteleki długich, rozszerzonych szyjkach.

Gdy stary i Marcin zajęli miejsce przystoliku, podeszła donich od bufetu szczupła dziewczyna w białym fartuszkach.

Czekała cierpliwie, aż stary wybierze coś z karty, wypisanej ręcznie i bardzo nieczytelnie.

W końcu kierowca zdecydował się na spaghetti i kotlety baranie.

Gestem wskazał na siebie i na Marcina.

"Vino blanco" dorzucił.

Zsunął kapelusz z czoła, rozparł się na krześle.

Postukał fajką o brzeg stołu i zaczął czyścić metalowym sztyftem.

Dziewczyna przyniosła tymczasem wino w takiej samej karafce z rozszerzoną szyjką.

Marcin na myśl o jedzeniu łykał ślinę.

Stary nic nie mówił, dopóki na stole nie zjawiły się talerze, każdy z kopiastą i dymiącą górą makaronu.

Marcin wziął się za łykanie jedzenia.

Stary powoli długo mieszał spaghetti z sosem.

Pochylony nad talerzem powiedział:

Ja nie jadę do Wenecji.

Marcin podniósł głowę zaskoczony.

Rozpoczęta pomyślnie podróż miała się więc szybko skończyć.

A dokąd pan jedzie?

zapytał.

Do Vincenzy.

I dalej jeszcze.

Jak, chcesz, mogę cię podwieźć do Padwy.

Stamtąd będziesz miał już niedaleko.

Marcin szybko sięgnął po mapkę.

Rzeczywiście, w Padwie drogi rozchodziły się.

To prawda, niedaleko.

Rączką widelca odmierzył odległość.

Z pięćdziesiąt kilometrów, prawda?

Dam sobie radę, odetchnął.

Dasz sobie radę, potwierdził stary.

Ale chcę ci coś zaproponować.

Znowu podniósł głowę nad talerz, na którym już nic prawie nie było, i spojrzał ciekawie na kierowcę.

Jadę do Vincenzy, stary odsunął talerz z niedojedzonego Marcina.

nym makaronem i zaczął ubijać tytoń w fajce a potem jw poblize Rovereto.
Mam towar i muszę go szybko rozładować.

Przydałbyś mi się.

Jutro będę wracał i wtedy zostawiłbym cię w Padwie.

Marcin zastanawiał się chwilę nad propozycją.

Chętnie bym panu pomógł rzekł.

Ale boję się, że moja wycieczka może mi uciec.

A wtedy doprawdy nie wiedziałbym, co zrobić.

1

Powiedziałeś, że pojechali wczoraj do Wenecji?

Tak.

Jeden dzień w Wenecji to za mało.

Muszą przecież zobaczyć i miasto, i Lido, i Murano.

Zostaną na pewno ze trzy dni.

Być może.

Ale.

Dziewczyna przyniosła kawałki baraniego mięsa z kością, bez żadnej jarzyny.

Stary zapalił fajkę.

Wiesz, gdzie tych twoich szukać?

Nie.

Więc słuchaj: jutro zawiózłbym cię do samej Wenecji.

Mam czas, mogę to zrobić.

W Mestre mieszkamój znajomy.

On raz dwa doprowadzi cię do twoich.

,

Marcin zamyślił się znowu.

Miał wielką ochotę znaleźć się jak najszybciej w Wenecji.

Ale z drugiej strony doświadczenia!

Ostatnich dni przekonały go, że odnalezienie wycieczki nie.

;

jest sprawą łatwą.

Poza tym należało ciągle pamiętać o artykułach w pismach.

Gdyby nawet dotarł dzisiejszego dnia do Wenecji, małe byłyby szanse znalezienia zaraz Wolskiego.

-A wtedy pozostałby na bruku bez możliwości przenocowania w hotelu.

Noco?

zapytał stary znad szklanki wina, którą trzymał w ręku.

Ale pan podrzuci mnie jutro do Wenecji?

Przecież powiedziałem.

Jeszcze ci pomogę znaleźć two-;;

ich. Jakiś stało, że tak dobrze mówisz po niemiecku?

fc;

Wcale dobrzenie mówię.

Uczyłem się w szkole.

(;; :

Musiałeś chyba mieszkać między Niemcami.

A może ty jesteś Niemcem?

Jestem Polakiem!

prawie krzyknął.

Stary popatrzył na niego uważnie.
Więcej do tego tematuniewrócił.
Dopił wino, pociągnął mocno z fajki i rzekł, pokazując wzrokiem naczysto wymieciony talerz, stojący przedMarcinem: .
Musiałeś być głodny, co?

Marcin nie odpowiedział.

Nie bój się.

Moja głowa, abyś nie umarł dojutra z głodu.

Więc zgoda, co?

Wyciągnąłdo Marcinarękę.

Marcin z wahaniem podał mu swoją.

Zgoda.

W takimrazie jedziemy.

Przywołał kelnerkę: Addizione, ragazza.

15

W Padwie skręcali na Yincenzę.

Znowu wyrastały przed nimi góry,niby coraz wyższa ściana zamykająca horyzont.

ZaVincenzą opuścili szeroki szlak i wjechali na boczną, mniejuczęszczaną szosę, prowadzącą ostro w górę.

Na drogowskazach dostrzeglinazwy:Trento i Rovereto.

Za Thiene droga zanurzyła się w ciasną dolinę.

Biegła z boczem, a w dolepłynęła białaod pian rzeczka.

Po obu stronachdrogiciągnęły sięwinnice.

Małe murki tworzyły stopniepodtrzymujące osuwającą się ziemię.

Gdzieśgdzie winnice ustępowały półkom pokrytym wielkimi tytoniowymi liśćmi.

Odgór za wiewało świeżością.

Mijaliwioski uczone zbocza.

Domki z szarego kamieniazdawały się stać jedne na drugich.

Drogaszła ku przełęczypodobnej do siodła, zamykającej dolinę.

Sponad przełęczywyzierały noweszczyty, coraz bardziej skaliste.

Prawie pod samą przełęczą trafili znowuna wioskę.

Drogazataczaławiraż, przechodziła środkiem wsi i jeszcze raz przemykała między najwyżej położonymidomami.

Właśnie tamkierowca zahamował ciężarówkę.

Zjechałw bok i zaparkowałwóz pod murkiem obrosniętym pnącą rośliną.

Obok znajdowałsię niski dom,a w nim sklepik.

Na otwartych drzwiach wisiałyprzedmioty domowego użytku: szczotki, garnki,

plastykowewiadra, kolorowe sandańki kobiece.

Naścianach rozpięte byłybarwne reklamy.

Stary, skinąwszy naMarcina, ruszył w kierunku sklepu.

Słońce zniżyło się i wisiałnad zboczem po drugiej stroniedoliny.

Dno doliny zachodziło mgłą.

Stary wszedłszy do mrocznego sklepu powiedział:

Buona sera, Antonio.

Salute, Giuseppe.

Zza ladywstał mały mężczyznaw grubym swetrze i zielonych bryczesach.

W jego głosie zabrzmiało jakby podniecenie.

Podali sobie dłonie i mężczyznaw swetrze zarazspytął o cośkierowcę, wskazując na Marcina.

Odpowiedź musiała gozado.

wolić, bo uśmiechnął się do chłopca, odkrywając brzydkie rzadkie zęby, podobne do kołków w płocie.

Coś zawołał.

Z głębi domu odpowiedział mu głos kobiety.

Poprzedzających gości, Antonio wyprowadził ich tylnym wyjściem nadrugą stroną domu.

Wyszli na długi, pokryty dachem taras, a właściwie do dużej izby, której jedną ścianę zastępowała kamienna balustrada.

Marcinaż westchnął z zachwytu.

Dom.

zdawał się wisieć w powietrzu.

Pod balustradą rozciągał się płaski dach innego domu, stojącego niżej na zboczu.

Metalowe schodki łączyły dach z tarasem.

Wychyliwszy się za balustradę, można było zobaczyć w dole całą wioskę.

Gdzieś w jej środku stał kościółek, ale jego przysadzista wieża gubiła się między murami domów stojących wyżej.

Pomiędzy dachami widać było omroczone przedwieczornymi mgłami dolinę, z białą nitką rzeki pośrodku, a za doliną długie wzgórza, którego grzbiet był jak rozmyty przez leżącą nad nim kulę słoneczną.

Długie smugi blasku podobne do strumieni reflektorów przecinały niebo.

Niektóre przebijały zawieszony nad wzgórzami obłoki, niby strzały tkwiące w ciele ptaka.

Na drugim końcu tarasu na stołku siedziała stara kobieta, skubała trzymana na kolanach kure.

Siwe, nastroszone włosy długie, haczykowały nos nadawały starej wygląd wiedźmy.

Do jej przygiętych, powykręcanych palców lepił się biały puch.

Nawet nie spojrzała w stronę przybyłych.

Obok starej, również na niskim stołku, siedziała dziewczynka.

Wyglądała na dziecko.

Włosy miała związane po obu stronach głowy w krótkie kosmyki.

Spod spódniczki wysuwały się nogi w gumowych butach i niezbyt czyste kolana.

Mężczyzna w swetrze coś zawołał, adz dziewczynka wstała i nie spiesząc się, jakbyś świadomie się ociągając, przyniosła z drugiej izby karafkę wina, szklanki oraz mocno przypieczony placek.

Postawił wszystko na stole.

Szklanki dla Marcina nie przyniosła, za to brzucała go ciekawym spojrzeniem.

Nic nie powiedziawszy, wróciła na swe poprzednie miejsce.

Antonio nalewał wina dla Giuseppei dla siebie.

Marcinowi zaś podał kawal ułamanego placeka.

Podczas gdy mężczyźni rozmawiali przyciszonymi głosami, Marcin, stojąc przy balustradzie, wciąż podziwiał zmieniając się z każdą chwilą krajobraz.

Z szarego dna doliny wstawały mgły i unosiły się wolno białymi kłakami w górę.

Słońce zapadło za wzgórza, ale smugi blasku pozostały jeszcze na niebie.

Zawieszony na tych smugach obłoki ściemniały.

Chodź no tu posłyszal za sobą głos starego.

Giuseppe

mówił po niemiecku.

Nalał wina do szklanki i podsunął chłopcu.

Napij się.

Jak ty się nazywasz?

Marcin Policki.

I przyjechałeś tu z Polski?

Tak.

Masz przy sobie jakieś papiery?

Marcin potrząsnął głową.

To była nieprawda, ciągle miał przy sobie dowód na nazwisko Boehmke.

Kilkakrotnie myślał, aby go zniszczyć, dotychczas jednak tego nie zrobił.

Był zdecydowany nikomu gonię pokazywać.

Nic nie masz?

Żadnego dowodu, żadnej legitymacji?

Jakby nie dowierzając słowom Marcina, Giuseppe klepnął dłonią pokieszeniach kurtki chłopca.

Nie.

Antonio odezwał się dostarczając włosku, jakby się czemuś sprzeciwiał.

Mówił z krzykliwym jazgotem, gwałtownie gestykulując.

Giuseppe odpowiadał spokojnie i stanowczo.

Kilkarazy słowo "Polacco" zadzwoniło w ustach rozmawiających.

Kategoryczny ton starego zdawał się zbijać sprzeciwy Antonia.

Antonio ucichł, może zabrakło mu argumentów.

W końcu skrzywił się icałkiem umilkł.

Giuseppe przeszedł znowu na niemiecki.

Rzekł do Marcina:

Posłuchaj, mój chłopcze, co ci powiem.

Aby móc jutro rano wyruszyć do Wenecji, musimy wziąć się teraz do rozwiezienia towaru.

Mam także małą paczkę dla ludzi tam.

Podszedł do balustrady i pokazał ręką przełęcz; biegła kunię droga, którą przyjechali.

Gdzieś dalej paliło się wiele światła i skalisty próg odcinał się wyraźnie na tle blasku.

Jeśli pojedziesz podjął stracę masę czasu i nie zdąży załatwić wszystkiego do rana.

Ale przez góry to bardzo blisko.

Piechotą można załatwić w trzy godziny.

Paczka nie ciężka, nie zmęczysz się.

Ja przez ten czas zajmę się innymi dostawami.

Marcin był zaskoczony propozycją, ale nie wydawała mu się nieprzyjemna.

Całe życie marzył o górach.

W szkole kilka razy powstawały projekty wycieczki do Zakopanego i ciotka, znając jego marzenia, za każdym razem obiecywała mu, że wydobędzie pieniądze choćby spodziemi, aby mógł na tę wycieczkę pojechać.

Ale nigdy do tego nie doszło.

Matka także obiecywała Marciniowi, że gdy tylko ukończy film, pojedzie z nim w Alpy.

Tu po raz pierwszy znalazł się w prawdziwych górach.

Może to sprawiało powietrze górskie, ale czuł się radośnie podniecony i miał ochotę biegać jak młody pies,.

gdy pierwszy raz na wiosnę wyrwie się z mieszkania na swobodę.

Mogę iść powiedział.

Ale jak tam trafię?

Giuseppewskazał gestem dziewczynkę.

Mała pójdzie z tobą.

Ona tam mieszka za przełęczą i nieraz tędy chodziła.

Znadrogę doskonale.

Chodź Berto sldnalna nią.

Podeszła do starego tym samympowolnym,jakbyleniwymkrokiem.

W pierwszej chwili wydało się Marcinowi, że niemoże mieć więcej niż osiem lat.

Miała ciemnoblonde włosy i wielkie, piwne oczy na okrągłej, dziecinnej buzi.

Ledwonanią spojrział, doznał uczucia, że gdzieś już tę twarz widział.

Po pewnym czasie uświadomił sobie: buziadziwczynki przypominała tajemniczą twarz dziecka z wyspy Bali, którego figurka tak bardzo zafascynowała Marcina w Tropenmuseum w Amsterdamie.

Była dziecinna a jednocześnie przedwcześnie dojrzała.

Kołyszący jej chłód także przypominał ruchy dojrzałej dziewczyny.

Giuseppe mówiłdo niej przez chwilę po włosku.

Zdawało się, że stawia jej jakieś pytania, a ona na nie odpowiada.

Kilka razy wskazał ręką Marcina.

Dziewczynka obrzuciła chłopca uważnym spojrzeniem.

Giuseppe znowu wróciłdo niemieckiego.

Ona się nazywa Berta, a on Marcin zrobił gest, jakby ich wzajemnie sobie przedstawiał.

On będzie niósł towar, a ty musisz go prowadzić i dobrze uważać.

Kiedy oddacie paczkę Rudolfowi, wyjdiesz z nim na drogę i wsadzisz go do jakiejś ciężarówki, aby mógł tu jak najszybciej wrócić.

Niech ona lepiej z nim wróci odezwał się Antonio.

Marcin był zaskoczony, przekonawszy się, że nie tylko Berta, ale i Antonio potrafią mówić po niemiecku.

Gotowi go o coś spytać i będzie kłopot.

Kogo zainteresuje takich chłopiec?

A jak go spytają, odpowie po niemiecku.

Będą uważali, że nie chce mówić po włosku.

Przyczepią się.

Nie, nie, ona musi z nim wracać.

Wie, jak gadać.

A poza tym dziewczyna.

Konieczniemusi z nim wrócić.

Nie możnaryzykować!

Ty odjedziesz powiedział jakby z wyrzutem a ja zostanę.

Dobrze Giuseppe uciął krótko wątpliwości Antonia.

Zwrócił się do dziewczynki: Musisz go odprowadzić na tę stronę.

Prześpisz się tutaj, a rano wrócisz do domu.

Potrząsnęła głową.

Nie mogę wracać.

Skoro jest towar, będę ojcu potrzebna.

182

Przecież nie będziesz potrzebna od razu dzisiaj.

Nie wiem.

Ojciec czeka od trzech dni.

Mówił, że ma wszystko przygotowane.

Niech poczeka jeszcze jeden dzień.

Powiesz, że chłopak nie zna włoskiego i nie można go samego puszczać.

Rozumiesz?

I że ja chcę, abyś go odprowadziła.

i:11

Skinęła głową i już się spierała.

Marcin nic z tej rozmowy nie rozumiał, choć mówiono po niemiecku.

Zrobiło się mroczno.

Na tarasie pojawiła się jeszcze jedna kobieta.

Domyślił się, że była to żona Antonia.

Zapaliła lampę i nakryła stół do kolacji.

W dolinie zapłonęły światełka.

Widać było reflektory jadących aut.

Niby ukryte za skałą ognisko paliły się światła na przełęczy.

Żona Antonia wyszła, zabierając ze sobą małą Bertę.

Po chwili obie wróciły, niosąc dywaniki i miski.

Wszyscy zasiedli do jedzenia, nawet skubiąca pierze wiedźma porzuciła swoją robotę i siadła przy końcu stołu, coś pomrukując.

Czas płynął i Marcin był coraz bardziej zdziwiony, że stary zwał się z wysłaniem ich w drogę.

Aleni nie mówił.

Po tym, co usłyszał, nabrał przekonania, że wyprawa z towarami ma jakiś dziwnie tajemniczy charakter.

Podniecało go to trochę i bawiło.

Kolacja się skończyła, mimo to Giuseppe dawał sygnał do wyruszenia.

Minęła jeszcze godzina i była już prawie dziesiąta, gdy w końcu stary rzekł do Antonia:

Mogą już iść.

Mężczyźni swetrze drgnęli.

Łypnął oczami i nabrał szybko powietrza w płuca, jak ktoś, kto chwilę ma dać nurka.

Powiedział:

Niech idą.

Berto, jesteś gotowa?

Tak, jestem gotowa, odpowiedziała. A on wskazała głową Marcina, będzie dobrze siedzieć?

Na pewno zapewnił Giuseppe.

To dzielny chłopak.

Zobaczysz!

Jeszcze ciebie prześcignie.

Zrobiła grymas, który niewątpliwie znaczył: zobaczymy, kto kogo.

Sięgnęła po wiszącą na ścianie męską kurtkę o wieledla, niejako za dużą i włożyła ją na siebie.

Rękawy miała zawinięte, ale poły kurty sięgały do kolan.

Na głowie zawiązała chusteczkę.

Tymczasem Antonio ściągnął przez głowę sweter i podał Marcinowi.

Włóż, powiedział.

Marcin próbował się wzbraniać.

Sweter zachował niemiłe ciepło i pachniał potem mężczyzny.

Ale Giuseppe rzekł:

Weź włóż.

W nocy będzie zimno.

Podczasgdy chłopiec nie bez wstrętu ubierał się w sweter
183.

Antonia, stary wyszedł i po chwili wrócił, niosąc niezbyt dużą paczkę.
Paczkę tę Antonio spakował do wypłowiałego plecaka i założył plecak na ramiona Marcina.
Wbrew zapewnieniom starego paczka nie była wcale lekka, Marcin czuł ucisk wrzynających się w ciało rzemieni.

Kiedy oddacie paczkę mówił Giuseppe zaraz wracajcie.
Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął duży zegarek na długim, mocnym łańcuszku.
Najpóźniej o pierwszej powinniście być z powrotem.
Uważaj dobrze rzekł zwracając się do Berty, a potem do obojga: Nie trzeba, aby was ktoś spotkał.

Nie zatrzymujcie się nigdzie bez potrzeby.

Ona zre-tyszta wie, jak postępować.

,1:

Słyszałeś?

powiedziała Bertado Marcina.

Masz mnie słuchać.

I

Giuseppe zaśmiał się.

Poklepał oboje po ramionach, gdy przechodzili obok niego.

Marcin zobaczył, że Antonio przy-

cisnął dłonie do piersi i popatrzył w górę.

Jego usta zdawały się drżeć.

Choć taras był otwarty, nie czuło się na nim chłodu.

Ale gdy wyszli, obkoczył ich ostry, przejmujący wiatr.

Miasteczko było jak wymarłe, uliczka pusta.

Wiatr kołysał latarnią zawieszoną nad drzwiami i wydawało się, że jakieś cienie wyskakują spoza załomów ulicy, to znowu się kryją.

Gdzieś zamurem wylął pies.

Mężczyźni towarzyszyli im tylko do progu sklepu.

Berta przeszła na drugą stronę ulicy.

Marcin ruszył za nią.

Międzyścianami domów prowadziły w górę wąskie, kamienne schodki.

Dziewczynka pobiegła nimi w górę.

Marcin nie mógł iść równie szybko jak ona.

W mroku nie widział schodków, a pozatym ciężar niesionej paczki wydawał się z każdą chwilą większy.

Już po kilku krokach był spocony i zadyszany.

W połowie schodów dziewczynka czekała na niego.

Nie dostrzegł jej w ciemności i uderzył czołem o jej ramię.

Nie możesz szybciej?

zapytałacicho.

Wydało mu się, że w jej pytaniu była kpina.

Widać niemożę odburknął.

Lecisz naprzód, bo nasz drogę.

A ja nic nie widzę.

To nie sztuka.

Już zaraz wyjdziemy na drogę.

Nie obiecuj, a prowadź.

A możesz już spuścić?

Idź, nie gadaj!

Znowu pobiegła naprzód.
Ale co parę stopni zatrzymywała się czekała na niego.
Nauczył się poznawać, kiedy szła, poskrzypieniu jej gumowych butów.
Było muciężko, pot zalewałoczy, ramiona aż drętwiały od ucisku rzemieni.
Ale starał się nie zdradzić jej swego zmęczenia.
Wreszcie schody skończyły się.
Berta czekała na niego na najwyższym stopniu.
Obecnie wszystkie domy osady znajdowały się w dole.
Nad nimi ciągnął się grzbiet wzgórza.
W delikatnej nocnej poświacie widać było jego zębatą linię.
Nie byłotu już pólek uprawnych, tylko naga skała.
Ścieżka jasną, krętą linią prowadziła między dużymi głazami.
Dziewczynka szła przodem, Marcin za nią.
Na otwartej przestrzeni mógł iść szybciej.
Przede wszystkim widział, gdzie stąpa.
Wiatr owiał go inie było mu już gorąco, dzięki czemuczuł ciężar mniej boleśnie.
Zresztą z wolna zaczął się do niego przyzwyczajać.
Na niebie nie było prawie widać gwiazd, a jednak ciemności nie były całkowite i mógł
dostrzec zarówno ścieżkę wijącą się między kępami suchych traw, jak i sylwetkę dziewczynki.
W kilka minut doszli do grzbietu.
Był skalisty.
Ścieżka biegła samą krawędzią.
Po drugiej stronie była także dolina.
Na jej zboczach musiały leżeć wsie, bo i tam połyskiwały światła.
Za doliną wznosił się nowy grzbiet.
Wszystkie one zdawały się zbiegać pod wielki skalisty próg, który leżał przed nimi, jakby
zamykając doliny i odcinając je od świata właściwych gór.
Krok za krokiem zbliżali się do tego progu.
Berta prowadziła ciągle dość szybko.
Potrafił dotrzymać jej kroku, ale czuł, że ten pospieszny marsz coraz więcej go męczy.
Wstydził się jednak przyznać dotego.
Raz po raz wkładał dłonie pod rzemienie, aby ulżyć drętwiejącym ramionom, lub spletał
ręce za plecami i przez chwilę podtrzymywał gniotący ciężar.
Chociaż odczuwał zmęczenie, atmosfera otaczających go gór napawała go dziwną radością.
Byli już blisko progu, kiedy dziewczynka nagle stanęła.
Nieoczekując tego, wpadł na nią i o mało jej nie przewrócił.
Czemu stanęłaś?
zapytał.
Byłbym cię rozdeptał.
Cicho!
syknęła.
Teraz już nie możemy głośno mówić.
Dlaczego?
Przecież tam jest granica.
Jaka granica?
Pamiętał mapkę, którą miał w kieszeni.
Oglądają przed.

samym wyjściem.

Mapka była mała i niedokładna, wieś, doktorej przyjechali, nie była na niej oznaczona.

Jedyną miejscowością w tych stronach było Trento.

Pamiętał, że ta nazwa widniała na drogowskazach, i był pewny, że do miasta nie dojechali.

Zaś od Trento do granicy austriackiej był jeszcze duży

kawał.

Granica z Etschland.

Etschland?

niczego takiego nie było na mapie.

Niewiem, o czym opowiadasz.

Przecież to wszystko Włochy.

Coś ty, głupi?

zapytała.

Nic nie wiesz?

W Etschland mieszkają Niemcy.

Jacy Niemcy?

No, Niemcy.

Tyrolczycy.

A ty nie jesteś Niemcem?

Nie.

Myślałam, że skoro cię Giuseppe przywiózł do tej roboty.

Do jakiej roboty?

Prosił mnie, abym odniósł paczkę.

Słyszałaś przecież.

Milczała, jakby zaskoczona jej niewiedzą.

Siadź chwilę powiedziała.

Jeszcze mamy trochę czasu.

Zdejmij plecak, abyś potem nie sapał.

Kiedy usiadł na kamieniu, ukłękła obok niego.

Wyciągnęła rękę.

Naprawdę nie ma tu żadnej granicy.

Ale oni nie chcą nam pozwolić, abyśmy byli Niemcami.

Więc pilnują.

Każdy może tam chodzić i jeździć.

Strażnicy jednak przyglądają się idącym.

Boją się, aby ktoś nie dostarczał broni.

Broni?

Do czego?

Może będzie potrzebna.

Etschland powinien należeć do Niemiec.

Chyba do Austrii?

Austria także musi być niemiecka.

Kto ci to powiedział?

Tak mówi ojciec.

I tak mówią niektórzy u nas.

Był nawet pisemka.

Nic nie rozumiem.

Skąd się tutaj wzięli Niemcy?

Ojciec mówił, że byliśmy zawsze.

Potem Hitler zabrałnas.

Hitler?

Tak.

Ale znowu wróciliśmy.

Ja tego nie pamiętam, niebyło mnie jeszcze na świecie.

No, chyba.

Włosi nas nie lubią.

Pilnują, co się niesie.

Przecieżbroni nie niesiemy zaśmiał się.

Chwilę milczała, jakby się namyślałanad odpowiedzią.

Wszystko jedno.

Nie mogąnas złapać.

Niemogą.

W jej głosiezdźwięczał niepokój.

Marcinowi przyszło dogłowy, że dziewczynka nie powiedziała wszystkiego.

Już poprzednio zaczął podejrzewać, że użyto godo kontrabandyjakiegoś zakazanego towaru.

Zastanawiał się nawet, czy niepowinien był staremu odmówić.

Ale w takimrazie ów niepomógłby mu w dostaniu się do Wenecji.

Wycieczka z profesorem Wolskim odjechałaby doPolski,a Marcin wpadłbynieuchronnie w ręce policji.

Ostatecznie, pomyślał,co go toobchodzi, żetowar, który niesie, jest towarem zakazanym?

Niktmu o tymnie powiedział.

Jak będziesz dobrze prowadziła rzekł nikt nas niezłapie.

Błysnęła w mroku zębami.

Po raz pierwszyuśmiechnęła siędo niego.

Dobrzecię poprowadzę zapewniła.

Miał uczucie, żejegoswobodna pewność siebieudzieliła się takzedziewczynce.

Abyśmy się tylko tam dostali!

Jej wyciągnięta rękawskazała połyskujące słabe światłałkagdzieś daleko.

No, chodźmy.

Teraz cicho.

Gdy wstał, pomogła mu założyćplecak.

Szli terazwolno, czujnie.

Berta zatrzymywała się co pewienczas i nasłuchiwała.

Huczały górskie potoki, aod drogi dolatywał warkot jadących aut.

Na niebie było coraz więcejgwiazd,jakby przez gęste sito ktoś sypnął złotymi kroplami.

Zrobiłosię jaśniej.

Góry odcinały się wyraźnie od tła nieba.

Ścieżka pod nogami była małowidoczna, ale Bertaznała widać każdykamień,gdyż prowadziła bezwahania.

Aby wejśćna próg, musieli najpierw opuścić się nieco w dół, a potem wdrzeć się na strome zbocze.

Ścieżka przecinała strumień ruchliwego piargu.

Berta dawała znaki, aby stapał ostrożnie i niestrącał kamyków.

Na prog uderzył w niegostry ibardzo zimnywiatr.

Teraz sweter, który tak drażnił i brzydził Marcina,okazał się bardzo użyteczny.

Dziewczynka szła jeszcze wolniej.

Zatrzymywała się i nasłuchiwała.

Chociaż całasprawanie wiele go naprawdę obchodziła, Marcinczuł, że jej przejęcie udzieliłosię także jemu.

To skradanie się przypominało jakąś gręharcerską.
Odruchowo wpadłw wilczy, czujny krok, w jakim kiedyś celował.
Nagle dziewczynkaprzypadła do ziemi.
Gwałtownym machnięciem ręki kazała muzrobić to samo.
Przyklęknał i na.

śluchiwał.

Wiatr gwizdał, w dali huczały auta.

Potem wydałomu się, że słyszy jakieś głosy.

Berta targnęła go zakolano, poderwała się i szybko, wpółzgięta, zaczęła biec w bok.

Stąpał za nią prędko, o ile mu tyłkopoźwalał na to ciężki plecak.

Staralsię uważać, aby nie stracie z oczu sylwetki dziewczynki, która nagle oddaliła się od niego.

Ale ona zniknęła.

Ciężko dysząc, biegł dalej w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą widział jej skuloną postać.

Z przetkanego poświata mroku, w którym, tak jak w wodzie, każdy kształt występował nagle dopiero wtedy, gdy był już dostatecznie blisko, wynurzyły się zarysy czegoś, co w pierwszej chwili wydało się Marcinowi ruiną spalonego domu.

Kiedy dobiegł do tych ruin, przekonał się, że sątopo prostuwielkie skalne bryły.

Potężny odłam musiał się oderwać kiedyś od ściany i stoczywszy się aż tutaj, rozpękł na części.

Z rumowiska dobiegł go szept:

Tutaj, prędko!

Ręka Berty wciągnęła go między głazy.

Dajplecak!

szeptala gorączkowo.

Usiłowała wcisnąć plecak pod wyszczerbiony od doługłaz.

Pomógł jej to zrobić.

Gdy plecak zniknął, pociągnęła go dalej, wśród rumowiska.

Wepchnęła go w ciasny kąt i sama przytuliła się do niego.

Gdy tak stali przy sobie, Marcin znowu usłyszał głosy.

Tymrazem były bliższe.

Poczuł, że dłoń dziewczynki oparta na jegoręku drży.

Dotknął jej była lodowato zimna.

Berta oddychała spiesznie.

Zrobiło mu się żal małej.

Objął ją mocniej.

Przyłożywszy usta do jej ucha, szepnął:

Nie bój się.

Zamiast odpowiedzi ścisnęła palcami jego dłoń.

Głosy zbliżały się.

Możnajuż było usłyszeć, że tamci mówią ze sobą powłosku.

Ciężkie buty chrupały po kamieniach.

Harcerskim doświadczoneym uchem poznał, że było to dwóch ludzi.

Nagle kroki zatrzymały się.

Tamci stanęli właśnie w miejscu, gdzie ukryty był plecak.

Przestali rozmawiać.

Dłoń dziewczynki zacisnęła się z całych sił na dłoni chłopca.

Jeszcze mocniej przytuliła się do niego.

Czuł, jak drży.

Znaleźli!

Na pewno znaleźli!

Boję się.

wargi dziewczynki dotykały jego ucha.

Nie bój się odpowiedział wtaki sam sposób.

Tamci wciąż nic nie mówili.
Nie wiadomo było, co robią.
W pewnej chwili coś dźwięknęło, jakby metalowy przedmiot zetknął się z kamieniem.
Usłyszeli przekleństwo.
Potem ludzie zaczęli znowu rozmawiać.
Mówili cicho, ale byli bardzo blisko o trzy, może najdalej o cztery kroki.
Mimo szumu wiatru można było słyszeć każde słowo.
. 'A,;
Co mówią?
zapytał.
Objęła go, aby mu móc szeptać w samo ucho.
Mówią, że coś widzieli.
Ale nie wiedzą, czy im się niewydawało.
Jeden powiada, że to może być pies.
Dlaczego stoją?
Nie wiem.
Dziewczynka dygotała.
Aby ją uspokoić, gładził ją po ramieniu.
Sam był podniecony, nie czuł jednak lęku.
Głosy rozległy się znowu.
A teraz co mówią?
Mówią, że zimno i że mają nieprzyjemną służbę.
Jeden powiada, że jutro tygodnie nie mógł się spotkać ze swoją dziewczyną.
A ten dtugi?
Powtarza ciągle brzydkie słowa.
nerwowo zachichotała.
Chyba palą, czuję dym.
Ja też czuję.
Tamci na nowo zamilkli, a jednak nie ruszali się.
Minuty płynęły, Berta nie przestawała drżeć.
Musiała zresztą drzeć także z zimna.
Marcin czuł również, że kostnieje, stojąc tyle czasu bez ruchu.
Freddamente, mamma mia.
rozległ się głos.
Znowu doleciało przekleństwo, a potem drugi głos powiedział:
Andiamo.
Dosłyszeli metaliczny chrzęst, a potem kroki.
Żołnierze odeszli, ale dzieci nie ruszyły się z miejsca, póki odgłosy stąpań tamtych nie ucichły zupełnie.
Zesztywniali z zimna, wysunęli się wreszcie ze szpary, w którą byli wciśnięci.
Ale zmarłem!
sapał Marcin zacierając dłonie.
Już myślałem, że nie wytrzymam.
Ja także okropnie zmarłam.
Ale tak się bałam, że niemyślałamo zimnie.
Ty się nic nie bałeś?
Ani trochę.
Naprawdę?

w głosie Berty brzmiało niedowierzenie.

Naprawdę.

Popatrzyła na niego, potem trąciła go łokciem w bok.

Podobasz mi się powiedziała.

Zuchowatowzruszyłramionami.

Za mało mu było uznania, miał ochotę usłyszećcoś więcej.

Nie takie rzeczy robiłem.

To ty nie pierwszy raz?

Przenosiłeś już kiedyś?

Pewnie, że nie pierwszy.

Nie miał zamiaru pokazać jej małej, że dał się użyć przez Giuseppe do niezrozumiałej dla siebie roboty.

Tutaj?

Nie, nie tutaj.

A gdzie?

Nie zastanawiając się, powiedział:

W Polsce.

Zrozumieniem kiwnęła głową.

Wiem.

Ojciec mówił, że tam trzeba.

I byłem piśmie.

Znowu nie mógł zrozumieć jej słów.

Milczał.

Dziewczynka dodała:

W tym piśmie pisali, że Niemcy w Polsce muszą być uwolnieni.

Chciał powiedzieć, że żadnych Niemców w Polsce nie ma i że to, o czym chciał mówić, nie miało nic wspólnego z Niemcami.

Ale przyszło mu do głowy, że wyprawa po Bobika niewyda się może Bercie tak wielkim bohaterstwem.

Zamiasto niej opowiadać, wolał się otoczyć nimbem nie wyjaśnionej tajemnicy.

Są sprawy rzekł o których nie możesz jeszcze wiedzieć.

Przyjęła jego osąd bez sprzeciwu.

Chodź powiedziała weźmiemy plecak.

Trzeba już iść.

Późno.

Kiedy wyciągali z dziury plecak, zauważyła:

Patrz.

Prawie na nim siedzieli.

Wskazana leżąca obok dziury niedopałki papierosów.

Palili ogień.

Klasnęła w dłonie, jakby czymś rozśmieszona.

To by była zabawa!

Jakby znaleźli, co?

Jakby znaleźli i jakby.

przestała się śmiać.

Jej radośny przed chwilą głos zadygotał.

Zawsze się boję, że taksę to skończy.

Co?

Wolałabym tego nie robić.

Właściwie co?

Ojciec mówi.

Wolałabym tego nie robić.

powtórzyła.

Nie pojmował jej słów, ale nie chciał się kompromitować pytaniami.

Znowu rzucił zuchowato:

Mówiłem ci, abyś się nie bała.

Pokręciła głową jakbyw podziwie.

Nie myślałam, że jesteś taki powiedziała.

' Pomogła mu założyć plecak.

Gdy miałtenciężar na ra190

mionach, zimno wydawało mu sięmniej dokuczliwe.

Zresztawiatr trochę ucichł.

Idziemy?

Idziemy.

Teraz możemyiść spokojnie.

Oni dochodzą doszosa, a potem wracają.

Często tędy chodzisz?

Jak się zdarzy.

Chodzę zawsze, kiedy przyjeżdża Giuseppe.

A dlaczego on sam nie chodzi?

Wybuchnęła śmiechem, jakby powiedział 'coś niezwykle zabawnego.

On? Bo jest na to za mądry.

Nieboisię tak jakAntonio,który trzęsie się przez cały czas, gdy Giuseppe jest w wiosce,a po jego wyjeździe zapala świecę w kościele.

Ale Giuseppewoli, aby to zrobił ktoś inny.

Mówi, że najlepiej, aby z towarem chodziły dzieci, boWłosi lubią dzieci i nicdziecku niezrobią złego.

Ale znowu rozbawiony głos zasnęła nić smutku jakby dziecko musiało zginąć, to by mu było taksamostraszenie, no nie?

17

W półgodziny później znaleźli się obok małego domku,którego oświetlone okno byłodlanich drogowskazem.

Wielki,biały pies wyskoczył szcękając, ale zaraz przestał tylko radośnieskomląc przypadł do nóg dziewczynki.

Przyciskał głowę do jej kolan z taką energią, że o mało jejnie przewrócił.

Otworzyły się drzwi,męski głoszapytałpo niemiecku:

Kto tam?

To ja.

Chodź.

Już się niecierpliwiłem.

Przyniosłaś?

Tak.

A kto z tobą?

Jedenchłopak.

Bardzo fajny.

Gdy znaleźli się w izbie, tęgi mężczyzna z jasną, bujną czupryną zdjął z Marcina plecak i wyniósł go z izby.

Chłopiecsiadł przy stolenakrytym obrusem i patrzył po ścianach,naktórych wisiały serwetki z wyhaftowanymi napisami i drewniany zegar z kukułką.

Berta zmieniała swegumiaki na pantofle i zrzuciła kurkę.

Odgarnąwszy włosy, które wymknęłysię spod chustki i spadły jej na twarz,patrzyłana Marcina.

Jej ojciec wrócił po chwili do pokojuz pustym plecakiem.

Zgadza się powiedział.

Powiesz Józefowi, że wszy191.

stko się zgadza (mówił: Józefowi, a nie: Giuseppe).
Cieszę się, że przesyłka jest duża.
Bardzo na nią czekaliśmy.
Wszystko jest przygotowane, zaraz porozumiem się z moimi.
Dziś jeszcze
4 weźmiemy się do tego.
„Ja muszę go odwieźć ; odezwała się Berta.
Tak powiedział Giuseppe.
Po co masz go odwozić?
Wsadysz go na jakąś ciężarówkę wystarczy.
Nie.
„Giuseppe mówił, że muszę go odwieźć.
On nie umie po włosku.
Jakby go zapytali.
Nie umiesz po włosku?
mężczyzna patrzył na Marcina zaskoczony.
A skąd ty jesteś?
Z Polski.
On tam w Polsce także nosił.
wtrąciła się Berta.
Bardzo odważny.
Nic się nie bał.
To w Polsce także się ruszacie?
zapytał mężczyzna.
Nie czekał na odpowiedź.
Z zadowoleniem uderzył się po kolanie.
Muszę o tym powiedzieć naszym.
Bo już się nam.
wydawało, że ci, którzy do nas przychodzą, tylko opowiadają.
Nie ma nic w piśmie, nie ma w radio.
Ale dlatego, że wszystko ukrywają, prawda?
Marcin znowu nic nie rozumiał.
Nie dowiedział się nawet, jaki to towar przyniosła swych plecach.
Wracasz do Polski?
zapytał ojciec Berty.
Tak.
Szkoda.
Przydałbyś się u nas.
Nie wszyscy chcą się brać do roboty.
Niewierzą, gdy się mówi, że się już zaczęło, ciągle opowiadają, że z naszej pracy będzie tylko
zmartwienie.
Ja też mówię, że tak będzie powiedziała kobieta, która właśnie stanęła w drzwiach.
Tomusia była córką Berty.
Miała takie same wielkie, piwne oczy.
Trzymała wręku garnek pachnącego apetycznie bigosu.
Ciągle cię ostrzegam, Rudi.
Ech, krzyczysz tylko!
przerwał jej.
Dawaj jedzenie.

Chłopak musi wracać.
Sięgnął dokredensu po glinianąbutelkę, nalał z niej do również glinianych czarek.
Łyknijkapkę, zmarłeś rzekł do Marcina.
I ty także podsunął czaręBercie.
 Wódka była mocna i piekąca, aż oczy zachodziłyłzami.
 Stali koło nas i stali opowiadałajedząc Berta.
Jużmyślałam, żebędzieźle.
Bałam się okropnie, że skończy sięjak z Karlem.
Ale on nic się nie bał.
 Skąd cię Józefwziął?
zapytałmężczyzna.
 102
 Mieliśmy pewne interesy mruknał wymijająco Marcin.
 Szkoda, że niemożesz zostać ojciec Berty wrócił dopoprzedniegotematu.
Jak się nie będzie robiło hałasu,przerobią wszystkich.
Budują przemysł, sprowadzają swoichz południa.
A ludziom wydajesię, że aby było dobrze.
 Aty czegobyś chciał?
wtrąciła się znowu żona.
Zęby znowu była wojna?
 Lepiej, żeby była wojna i żebyśmy znowu byli razem.
 Głupstwa gadasz!
 Źle ci teraz?
Masz pracę, dzieciak uczysię.
 Nie wtrącajsię!
rzucił gniewnie.
Napij się jeszcze znowu nalał czarę Marcinowi.
Przydałby mi siętaki chłopak jak ty.
Ona wskazał ręką Bertę pomaga,ale to tylko dziewczyna.
Boisię.
Matka ją buntuje.
Zwróciłsię do Berty.
Skoro musisz go odwiedzić,to jedź, ale zaraz wróć.
Nie nocuj u Antonia, rozumiesz?
 Kiedy wrócę, będzie już rano.
Musiała jużbyć zmęczona.
 To nic.
Nie wracaj do domu, tylko jedź wprost do starego Fritza do Rovereto.
Będziesz potrzebna.
Słyszysz?
 Mężczyzna wyprowadził Bertę i Marcina na szosę.
Mimonocydość często ciągnęłynią ciężarówki to w jedną, to w drugą stronę.
Mężczyzna zatrzymałjedną z tych, które jechaływdół.
Szofer musiał być jego znajomym,gdyż uścisnęli sobie ręce.
 Wyrzucisz ichzaraz za mostem powiedział wskazującnaBertę iMarcina.
Mała ci powie, gdzie.
 Dobra.
Ale nic nie mają ze sobą?
Bo od paru dni policjazaglądado każdego wozu.
Strasznie się zrobili czujni.

Nic nie mają.
Możesz jechać spokojnie.
Bywaj uściskał dłoń Marcina.
Będę Fritza, przyjeżdżaj tam zaraz rzucił córce.
Dzieci usiadły na platformie pod brezentem.
Ciężarówka była pusta i skakała na każdym wyboju.
Musieli się wzajemnie trzymać.
Berta wsunęła rękę pod ramię Marcina.
Szkoda, że musisz jechać powiedziała.
Chciałabyś, abym co dzieńnosił?
zapytał żartobliwie.
Nie tylko.
Podobasz mi się.
Jesteś za mała, aby lubić chłopców.
Wcale niejestemza mała.
A zresztą lubię już.
Przysunęła się do Marcina.
Nie bałabym się przy tobie powiedziała.
Jużnie masz się czegobać.
13 Marcin.
193.

Boję się.
szepnęła.

Ciężarówka zaczęła gwałtownie hamować, a po chwili stanęła.
Poprzez szpary w pokryciu wdarło się dośrodku mocne światło.
Marcin wyjrzał.

Stali na moście, nad którym paliły się nisko zawieszona lampy.
Do ciężarówki podeszło dwóch policjantów z peemami na ramionach.
Jeden zaczął sprawdzać papiery, które mu pokazywał kierowca, drugi podniósł brezent i zajrzał do środka.

Zanim to jednak zrobił, Berta przycisnęła się jeszcze mocniej do Marcina i położyła mu głowę na ramieniu.

Z wprawą godną dobrej aktorki zamknęła oczy, a potem jeszcze otworzyła, jakby nagle obudzona blaskiem.

Bambini?
zapytał policjant.
Fratelloe sorella, eh?

Berta zamrużyła powiekami, a potem uśmiechnęła się słodko.
Policjant, również uśmiechnięty, pogroził jej palcem.

Eh, ragazza powiedziała i machnęła ręką.
Dormire, dormire rzekł spokojająco i opuścił brezent.
Ciężarówka ruszyła.

Wcale nie jestem mała Berta powróciła do swych poprzednich słów.
Trochę poczekami mógłbyś zostać moim mężem.

18

Przyjechawszy do Mestre, Giuseppe zatrzymał auto przed dworcem kolejowym.
Powiedział:

Poczekaj tutaj, zaraz wrócę.
Muszę poszukać mego przyjaciela.

Kiedy odjechał, Marcin poczuł niepokój.
Nie bardzo rozumiał, dlaczego stary nie chciał go wziąć ze sobą.
W głowie chłopca zrodziło się przypuszczenie, że Giuseppe po prostu uciekł.

Była już późna noc, gdy dostał się do domu Antonia.
Berta zatrzymała samochód pasażerski i odjechała nim do Rovereto.
W domu mężczyźninie spali, czekali na powrót Marcina.
Antonio dygotał, jego twarz w blasku żarówki wydawała się prawie zielona.
Chociaż Marcin zasypiał nieomal na stojąco, Giuseppe nie pozwolił mu spać, póki się wszystkiego nie wywiedział.

Kiedy wreszcie pozwolono mu się położyć, zasnął mocno.
Zdawało mu się, że spał tylko chwilę.

Był wczesny rano, gdy stary go obudził.
Wszyscy w domu już wstali.
Giuseppe powiedział chłopcu, że zaraz jadą.
Okazywał wielki pośpiech.

Antonio stał nad nimi, .
drobiąc w miejscu, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć ich odjazd.
Łyknęli po kubku czarnej kawy z kawałkiem chleba i pomknęli w dół na łeb naszyję.

Teraz czekał długo i coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że nie zobaczy więcej Giuseppe.

Po godzinie był zdecydowany sam udać się do Wenecji.

Ale kiedy właśnie miałodejść, podszedł do niego jakiś człowiek.
Był to mały Włochowylądzie południowca, ubrany w brudny kombinezon.
Przez chwilę patrzył na Marcina, pocierając noswierzchemręki, na której pozostały ślady
smarów, potem zapytał niepewną niemczyzną:

Ty się nazywasz Marcin, nie?

I to ciebie przywiózł Giuseppe?

Tak.

A gdzie on jest?

Musiał pojechać.

Bardzosię spieszył.

Ale powiedział,żebym ciebie zaprowadził dopolskiej wycieczki.

Czypan coś o niej wie?

Zobaczymy.

Musimy pojechać do Wenecji.

Ty należałeśdo tejwycieczki?

Nie.

Ale tam jest profesor, którego szukam.

Czyten profesor zapłaci mi za szukanie?

Bo ja jestembardzo zajęty,rozumiesz?

I jakz tobą pojedę, stracę dużoczasu.

Marcin wzruszył ramionami.

Sprawa się komplikowała.

Nawet gdyby znaleźli wycieczkę, nie mógł liczyć nato, że profesor Wolski, który na pewno,
tak jak wszyscy turyści z Polski, miał jedynie kieszonkowe pieniądze, zapłaci Włochowi.

Nie wiem, czy profesor będzie mógł panu zapłacić powiedział.

Pan wie,turyści.

Ja także.

Ale mam myśl!

zawołałnagle.

Widzi pan?

Mam ładny zegarek.

Jeżeli panchce, mogę go panu dać.

Zegarekbył cenny.

Otrzymał go od Ottona zaraz po przybyciu do Dusseldorfu.

Włoch wziąłMarcina zarękę iprzezchwilę przyglądał się uważnie zegarkowi.

Schaffhausen?

Tak.

No, bene oświadczył.

Bardzo jestem zajęty i każdachwila dla mnie droga.

Ale obiecałem Giuseppe.

Niech będzie westchnął, jakby robiłniezmiernie bolesną ofiarę.

Chodź.

W bocznej uliczce stał trójkołowy pojazd.

Niewątpliwie był.

dziełem własnym Włocha, który, jak się zdaje, połączył w jed101.

no motocykl z dzieciennym wózkiem.

Kierowca siedział naniziutkim siodełku z tyłu, ewentualny zaś pasażer mógł umieścić się jeszcze niżej z przodu, jeżeli skrzyżował nogi i przybrał postawę Buddy.

Wy tłumaczywszy Marcinowi, jak mausiaść, Włoch (który powiedział chłopcu, że się nazywa Piętro) wskoczył na siodełko i zapuścił motor.

Wbrew niepozornemu i śmiesznemu wyglądowi pojazd wydał ryk i z nieprawdopodobną szybkością, dokonując na zakrętach błyskawicznych zwrotów, ruszył naprzód.

Przemykał między jadącymi autami, wymijał ciężarówki, których koła sięgały wyżej niż głowa kierowcy.

Marcin za ledwie o kilka centymetrów pod sobą widział mknący z szaloną szybkością asfalt jezdni.

Z całych sił trzymał się kosza, aby nie wylecieć przy nagłym zakręcie.

Po raz pierwszy wydało mu się, że odkrył uczucie, jakie może żywić jamnik, który wybiegł na ruchliwą jezdnię.

Ta myśl przypomniła mu na chwilę Bobika.

Nigdy go niezapomniał, zwykle jednak starał się onim nie myśleć.

Odwracając głowę, gdy widział innego jamnika.

Po kilku gwałtownych zwrotach trójkołowiec Pietra wypadł na groblę łączącą Mestrez Wenecją.

Obok szosy, którą pędziły samochody, ciągnął się tor kolejowy.

Po obu stronach rozlewał się morze; w blasku słońca wydawało się granatowe.

Nie było jednak czasu na patrzenie.

W parę minut wyjąco pojazd wpadł na wiadukt prowadzący nad torami kolejowymi.

Zatrzymali się na lilipecim placu kuszcznie zastawionym autami.

Piętro zaparkował swój wóz i założył na jego koła obrzucia kłódkę.

Przez krótką uliczkę wyszli na wybrzeże.

Przed sobą miał kanał, kamienny rów wypełniony czarnoburą wodą, pełną pływających śmieci i ogryzków.

Kanałem sunęły niezliczone vaporetta, motorówki, tramwaje wodne, barki motorowe, podnosząc fale, które uderzały o brzegi.

Woda wzdymała się i kłębiła; na jej powierzchni skrzyło się słońce.

Na końcu uliczki była mała biała przystanek z daszkiem.

Piętro zszedł od Marcina ostatnie jegopieniądze, aby kupić bilet.

Za chwilę przypłynął tramwaj wodny.

Wsiadł.

Tramwaj odbił od przystani i skierował się pod łuk wysokiego mostu.

Z lewej strony mieli dworzec kolejowy, a obok niego kościół.

Potem ciągnęły się kolorowe tarasy, zastawione stolikami, i małe przystanie, przy których kołysały się motorówki.

Marcin nie mógł oderwać oczu.

Kanał stał się szerszy.

Po obu stronach stały domy wchodzące murami wprost w wodę, nie tak jak w Amsterdamie, gdzie zawsze wzdłuż kanału ciągnęły się wąskie uliczki.

Przed niektórymi domami

widac było wbite w dno barwne pale z rzeźbionymi głowicami; przy innych znajdowały się małe przystanie.

Chłopiec zobaczył także gondole, wąziutkie łodzie o czubie i rufie wysoko podniesionej.

Wydawało się, że ledwo dotykają wody i zmuszą się do nieustannego wywrotne.

A jednak się nie przewracały, choć podrzucały je fale motorówek.

Na tyle stał gondolier z długim wiosłem: w środku łodzi, na dnie, było miękkie siedzenie, na którym siedziała jednalub dwie osoby.

Gdy Marcin, oparty o balustradę tramwaju, przyglądał się ciekawie brzegom kanału, Piętro stał obok z rękami w kieszeniach i ze skrzywioną miną. Wydawał się ciągle zmartwiony stratą czasu.

Niespodziewanie zaczął udzielać Marcinowi jakichś wyjaśnień:

Patrz, to Fondaco dei Turchi.

Rozumiesz?

Sklep turecki.

A to Złoty Dom.

Molto bene, nieprawdaż?

Te mury są jak koronka, nie?

A teraz patrz: Rialto.

Najpiękniejszy most.

Magnifico.

Most Rialto spinał jednym wielkim łukiem brzegi kanału.

Podobnie jak na Starym Moście we Florencji jego środkiem biegła pełna sklepików uliczka.

Tramwaj zatrzymywał się raz poraz.

Potem nieoczekiwanie wypłynął z kanału szerokie wodne rozlewisko.

Szarym cieniem na błyszczącej powierzchni wody leżała wyspa, a na niej widać było kościół z wysoką wieżą.

Tramwaj skręcił wlewo, ku brzegowi.

Długie, szerokie wybrzeże skąpane w słońcu, pełne było kiosków, ulicznych sprzedawców, niezliczonych rzesz turystów.

Przy brzegu stały gondole, łodzie, motorówki.

Z nadpływających tramwajów wysypywały się ciągle tłumy.

Nad głowami ludzi krążyły stada gołębi.

Piętro zaprowadził szołomionego Marcina do małego mostku łączącego brzegi wąskiego kanału, którego wody spływały do kanału Świętego Marka.

Tu poczekaj rzekł.

Ale nie odchodź, bo cię nieznajdę.

Czekaj!

Jeszcze raz, odchodząc, podniósł ostrzegawczo palec.

Marcin został sam.

Mostkiem przechodziło wiele ludzi.

Ponad nim wznosiła się ściana pałacu dożów, unoszona przez dwie kondygnacje delikatnych, jakby wystrzyżonych z koronki kolumn.

Nad kanałem wisiła w wysokości pierwszego piętra most z oknami zakrytymi misterną kratą.

Tam gdzie kończyła się ściana pałacu i otwierał się plac Świętego Marka, sterczały dwa słupy.

Na bliższym z nich Marcin dostrzegł skrzydlatego w słońcu skrzydlatego lwa.

To, co oglądał, było tak niezwykle, że zupełnie zapomniał.

o celu swej podróży i swym trudnym położeniu.

Prawie musiał się trzymać poręczy mostu, aby nie dać się pociągnąć tłumowi, który wędrował wzdłuż kolumnady ku placowi.

A kiedy podniósłszy wzrok, daleko, ponad wieżami i dachami, na tle błękitnego nieba zobaczył linie białych szczytów alpejskich, poczuł rozpierające go wzruszenie.

Nie pamiętał, aby kiedykolwiek był aż tak bardzo porwany widokiem.

Drgnął jak obudzony, gdy usłyszał koło siebie głos Pietra;

Znalazłem twoją wycieczkę.

Znalazł pan?

Gdzie są?

Gdzie są teraz, nie wiem.

Ale mieszkają w Lido.

Musimy tam popłynąć.

To daleko?

Nie.

Tramwaj zaraz tam odpływa.

Czy nie masz już więcej pieniędzy?

Niemam.

Dałem panu wszystko.

To daj mi ten zegarek.

Muszę kupić bilety.

Widzisz, jeszcze mnie to będzie kosztowało.

A ile straciłem czasu.

Mogłem nieźle zarobić, gdybym przez ten czas pracował w warsztacie.

Marcin zdjął zegarek i oddał Włochowi ciągle mruczącemu.

pod nosem.

Zaprowadził Marcina na przystań.

Zabrał ich tramwaj wodny podobny do tego, który ich przywiózł na Rivadegli Schiavoni.

Popłynęli wzdłuż brzegu, zatrzymując się kilkadziesiąt razy.

Koniec wyspy był parkanem.

Potem skierowali;

się w poprzek kanału.

W kilka minut przybili do przystani na Lido.

/

Wokoło stały małe domki, jakiś kościółek, stłoczone mury.

^,Pietro pociągnął Marcina w szeroką, wysadzaną drzewami:

aleję, wzdłuż której ciągnęły się sklepy i kawiarnie.

Potem skręcili w boczną uliczkę.

Zatrzymali się przed domem, na którym wisi szyld: Alberto Giuliana.

- W pokoju recepcyjnym Pietro rozmawiał jakiś czas z właścicielką hoteliku.

Mówili prędko po włosku.

Marcin nie wiedział, o czym.

Dostrzegł, że Pietro skrzywił się i zaczął się drapać po źle ogolonym podbródku.

Patrzył spod oka na Marcina, ale zaraz przyjął zwykłą minę.

Podszedł do chłopca.

Tak, oni tu mieszkają.

Ale teraz ich nie ma.

Gdzie są?

Część pojechała zwiedzać Wenecję, a część jest na plaży.

A profesor Wolski?
Ona mówi, że jest na plaży.
Gdzie jest plaża?
Zarazci pokażę.
Wyprowadził Marcina zpowrotem na zadrzewioną aleję.
Pójdiesz tą ulicąaż do końca.
I tam od razu zobaczyszplażę.
Apan?
Ja muszęwracać.
Mam robotę.
Dużo roboty.
I tak straciłem wiele czasu.
Czas to pieniądz!
uśmiechnął się wypowiadając tęsentencję, chyba pierwszy raz, odkąd był razemz Marcinem.
Chociaż Piętro nie budził w nim zbyt wielkiego zaufania,Marcindoznałjakby
ściśnięcia serca na myśl, że zostaje sam,bez jednego lira na nie znanej sobie wysepce.
Tak bardzo odeszła go odwaga, że przez chwilęmiał ochotę prosić Włocha,aby z nim
pozostał, aż znajdą profesora Wolskiego.
Może Piętro zrozumiałwyraz jego zaniepokojonych oczu, bopowiedział:
Nie bój się.
Zaraz ich znajdziesz.
Ja muszę iść, dużo roboty.
No, ciao.
Podali sobie ręce irozeszli się.
Marcin uszedł już dobry kawałek drogi, gdy usłyszał za sobą szybkie kroki.
Obrócił się.
To był Piętro.
Słuchaj, wróciłempowiedział lekko zdyszany.
Przypomniałem sobie, że niemasz całkiem pieniędzy.
Żal miciebie.
Santa Maria, nie chcę cię mieć na sumieniu.
Masz tutrzysta lirów.
Straciłem na tobie, niechstracę jeszcze.
SantaMaria.
Starczy ci na wejście na plażę i na vaporetto, jakbyśpotrzebował.
A terazlecę.
Ciao.
Odszedł, zostawiając Marcina z kilkoma monetamiw ręku.
Nie byłotego wiele, ale jegogest pozwolił Marcinowi odzyskaćnieco pewności siebie.
Aleja ciągnęła się dośćdługo, ażwreszcie skończyła się małym rondem.
Prostopadle do alei biegła szeroka ulica.
Podrugiej jej stronie ciągnął się kamienny taras,do którego prowadziły schody.
Gdy znalazł się na tarasie, zobaczył długąplażę, a za nią rozległe, aż nierzeczywiście błękitne
morze,biegająceku brzegowi pasmami pian.
Na piasku leżał tłum; rojowisko nagich ciał na kolorowychkocach, podwielobarwnymi
parasolami.
Zniepokojem pomyślał, że gdyby nawet poszedł na plażę, nie znalazłby w mrowiu profesora
Wolskiego i jego córek.
Jakiś czas patrzył z tarasu, a potem zniechęcony zszedł na ulicę.
Uczucie zagubieniapowróciło.

Odezwały się głód i zmęczenie.
Pomyślał: wróć pod hotel i będę czekał.
Przecież kiedyś wrócę.
Wlókł się wolno.
Po raz pierwszy, odkąd opuścił hotel na.

via Veneto, pojawił się w nim niepokój.

Pojął, że jest tylko chłopcem, a wokoło niego znajduje się wielki, obcy świat, o wiele od niego potężniejszy.

Zuchowate postanowienia, jakie sobie robił żenie da się złapać wydały mu się teraz śmieszne.

Był jak ryba w spuszczanym stawie: jeszcze trochę, a zabraknie wody i znajdzie się na piasku.

Wtedy nie ujdzie rąk łowiących.

Wszystkie jego nadzieje ześrodkowały się na osobie profesora Wolskiego.

Był pewny, że wystarczy tam tego znaleźć, aby wszelkie kłopoty i wątpliwości zniknęły.

Tu jednak, na Grań Viale Santa Maria Elisabetta, przyszło mudogłowy, że i profesor Wolski może nie potrafi mu pomóc.

Nawet nie umiał wyobrazić sobie, co by się wtedy stało.

Czuł tylko, że na samą myśl o tym budzi się w nim okropny lęk.

Ale właśnie w tym momencie minęło go dwóch mężczyzn Marcin postyszał, że mówią po polsku.

Przyśpieszył kroku.

Idąc tuż za nimi, przysłuchiwał się temu, co mówili.

Starszy mężczyzna z siwymi wąsami perorował, potrząsając trzymaną w ręku gazetą:

Mówię ci, że to cisami.

Zawsze cisami.

Doskonale ich znam.

Mówię ci: nigdy nie potrafia żyć spokojnie.

Przesadzasz.

To już nowe pokolenie rzekł młodszy.

Napewno się zmienili.

Powinnisi być zmienić.

Powinni parsknąć starszy.

Oczywiście, że powinni;

bodaj po tym, co sami przeszli.

Ale ich nie zmienią, zawsze zostaną sobą.

Czy nie mówi przez ciebie zawziętość?

Zawziętość?

starszy aż się zatrzymał.

Mówił stojący żywo gestykulując.

Jesteś młody niewidziałeś tego, co ja widziałem.

Ja też widziałem zapewnił młody.

Poszliśmy, abysię bić.

Wyszło nas do powstania dziewięciu, przeżyłem jaje jeden.

I co?

No cóż?

Z tamtymi musiało tak być.

Ale ci.

A czym cisię różnią?

Przepraszam panów powiedział Marcin podchodząc do mężczyzny bardzo przepraszam.

Gdyby szli dalej,

szedłby za nimi, czekając, aż skończą zawziętą dyskusję.

A kiedy stanęli, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

Przepraszam, usłyszałem, że panowie rozmawiają po polsku.

Patrzyli na niego zaskoczeni jego słowami.

Skąd się wzięłaś, chłopcze?

zapytał starszy.

I czego chcesz?

Panowie może są zwycieczki, w której jest profesor Wolski?

Jesteśmy z wycieczki, ale między nami niema nikogo o tym nazwisku.

To panowie mieszkają w Albergo Giuliana?

Owszem.

Właśnie tam mieszkamy.

Marcin poczuł zawrót głowy.

Wszystko dobrze powiedział starszy mężczyzna ale wciąż nie rozumiem, skąd się wzięłeś w Wenecji.

Siedzieli na tarasie kawiarni.

Mężczyźni pili czarną kawę z malutkich filiżanek.

Marcinowi kazali podać białą kawę z drożdżowym ciastkiem.

Spotkałem profesora Wolskiego w Rzymie.

Tośmy słyszeli.

Skąd się jednak wzięłeś w Rzymie?

Przyjechałem z matką.

Więc dlaczego z nią nie zostałeś?

Marcin milczał.

Przełknął tylko ślinę jak skórkę chleba.

Gdzie mieszka twoja matka?

mężczyźni.

ciągnęli wypytywanie

Matka nie mieszka w Polsce.

Wyszła za mąż.

Za granicą?

Tak.

' -

Drugi raz?

Tak.

Za Polaka?

Nie.

A za kogo?

Milczał, ale oni pytali nieustępliwie.

W końcu wykrztusił:

Za Niemca.

Starszy mężczyzna gwizdnął przez zęby.

Takie buty powiedział i zaczął bębnić palcami po stoliku.

Naprzeciwkocierni wyśpiewywał uliczny tenor.

Teraz zapytał młodszy:

I twoja matka mieszka w NRF?

Bo domyślałem się, że chodzi, rzecz jasna, o Niemca z Republiki Federalnej.

Oni podróżują.

No, ale stale wracają do NRF?

Tak.

Sprawa jasna powiedział młodszy do starszego.
Zwrócił się znowu do Marcina, którytak był wymaglowany tymipytaniami, że choć bardzo głodny, utracił ochotę na leżąceprzed nim ciastko.
Ale w takim, razie czego chciałeś od profesora Wolskiego?
Myślałem, chciałem, żeby mnie zabrał z powrotem do Polski.
To ty mieszkałeś przedtem w Polsce?
Mieszkałem.
Ale matka mnie zabrała.
Teraz jestem całkiem w domuzaapewnił młodszy.
Popatrz: kobieta uciekła z kraju, wzięła ze sobą dziecko, a tu wyszła zamąż za Niemca.
Starszy mężczyzna wydał pogardliwie wargii pokiwał głową, Marcin nie prostowałtego, co powiedział młodszy.
Siedział ze schyloną głową i miał ochotę płakać.
Nie dość, żePiętro go oszukał i odszedł,zostawiwszy go samego na Lido,jeszcze ci dwaj, którym w chwili upadku ducha opowiedziałwszystko o sobie, patrzyli na niego takim wzrokiem, jakby był zbrodniarzem przyznającym się do winy.
A co się stało z twoim ojcem?
podjął znowu starszy.
Nie żyje.
Zginął w czasie wojny.
I potem twoja matka wyszła za mąż za Niemca?
Marcin chciał powiedzieć: Otton nie jest hitlerowcemaleinstynktownie wyczuł, że dla tamtych nie było tożadnymtłumaczeniem.
Zresztą to samo na pewnomyśleli i tamciludzie pod Terracina.
Kto wie, czy nie mieli racji?
Ciągłe miałwpamięci grube głosy, usłyszane nakorytarzu rzymskiegohotelu.
Może to tylko sam Otton dzielił Niemców nahitlerowców i niehitlerowców?
Naglestarszy mężczyzna położył rękę na ramieniu Marcina i rzekł:
Rozumiem cię.
Chciałeśuciec od takiej matki?
Nie, nie.
Proszę tak nie mówić o mamie! gwałtownie zaprzeczył.
Mama.
Ale zaraz urwał.
Pojął, że nie potrafi wytłumaczyć postępowaniamatki, że nie osłoni jej przed obraźliwymi słowamimężczyzn.
A jednak nie mógł sięz tym pogodzić.
Nie wolno ciej broniepowiedział surowo starszy.
Zrobiła obrzydliwie.
Daj spokój, Stefan wtrącił się młodszy.
Tojednakmatka.
On zresztą postąpiłwłaściwie: opuścił ją i chce wrócić

do kraju.
To było jego obowiązkiem mówił starszy.
Ton jego
głosu był ciągle surowy.
Zwrócił się teraz do Marcina: Przecież chyba wiesz, jak postępowali Niemcy w Polsce?
Wiem, hitlerowcy.
Niemcy!
przerwał mu mężczyzna.
Wszyscy!
Nie powinieneś tak, Stefan, mówić mitygował młodszy.
Chłopiec musi wiedzieć, jak było.
My nie zapomnimy dokońca życia, ale tym młodym trzeba powtarzać, wbijać w głowę, jak
było i jak jest.
Boty myślisz, zecoś się zmieniło?
Gwałtownie zwrócił się do Marcina.
Nic.
Rozumiesz?
Nic.
Patrz sięgnął po gazetę skręconą w rulon.
Rozwinął ją przed Marcinem.
Umiesz po włosku?
Nie.
Ja także niewiele, ale z pomocą łaciny i francuskiego potrafię zrozumieć, o co chodzi.
Widzisz tę fotografię rozwalonego domu?
Obok jest wiadomość, że wczorajszej nocy Niemcy z południowego Tyrolu podłożyli bombę
pod komisariat policji.
Wiesz, coto jest południowy Tyrol?
Słyszałem bąknął że to obszar, naktórym mieszka-
ją Niemcy.
Etschland.
Nie żaden Etschland, tylko obszar Adygi.
Południowaczęść Tyrolu należy od czasu pierwszej wielkiej wojny do Włoch i tamtejsza
ludność mówi rzeczywiście po niemiecku.
Wiesz, jak zaczynał Hitler?
Nie mówił, że chce Polski, Francji, Norwegii, ale opowiadał, że chce połączenia
wszystkich Niemców.
Najpierw zabrał obszar Saary, potem zajął Austrię, następnie zażądał Sudetów, a wreszcie
polskiego „korytarza”.
Ale ciągle mówił, że chodzi muo Niemców, ciągle zapewniał, że niczego więcej nie chce.
Gdyby Polska niepodjęła walki, byłby zajmował dalej kraj po kraju, ciągle tłumacząc, że
tylko łączyswoich.
Ale ponieważ zależało muna Mussolinim, więcnie żądał od Włoch Tyrolu, tylko
załatwił sprawę przesiedlenia Niemców tyrolskich.
Po wojnie większość przesiedlonych wróciła.
Włosi dali im lokalną autonomię, prawo używania niemieckiego języka i spokojne życie.
Ale w Niemczech znów zaczęto snuć plany zbierania Niemców.
Podnoszą głowę dawni esesmani, dawni hitlerowcy.
Powracają do starej piosenki:
nikomu niechcą nic zabierać, pragną tylko złączyć w jedno wszystkich Niemców.
Zaczyna się mącić w głowie Niemcom tyrolskim.

A gdzie, proszę pana, podłożono tę bombę?
przerwał Marcin.

Gdzie?

Poczekaj, zaraz zobaczę.

Aha, w Royereto.

Dwóch zabitych i dziecko.

, . Czy ci niedobrze, chłopcze?
zapytał młodszy, chwytając Marcina za rękę.
, Rzeczywiście, jak strasznie zbladł.
Piccolo, acqua!
^starszy krzyknął na kelnera.
Co ci się stało?
;v Nic, nic.
wyjąkał.
Ale miał uczucie, że wszystkie jego członki zlodowaciały,
a jakiś ciężar, niby zaciśnięta pięść, zdusił mu gardło.
Zakręciło mu się w głowie.
Ale ze wszystkich sił starał się przezwyciężyć tę słabość, ukryć swój stan przed tymi dwoma.
Miałość ich pytań, ich ciekawości, ich domyślności.
Przecież nie mógł im powiedzieć, że w tej chwili dopiero zrozumiał, jaki to zakazany towar
przyniósł w plecaku ojcu Berty.
On przenosił a tamci zginęli.
Dwóch ludzi dziecko.
Co piszą o tym dziecku?
szepnęła kładąc dłoń na gazecie.
O dziecku?
Nie wiem.
Piszą tylko, że zginęło dziecko.
Dziewczynka.
Co cię tak przejęło?
Nie męcz chłopca powiedział młodszy.
Daj mi, spokój.
Pewnie jest zmęczony.
Trzymamy gotu i wypyujemy już więcej niż godzinę.
Niech idzie szukać tego profesora.
My zresztą musimy iść na kolację.
Rzeczywiście, już czas.
Drugi spojrział na zegarek.
Miała być dzisiaj wcześniej.
No toco, pójdziesz szukać swego profesora?
skierował to pytanie do Marcina.
Pójdę bąkał.
W takim razie życzę ci powodzenia.
Iwracaj do kraju.
Konieczniewracaj.
Nie kłopotz się, zapłacimy za twoją kawę.
Małomamy forsy, to prawda, ale trzeba coś zrobić dla takiego
dzielnego chłopca jak ty.
Zostawiligo na rogu alei przy straganie, na którym wisiały fiołkowe bicze paciorków z
Murano.
Skręcili w uliczkę, w której znajdował się hotel.
Chociaż zostawili go jak na pustyni, wołał, że odeszli.
Nie pomogli mu w niczym, obudzili tylko jeszcze większą rozterkę i niepokój.
Dotychczas była to dziecinna zabawa w ucieczkę; przegrana groziła jedynie powrotem do
beztroskiego życia.

Jak w prawdziwej zabawie wszystko mogło się odmienić ci, od których uciekał, mogli stać się tymi, ku którym będzie uciekał.

Ale teraz coś się stało.

Marcin miał uczucie, jakby nagle utracił całą swą beztroskę, jakby nagle stał się dorosły.

Tam, gdzieś za nim byli zabici.

Ciężar zwałił mu się na serce.

20

Girlandy lamp paliły się wzdłuż wybrzeża wyspy jak skrzące paciorki.

Tramwaj wodny odbił od przystani na Lido i płynął przez czarną wodę ku ujściu kanału Św. Marka.

Przed oczami Marcina roztaczał się coraz wspanialszy widok.

Każda wyspa weneckiego archipelagu zdawała się obszyta sznurem błyszczących cekinów.

Wszystkie te światła spadały w wodę, odbijały się w niej, podskakiwały na wzdętej powierzchni, podobnie sypanym na lustro złotym strużynom.

Daleko naczarnym niebie leżała jaśniejsza smuga.

To były Alpy.

Ale Marcin zdawał się tego wszystkiego nie widzieć.

Siedział na podłozie przed tramwajem, pod plastikowym dachem.

Morze falowało rozcinane dziobem statku.

Piana spływała jak płynne srebro.

Pasażerów było niewiele: tłumy turystów pozostały na Lido.

Plac Świętego Marka był o tej porze pustym ciemnym.

Gdy Marcin szedł wzdłuż pałacu dożów, widział, jak woda kanału wdziera się czarnymi jeziorami na wybrzeże, przy którym drżały czubki przycumowanych gondoli.

Niektóre pasma woda sięgały aż do podstawy słupa, na którym czuwał skrzydlaty lew.

Na placu pozostały równe szeregi stolików i krzesełek należących do cukierni pod arkadami.

Nie było gołębi, musiały usnąć przycupnięte na gzymsach.

Kościół zdawał się także spać.

Jego szeroki fronton, przytłoczony masą wieżyczek, kopuł i figur, odcinał się strzępiastą linią od tła nieba.

Jakaś rozchybotana latarnia zapalała błyski na złotych, półkolistych malowidłach.

Marcin szedł przez plac wolno, z rękami w kieszeniach.

Był głodny, zziębnięty, ale przede wszystkim przygnębiony.

Od wody ciągnęło chłodem i nieprzyjemną wonią zgnilizny.

Nie miał pojęcia, dokąd ma iść.

Chciał wejść w pierwszą uliczkę, ale cofnął się zobaczywszy wędrującego wolnym krokiem policjanta z białym pasem przez ramię.

Za bazyliką znajdował się mały placik właściwie wnętrza a w jego głębi budynek nie wyróżniający się od tła otaczających go domów.

Na ciemnym placu Marcin potknął się o jakieś schodki.

Usiadł na nich, wsparł głowę na rękę.

Nie umiałby powiedzieć, dlaczego tu przyjechał.

Myślał teraz, że powinien być raczej zostać na Lido.

Tam miał możliwość przytulenia się na noc pod jakimś drzewem czy krzakiem.

Tu były tylko mury i woda.

Przyszło mu do głowy, że mógłby się schronić do bazyliki.

Ale ciężkie drzwi były zamknięte.

Miał przed sobą perspektywę spędzenia nocy na pustym.

placu.

Nadzieja na spotkanie wycieczki i profesora Wolskiego utraciła prawie cały swój porywający smak.

Spotkanie z Polakami na Lido napełniło Marcina rozpaczą.

Cóż z tego, jeśli nawet profesor Wolski powie mu, że powinien wrócić?

Czy wyjaśni sens powrotu?

Bo Marcin czuł, że nie chodzi już o to, czy ma wrócić, czy zostać, ale o to, kim ma być i jaka ma być jego przyszłość.

Przemogło zmęczenie i mimo chłodu Marcin zaczął drzemać.

Zegar na pobliskiej wieży wydzwaniał godziny i ten dźwięk obudził chłopca.

Otworzył oczy i znowu chciał je zamknąć, ale nagle spostrzegł, że zbliżają się kuniemu dwaj ludzie.

Człowiek, który wysunął się do przodu, mógł się wydać komiczny.

Był to ksiądz, krępy gruby, z wielką głową osadzoną prawie bezszyi, wprost na ramionach.

Od głowy odstawały uszy tak duże, że zdawały się być podpórkami dla ronda szerokoskrzydłego kapelusza.

Ksiądz stąpał drobnymi krokami, ciężko, ale prędko.

Za nim, jakby nie mógł nadążyć, szedł inny ksiądz, dla odmiany szczupły i drobny.

Jego twarz zakrywały okulary połyskujące odbitymi światłami latarni.

Wyciągnął rękę, jakby chciał zatrzymać grubego księdza.

Coś powiedział, tamten jednak nie słuchał.

Szedł prosto ku skulonemu Marcinowi.

Dopiero gdy stanął tuż nad chłopcem, zatrzymał się.

Powiedział głosem niskim i mocnym, jakby dokonał niezwykłego odkrycia:

Fanciullo!

Nie bez wysiłku schylił się nad Marcinem.

Wyciągnął dłoń,

wielką i szeroką jak dłoń człowieka nawykłego do pracy łopata, i położył ją na ramieniu chłopca.

Povero ragazzo mówił.

Faticato.

forse affamato.

Jego głębokimi, dudniący trochę głos brzmiał łagodnie.

Vieni, caro Loris gestem przywołał trzymającego się ciągle z tyłu chudego towarzysza.

Tamten zbliżył się.

Coś znowu mówił, zdawał się o coś prosić.

Gruby ksiądz potrząsnął głową.

Gdy tak rozmawiali, Marcin dźwignął się i usiadł prosto.

Teraz miał tuż przed sobą okrągłą niby tarcza księżycy, nieładną, ale pociągającą, szeroko uśmiechniętą twarz.

Dłoń robiła gest uspokajający.

\

No temere, no temere.

Non capisco rzekł Marcin.

Straniero?

zapytał ksiądz.

Si.

Gruby ksiądz zaczął próbować różnych języków.

Gdy doszedł do niemieckiego, Marcinił głową.

Niestety, niepotrafię wielepo niemiecku rzekł
ksiądz.

Za dużo na świecie tych języków westchnął.

Ale może się jakoś dogadamy.

Co tu robisz, caro mio?

Marcin milczał.

Czy jeszcze raz odpoczątku ma opowiadaćo wszystkim?

Odczuwał wstręt do mówienia o swojej ucieczce, o nierozwiązalnych problemach.

Ale ksiądz, jakby pojął sens jego milczenia, powiedział:

Jesteś na pewno głodny, prawda?

Masz rację, nie należy rozmawiać na głodno.

Chodź, pójdziemy coś zjeść.

Szczerze mówiąc, ja także jestem głodny.

Drugi ksiądz znowu coś próbował tłumaczyć, ale starszymachnęła tylko lekceważąco
dłonią.

Gdy Marcin wstał, ksiądz wziął go pod rękę i wsparł się na nim mocno.

Lubisz mortadellę?

zapytał.

Ale prawdziwą, bolońską?

Chyba nigdy nie jadłem.

Musisz koniecznie spróbować.

Być we Włoszech i niepoznać smaku mortadeli?

Wyrzucałbyś to sobie potem przez całe życie.

Oni powiedział zwracając się jakby trochę kąpiąc w stronę chudego księdza, który wciąż
zachodził to z jednej, to z drugiej strony i wypowiadał cichym głosem swoje uwagi nie chcąc
mi dawać mortadeli na kolację.

Ale jak ty przyjdiesz, będą musieli.

Szli w głąb placu ku kuciemnemu budynkowi.

Niedobrze spać na mokrych kamieniach podjął ksiądz.

Co prawda, gdy byłem w twoim wieku, mogłem spać byle gdzie nic mi to nie szkodziło.

Młodszy ksiądz zrezygnował ze swych uwag.

Poszedł naprzód ku ciężkim i wielkim drzwiom domu.

Kiedy gruby, wciąż wsparty na Marcinie, zbliżył się do drzwi, były już otwarte, a w progu stał
ubrany w czarną sutannę zakonnik.

Skłonił się nisko i pochylony chciał wchodzić do księdza pocałować w rękę.

Ale gruby ksiądz zrobił gest, jakby się opędział.

Coś do tamtego powiedział.

Kiedy szli szerokim korytarzem, mruknął po niemiecku, ale chyba bardziej do siebie niż
do Marcina:

Kto ich nauczył tego ciągłego cmokania rąk?

Czy ja jestem gwiazdą filmową?

Urwał ten nieoczekiwany monolog i zwrócił się do Marcina.

A ty, carissime, jak masz na imię?

-Marcin.

Piękne imię, bardzo piękne.

Żołnierskie imię.

Bo wiesz, jak to było ze świętym Marcinem?

Był najpierw żołnierzem, a potem ymskim.

Ale pewnego dnia zobaczył jakiegoś biedaka, który trząsał się z zimna.

Ebbene, Marcin wyjął miecz, raz dwa prze.

;; ciął swój płaszcz żołnierski i dał połowę biedakowi.

Ksiądz;; pochylił się ku Marcinowi i mrugnął żartobliwie.

Dobrev;; to były czasy, trzeba przyznać.

Bo i płaszcz starczyłona^ dwóch, i nikt Marcina za taki czyn do paki nie wsadził.

Kiedy': służyłem w wojsku podczastamtej wojny, to każdy myślał,aby zafasować dwa płaszcze zamiast jednego.

Z szerokiego, zdobnego kolumnami korytarza przeszli doogromnej sali, której ściany pokrytebyły obrazami.

Jednaza drugą ciągnęły się postacie księży pewno raczej biskupów przyszło do głowy Marcinowi bo ubranych wewspaniałe płaszcze ze złotymi łańcuchami na szyjach, z krzyżami na piersiach, z pierścieniami na palcach.

Marcin zaskoczony zatrzymał się w progu.

Biskupa widział tylko raz wżyciu podczas bierzmowania.

Ale tamten polski biskup nie byłubrany tak bogato jak citutaj, wszyscy przedstawienina tlekanau ipływających po nim gondoli.

Czemu się tak przyglądasz?

zapytał gruby ksiądz.

Czy to są biskupi?

Biskupi, carissime.

Biskupi weneccy, czyli patriarchowie,bo taki nositytuł arcybiskup Wenecji.

A ten biskup płynie nałodzi?

Marcin wskazał na jeden z obrazów.

Wszycypatriarchowie weneccy muszą używać łodzi.

Chyba widziałeś, że jeździć po Wenecji można tylko łodzią.

Nie bardzo to wygodne, muszę ci powiedzieć, zwłaszcza gdyczłowiek jest trochę za gruby.

Ale możnasiępocieszyć, że' gorzej jest papieżowi, którego noszą na sedia gestatoria.

Wiesz,to taki fotel nadrażach, naktórym nosi się papieża w czasieprocesji.

Nasz papież chudy ipewno niewiele waży.

Ale zawsze sobie myślę, że jakby Pan Bóg chciał ukarać jakiegośłusciocha, to by go zrobił papieżem.

Bujałby się wtedy, biedak,na sedia bardziej niżna gondoli, kiedy morze jest wzburzone.

Na środku pokoju stał długi stół.

Na jego końcu znajdowało się jedno tylko nakrycie.

Ale weszła siostra zakonna,skłoniła się i położyła nakrycierównież na drugimkońcu.

Chciałazaraz wyjść, jednak gruby ksiądz zatrzymał ją i coś do niejpowiedział.

Słuchała schylona, z rękami skrzyżowanymi napiersi.

Ksiądz mówił niby poważnie,ale widać było, że żartobliwy uśmiech drżał na jego ustach.

Policzki siostry takżezdawały się dygotać tłumionym śmiechem.

Szybko zbliżyła się do stołu iprzysunęła przyniesione nakrycie donakrycia,któresię już na stole znajdowało.

Ksiądzpowiedział do Marcina:

208

Oni ciągle myślą, że ja lubię sam siedzieć przy stole.

Łiadna mi przyjemnośćjeść samemu.

Kiedyzdoylem sobiegościa, chcą go usadzićna drugim końcu stołu, żeby trzebabyło krzyczeć na całe gardło.

Siostra Bonitacja bardzo świątobliwa.

Ale uparta.

Jużej kiedyś powiedziałem, że nigdzie w Piśmie świętym nie czytałem, aby trzeba było przystolesiedzieć w takisposób.

A ona znowu.

Oczymto mówiliśmy?

Aha, o twoim patronie.

Więc wyobraź sobie, w nocy przyśnił się Marcinowi obdarowany biedak i powiedział: "Dajeś mi pól płaszcz, daj mi teraz całego siebie.

Bo ja jestem Jezusi nie lubię dostawać połówek, ale gdy mi ktoś coś daje, chcę wszystkiego.

" Słyszałeś o tym?

Opowiadał mi ksiądz.

Siostra wniosła ważkę jarzynowej zupy.

Ksiądz zawiązał

sobie serwetę pod brodą.

Zróbto samo, nie będą potem mieli pretensji, że się zabrudziłeś.

Spróbuj zupy i powiedz, czy ci smakuje.

Taką zupę robisz tylko nas, w Bergamo.

Siostra Kornelia umie ją przyrządzać znakomicie.

A teraz powiedz mi, caro Martino, gdzie to był ten ksiądz, który ci opowiadał o twoim świętym patronie?

Gdy Marcin wymienił nazwę miasta, gruby ksiądz zmarszczył brwi.

Stary już jestem i niezbyt widać pilnie przykładałem się do geografii.

Muszę powiedzieć, że nie wiem, gdzie się znajduje to miasto.

Co prawda świat zmienił się ogromnie po ostatniej wojnie.

W Polsce, proszę księdza.

W Polsce?

A więc ty nie jesteś Niemcem?

Nie czekała na odpowiedź, powiedział wolno, starannie, zabawnym akcentem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Widzisz, tyle umiem po polsku.

Szkoda, że nie więcej, szkoda.

Bardzo kocham Polaków.

Na chwilę porzucił swój dobrotliwy ton.

Zmrużył oczy i patrzył przed siebie, jakby coś pragnął zobaczyć na drugim końcu pokoju.

Czy ksiądz był w Polsce?

zapytał Marcin.

Byłem.

W Częstochowie wymówił trudną nazwę wysiłkiem, ale prawidłowo.

Czytałem książki waszego wielkiego pisarza, Sienkiewicza.

O Winicjuszu, o panu Kmicicu, o Wołodyjowskim.

Na pewno czytałeś?

O tak.

Naturalnie.

Lubię słuchać muzyki Chopina.

Kiedy jej słucham, wyUMarcin.

209.

daje mi się, że lepiej pojmuję Polskę, jej miejsce w świecie, jej przyszłość.

A co ksiądzmyśli o Niemcach?

Dlaczego o to pytasz?

Bo ja nie -wiem, proszę księdza, kim jestem: Polakiemczy Niemcem.

Jak to może być, kochany, że tegonie wiesz?

Tak niedawnoczuł odrazę na samą myśl, że będzie musiałrazjeszcze opowiadać o sobie.

Ale ten ksiądz o twarzy pełnejdobrotliwych uśmiechów wydał się nagle Marcinowi jedynymna świecie człowiekiem, któremu można powiedzieć wszystko, który wszystko zrozumie i na wszystko znajdzie radę.

Powoli zaczął powtarzaćswoją historię.

Mówił o ciotce i o Bobiku, oźjawieniu się matki i o swojejdecyzji, o tym, co mumówiono w Terracinie, i o tym, co usłyszał w hotelu.

Niczegonieukrywał nawet przeżyć w górskiej wioscei swej wędrówkiprzez góry z tajemniczym ładunkiem naplecach.

Ksiądz słuchał cierpliwie.

Czasami, gdy czegoś nie rozumiał,prosił Marcina, aby mupowtórzył.

Z jego wielkiej twarzy ustąpił żartobliwy wyraz,pozostała jedynie wielka dobroć.

Ciemneoczypatrzyły na Marcina łagodnie z głębi opadających powiek.

Kiedy chłopiec skończył, zapadła cisza.

Trwała długo.

Domtrwał także w ciszy.

Milczałypostaciebiskupów na portretach, spoza zasłoniętychokien nie dochodziły żadne dźwięki.

Moje drogie dziecko zacząłwreszcie ksiądz bardzo, bardzo ci współczuję.

Przeżyłeś rzeczy bolesne.

Ale pamiętaj, caro Martino, że jeśli Bóg kogoś dotyka, nierobi tegonigdy bez powodu.

Ludzie częstowierzą w Boga, a mimo toniepojmują, że nicnie możesz stać bez Jego woli.

Jeśli wiedzą, że jest, powinniGo widzieć we wszystkim, prawda?

I ty takżepowinieneś pamiętać, że chociaż Go nie widzisz, On jest przytobie.

Mówido ciebie przez każdą rzecz, która się dziejew twoim życiu.

Urwał.

Znowu powróciła cisza.

Z placu doleciał dźwięk wybijanej godziny.

Było już późno Marcin czuł się bardzo zmęczony.

Nachodziła go senność.

Przezwyściełała z całych sił.

Chciał usłyszeć wszystko, co mówił ten dziwny ksiądz, bałsięutratyjednego słowa.

Powiedziałeś, że nie wiesz, kim jesteś: Polakiem czyNiemcem podjął ksiądz.

Czułem w twoichsłowach rozterkę.

Masz rację.

Nie możesz być jednym idrugim, bo wtedyne byłbyś dostatecznie ani Polakiem, ani Niemcem.

Niepowiem ci, że lepiej by ci było być Polakiem, czy lepiej, abyśbył Niemcem.

Ważne, żebyś byłzawsze prawdziwym człowiekiem210

T

Idem.

Nie manarodów złych i dobrych, nie ma narodów ważnych lub nieważnych.

Każdy naród jest potrzebny.

Jeślimaszwybierać możesz wybieraćwśród rzeczy równych.

Zastanów się, co przemawia do ciebie mocniej: wychowanie, które otrzymałeś, czy tradycja, którą odziedziczyłeś.

Zastanów się i zdecyduj.

Kiedy ja nie potrafię zdecydować, proszę księdza.

Tamtego, co było, nie zapomnę.

Ale po tej stronie był ojciec i jest mama.

Twoja matka jest przecież Polką.

Jest.

Czy jednak zgodzi się wrócić?

Pokiwał głową.

Być może w tej chwili film wydaje się jej sprawą ważniejszą.

Ale kiedyś będzie na pewno inaczej.

Kiedyś?

prawie krzyknął.

Ja muszę wybrać teraz.

A jeśli wybiorę powrót, zerwę z mamą, może będę jej musiał nienawidzić.

Co ty opowiadasz, kochany?

Nienawidzić matki?

Matka jest pierwszą miłością, jaką Bóg daje człowiekowi.

Człowiek, nawet gdyby chciał, nie umiałby nie kochać swojej matki.

I dlaczego miałbyś jej nienawidzić?

Jeśli wrócę do Polski, będę musiał nienawidzić wszystkiego, co niemieckie.

Nienawidzić?

Martino, nikt nie musi niczego nienawidzić.

Wiem, że między Polską a Niemcami trwa od wieków spór.

Wiem także, że Niemcy czynili w Polsce podczas ostatniej wojny rzeczy straszne.

Nieprostą jest rzeczą wybaczyć, gdy się tak wiele cierpiało.

A jednak, mój drogi, nie zapomnij, że nosisz imię Marcin.

Podniósł na księdza zdumiony wzrok.

Na jego twarzy wystąpił w tej chwili wyraz zapału, czarne oczy rozbłyły, jakby były także oczami chłopca.

Dopierośmy sobie przypominali, jak to Marcin podzielił swój płaszcz, a ty już o tym zapomniałeś?

Ten przecięty płaszcz to jakby twoja przynależność do dwóch narodów.

Ale Jezus nie lubi połówek.

Chce całego człowieka.

Chcego dla siebie.

I ciebie chce także, caro mio.

Chce mnie?

Nie widzisz tego?

Niema na świecie przypadków.

Skoro On w takich strasznych czasach, gdy ludzie wciąż walczą ludźmi, dał ci ojca Niemca, a matkę Polkę, to tym samym nałożył na ciebie obowiązek pracy dla sprawy, aby te dwa narody doprowadzić do zgody.

211.

Jak to możliwe?

krzyknął.

Przecież, proszę księdza,

jestem tylko chłopcem.

Gruby ksiądz uśmiechnął się po swojemu: dobrodusznie

i żartobliwie.

Każdy z nas, mój kochany, zaczynał od tego, że był tylko
chłopcem.

Wierz mi, to jest właściwy wiek, aby porywać się na największe rzeczy.

Bądź jak najdłużej chłopcem.

Jak długo nim zostaniesz, będziesz mniej myślał o sobie, a więcej o innych.

Pewien bardzo czcigodny kardynał powiedział kiedyś, że biskup nie powinien ogłaszać
żadnego postanowienia, jeśli nie byłby pewny, że zostanie spełnione.

To był człowiek, którego powinienem naśladować, bo żył bardzo świątobliwie i pochodził jak
i ja z Bergamo; jednak nieraz myślę, że byłoby szukaniem nadmiernej wygody, gdybyśmy
dopasowywali nasze zamiary do możliwości.

Pasterz musi być zawsze dobry, jego dobroć nie może jednak polegać na unikaniu trudności.

Ale, ot, mówię sobie.

Stary już jestem, to dlatego.

Powie.

działeś: jak to możliwe?

Pamiętasz, jak kiedyś Pan Jezus mówił, że niełatwo jest przeprowadzić wielbłąd przez
ucho igielne.

Bibliści powiadają, że miał na myśli jedną z bram Jerozolimy, bardzo ciasną.

Szanuję biblistów, bo to są mądrzy ludzie, ale wolę myśleć, że miał na myśli prawdziwe
ucho igielne.

Nie przepchniesz po ludzku wielbłąda przez ucho odigły.

A jednak On dodał: dla Boga jest wszystko możliwe.

Wszystko, Marcinie.

Skoro jest możliwe, dlaczego tego nie sprawił dotąd,

proszę księdza?

Dlaczego, dlaczego uniósł ręce w górę.

Chciałbyś,

aby nam wszystko tłumaczył?

On zna najwłaściwszy moment dla każdej sprawy.

Poczekajmy, aż się to stanie, a wtedy także zrozumimy, dlaczego z tym czekał.

I ksiądz mówi, że On do tego mnie potrzebuje?

Potrzebuje, to może za dużo.

Nikogo On znasnie potrzebuje naprawdę.

Ale On nie lubi robić czegoś dla człowieka, nie używając do tego innego człowieka.

Często nawet bierze za swoje narzędzie kogoś najzupełniej nieużytecznego.

Więc co mam robić, proszę księdza?

Na to tylko On może odpowiedzieć.

Musisz na każdym kroku walczyć z nienawiścią drugich, ale także w sobie, przede wszystkim
w sobie.

Musisz kochać i musisz czekać.

Znowu wybiła godzina.

Zmęczenie z każdą chwilą coraz więcej dawało Marcinowi znać o sobie.

Senność kleiła powieki, czoło ciążyło.

Będę robił, ile potrafię.
wyszeptał.

Będę.

212

y

Zacznij, a On skończy książkę mówiąc, nie patrząc na chłopca.

Zawsze kończy za każdego z nas.

Choćby zabrakł nam sił, choćbyśmy popełnili błędy.

Kochany wzrok księdza spoczął na Marcinie ja tak gadam i gadam, a ty jesteś miernie zmęczony.

Marcin nawet nie wiedział, kiedy jego głowa spała się bezwładnie na rzeźbionym oparciu krzesła, a powieki opadły.

Ksiądz wstał i podszedł do niego.

Patrzył na uśpionego.

Jego usta poruszały się bezgłośnie.

Ten stary człowiek wydawał się ciągle chłopcem, chłopcem, który odnalazł poszukiwany, bajeczny kwiat.

Potem zbliżył się do drzwi, uchylił je, zawołał półgłosem:

Siostrze Bonifacjo!

Siostrze Bonifacjo!

Zakonnica widać czuwała w pobliżu, bo prawie natychmiast wbiegła do pokoju.

Eminencja wołał?

Gestem wskazał jej Marcina, który nie spał spokojnie, aledrżał przez sen i krzywił się, jakby za chwilę miał płakać.

Biedne dziecko powiedziała zakonnica, składając poswojemu dłonie na piersi.

Musiał być bardzo zmęczony.

Niech siostra powie, proszę, aby mu przygotować spanie.

I niech go niebudzą, ale delikatnie przeniosą.

A rano pomyślimy, co trzeba będzie dla niego zrobić.

Biedne dziecko.

Czy siostra nie myśli powiedziała po chwili, patrząc wciąż na drżącego Marcina że świat dzisiejszy jest właśnie jak ten chłopiec?

Biega, męczy się, rozpacza, a kiedy zapadnie w sen, nawet wtedy nie potrafi znaleźć odpoczynku.

Czy można trwać w spokoju mówiąc teraz jakby bardziej do siebie niż do słuchającej go siostry gdy tak ludzkie cierpią?

Bóg przecież nie chce ich smutków.

Bóg tylko czeka, aby zesłać na świat nowe Zielone Świątki, które by zdjęły z ludzkich serc ciężki, a napełniły je radością.

On chce szczęścia, bo jest samą dobrocią.

Nie wiem, na co czeka, ale to przecież oczywiste, że coraz bliższą jest chwila, gdy - wyciągnie do nas swą rękę.

21

Marcin obudził się wyspany i wypoczęty.

Otworzywszy oczy, nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć, skąd się wziął w małym, białym pokoiku, pod obrazem Serca Jezusowego, przed którym płonął mały lampka.

Potem z wolna zaczęła sobie przypominać wszystko, co się stało poprzedniego dnia.

Doznane zawody nie wydawały mu się w tej chwili takie

213.

ciężkie.

Tam na Lido jakby odebrano mu dzieciństwo, alew tym domu tutaj stał się na nowo chłopcem.

Drzwi się uchyliły, do pokoikuzajrzał zakonnik, ten sam,który poprzedniego dnia otwierał drzwi domu.

Zakonnikuśmiechnąsiedo Marcina i coś zagadał po włosku.

Z kilkakrotnie powtózonego słowa"mangiare" Marcin zrozumiał, że tamten woła gona śniadanie.

Tym razem nie zaprowadził go do wielkiej sali obwieszanej portretami biskupów, ale do innego małego pokoiku, w którym na białym stole było przygotowane śniadanie: mleko w dzbanku, bułki, masło, ser, pomarańcze.

Zakonnik kilka razy zaczynał mówić, alezarazurywał, przypomniawszy sobie, że chłopiec jego słów nie rozumie.

Dopiero gdy Marcin skończył, do pokoju wszedł ksiądzw okularach, ten sam, który poprzedniego wieczoru towarzyszył grubemu księdzu w przechadzce po placu.

No, jak się czujesz, chłopcze?

zapytał gładko po niemiecku.

Wyspałeś się?

Odpocząłeś?

Tak, proszę księdza.

To dobrze, bardzo dobrze.

Eminencja pytał już dzisiajo ciebie.

Eminencja?

Kto to taki?

Ksiądz uśmiechnął się.

Widzę, że nie wiesz, kto cięwczoraj znalazł i przyprowadził tu,do pałacu.

To najprzewielebniejszy patriarcha Wenecji,ksiądz kardynał AngeloRoncalli.

Marcin otworzył usta, ale nic nie powiedział.

Jedyny biskup,którego widział w swoim życiu, pochylił się tylko nachwilę nad nim, dotknął jego policzka i wymówił kilka łacińskichsłów.

Potem ksiądz Wionczekrozdał im obrazki, naktórych odwrocie byłowydrukowane, że sąpamiątkąsakra biskupiej.

Ale sam biskup nie rozmawiał z nimi tak jak tenksiądz tutaj.

Marcin nie umiał inaczej nazwać gow myśli niż"gruby ksiądz".

Samo nawetmyślenie o nim budziłodziwny spokój.

Chudyksiądz błysnąłokularami.

Był przekonany, że milczenie chłopca wyraża zachwyt.

Tak, tak powiedział.

Wcale się nie dziwię, że jesteśzaskoczony.

Ale jego eminencja jest takim właśnie człowiekiem.

Za to go wszyscy tutaj kochają.

Ja..

ja także go kocham.

bąknął.

Wierzę ci.

Z jegoeminencją wystarczy porozmawiać.

I każdy z nim może mówić.

Jego domjestcodziennie dla każdego otwarty.

Nie ma człowieka, któremu by odmówił roz

mowy.

Nie maczłowika, o którympowiedziałby, że nie mado niego zaufania.
Kiedy zaczęli przychodzić niewierzący,niektórzy się dziwili.
Pozwalali sobie nawet pytać eminencję,dlaczego chcetamtych przyjmować.
Wiesz, coim odpowiedział?
Mrugnął po swojemu żartobliwie i rzekł: "Czy mogę ichnie przyjąć?
Może którychce sięwypowiadać?
"

Młodego księdzao garnął zapął.
Widać było, że mógłbybezkońca opowiadać patriarsze.
Powiedz mi,mójkochany - zapytał co masz zamiar teraz robić?
Myślę, że muszę pójśćnamiasto zobaczyć, czy nie przyjechała wycieczka, której
szukam.

Dobrze, idź.

Czy jednak nie mógłbym przedtem zobaczyć eminencji?
Chciałbym mu podziękować.

To bardzo ładnie, że pamiętasz o podziękowaniu.

Eminencjibędzie na pewno przyjemnie.

Ale teraz jest zajęty.

Zawsze wstaje wcześnie, odprawia mszę, je śniadanie i pracuje.

O tejgodzinie nie można mu przeszkadzać.

Idź, mójchłopcze,teraz na miasto, dowiedz się o tęwycieczkę, a w południe wróc tutaj.

Wtedy zaprowadzę cię do eminencji.

Ciężkie drzwi pałacu patriarchy uchyliły się przed Marcinem.

Minął małą wnękę i znalazł sięznowu praed frontonembazyliki.

W promieniach słońca kłębił się tłum turystów.

Środek placu pokrytybył szarosrebrnym, mieniącym się dywanem, całym mrowiem
spacerujących gołębi.

Musiały być ichsetki, może tysiące.

Gruchając chodziły wokół człowieka stojącego pod parasolem isprzedającego skręcone z
gazety tutkiz kukurydzianym ziarnem.

Rzecz szczególna gołębie nieatakowały sprzedawcy.

Ale wystarczyło,aby tutkaz pokarmem przeszła do rąk jakiegoś turysty, a gołębie
natychmiastpodrywały się i otaczały go łopotem skrzydeł.

Siadały mu nagłowie, na ramionach, wydzierały tutkę, rozrywały dziobamipapier, wyjadały
ziarno.

Przerażonyturysta uciekał pośpiesznie.

Tłum widzów śmiał się i czekał na następnego amatorakarmienia.

Marcin jakiśczas przyglądał się także tym scenom i zaśmiewał się z
żarłocznościactwa.

Czuł się lekko,prawiewesoło.

Wszystkie kłopoty i zmartwienia gdzieś odeszły.

Potem, przepychając się pod prąd fali turystów, podążył nawybrzeże.

Nie miał pieniędzy, aby popłynąć naLido, postanowił więc czekać cierpliwie na placu,
ażpojawi się ktoś Polaków.

Każdy tramwaj wodny czy to nadpływający od Lido, czy.

tez z centrum miasta przywoził nowe gromady zwiedzających.
W pewnej chwili Marcin posłyszał język polski.
Były to jakieś dwie panie mocno czymś zaaferowane.
Gdy zwrócił się do nich zapytaniem owycieczkę, której uczestnikiem był profesor Wolski, odpowiedziały mu szybko, że nic o niej nie wiedzą.
Próbował jeszcze o coś pytać, ale one nie były skłonne do rozmowy.
"Mój chłopcze, tu są jeszcze inni Polacy, zapytaj ich, my nie mamy czasu" powiedziała jedna.
Szybko oddaliły się od Marcina.
Dosłyszał jeszcze: "Trzymaj, Rózo, dobrze łtorebkę.
I tutaj nie brak chuliganów, którzy z człowieka zaga-: 'dują, aby móc coś świsnąć'.
Marcin poczuł się dotknięty i postanowił zwracać się z pytaniami jedynie do mężczyzn.
^

Czas płynął.

Tramwaje wciąż zwoziły kolorowe tłumy.
Nai, wodach kanału krążyło coraz więcej motorówek i kołyszących się gondoli.
Żar słoneczny stworzył w powietrzu delikatną mgiełkę.
Przesłonięte nią domy i kościół podругiej stronie kanału wydawały się odległe i jakby roztopione w przestrzeni.
Na placu blask słoneczny skrzył się w złotych malowidłach figurach, stojących nadachu bazyliki; zdawał się sypać skrami, gdy ustawione na wieżycze figury uderzały młotami w dzwon, wybijając godziny.

Upał kazał mu stanąć w zacienionych podsieniach.
Ludzie przechodzili obok, a on wsłuchiwał się w ich głosy.
Mignęli mu dwaj mężczyźni, z którymi poprzedniego dnia rozmawiała Lido.
Odwrócił głowę miał ochotę spotkać się z nimi.
Powoli zaczęło wracać zniechęcenie.
Ten gruby ksiądz nie, nie ksiądz, patriarcha, poprawił się w myśli mówił tak serdecznie.
Powiadał, że trzeba czekać, aż Bóg zechce pomóc.
A jednak żadne rozwiązanie nie nadchodziło.

Magle ktoś trącił go w ramię.

Odwrócił się.
Przed nim stał mężczyzna ubrany w wymiętą marynarkę i niezbyt czystą koszulę.
Mężczyzna bez słowa dał mu znak, aby szedł za nim.
Marcin zawahał się, ale po chwili uległ wezwaniu.
Trochę dalej również w cieniu stało dwóch policjantów w szarozielonych mundurach z białymi pasami.
Marcin zobaczył, że mężczyzna zmierza w ich stronę, więc zawrócił szybko w stronę przystani.

Chciał się wnieść w tłum.

Ale mężczyzna musiał być na to przygotowany, bo jednym skokiem dogonił Marcina i chwycił go mocno za ramię.

Policjanci pospieszyli na pomoc.

Szybko wciągnęli chłopca głębiej w podsienia.

Mężczyzna coś mówił z wielką żywością, gestykulując.

Pokazał wyjętą z kieszeni, zmiętą i wytłuszczoną gazetę.

Policjanci niepuszczając Marcina porównywali rozmazane zdjęcie z twarzą chłopca.

Potem jeden z nich zapytał Marcina po niemiecku:

Jesteś Boehmke?

Nie odpowiedział.
Stał przed nim gryząc z gniewu wargi.
Tak głupio dać się złapać!
myślał.
Nie zapytali go po raz drugi.
Jeden z policjantów odszedł, po chwili wrócił.
Wskazał towarzyszącej motorówce czekającą przy wybrzeżu.
Ten, który mówił po niemiecku, rzekł:
 Pojedziesz z nami.
Nie bój się, nic ci nie zrobimy.
 Ale Marcin nie był spokojny.
Chociaż domyślał się, że został poznany dzięki opublikowanym w pismach
fotografiami z zaginionego syna gwiazdy filmowej, nie był także pewny, czy tamci w jakiś
sposób dowiedzieli się o jego pobycie pod Rovereto.
 Motorówka pomknęła, wznosząc przed sobą dwie brudne dyspenserowe
Wpadli w wąski kanał.
Motorówka przybiła do brzegu przed budynkiem z napisem "Prefettura";
 Teraz powstał mały spór między policjantami a brudnym mężczyzną.
Wyglądało na to, że policjanci chcą zabrać go do środka.
Rozdrażniło to Włocha.
Przytrzymując jedną ręką policjanta, drugą gwałtownie gestykulował.
Uderzył się w pierś, wykrzykiwał: "Io primo!
Io primo!
" W końcu musieli ustąpić.
Idąc przez korytarz, mężczyzna trzymał za rękę Marcina, jakby się obawiał, że jeszcze tutaj
chłopiec będzie usiłował uciec.
 Potem wszyscy znaleźli się w pokoju, w którym stało biurko, a przy nim siedział oficer
policji.
Przez dłuższą chwilę wszyscy mówili jednocześnie.
Najgłośniej krzyczał mężczyzna, wyciągnął gazetę i rozłożywszy ją na biurku przed
oficerem morderzał w nią dłońmi.
Powtarzał wciąż swoje: "Io primo".
Tamci spoglądali na gazetę, to znowu na Marcina.
Wreszcie oficer zadzwonił.
Kobiecie, która weszła do pokoju, wydał jakieś polecenie.
Wróciła zaraz z teczką w ręku.
Musiała się tam znajdować fotografia Marcina, bo policjanci skupili się po drugiej stronie biurka
patrząc raz we wnętrza teczek, raz na chłopca.
Tylko mężczyzna w pomieszczeniu marynarce wcale do teczek nie zaglądał.
Stał przy Marcinie i bez przerwy trzymał go za ramię.
 Benerzekł wreszcie oficer.
Jego słowa wprawiły mężczyznę w dobry humor, że zaczął coś jeszcze głośniej
wykrzykiwać.
Oficer zwrócił się do policjanta, który umiał po niemiecku, a ten z kolei rzekł do Marcina:
 Nie wykręcaj się, poznaliśmy cię.
Jesteś Martin Boehtke, syn artystki, Margherity Bredel.
Nie zaprzeczysz temu,.

mam nadzieję.

I tak ci nikt nie uwierzy.

Lepiej powiedz odrazu, że tak jest.

No, mów.

Nic nie przyjdzie z zaprzeczania, myślał Marcin.

Trzebabyło nie iść za tym brudasem i wrócić do pałacu patriarchy.

On by powiedział, jak należy postąpić.

Odkąd próbował ucieczki, tamci nabrali pewności, że chce uniknąć spotkania z nimi.

Nie wypuszczą go.

A jeśli poddadzą go rewizji, znajdą przynim dowód osobisty.

Tak, jestem Boehmkerzekł.

Coś krzyknęli.

Wydawali się bardzo zadowoleni.

Mężczyznaw brudnej koszuli przesunął pieścztotliwie dłonią po twarzy Marcina.

Inni się śmiali, klepali Marcina po ramionach.

Maszrację, że się przyznałeś rzekł policjant.

Maszrację.

Jesteś mądry.

Uciekłeś od rodziców, a oni cię szukają.

No, wiemy, że chłopcy lubią robić starszym różne psikusy.

Alenic sięniebój.

Twoi rodzice są bogaci i za znalezienie ciebie wyznaczili nagrodę.

Nic ci nie będzie.

Wrócisz donichi będziesz miał znowu wiele przyjemności.

Daj nam swój dowód.

Sięgnął do kieszeni i podał dokument policjantowi.

Oglądaligo wszyscy kolejno.

Ciągle się śmiali, zacierali ręce, coś wykrzykiwali.

Jesteś porządny chłopak mówił znowu policjant.

Porządny i mądry.

Napodróżowałeś się.

Teraz wypoczniesz, póki po ciebie nieprzyjadą.

Ale nie będzie ci u nas źle.

Dostaniesz jedzenie z najlepszej restauracji.

Wszystko, co zechcesz.

Mozesz sobie wybierać najlepsze potrawy.

Mozesz jeść choćby cały dzień.

Oficer coś powiedział po włosku, policjant tłumaczył:

Signor maggiore mówi, że abyś się nie nudził, przewieziemy cię motorówką po kanałach.

A jeżeli obiecasz, że nie będziesz próbował uciekać, ktoś pójdzie z tobą do muzeum, a może nawet do kina.

Gdybyś jednak próbował ucieczki, musielibyśmy cię zamknąć w więzieniu.

No, chyba tego niechcesz.

Jesteś przecież mądrym chłopcem.

Chcę, żebyście mnie zaprowadzili do patriarchy rzekł Marcin.

Do patriarchy?

policjant powtórzył zdumiony.

Oficer wydawał się również zaskoczony tym żądaniem.

Kłopotliwym gestem tarł swój czarny wąsik.

Nie powiedział w końcu policjant tłumacząc słowami swego zwierzchnika do patriarchy nie możesz iść.

Nie, nie.

Patriarcha jest bardzo dobrym człowiekiem.

Za dobrym.

Nie.

Dopiero kiedy twoi rodzice przyjadą, będziesz mógł iść z nimi do niego.

Musiał się pogodzić z losem.

Tamci wybuchnęli znowu wesołym gwarem.

Nie pojmował, z czego się tak cieszą.

Chociażbyła w nim ciągle pamięć słów patriarchy, znowu poczuł na sercu ciężar.

Już następnego dnia drzwi pokoju, w którym mieszkał Marcin, otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Otton.

Napełnej i wyrażającej zwykle zadowolenia twarzy malowała się irytacja.

Policzkami miał czerwone, oddychał szybko.

Zatrzymał się na chwilę w progu, a potem zamknął za sobą drzwi i niewitając się z Marcinem, rzucił się na znajdującego się w pokoju fotel.

Wybuchnął słowami, które musiał już mieć przygotowane od dawna.

Jego podniecony głos stał się piskliwy.

Nareszcie.

Co ty, u diabła, wyprawiasz, Marcinie?

Znikasz bez śladu, nie ma cię przez cały tydzień.

Matka szaleje z rozpaczy, nie jest w stanie pracować.

Aby ją uspokoić, muszę zostawić wiele ważnych spraw i całe swoje życie poświęcić szukaniu ciebie.

Co to za głupia zabawa, do licha?

Radio, telewizja, prasa.

Zaalarmowaliśmy policję.

Ogłosiliśmy nagrodę.

Matka wyobraża sobie, że cię porwano.

A ty po prostu wybrałeś się na wycieczkę do Wenecji.

Co to znaczy?

Dlaczego to zrobiłeś?

Chcę wiedzieć, słyszysz?

Tupnął nogą.

Maszmi zaraz wszystko powiedzieć.

Utkwił w twarzy Marcina gniewne oczy, których błękit nabrał zimnych tonów porcelanowej glazury.

No, mów, mów wszystko.

Słyszysz?

Ale Marcin milczał.

Gdy Otton wszedł do pokoju, stał przy oknie i wyglądał na kanał.

Odwrócił się, ale pozostał dalej oparty o framugę okna.

Dlaczego się nie odzywasz?

Powiedział przez zaciśnięte usta;

Trudno mimować, kiedy krzyczysz.

Co?!

Otton aż zapiał z oburzenia.

Poderwał się z fotela, ale po chwili usiadł z powrotem.

Jego grube wargi dygotały.

Jesteś delikatny wyrzucił z siebie.

Zanadtodelikatny.

Szukamy cię, martwimy się.

A ty nie chcesz odpowiadać, bokrzyczę.

 Dlaczego mama nie przyjechała?

zapytał Marcin, przerywając tym pytaniem pełne oburzenia krzyki Ottona.

Matka pracuje.
Musi brać udział w zdjęciach.
Co ty myślisz?
Każdydzień przerwykosztuje miliony.
Ale prosiła,abym wszystko rzucił i jechał po ciebie.
Dlatwojej matki gotów jestem na wszystko.
Nie mam jednak zamiaru pozwalaćci, abyś sobie ze mnie robił kpiny.
Spełniam rolę twego ojca,rozumiesz?
Byłem dla ciebie dobry, pozwalałem ci na wszystko, dawałem ci pieniądze.
Terazjednak zasłużyłeś na zwyczajne lanie.
Zasługujesz, aby cię zrobić na szaro.
 Jak tamtych ludzi koło Terraciny?
zapytał Marcin.
Jego głoszabrzmiąłrównie gniewnie jak głos Ottona.
 Jakich ludzi?
mężczyzna otworzył szeroko oczy.
 No tych, których tyi twoi koledzy "urządzaliście" w czasiewojny.
 Potok słów zamarłna ustachOttona.
Siedział milcząc idopiero po chwili zapytał:
 Kto ci otym mówił?
 Słyszałem, jak rozmawiałeś ztwoimi dawnymi kolegamina korytarzu hotelowym.
Jak się któryśz nich przechwalał,że trzebabyło tamtych ludzi zrobić na szaro.
 Otton siedział pochylony.
Mrugał powiekami, a na jego czole wystąpiła gruba żyła.
Nagle uderzył pięścią w stół:
 Podśluchiwałeś?
 Nie potrzebowałem podsłuchiwać.
Staliście pod.
moimidzwiami i przechwalaliście się bardzogłośno.
 Otton zapadł sięgłębiej w fotelu.
Milczał znowu dłuższyczas.
Przesuwał dłonią po poręczy.
W końcu zapytał:
 Idlatego uciekłeś?
 Dlatego także.
 Zaczynam cię rozumieć głos Ottona zabrzmiał terazspokojnie,odzyskał dawne
brzmienie.
Coś usłyszałeś, alenic z tego niepojąłeś.
Chłopcy jak ty nie mogątych rzeczypojąć.
Lubiciesię bawić wwojnę i strzelać z kapiszonów.
Alena prawdziwejwojnie nie ma zabawy.
Na wojnie giną ludzie.
I jeśli nie mają ginąć swoi, muszą ginąć przeciwnicy.
Na wojnie zabija się,aby nie być zabitym.
Tak było w Europie, takbyło na Korei, tak się dzieje w Wietnamie czyw Algierii.
Oczywiście łatwiej zrozumiećwalkę z umundurowanym przeciwnikiem.
Ale wojnawspółczesna zrodziła rozmaitych partyzantów, którzy strzelają z tyłu, z tłumy
cywilów.

Na to, aby ich unieszkodliwić, masz tylko jeden sposób: napędzić strach całej ludności w okolicy.

To jest przykre, ale konieczne.

Im twardziej się postępuje, tym prędzej musisz się tamtych do porzucenia ich bandyckiej działalności i oszczędza się

życie ludzkie.

Twarda wojna jest w ostatecznym rachunku; umiej okrutna.

Teraz rozumiesz?

i. '

Spojrzał na chłopca, ale Marcin patrzył w bok.

Wsunął rękę głęboko w kieszenie.

Czy w Polsce zapytał Niemcy prowadzili wojnę okrutną czy mniej okrutną?

Co to znaczy?

Spokój Ottona nie musiał być zbyt głęboki.

Mężczyzna zapytał z irytacją: Kpisz?

Nie kpię.

Pytam.

Znowu pojawiła się piskliwa nuta:

Nie wiem, o co ci chodzi.

Ale domyślamsię.

Nafaszerowali cię tam w Polsce opowiadaniem o "niemieckich okrucieństwach", o mordowaniu ludzi w obozach, czyja wiem, o jakich jeszcze mrozących krew w żyłach historiach.

Prawda?

Już ci kiedyś mówiłem: to prawda, że w Polsce działały sieróżne przykre rzeczy, które były dziełem hitlerowców.

Niezaprzeczasz temu, chociaż pewno Polacy przesadzają.

Ale inaczej rzecz wyglądała, gdy chodziło o żołnierzy.

Podniecenie ustępowało.

Otton mówił spokojnie.

Nie można tych rzeczy mieszać.

Żołnierze prowadzili wojnę i jeżeli musieli się czasami zająć ludnością cywilną, robili to tylko dlatego, że wśród tej ludności ukrywali się partyzanci.

Mam nadzieję, że teraz to rozumiałeś i widzisz;

jak niemądrze postąpiłeś.

Gdybyś mi powiedział o tym, co cię tak przejęło, od razu byłbym ci wytłumaczył.

Ale już dobrze.

Byłem trochę podniecony, kiedy tu przyszedłem, była to jednak troska o ciebie.

Przestraszyliśmy się oboje z matką twoim zniknięciem.

Z tego, jak bardzo cię matka kocha, zdajesz sobie chyba sprawę.

Ale i na mnie nic możesz narzekać.

Czy czego żałowałem?

Czy nie starałem się, abyś miał wszystko, czego tylko zapragniesz?

No, powiedz uczciwie.

Nigdy mi niczego nie żałowałeś przyznał.

Widzisz Otton zrobił szeroki, triumfalny gest.

I wydaje ci się, że jestem jednym z takich Niemców, o jakich cię naopowiadano w Polsce?

Marcin milczał.

Czas już, abyś zapomniał o tym, co ci tam mówiono podjął Otton.

Powinieneś uświadomić sobie, że sam jesteś Niemcem.

Naród niemiecki jest wielkim narodem dlatego ma wielu wrogów, którzy mu wielkości zazdroszczą i obrzucają go oszczerstwami.

Przedstawia się Niemców jako naród gorszy niż inne właśnie dlatego, że jesteśmy lepsi.

Lepsi?

Marcin podniósł głowę.

Naturalnie, że jesteśmy lepsi Otton ciągnął z zapa221.

łem. Posiadamy wielkie talenty, pracowitość, zdolności organizacyjne.

Chyba pamiętasz, co widziałeś w Polsce?

A właściwie nawet nie w Polsce, ale w tej części Niemiec, którą Polacy zabrali i którą zniszczyli.

Bo chyba wiesz, że miasto, w którym mieszkałeś, jest miastem niemieckim.

Dlaczego Polacy zabrali?

Tylko dzięki zwycięstwu bolszewików mogli to zrobić.

Ale dlaczego zabrali?

przerwał niecierpliwie.

Opowiadają, że przed tysiącem lat oni tam mieszkali.

Jeżeli nawet mieszkali, od dawna nie ma po nich śladu.

Polacy mówią inaczej.

Jak?

Że trzeba było te ziemie zająć, aby już nigdy nie mogło się dziać to, co się działo podczas wojny.

Głupie gadanie.

Niemcy się tamtychziem nie wyrzekły i nigdy nie wyrzekną.

Właśnie dlatego, że Polacy je zabrali, nie będzie z nimi nigdy zgody.

Nigdy?

No, w każdym razie tak długo, aż zwrócą, co wzięli.

Ale dość na teraz tej dyskusji.

Kiedyś znowu porozmawiamy.

;

Otton spojrzał na zegarek.

Nie mamy czasu.

Za półtorej godziny odlatujemy do Rzymu.

Chodź.

;

Marcin nie ruszył się.

Czy nie mógłbym jeszcze choćby przez jeden dzień zostać w Wenecji?

zapytał.

Otton uniósł ręce w górze gestem zdumienia.

Co z tobą?

Poco?

Wy, młodzi, macie jakieś całkiem wa-, riackie pomysły.

Powiedz, dlaczego chciałbyś zostać?

i

Poznałem patriarchę.

Chciałbym go jeszcze raz zobaczyć, podziękować.

;

Patriarchę weneckiego?

Poznałeś go?

W jaki sposób mogłeś go poznać?

Spotkał mnie na placu Świętego Marka i zaprosił do siebie.

Niesłychane.

Rzeczywiście, mówiono mi, że toczłowiek trochę postrzelony.

Kiedyś można to będzie zrobić.

Ale nie mamowy, abyś teraz został.

Matka jest niespokojna i chce cię jak najszybciej zobaczyć.

Mówiłem ci, że się bała, iż zostałeś porwany.
Marcin wzruszył ramionami.
Kto miał mnie porwać?
Matka wymyśliła straszną historię, że to Polacy chcą jej ciebie odebrać.
Mówiła, że są zazdrośni o każde dziecko.
Przekonywałem ją, że im napewno na tobie nie zależy, chętnie
się ciebie pozbyli.
Oni nie cenią dzieci.
Mają ich zresztą tyle, że nie wiedzą, czym je wykarmić.
No chodź, idziemy.
Jeszcze chwila Marcin stał ciągle pod oknem.
Powiedz mi, czy czytałeś w gazecie o tym wybuchu w Rovereto?
W Etschland?
Włosi to nazywają krajem górnej Adygi.
Być może.
No, cóż, tam mieszka ludność niemiecka.
Widocznie nie jest zadowolona z rządów włoskich.
Czy to jest kraj, którego się Niemcy także nigdy nie wyrzekli?
O co ci chodzi?
Oto, że przy wybuchu zginęło dziecko.
To na pewno bardzo smutne.
Ale tam, gdzie ludzie podejmują walkę o wolność, muszą padać ofiary.
To była dziewczynka niemiecka?
Tak.
- Kto ją "urządził"?
Jak to: "urządził"?
Znowu nie rozumiem, o co ci chodzi.
Mówiłeś, że tam, gdzie biorą się do walki cywile, trzeba
postępować twardo i surowo, bo wtedy unika się dużych ofiar.
Jak ty nie nie pojmujesz!
wybuchnął nowo rozdrażniony.
Rzeczywiście, nic nie pojmuję przyznał.
Chodź teraz, już czas.
Później porozmawiamy.
Marcin spuścił głowę i bez słowa wyszedł z pokoju.
Otton szedł z nim.
W sąsiednim pokoju mignęły uśmiechnięte twarze policjantów.
W towarzystwie tego, który znał niemieckie, szli na dół.
Przy wybrzeżu czekała motorówka.
Po burej wodzie kanału skakały pierwsze plamy zmierzchu.
23
Więc powiedz, czy mnie kochasz?
Ależ kocham cię, mam, kocham cię powtarzał z całym
przekonaniem.
Kochałem cię jeszcze wcześniej, nim pojechałaś.
Pełen żar blask słońca przebijał się przez zasłony zawieszane na oknach.
Z lekkim szmerem pracowały aparaty chłodzące.
Marcin siedział na fotelu, matka stała przed nim w lekkim szlafrocisku.
Od wczoraj trwała przerwa w zdjęciach, "rógiła spędzać całe ranki w łóżku.

Jak mogłeś mnie kochać, skoro powiedziano ci, że nie żyję?

Ciocia rzeczywiście tak myślała.

Ale ja lubię wyobrażać sobie różne rzeczy, nawet takie, o których wiem, że są nieprawdziwe.

Może kiedyś będziesz pisał książki?

Może.

Kiedy zasypiałem, myślałem sobie nieraz: nagle wchodzisz, a ja wiem od razu, że jesteś mamą. I śniłaś mi się czasami.

Kochany mój.

Podbiegła do niego i mocno przycisnęła głowę Marcina dopiersi.

Pamiętał, kiedy pierwszy raz odkrył zapach jej perfum: to było wtedy na ulicy, gdy zobaczył matkę idącą razem

z panem Kunke.

Więc dlaczego uciekłeś?

wróciła do pytań, które stawiała mu od rana.

Ciągle nic nie rozumiem.

I Otton mówi, że nie może cię zrozumieć.

W jej głosie brzmiało zniecierpliwienie.

Marcin delikatnie wyzwoił się z uścisku.

Powiedział, jakby nie słyszał jej ostatnich słów:

Zawsze myślałem, że byłoby strasznie dobrze, gdybyś wróciła do mnie.

Znowu rozbroił ją tymi słowami.

Jesteś ogromnie kochany powiedziała.

Ale wiesz:

ja także o tobie myślałam.

Także wyobrażałam sobie, że cię w końcu znajdę.

Tyle się ciebie naszukałam.

Polecałam tę sprawę różnym biurom.

Ale biurach odnieść wiele mogli w Polsce.

Wtedy ofiarowałam nagrodę.

Zaczęły napływać listy.

Kiedy napisał ten Kunke, od razu byłam pewna, że trafił na właściwy ślad.

Dlatego sama przyjechałam.

Chodziłam po różnych urzędach, tłumaczyłam, przekonywałam, prosiłam.

Aż wreszcie odzyskałam ciebie.

Wolałbym rzekłabyś do mnie wróciła.

Przecież wróciłam.

Nie, nie wróciłaś.

Przyjechałaś, aby mnie zabrać.

To nie to samo.

Chciałabyś, abym była przyjechała do Polski i tam została.

No, tak.

Tak nie mogło być.

Jestem aktorką, mam kontrakty, muszę mieć możliwość poruszania się swobodnie po całej Europie, nawet po całym świecie.

Sama powiedziałaś kiedyś, że to nieprawda, co mówił Wendell, że artysta nie ma ojczyzny.

224

Tak, oczywiście, to nieprawda.

Ale ja wyszłam za męż.
Otton jest Niemcem jest dobrym człowiekiem.
Kocha mnie bardzo.
Robi wszystko, czego od niego zażądam.
Kocha ciebie;
 naprawdę ciebie kocha.
Powinieneś traktować go jak ojca.
 Otton jest dobry, przyznaję.
 Więc widzisz.
Nie żałuje ci niczego.
 Nie żałuje.
Ale mnie nie rozumie i ja jego nie rozumiem.
 Jesteś chłopcem, a on jest dorosłym.
W miarę jak będziesz rósł, zaczniesz go rozumieć.
 Nie.
Myślę, że kiedy będziesz starszy, jeszcze mniej go będziesz rozumiał.
 Dlaczego?
Co w nim jest niezrozumiałego?
 Nie wiem.
Może to, że jest Niemcem.
 Zmarszczyła brwi.
Usiadła na fotelu naprzeciwko Marcina, założyła nogę na nogę.
Poruszyła niecierpliwie stopą, a pantofel bez pięty kiwał się na końcu palców.
 Powiedziałeś wtedy przez telefon, że Otton poszedł ze Szwabami.
zaczęła.
Teraz mówisz, że nie rozumiesz Ottona, bo jest Niemcem.
W Polsce opowiadano ci na pewno Niemcach rzeczy bardzo złe.
 Czy były nieprawdziwe?
 Na pewno były prawdziwe westchnęła.
Musisz jednak pamiętać, że byli różni Niemcy.
Twój ojciec był przecie także Niemcem.
 Jak się to stało, mamo, że zostałeś jego żoną?
 Pochodziliśmy oboje z Gdańska.
Znaliśmy się od dziecka, mieszkaliśmy w tym samym domu.
Niemieckie, gdańskie rodziny żyły często blisko z polskimi rodzinami.
Nie było między nami nieprzyjaźni.
Twój ojciec, jako chłopiec, umiał popolsku.
Kiedy w mieście zaczęto formować oddziały hitlerowskie i hitlerowcy napadali na Polaków,
Heinz nigdy się dotego nie mieszał.
Ale wybuchła wojna i Gdańsk zajęto wojskiem niemieckim.
Potem ci, cobyli Niemcami, musielistać się nimizować wszystkim.
Heinz musiał iść do wojska.
Widział, jak ludność polska była prześladowana, bał się, co się stanie ze mną, gdy on odjedzie.
Choć byłam bardzo młoda, zaproponował mi, abym została jego żoną.
Zgodziłam się.
 Jako żona byłaś prześladowana?
 Tak, rzeczywiście uniknęłam w ten sposób prześladowania.
Ale byłam sama.
Rodzice umarli prawie jednocześnie, rodzeństwa nie miałam.
A Heinz był naprawdę bardzo dobrym chłopcem.

Co się z nim stało?
Był nafroncie wschodnim.
Nagle przyszła wiadomość,
15 Marcin.
225.

że zabrano go z frontu i zamknięto w więzieniu w Berlinie.

Nawet nie wiem za co.

Mówiono, że odmówił wykonania rozkazu.

Skazano go na śmierć.

Ty się urodziłeś, a on cię wcale nie widział.

Zostałam tylko z tobą.

Potem kazano wszystkim "uciekać".

Resztę wiesz, pewnie ci opowiadała ciotka.

Owszem, mówiła, że cię zabrali żandarmi.

Zabrali.

Byłam przerażona i wykrzykiwałam różne rzeczy przeciwko Hitlerowi i hitlerowcom.

Może byliby mnie nawet zabili, bo za takie mówienia w tamtych czasach karano śmiercią.

Ale nadleciały samoloty sowieckie i zbombardowały miasto.

Jedna bomba trafiła w koszary żandarmerii.

Powstała panika i my, więźniowie, mogliśmy uciec.

Ale nie wiedziałam, gdzie cię szukać.

Fala uciekinierów porwała mnie i uniosła aż za Bremę.

I wtedy się wojnaskończyła?

Tak, właśnie wtedy.

Zagarnęli nas Anglicy.

Nie mogłam dalej szukać ciebie, gdyż kazano nam zamieszkać w obozie dla uciekinierów i nie pozwolono się ruszać z miejsca.

I nie mogłaś wrócić do Polski?

Owszem.

Mówiono w obozie, że kto chce, może wracać.

Ale przyjeżdżali także różni Polacy tłumaczyli, że do kraju wracać nie należy, gdyż niedługo wybuchnie wojna.

Zresztą twierdzili, że gdybym wróciła, zaraz zostałabym aresztowana, jakożona Niemca.

A wreszcie nie wiedziałam, gdzie powędrowała kobieta, która ciebie wzięła.

To znaczy: ciocia?

Tak, kobieta, którą nazywasz ciocią.

Ona nie jest żadną moją krewną, prawda?

Nie, żadną.

Powiedziała, że cię weźmie, a ja dałam jej ciebie, bo się bałam, że mnie zabiją, a ty po prostu zginięsz bez opieki.

I co się potem działo z tobą, mamo?

Mieszkałam w obozie.

Zacząłam występować w amatorskim teatrze.

Wszyscy mówili, że mam talent.

Kiedyś przyjechał do obozu pan Wendell, ktoś mu o mnie powiedział.

Zaprosił mnie na rozmowę.

Mówił, że jeśli ukończę odpowiednie studia, będę mogła występować w filmie.

Zgodziłaś się?

Podobano mi się to.

Byłam bardzo młoda.

Pojechałam doszkoły filmowej do Wurzburga.

Ale byłabym zgineła, gdybym, "e p-oznała wtedy Ottona.

Wrócił właśnie z niewoli angielskiej i miał od razu poważne stanowisko.

Rozpoczynająca aktorka potrzebuje bardzo opieki i pomocy.

Nie da sobie rady, jeśli jest sama.

A Otton bardzo mnie kochał.

226 .

I

^

Potem zaczęłaś występować?

Tak.

Eryk dał mi od razu dużą rolę w nakręcanym przez siebie filmie.

I nigdy nie żałowałaś, że stałaś się aktorką?

Nie, dlaczego miałabym żałować?

Często skarżysz się, że ci jest ciężko, narzekasz na zmęczenie.

Zawód aktorki jest bardzo ciężki.

Ale daje także wiele radości.

I nigdy go nie rzucisz?

Kiedyś, gdy się zestarzeję.

Dla starych kobiet jest niewiele ról.

Ale myślę, że chyba jeszcze mam czas.

Prawda?

Sam powiedz w jej głosie pojawił się jakby niepokój powiedz sam, że twoja matka nie jest jeszcze stara.

Ależ naturalnie.

Nie jesteś wcale stara.

Jesteś młoda i śliczna.

Podbiegła do Marcina, przytuliła go do siebie.

Mój kochany, mój synek.

Palcami przeczesała jej jasne włosy.

Ja też myślę, że nie jestem wcale stara, że mogę jeszcze grać.

Chciałabym móc wystąpić w kilku filmach.

Po tym, który teraz nakręcamy, obiecują mi engagement do Ameryki.

Wygląda na to, że to już rzecz pewna.

I pojedziesz?

Naturalnie.

Z tego nie wolno rezygnować.

A co ja będę wtedy robił?

Ty, kochany, musisz się uczyć.

Zostaniesz w Diisseldorfie, będziesz chodził do szkoły.

Będziemy od siebie daleko.

Tak, to bardzo przykre.

Myślo tym psuje mi radość wyjazdu.

Ale w tej chwili niema na torady.

Musisz się

uczyć.

Będziemy do siebie pisywali.

A potem i ty przyjedziesz do Ameryki.

Słońce za zasłonami zgasło, jakby na okno opadła ciemna kurtyna.

Rozległ się głośny szum.

Gwałtowna rzymska ulewa spadła na wia Veneto.

Ale powiedz zapytał czy wtedy, gdy już skończysz

z Ameryką i gdy już nie będziesz chciała dłużej grać w filmie, wrócisz do Polski?

Do Polski?
patrzyła na niego, jakby nie rozumiała jego pytania.
Po co miałabym wracać do Polski?
Przecież tam się urodziłaś.
Jesteś Polką.
W Polsce nie mamnikogo.
Aw Niemczech będziesz ty, Otton.
Nie wiem, czy ja będę w Niemczech.

Jak to, nie wiesz, czy będziesz?

Przyjedziemy razemz Ameryki i zamieszkamy w naszym domu w Diisseldorfie.

Podszedł do okna, odsunął zasłonę i patrzył na ulicę w dole.

Auta oglądane z góry wydawały siębarwnymi prostokątami,jakby kłody drzewa spływające wąskim kanałem.

Deszcz jużstał, z kłębow poszarpanych chmur wyjrzało słońce.

Jegopromienie z nieprawdopodobną szybkością zlizywaływilgoć chodników.

Idący składali parasolki.

' I nigdy, nigdy nie wrócimy do Polski?

powtórzył swepytanie.

Może kiedyś pojedziemy tam na wycieczkę.

A gdybym jabył w Polsce, czy wróciłabyś do mnie?

",zapytał, nieobracając się do niej, wciążpochylony nad ulicą^;
za oknem.

^

Co ty opowiadasz?

szybkim krokiem podeszła do syna.

Położyła mu ręce na ramionach.

Dlaczego miałbyś byćw Polsce?

Bo ja niezostanę w Niemczech.

Martin!

krzyknęła.

Zmusiła go, aby zwrócił ku niejtwarz.

Ale on nie patrzył na nią,stał z głową pochyloną.

Martin.

powtórzyła.

W jej głosie było jakby przerażenie.

Co ty mówisz?

Powoli podniósł głowę.

Jego oczy spotkały cię z szerokootwartymi oczami matki.

Mówię, mammo, tak, jak jest.

Nie zostanę w Diisseldorfie.

Nie chcę zostać.

Jeśli mnie kochasz.

Na chwilęzabrakłoBIU głosu.

Przemógł słabość.

Jeśli mnie kochasz podjął pomożesz mi, abym wrócił do cioci.

Co ty mówisz?

Coty mówisz?

powtarzała, jakby ogarnęła ją gorączka.

Niedobry.

Dlaczego opowiadasz takierzeczy?

Powiedz, że to były tylko żarty.

No, mów.

To nie żarty,mammo.

Pozwólmi wrócić.

Nie żarty?

Nie.

Widział łzę, która spłynęła po jej policzku.

Usta kobiety drżały, kiedy zaczęłam mówić:

Sam zgodziłeś się pojechać ze mną, a teraz chcesz wrócić.

Dlaczego?

głos matki dygotał.

Przestałeś mnie kochać?

Kocham cię, mammo.

Więc dlaczego?

Wolnym krokiem wróciła na fotel, jakby poczuła się słaba.

Marcin stał dalej oparty o okno, ale zwrócony twarzą do matki.

Między Polakami i Niemcami istnieje nienawiść.

Za

czął.

Ty jesteś Polką, mój ojciec był Niemcem.

każde zdanie padało wolno.

Moim obowiązkiem jest pracować, aby tę nienawiść przewyciężyć.

To bardzo ładne, co powiedziałaś przyznała.

Trzeba walczyć z tą nienawiścią.

Często mówię, że trzeba starać się zmienić stosunek do Polaków.

Otton również, wierz mi.

I nie on jedyna.

Wielu Niemców mówi, że Polacy nie są wcale źli nie są winni temu, co się stało.

Czemu, mammo, nie są winni?

Temu, że zabraliście ziemię.

A Niemcy, mammo, nie byli niczemu winni?

Chciała coś powiedzieć, uniosła nawet dłonie w jakimś wymownym geście, ale zaraz pozwoliła im bezwładnie opaść na kolana.

Rzekła dziwnym, nieswoim głosem:

O tym mogłabym powiedzieć więcej niż ktokolwiek inny.

Więc dlaczego nie mówisz?

Milczała.

W ciszy słysząc było tylko jej szlochanie.

Mnie się zdaje, mammo podjąłże aby walczyć z nienawiścią, trzeba mówić.

Jeśli będę milczał, nie spełnię tego, co jest moim obowiązkiem.

Tam będę mógł mówić.

Będziesz mógł mówić o nienawiści.

Gdybym mówiło nienawiści, byłoby to tak samo, jakbym milczał.

Muszę mówić przeciwko nienawiści.

Ach, Martin!

wybuchnęła.

Opowiadasz dzieciństwa.

Nonsensy.

Co ty chcesz mówić?

Kto cię będzie słuchał?

Ktoś ci napłótnął jakichś głupstw, a ty temu uwierzyłeś.

Stanowczym ruchem potrząsnął głową.

To nie są głupstwa.

Cobędę mówił, nie wiem.

Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Chciałbym się także jeszcze trochę pobawić.

uśmiechnął się.

Tu masz ładniejsze zabawki.

Otton chce ci kupić skuter, A ja wyciągnęła do syna rękę, zamrugła długimi rzęsami przygotowałam dla ciebie niespodziankę.

Dostaniesz jamnika, ślicznego, rasowego jamnika.

Znowu potrząsnął głową.

Nie powiedział nic, ale ona zrozumiała jego gest.

Pochyliła głowę i zaczęła płakać.

Łzy spływały jedna za drugą po jej policzkach.

Twarz matki utraciła swój dziewczęcy wygląd.

Marcin, patrząc na nią, zobaczył znowu tamtą, ujrzaną w gazecie.

Podszedł do matki, przyklęknął.

Delikatnie gładził jej dłonie leżące bezwładnie na kolanach.

Powiedz, że żartowałeś szepnęła.

Jestem taka wyczerpana.

Żebyś wiedział.

Bardzo ci współczuję, mamie nie przestawał gładzić jej rąk.

Ale musiałem ci to powiedzieć.

Nie chcę drugi raz uciekać.

Podniosła głowę, patrzyła na niego pełnym zdumieniem i wzrokiem.

Więc ty uciekałeś do Polski?

Tak.

Chociaż wcale o tym nie wiedziałem.

Ktoś cię zbuntował?

Nie, nikt.

Na pewno ktoś cię namówił.

Słuchaj, Martin chwycił jego dłoń, to, co mówisz, to są poetyckie rojenia.

Walczyłeś nienawiścią?

Naturalnie, każdy się z tym zgodzi.

Ale urośniesz i zrozumiesz, jacy są ludzie.

Istnieją konflikty, których nie można rozwikłać.

Trzeba o nich zapomnieć.

Istnieją wspomnienia, które można tylko zagłuszyć.

Nie masz żadnego obowiązku, jak tonazwałeś, aby walczyłeś nienawiścią.

O takich rzeczach piszą poeci, ale nie ma ich w życiu.

Wierz mi.

Ten, coci o tym opowiadał, pewnie pisuje wiersze.

Nie mógł się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem.

Ach nie, mamie, nie zapewnił ją.

Ten, kto mi o tym mówił, na pewno nie pisuje wierszy.

Wcale nie wygląda na takiego, co pisze.

Śmiał się, żartował.

A jak wcinał bolońską mortadellę razem ze mną!

Aż siostra Bonifacja dziwiła się, żeśmy tyle zjedli.

24

Po południu Marcin udał się na Monte Parioli do ambasady.

Nareszcie poprzedniego dnia przyszło zawiadomienie, że ma się tam zgłosić w sprawie powrotu do kraju.

Dzień był bardzo piękny i chłopiec zamiast wsiąść do trolejbusu wędrował alejkami Villa Borghese.

Ławki zajęte były przez żywo z sobą rozmawiające kobiety.

Przy nich stały wózki, w których w promieniach październikowego słońca spały czarne włosy dzieci.

Inne bawiły się w pobliżu.

Liście nadrzewach zaczynały się już kurczyć i pomiędzy nich wyglądały białe posągi.

Załatwianie formalności związanych z powrotem trwało bardzo długo.

Lato Marcin spędził z matką i ojczymem częściowo w Saint Tropez, a częściowo na wybrzeżu morskim koło San Sebastian.

I matka, i Otton robili wszystko, aby Marciniowi uprzyjemnić pobyt.

Zaznał wielu oszałamiających przyjemności.

Próbował jazdy na nartach wodnych i na mo

irówkach, kąpał się w morzu, jeździł popłazach na grzbiecie siołki, pływał na żaglówkach.

Otrzymał też obiecany skuter.

Rozrywki modnych miejscowości były do jego dyspozycji, więc ich próbował.

A jednak nie zmienił decyzji: chciał wracać.

Napoczątku jesieni matka i Marcin przyjechali do Rzymu, aby obejrzeć próbne zdjęcia z ostatniego filmu.

Tu nastąpił rozstanie.

Jak było przewidziane, matka z Wendllem zamierzali odlecieć do Ameryki, aby podjąć pracę nad nowym, kręconym w Hollywood filmem.

Zimą mieli przyjechać do Europy na premierę filmu nakręconego w Terracynie, który zapowiadał się jako sensacja najbliższego festiwalu w Cannes.

Przez kilka ostatnich dni przed wyjazdem matka nie rozstawała się z Marcinem.

Od rana do wieczora był z nim.

Spacerowali po Rzymie, jadali w malutkich trattoriach, zachodzili do mrocznych, rozkosznie chłodnych kościołów.

Więc jednak wracasz?

Nic nie zmieni twego postanowienia?

Jeszcze raz pytała matka ostatniego wieczoru.

Siedzieli w trattorii na Trastevere.

Ze spowitej w ciepłym mroku ulicy dochodziły rozmowy, śpiewy i warkoty Vesp.

Wnętrze trattorii pachniało pomarańczami, pomidorami i winem.

Wiesz przecież, mamo powiedział z powagą że tak trzeba.

Westchnęła.

Jej twarz się zmieniła.

Chwilami ogarniał ją smutek i wtedy rysy jej twarzy straciły swe piękno.

Ale zaraz potem, jakby czując wzrok patrzących na nią ze wszystkich stron, ludzi, opanowywała się, ukrywała swój żal pod uśmiechem.

Wiem tylko jedno, że odjeżdżasz.

rzekła.

A ja zostaję sama.

Masz film.

Słyszałem, że pan Wendell spodziewa się potym, który macie robić w Ameryce, wielkich sukcesów.

Tak, rzeczywiście ożywiła się na moment.

Interesuje cię to, kochanie?

Wszystko mnie interesuje, co dotyczy ciebie, mamo zapewnił.

Masz w nim dużą rolę?

Tak, bardzo dużą.

A poza tym akcja rozgrywać się będzie na tle spaniałej scenarii.

Obiecano Erykowi wielki fundusze.

Mówiłam ci już, że to będzie film kostiumowy.

Samych toalet dla mnie mają przygotować około czterdziestu.

No i będą tysiące statystów, wzniesie się całe budowlę.

Ale już ożywienie przygasało.

Wrócił smutek.

Oo mi z tego?

mówiła.

Nie będę miała ciebie.

Masz mnie zawsze.

Daleko, w Polsce.

231.

Nie tak znów daleko.
Będziesz mogła przyjechać.
A Łiendyś może zdecydujesz się wrócić.
Może.
Może kiedyś rzeczywiście.
Teraz, gdy ty tanibędziesz.
Widzisz!
Chciałbym, abyś przyjechała jak najszybciej.
Tak, oczywiście.
Ale teraz mogę przecież jeszcze grać.
Naturalnie.
Jesteś taka młoda, tak apiękna.
Nauczyłeś się, widzę, mówić matce komplementy.
To nie są, mamó, komplementy.
Toprawda.
Naprawdę?
Ty naprawdę myślisz, że jestem jeszcze młoda?
Miał wrażenie, iż rzeczywiście nauczył się mówić pewnerzeczy, o których wiedział,
że sprawiają matce radość.
To niebyły komplementy to było tylkoszczere pragnienie dopomożenia jej w trudnej chwili.
Jemu to rozstanie takżenie przychodziło łatwo.
Alezdawałsobie sprawę, żebędzie dla niego łatwiejsze niż dla matki.
Miał w kieszenilisty, które sprawiały mu radość.
List od ciotki był krótki: "Nie wiem, jakdziękować Matce Przenajświętszejpisała.
Splakałam sięjak chyba nigdy w życiu.
Więc znowu będziesz ze mną.
Jaki Bóg jest dobry.
On nibydotykaczłowieka, ale robi to tylko po to,by mu potem daćjeszcze więcej.
Zapaliłam wszystkie świece przedobrazemMatkiBoskiej Częstochowskiej.
Sama nie wiem, jak dziękować.
" Przeszedł także list od księdza Wionczka: "Czekamyniecierpliwie twojego przyjazdu,
Marcinku.
Musisz namwszystko opowiedzieć, co widziałeś na świecie.
A przede wszystkimbędziemy chcieli od ciebie wiadomości z Rzymu.
Byłeś świadkiem takich wielkich wydarzeń.
Pewnie oglądałeś pogrzebpapieża?
Teraz zobaczysz wybór nowego.
Kiedyten list dostaniesz, może już będzie po wyborze?
Musisz nam opowiedzieć dokładnie.
" Pani Kamińska pisała: "Ogromnie jestemrada, że zdecydowałaś się na powrót, i dumna
jestem z ciebie.
Pozostałeś Polakiem.
Przynosi to honor nam wszystkim, którzy byliśmy twoimi nauczycielami i wychowawcami.
Umiałaśwybrać między bogactwem iprzyjemnościami, jakich ci napewno niebrakło, a
trudnościami, które na ciebie w krajuczekają.
Jest stare łacińskiepowiedzenie: Tam ojczyzna, gdziedobrze.
Ale to jest zasada ludzi, którymnie zależy na ojczyźnie, którzy jej nie kochają.
Wracaj, wracaj jaknajprędzej!
Straciłeś rok ale to nic.

Załatwiłam wszystko, abyś drugiego roku nie stracił, choćbyś się nawet spóźnił.

Klasa, w której będziesz, jest bardzo przyjemna.

Spotkasz w niej swego przyjaciela, Tomka.

Tomek zimuje, gdyż wciąż nie wie, kiedy

232

n

należy pisać, a kiedy rze.

" O tym, że pani Kamińska myślała, Marcin mógł się przekonać z listu Tomka: "Spiesz się z przyjazdem, bo pani Ziemska będzie miała zaraz szczeniaki i powiedziała, że schowa dla ciebie jednego, jeżeli chcesz, a jak nie chcesz, to ona będzie miała znowu szczeniaki i jeszcze ładniejsze na wiosnę i Kamińska teraz nie jest wychowawczynią, tylko Matysiakowa, i jest całkiem w dechę.

A te szczeniaki Ziemskiej są wszystkie czarne i dziewczyn w tej klasie mniej niż w tamtej, ale są jeszcze bardziej pyskate.

"

Dawne sprawy powracały niby przypływ: zalewały wszystko, co zbudował czas odpływu.

Tym więcej żałował matki:

na jej wybrzeżu morze było zawsze dalekie, niczego już nie mogło zniszczyć ani przynieść.

Gdyby zechciała wrócić!

Ależycie tutaj nauczyło Marcina przedwczesnej dojrzałości.

Może dlatego tak bardzo pragnął cofnąć choćby na krótką chwilę spieszący się zegar!

Matka wyjechała.

Podczas jej odlotu znajdował się na Ciampino.

Ale na lotnisku była to już tylko gwiazda filmowa, rozdzielająca uśmiechy i wyrażająca ufność czekające ją sukcesy.

Tego samego dnia odjechał do Dusseldorfu Otton.

Żegnał się z Marcinem serdecznie i nawet proponował mu, aby do czasu załatwienia formalności pojechał z nim do Republiki Federalnej.

Opowiadała matka, mówił że postawił sobie za cel życia pracę nad zmianą stosunków między Polakami a Niemcami.

To bardzo piękny zamiar.

Ale musisz być przygotowany na to, że nie będzie to łatwa praca.

Ta nieszczęśliwa sprawa ziem zajętych przez Polaków.

Ja osobiście nie jestem temu przeciwny.

Ale za dużo jest nas ludzi, którzy nie chcą tym nawet słyszeć.

I człowiek, który by o tym unas mówił głośno, straciłby wszelki posłuch, choćby był nie wiadomo kim.

Otton pozostawił Marcina widość pieniędzy, aby chłopiec mógł mieszkać w przyzwoitym pensjonacie.

Marcin odnalazł Marię i w jej towarzystwie odbywał wędrowki po Rzymie.

Przekonał się, że to, co mówiono, było prawdą: nawet po kilkumiesięcznym pobycie wciąż jeszcze było wiele do zobaczenia w Rzymie.

Stary papież, ascetyczny Pius XII, umarł w Castel Gandolfo.

Od chwili jego pogrzebu wszystkie sprawy w Rzymie przesłoniła kwestia, kto będzie jego następcą.

Mario przybiegał codziennie rano rozgorączkowany.

Opowiadał Marcina winowiny ojeżdżających się kardynałów.

Potem zaczęło się.

S konklawe: kardynałowie zamknęli się w Kaplicy Sykstyńskiej na obrady, podczas których miał nastąpić wybór nowego papieża.

Kilka razy dziennie odbywało się głosowanie i codziennie rano o południu Mario prowadził Marcina podmurkałaję państwo watykańskie.

Ponad murem widać było narożnik domu i sterczący mały komin.

Po rannych i popołudniowych głosowaniach z komina przez krótką chwilę unosił się dym to palono kartki, na których głosowali kardynałowie.

Już trzeci dzień nad kominem unosił się dym czarny, co było znakiem, że wybór nie został jeszcze dokonany.

Czekający tłum stał się każdego dnia bardziej zniecierpliwiony i podniecony.

Na chwilę robiła się głucha cisza, a potem gdy już barwa dymu stawała się oczywista z tysięcy ust dobywało się westchnienie zawodu.

"Chodź, Martino, napijmy się czegoś" proponował Mario.

Zdenerwowała się.

Santa Maria, kiedy się oni nareszcie pogodzą!

"Mario nieustannie robił przypuszczenia.

Nazywało się to u niego "combinazioni".

Próbował także w różny sposób wróżyć.

Rozkładał na przykład gazetę, na której znajdowały się fotografie branych na konklawe kardynałów, zamykał oczy i na ślepowodził palcem.

Nagle otwierał oczy i wydawał triumfalny krzyk.

Zaraz jednak zaczynał się drapać w głowę.

"Nie, to niemożliwe" stwierdzał.

Papieżem nie może być ktoś z Ameryki Południowej.

Nie, nie.

Papieżem nie może także zostać kardynał ze Stanów Zjednoczonych.

Mamma mia, jeszcze by palił cygaro, siedząc na papieskim tronie!

Francuz nie, Hiszpan nie.

Niemiecnie, o nie!

Musi być uno Italiano.

Ale kto'?

Ottaviani?

Ruffini?

Ciraci?

Może Canali?

^Kiedy tego rana z komina buchnął znowu czarny dym Marcin zostawił Marcina pod murem, złapał taksówkę, wjechał na Pincio, a później powędrował alejkami Villa Borghese.

Sprawa powrotu przestąpiła mu problem wyboru nowego papieża.

Uliczka między niskimi murkami, za którymi stały eleganckie wille w ogródkach, a wśród zieleni białe fragmenty starych żeb, prowadziła kretę w górę.

Na słupie bramki wisiała złota tablica.

Ach, to ty przywitał Marcina sekretarz.

Dobrze, że przyszedłeś.

Wszystkie twoje sprawy są nareszcie załatwione i będziesz mógł jechać choćby jutro.

Ale mam dla ciebie inną wiadomość: jest w Rzymie ktoś, kogo dobrze znasz kto za parę dni wraca do Polski.

Jeśli będziesz chciał, możesz się z nim zabrać, a wtedy dojedziesz prosto do domu.

Kto to taki?

Nicci nie powiem, póki go nie zobaczysz.

Poczekaj.

Sekretarz połączył się wewnętrznym telefonem.

Mówił, a jednocześnie patrzył na Marcina i uśmiechał się tajemniczo.

Marcin nie mógł odgadnąć, z kim sekretarz rozmawia.

Czekając na przyjście tamtego człowieka, kartkował leżące na bocznym stoliku numery pisma "Polonia".

Ale w rzeczywistości nie widział ani .

roztańczonych postaci dziewcząt ze "Śląska", ani polskich lekkoatletów, którzy stali się sensacją sportową Europy.

Biło mu serce.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich inżynier Szawelski.

Spoza jego pleców wyjrzały szare oczy i opadające na czołwłosy.

Choć bardzo wyrosła i zmieniła się w ciągu roku Marcin od razu poznał Ankę.

Szawelski podszedł do Marcina z wyciągniętą przyjaźnierką i Marcin zerwał się szybko z krzesła, aby się z nim przywitać.

Dawne urazy i pretensje zniknęły.

Niczego z tamtych rzeczy nie pamiętał.

Razem z Szawelskimi przeszłość stała się nową widzialną i dotykalską.

Ale wyrosłeś!

powiedział inżynier.

Ledwo cię można poznać.

Zmężniałeś, głos ci się nawet zmienił.

Popatrz, Anka, poznajesz swego dawnego kolegę?

Poznaje.

Cześć, Marcinona także uścisnęła mocno jego dłoń.

Byłeś dawniej mniejszy ode mnie, a teraz jesteś wyższy.

Oglądała go od stóp do głów.

Strasznie się zrobiłeś elegancki.

I taki jakiś.

szukała właściwego słowa.

Cieszę się, że wracasz.

Jesteśmy samochodem i jeśli chcesz, możesz jechać z nami.

Byłbym bardzo wdzięczny.

Mówisz taką cholerną dystynkcją, aż trudno uwierzyć, że to jesteś ty.

Szkoda, że straciłeś rok i nie będziemy już razem.

Żałujesz?

No pewno.

Trochę kłóciliśmy się, ale było dobrze.

Słuchaj, Marcin powiedział Szawelski.

Ty pewnie naszobecnie Rzym jak własną kieszeń, co?

Weź Ankę i pokaż jej trochę miasto.

Strasznie chciałem iść z nią sam, ale wypadła mi pewna konferencja.

Możesz to zrobić?

Ależ bardzo chętnie.

Jeżeli tylko zechcesz wrócić się do Anki mogę ci pokazać wiele, wiele rzeczy.

Oczywiście, że chcę.

Przyjechałam do Rzymu, aby coś zobaczyć, a tatek tylko wysiaduje na jakichś idiotycznych.

No, tylko bez przymiotników Szawelski przerwał córee.

Weź ją w takim razie, tylko nie zgub gdzieś po drodze.

Nie zna ani miasta, ani języka.

Chcesz, pojedziemy pod Watykan zobaczyć, czy nie wybrali już papieża?
zapropozował.

Od trzech dni wybierają.

Już było dziesięć głosowań.

Za godzinę będą znowu palić

kartki.

Może znajdziemy Marię, to taki mój przyjaciel.

Byczy facet.

Tatek, jadę do tego papieża!

Jedź!

Żeby tylko ciebie nie wybrali na papieżycę.

A była kiedyś papieżycą?

Nie, nie było, jest tylko legenda o papieżycy Joannie.

Wracajcie prędko.

Chyba wieczorem, proszę pana rzekł Marcin.

Jak to wieczorem?

Gdzie wy chcecie łązić?

Nie martw się, tatek, nie zgubimy się.

W Rzymie, proszę pana, nie warto inaczej.

Zjemy kolację w jakiejś trattorii.

Kolację?

W trattorii?

Czy wyście poszaleli?

Nie możliwe.

Możliwe, tatek, możliwe.

A ty niepał za dużo na tej

twojej konferencji.

I nieprzeróbcie zanadto świata, dobrze?

Ciao!

Anka pocałowała ojca i oboje z Marcinem galopem wypadli
z ambasady.

Sekretarz patrzył kąpiąc na Szawelskiego, który stał na środku pokoju oszołomiony.

W Rzymie się szybko dorasta, towarzyszu.

powiedział.

Anka i Marcin przebiegli ogródek przed ambasadą, zatrzasnęli za sobą bramę i
popędzili w dół ulicą, jakby ich ktoś gonił.

Widzę, że się zrobiłeś całkiem doświadczony powiedziała, kiedy wreszcie zwolnili
kroku.

Dawniej się tylko kłóciłeś.

Miał ochotę odpowiedzieć, że to ona się tylko kłóciła, ale taki był zadowolony z jej
towarzystwa i z możliwości popisania się przed nią swą wiedzą o Rzymie, swym
życiowym doświadczeniem, że przyjął to wspomnienie uśmiechem.

Szli ciągle prędko, rozmawiając jednocześnie na sto tematów.

Nawinęła się taksówka.

Marcin zatrzymał ją pewnym gestem.

Otworzył drzwi:

Pozwól.

Trzeba się pospieszyćdym.

jeśli chcemy zobaczyć^jej wzroku wyczytał rosnące'

Nic nie powiedziała, ale w jej -wciążle uznanie.

Potem,jeśli zechcesz, pojedziemy na via Nazionale zaproponował, kiedy jużzjeźdzali na most naTybrze.

Pokażę ci sklep, w którym kupiona byłatwoja Sylwia.

Pamiętasz Sylwię?

Pamiętam.

Taka czarna.

Znamdobrze ten sklep.

Alemoże cię już lalki nie obchodzą?

Obchodzą.

A wiesz ciągnął byłem także w sklepie z zabawkami na Kalyerstraat wAmsterdamie.

To stamtąd stryjek przywiózł Pankraca.

Pamiętałem tym.

Masz, psiakość, dobrą pamięć.

Nie najgorszą.

A ojakim to dymie mówiłeś?

Gotują obiad?

Nie wiesz?

Wybierają papieża.

Wiem, żartowałam.

A ty wiesz, kogo wybiorą?

Nie.

Mario układa różne combinazioni, ale nie wiem, coz tego wyjdzie.

Ojej,patrz, coś się stało.

Tyle ludzi?

To właśnie ci, co czekają.

Parotysięczny tłumkłębił się pod murem.

Ale choć byłotak wiele osób, odrazu wpadli na Maria.

Martino!

Vieni presto, presto!

Tylkopatrzeć,jak buchnie dym.

A co to za moltosimpatia signorina?

Mojakoleżanka z Polski.

Przyjechała do Rzymu.

Będęwracać razem z nią i z jej ojcem.

Molto bene.

Zawsze jesteś szczęśliwym chłopcem.

Aleteraz patrzmy.

Już rozpalili ogień, widzisz?

Nad kominemdrżało rozgrzane powietrze.

Zaraz zobaczymy.

Jakiesą dzisiaj twoje combinazioni?

Niejasne.

Ciągle wypada coś innego.

Dziś wyszedł Murzyn.

To może go wybiorą.
Tam jest chyba jeden Murzyn,
Jest.

Ale nie mogą go wybrać.

Musi być unoItaliano.

A jak nie będzie uno Italiano?

Marcin drażnił się Marinem.

Co ty opowiadasz?

Musi być!

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle położył palec na ustach.

Nad tłumem zawisła cisza pełna napięcia.

Przez chwilę.

słysząc było warkot aut aż gdzieś, chyba za Tybrem.
Potemzkomina buchnął kłębki dymu.

Blanco!

Blanco!

zerwał się krzyk, araczej ogłuszający wrzask.

A zaraz potem: Papa!

Papa!

Evviva Papa!

Co się stało?

Anka pociągnęła Marcina za rękaw.

Wybrali papieża.

Kogo?

Jeszcze wiadomo.

To dlaczego wszyscy się tak cieszą?

Przez chwilę zastanawiał się, co ma jej odpowiedzieć.

Cieszą się rzekł ponieważ nastąpiła zgoda.

Ksiądz Wionczek mówił, że papieża wybierają kardynałowie, ale wybierają tego, którego im wskaże Duch Święty.

Więc jeżeli jest Zgoda, to znaczy, że Duch Święty przemówił.

Ale ty pewnie wiesz.

Wiem!

przerwała mu.

Myślisz, że jestem całkiem głupia?

w głosie dziewczynki zadźwięczała uraza.

Tymczasem tłum, stojący dotychczas w miejscu, nagle ruszył pospiesznym krokiem, który przeszedł zaraz w bieg.

Wszyscy na wyścigi pędzili uliczką prowadzącą wzdłuż muru.

Biegając, popychano się, potracono.

Ludzie nie przestawali krzyczeć.

Z bocznych uliczek wypadały nowe gromady.

Kupcy wyskakiwali ze sklepów, kelnerzy w białych marynarkach z trattorii.

Padły gorące pytania.

Abbiamo Papam?

Era fumo bianco?

Si! si!

odpowiadali biegnący.

Mario nawoływał:

Presto Martino!

Presto bella signorina!

Dokąd tak lecimy?

pytała zadyszana Anka.

Na plac Świętego Piotra.

Poco?

Pokaże się tam papież.

Ale zabawa!

aż klasnęła w dłonie.

Masa ludzka potężniała z każdą chwilą, ściśnięta w wąskiej uliczce, skłębila się, gdy ludzie wpadli pod kolumnadę Berniniego.

Przewrócono kiosk z gazetami, potracono wózek z owocami.

Złote pomarańcze toczyły się po bruku pod nogami biegnących.
Sprzedawca, zamiast je zbierać, sam biegł razem z innymi.
Spomiędzy kolumn przedostało się na plac.
Teraz dopiero można było zdać sobie sprawę z jego ogromu.
Czarnamasa, niby wylewająca się na skalną płytę lawa, zdawała się toczyć o wiele wolniej.
Opływała fontanny, dotarła do schodów prowadzących do bazyliki, a przecież wciąż jeszcze
była wielkimi skałami.
Przed schodami tłum się zatrzymał, jakby na 238
potkał niewidzialną przeszkodę.
Z bocznej bramy spieszylibarwnie ubrani żołnierze papiescy, aby utworzyć kordon.
Ze wszechstronnie nowymi gromadami ludzi.
Szli także grupkami księży, zakonnicy i zakonnice.
Zaczęły bić dzwony.
Nad spowitym mglistym jesienią słońcem unosił się metaliczny
Dźwięk.
Mimo swej wielkości plac wypełnił się ludźmi.
Jasny bruk przysiadł pod czarną cizbą.
Można było myśleć, że wszyscy w mieście tylko na to czekali, aby móc porzucić swoje zajęcia i
przybiec tutaj.
Krzyki przemieniały się w bulgoczący, potężny gwar.
Zebrani mówili, dyskutowali, spierali się, przekonywali się wzajemnie.
Mario nie przestawał
snuć swych kombinacji.
Do jego uwag wtrącał się stojący obok.
Raz poraz wybuchał straszliwy spór:
A ja wam mówię, że to będzie Canali!
Skądże!
Stupidita!
Na pewno Ciriaci!

Ech, uomincciuolo, mylisz się.
Mimmi.
Wiem to na pewno.
Słońce ukryło się za frontonem bazyliki.
Było coraz ciemniej, zapalały się latarnie.
Dzwony ciągle biły.
W czerwonych sutannach niby poczet młodziutkich kardynałów pizatych, chłopięcych
twarzach przedefilowali uczniowie niemieckiego seminarium.
Anka co chwila trącała Marcina, aby mu pokazać jakiś niezwykły widok.
Tu stała czarna od stóp do głów grupa murzyńskich księży.
Tam widać było podkornetami zakonnymi żółtawe twarze i skośne oczy Japończyków czy Malajek.
W tłumie zaczęły trzeszczeć małe radiotranzystory .
; we.
Ale i one nie przynosiły wyjaśnienia, kto został wybrany.
Jakośmi tak dziwnie powiedziała cicho Anka.
Spojrzała na nią zaniepokojony.
Czy źle się czujesz?
zapytał.
Choć ta propozycja wiele kosztowała, rzekł: Jeśli chcesz, możemy stąd iść.
Nie, ależ nie!

sprzeciwiła się gorąco.

Nie ma mowy, abyśmy teraz odeszli.

Musimygo zobaczyć.

Ten papież jest tylko wasz, katolicki, prawda?

Ale wiesz, mnie takżeniepokoi, kto nim będzie.

Jak myślisz: kogo mogą wybrać?

Niewiem.

Mówiłem ci już, że niewiem.

Nagle zapaliło się kilka potężnychreflektorów.

Strumienieświatłaskierowane zostały na balkon.

Nad mrowiem ludzkimprzeleciało westchnienie jak długi okrzyk.

W oślepiającymblasku ukazał się jakiś człowiek ze złoto-białą chorągwiąw ręku.

Wśród gwałtownych oklasków zatknął jąna balkonie.

Oklaski przeszły wniecierpliwe krzyki.

239.

Chi?

Chi   Papa?

Kto jest papie em?

Kogo wybrano?

Kogo?

Na balkon z majestatyczn powolnoci zaczęły wstępować ustawić się szeregi  ółto-granatowych gwardzistów z halabardami w rękach i rycerzy gwardii szlacheckiej w kirasjerskich hełmach," z obna onymi pałaszami, w których  łówniach b ysk reflektorów odbijał się b yskawicami.

Popłyn d ługiszereg księży, prałatówi biskupów w kom ach i barwnych okryciach.

Orkiestra gwardii, która tymczasem ustawiła si na schodach, zagrała marsza.

Gdy skończyła zrobiła się  łucha cisza.

Wielotysięczny tłum zamarł w oczekiwaniu.

Naprzecie balkon pojawiła się drobna czerwona figurka kardynała.

Ogłaszamy wam radosn nowinę mówił  łos, spotęgowany przez liczne  łoniki.

Mamy papie a!

Wznosząc się krzyk zag uszył imię wybranego kardynała.

Marcin us łyszał tylko: .

który przyjął imię Jana XXIII.

Kto?

Kto?

wrzeszczał Mario szarpiąc ssiadów.

Santa Maria!

Kto?

Ciriaci?

Co? Ciriaci?

Nad placem zapanował nieprawdopodobny zgie k.

Tłum krzyczał, wiwatowa , klaska .

Papa Giovanni?

Papa Giovanni!

Evviva Papa Giovanni!

Dzwony biły, kierowcy aut zaparkowanych przy granicy państwa watykańskiego zaczęli naciskać klaksony.

Zdawało się, że hałas nie może być ju  wi kszy.

A jednak jeszcze się wzmog , gdy na tle kolorowej i z otej siany gwardzistów, w strumieniach krzyżujących się reflektorów pojawiła się biała postać w narzuconym naramiona płaszczu.

Gruby ksidz!

wrzasnął Marcin.

Nie miał wtpliwoci.

To by a ta sama krępa, niezapomniana sylwetka, wielka twarz, odstajce uszy i ten u miech u miech, który odpędza  lęki, napełnia  otuch.

Co za ksidz?

Jaki ksidz?

pyta a Anka.

Gruby ksidz mówił gorczkowo.

To ja go tylko tak nazwa em.

By em u niego, znam go.

Jad em z nim kolacj.

To patriarcha Wenecji.

Nazywa się Angelo Roncalli.

Żebyś ty, Anka, wiedziała, co to za cholernie fajny typ!

Papa Giovanni!

Papa Giovanni!

darły się tysiące ust.

Mario nie krzyczał.

Powiedział do Marcina:

To patriarcha Roncalli.

Bardzo dobry człowiek.

Ale stary.

To nic!

Marcin płonął entuzjazmem.

Ja go znam.

240

fiwcaiaaeas-assaK'.

:

yłem u niego.

Opowiadałem ci przecież.

To t a i człowiek.

feszczepodobnego nie widziałem.

Stary Mario trząśże smutkiem głową.

Na takie:zasy nie powinno się wybierać starego.

Wcale nie tak stary.

A żebyś wiedział, jak go w Wenecji wszyscy kochają!

Papieża, Martino, nie tylko trzeba kochać.

Ci tam, kołonięgo, tylko myślą o swoich interesach.

Będą chcieli rządzić nim.

Czy taki stary człowiek jak on będzie miał siłę, abych wziął łeb?

A ja ci mówię, że oni go będą tak kochali i zrobią wszystko, co on zechce upierać się

Marcin.

Mówię ci, że to będzie największy papież!

-O czym ty mówisz?

pytała Anka.

-Mówię ^Mariowi, że to będzie największy papież.

Zobasz, Anka.

To taki człowiek, że jak na niego patrzysz, to cię chce śmiać, ale potem to byś go tylko

całowała w rękę wszędzie, dokąd iść każe.

Dziewczynka patrzyła.

Uśmiechnięty papież odpowiadał geami uniesionych wielkich dłoni na entuzjazm tłumy.

Ja myślę powiedziała wolno, z zastanowieniem żelasz rację.

Napewno ją mam!

zapewnił.

Myślę, że masz.

powtórzyła.

Ludzie krzyčili.

Benedizione!

Benedizione!

Papież zrobił gest wyrażający zgodę.

Zgiełk z wolna ucichał.

Po dobrej chwili nad placem rozciągnęła się cisza tak wielka, że można było słyszeć, jak na ścieżkach Gianicolo spadają z drzew małe, czarne szyszeczki.

Ludzie zaczęli klękać.

Morze głów pochyliło się nisko.

Co teraz będzie?

usłyszał przy swoim ramieniu szeptkłęczącej Anki.

Papież będzie błogosławił.

Każdego?

Naturalnie zapewnił.

W ciszy rozległ się głos, ten sam, który Marcin pamiętał tak dobrze z tamtego wieczoru.

Tylko teraz wydał mu się mocniejszy, choć po dawnemu łagodny.

Tłumy waliły środkiem jezdni alei della Conciliazione.

Ruch kołowy zamarł.

Policjanci w białych rękawiczkach stali bez X Marcina.

241.

radni.

Jeszcze gdzieś daleko w różnych stronach miasta były dzwony.

Za cztery dni wracam powiedziała.

Cieszę się, że jedziesz z nami.

I twój ojciec nie ma nic przeciwko temu?

Coś ty?

Tatek sam zaproponował sekretarzowi, że cię zabierze.

Wiesz, on cię lubi.

Dawniej wydawał mi się taki jakiś.

Machnął ręką, oddalając owym gestem ten fragment przeszłości.

Ale teraz ja go lubię.

Tatek jest fajny zapewniła.

Tak się cieszył, że jedzie do Rzymu.

No, bo Rzym.

Sama chyba widzisz?

Możesz nie mówić.

Chwilę szli w milczeniu.

Ciekawy jestem rzekł Marcin zamyślony czy onby mnie poznał?

Kto?

Papież.

Na pewno.

Dlaczego tak myślisz?

Bo on musi być właśnie taki.

Odrązu to widać.

Tacy nie zapominają.

Mario opowiada, że jest za stary.

Ten twój Mario to zupełny idiota!

powtarzała zeszczerym przekonaniem.

Znowu szli jakiś czas bez słowa.

Tłum, który ich otaczał zwartym murem, począł się rozpraszać za mostem.

Ludzie znikali w bocznicach korsa Wiktora Emanuela.

Anka i Marcin byli zmęczeni długim stanieniem i wrażeniami, a jednak żadne z nich nie miało ochoty wsiąść do jakiegoś pojazdu.

Noc była łagodnie ciepła.

Z otwartych drzwi ratorium dochodziła muzyka.

Idąca naprzeciwko nich dziewczyna z koszykiem kwiatów zatrzymała się przed Marcinem.

Signora powiedziała uno fiorellino per signorina.

Wziął bukiet i z szarmanckim gestem wręczył go Ance.

Proszę cię.

Odpowiedziała mu ukłonem, niby rokokowa dama, a potem wybuchnęła śmiechem.

Ale się zmieniłaś.

powiedziała.

Kpiła, ale w tonie jej głosu zabrzmiało coś, co przypomniało Marcinowi tamten wieczór u Szawelskich.

Czy będziemy się znowu wspólnie opiekowali gabinetem przyrodniczym?
zapytał.

Koniecznien.

Tylko ty wiedziałeś, co trzeba robić.

Będę w młodszej klasie.

Możenie zechcesz.

Gadasz głupstwa.

Będziemy razem w drużynie i obojezaopiekujemy się gabinetem.

Zobaczysz, jakiemamy terazchomiki.

Bardzo jestem ciekawy.

Po powrocie zamieszkaasz po staremu u ciotki?

Naturalnie.

Pisała mi, że kazała zrobić remontw mieszkaniu i sama pomalowała ściany.

Tvoja ciotka jest fajna.

Zaopiekowałaś się Bobikiem.

Twoim Ramzesem?

podniósł na Ankę zdziwioneoczy.

Bobikiem powtórzyła.

Jak wyjeżdżałam, musiałampsu u kogoś zostawić, tam gdzie by mu było dobrze.

Twojaciotka powiedziała, że chętnie go weźmie do siebie.

Na pewnodbaa niego.

Napewno.

Ale przecieznazwałaś go Ramzesem?

Chciałam tak nazwać.

Ale to było zanadto wymyślne,nie, takie dęte,rozumiesz?

Lepiej, jaksie nazywa Bobik.

Nie powiedział nic.

Spoza ciemnejściany pałacu, którywłaśnie mijali, dostrzegli plac Wenecki zamknięty piramidą schodów ipotęzną ścianą kolumn; z jej szczytu w czarne niebow smudze reflektorów zdawały się galopować spiżowe rydwany.

Zatrzymała się.

Jakiś czas patrzyłana ten widok ogarniętapodziwem.

Aż westchnęła.

Ten twój Rzym jest bajkowy.

Warszawa,dnia 25 kwietnia 1967.

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 1979Wydanie IV.

Nakład 20000+330 egz.

Arie.

wyd.

14,9;

arie.

druk.

15,25.

Papier offset, mat.

M. V, 82X104, 71 g.

Oddanodo składania w sierpniu 1978 r.

Podpisano dadrukow lutym, druk ukończono w marcu 1979 r.

Żarn.

nr 2234/11/78.

C-29.

Printed in Poland by

ŁÓDZKIEZAKŁADY GRAFICZNE, ZAKŁAD Nr Łódź, ul.

Rewolucji 1905 r.

nr 45Cenazt 60,.